



X
**Antologia
opowiadań
fantastycznych**

pod redakcją
Adama Podlewskiego

X

Antologia opowiadań fantastycznych

pod redakcją
Adama Podlewskiego

Kraków 2017

Spis treści:

Wprowadzenie:

Ale dlaczego dziesięć?

Dobry nosiciel

Dlaczego spadamy

Błaszaków pamięci żalosny jazgot

PiekłoXLiczba początku i końca

Dziesięć śmierci Gonzalesa

Dekalog '84

Ludzie strusie

Zemsta Patroklesa

Dziesięć białych kamieni

Bestia ponowoczesna

Dziesiąty demon

DziesięćDziesięć sekundDziesiąte życieDziesiąty zabytek

Gwiazda zaranna

Głos światów albo kołysanka satelitów

Jeden z dziesięciu

Klamka zapadła

Nie żałuj

Nieproszony gość

Sami sobie

Posłowie

Wprowadzenie: Ale dlaczego dziesięć?

Adam Podlewski

Redakcja „Creatio Fantastica” nad tematem jubileuszowego konkursu nie zastanawiała się długo. Ty, Czytelniku, powinienes. My chcieliśmy uczcić mijającą w 2015 roku dziesiątą rocznicę powstania pisma. Ty natomiast, Miłośniku Fantastyki, a zwłaszcza Ty, Pisarzu, musiałeś tę okazję sobie zracjonalizować. Rozpisując konkurs na opowiadania, poprosiliśmy o dziesiątki dowolnego rodzaju. Wspomniane w zaproszeniu Przykazania, fascynacje Pitagorejczyków, artefakty naszej kultury i nauki są przecież tylko odbiciem przydatności dziesiątki. Faktem niezaprzeczalnym pozostaje ilość palców u *homo sapiens* i... właściwie tyle.

Za chwilę dziesiątka zacznie rządzić naszą wyobraźnią. Nim to się stanie, chciałbym Was zapytać, czy wyobrażacie sobie wszechświat i jego ludzką strefę bez tej liczby. Gdyby nie te nieszczęsne palce, dziesiątka nie byłaby aż tak przydatna: nie przelicza się na żadną z naturalnych wielkości w przyrodzie. Na pewno nie pomaga w stosowaniu kalendarza (ani księżycowego, ani gwiazdowego), nie odnosi się do proporcji ciała ani obserwowalnych w naturze relacji.

Jedna z nich, stosunek złota do srebra, jego występowania, wydobycia, a potem użycia w obiegu, spowodowała nieliczne problemy w naszej historii. Ekonomiści, politycy i (niestety, przede wszystkim) filozofowie dawnych wieków doszukiwali się idealnej relacji cennych kruszców. Pół biedy, jeśli chodziło o stosunek jeden do dwunastu; jeśli jednak miał on wynosić jeden do dziesięciu, w dłuższej perspektywie zawsze powodował monetarne trudności. W zależności od przyjętych kryteriów, stosunek występowania złota do srebra w skorupie ziemskiej to od jednego do czternastu po jeden do szesnastu (co wskazuje na dość dokładny szacunek Izaaka Newtona, który, jako zwierzchnik Królewskiej Mennicy Anglii, w 1717 ustalił tę relację na 1:15,5), choć ilości kruszców w obiegu zmieniały się (by w krajach o niewielkim wydobyciu srebra, na przykład Japonii, czy okresach niezwyklego napływu złota, jak w początkowej fazie kolonizacji Ameryk, powodować znaczne niedoszacowanie Królewskiego Metalu). W dodatku przed ustanowieniem przez Mikołaja Kopernika prawa, zwanego dziś, dla niepoznaki, Prawem Greshama, nie zastanawiano się systemowo nad praktycznymi skutkami sztucznego tworzenia „lepszego” i „gorszego” waluty. Czy gospodarcza historia Europy potoczyłaby się inaczej, gdyby ktoś inny zdołał wcześniej dokonać dzieła Newtona, na przekór poszukiwaczom Boskiej Dziesiątki (oraz Boskiego Tuzina; to jest jednak temat na oddzielną opowieść, a najlepiej oddzielny wstęp do innej antologii)? A może Niewidzialna Ręka Rynku (czy, w tym przypadku, Niewidzialna Ręka Ograniczonych Zasobów) wyrównała różnice w swoim tempie, niezależnie od przyzwyczajęń prostego człowieka i oczekiwań wykształciucha?

System dziesiętny nie jest naturalnym sposobem liczenia. Jedynym układem mogącym rościć sobie, w pewien sposób, prawo do tego miana jest system binarny, choć kategorię „naturalności” w przypadku maszyn, opartych na dwuwartościowych stykach, należy wziąć w nawias wielki jak Dziesięć Cudów Świata razem wziętych. Ludzie liczą dziesiątkami z powodu palców, ale przecież mogliby liczyć ósemkami (kto nam każe zawsze brać pod uwagę przeciwstawne, a więc niewygodnie schowane, kciuki?), czy może nawet dwudziestkami (matematycy nie muszą cały czas nosić butów). Dlatego odwieczne współistnienie z systemem dwunastkowym (podzielnym przez trzy!) komplikowało przednowoczesne transakcje i obliczenia. Przydatność systemu dziesiętnego (zwłaszcza jako pochodnej binarności) bywa czasem podawana w wątpliwość, zarówno przez matematyków, jak i fantastów. Z przykładów nam bliskich, w cyklu *Ostatnia Rzeczpospolita* Tomasz Kołodziejczak tworzy wrogą ludzkości cywilizację, opartą na liczeniu trójkowym (i, zapewne,

systemach liczbowych bazujących na wielokrotności trójki), tłumacząc wygodę tego podziału łatwością tworzenia jednostek barteru. Jeden z bohaterów *Białej Reduty* zauważa, że:

Ludzka dziesiątka [...] słabo podzielna, wzięła się z pierwotnego liczydła, jakim były palce. Z kolei najbardziej użyteczny dla starożytnych matematyków i kupców system przyjął za podstawę liczbę sześćdziesiąt, dzielną przez dwa, trzy i pięć, a więc łatwą do użycia w handlu wymiennym [...]. Dwójkowy system sprzętu elektronicznego — mający tę wadę, że zapis każdej liczby jest bardzo długi — daje się kodować w urządzeniach jedynie obecnością lub brakiem sygnału. Ale też całe ludzkie myślenie, i filozofie, i religie, i praktyka codziennego dnia, nawet w czasach przedcyfrowych, oparte było o system dualny: tak — nie, góra — dół, *ying* — *yang*, Bóg — szatan, prawo — lewo, razem — osobno. Zwykle nie myśli się o kulturze czy religii, analizując zagadnienia czysto matematyczne, ale, rozważając podstawy nauki balrogów, trzeba to robić. No dobrze, Kołodziejczak przypomina, że to nasz system jest oparty na najgłębszych fizycznych i metafizycznych relacjach, a model barlogów jest nienaturalny, jak sama istota fikcyjnych Naziszatanów, ale nie powinniśmy z góry uprzedzać się wobec zwyczajów uchodźców z innych wymiarów. A na pewno widząc (lub wymyślając!) Innego, powinniśmy zastanawiać się nad sobą; to przecież pierwotne i najważniejsze powołanie fantastyki.

Dziesiątka z Góry Synaj to ludzki wymysł. To znaczy, przykazań było dziesięć, i tyle podyktował Bóg Mojżeszowi, ale przecież to my wyciągamy z tego faktu daleko idące wnioski. Tak naprawdę Patriarcha otrzymał dwa zestawy: trzy przykazania dotyczące relacji człowiek-Bóg oraz siedem opisujących stosunki międzyludzkie. To krnąbrna „korona stworzenia” zaczęła sumować te dwie kamienne tablice tak skutecznie, że owe zestawy nazwała razem Dekalogiem. Dalej poszło już samo.

Czy ktoś kazał hellenistycznej administracji grupować gminy po dziesięć, a potem Kościołowi Katolickiemu przejąć tę tradycję w formie dekanatów parafii (i czy określenie „dziekan” bierze się wyłącznie z tej tradycji, czy też z tego, że zwierzchnik uniwersyteckiego wydziału ma na głowie co najmniej dziesięciu studentów na raz)? Dlaczego Tytus Liwiusz Burattini, John Wilkins, potem zaś wszechhustalacze doby rewolucji francuskiej wybrali akurat naturalny (ale przecież sztucznie wyliczony!) ułamek dziesiątyny obwodu Ziemi na podstawę dla późniejszych systemów miar? Od czasu wytopienia wzorca z Sèvres niewiele już możemy zmienić (to znaczy zmieniamy, od 1795 nawet o pół milimetra, ale cicho sza!), acz przecież mogło być inaczej...

Międzynarodowy Układ Jednostek Miar zabetonował dominację dziesiątki na długą, niedającą się przewidzieć przyszłość (trzeba chyba czekać na Wiek Osobliwości, gdy elektroniczna superinteligencja wybiję dziesięciolubnych ludzi, aby móc wszędzie stosować system binarny), więc straciliśmy okazję do poznania innych układów w praktyce. Dlatego musimy śnić i wyobrażać sobie te inne, porzucone dawno ścieżki.

Zdziwiłem się nieco, czytając w tekstach naszych Autorów głównie o dziesiątkach „miękkich” — kulturowych, filozoficznych i eschatologicznych. Spodziewałem się więcej dziesiątności „twardej”, spekulatywnej, a jeśli nie — to choćby alternatywnej. Bardzo żałuję, że żadnego z opowiadań nie zaludniają żyjący w systemie jedenastkowym kosmici, którzy uwielbiają ziemskie kryminały, ale nie mogą pojąć, dlaczego Agata Christie pisała tylko o dziesięciu Murzynkach. Dlatego ludziofile uczą się o dziwnym układzie dziesiątnym, dla łatwości liczenia podwiązują sobie jedną z macek i...

Cóż, takich opowiadań nie było. Może to i lepiej, bo dla mnie zostanie coś do roboty. Za to dostaliśmy dziesiątną ucztę innego rodzaju. Alegoryczną, symboliczną, często katastroficzną i apokaliptyczną. Dziesiątka czasem czai się w wybranych tekstach gdzieś z boku, uderza tylko w finale i morale, jednak zawsze jest obecna. Może to przejaw władzy, jaką liczba może mieć nad naszym życiem i myśleniem. W tak różnych historiach Autorzy zdołali zawrzeć temat naszego dziesiątnego manifestu. Uczestnicy konkursu właściwie nie

pisali o dziesiątce; pisali o bohaterskich superkominiarzach, opuszczonych miastach i duchach w zardzewiałych maszynach. A nasza rocznicowa liczba i tak przychodziła, być może nieproszona, a nawet niechciana. Aby się jej pozbyć, musimy przejść do obozu wroga, dołączyć do partii dwójkowych maszyn albo trójkowych demonów Kołodziejczaka. Inaczej, nawet po odcięciu palców czy obchodzeniu Bożego Narodzenia w Halloween (żart anglojęzycznych informatyków), dziesiątka nas gdzieś dopadnie, aby przerobić na swój obraz i podobieństwo. Ale po dziesiąte: nie pożądamy rzeczy bliźniego, więc nie zazdrościmy tej skromnej liczbie takiej władzy nad życiem ludzkości. Dołączmy do jej orszaku i zobaczymy, jak odciska ślad w naszej kulturze i codziennym bytowaniu.

Korzystając z okazji, chciałbym podziękować Przyjaciółom naszego pisma: Pawłowi Majce, Andrzejowi Pilipiukowi, Krzysztofowi Piskorskiemu i Andrzejowi Sawickiemu, którzy — pomimo napiętych grafików — wsparli nas w pracach jury konkursowego swoimi ocenami, słowami wsparcia i ogólnej życzliwości. Panowie Pisarze, oceniamy wasz wkład na dziesięć w dziesięciopunktowej skali!

A teraz, w imieniu Redakcji „Creatio Fantastica”, z dumą prezentuję Wam zbiór tekstów (jest ich więcej niż dziesięć, co należy uznać za nasz jedyny przejaw oporu wobec dekarchii wszechświata) wybranych przez jury Konkursu X. Znajdziecie tu wiele niespodzianek, ale i spodziewanych elementów dziesiątego programu. Pewnie jeszcze sporo o naszej Jubileuszowej Liczbie zostało do napisania, ale cóż, ludzkość głowi się nad nią od powstania matematyki i zapewne nieprędko przestanie.

Dobry nosiciel

Rafał Sala

„I otworzyły się ich oczy, a Jezus surowo im przykazał: »Uważajcie, niech się nikt o tym nie dowie! «” (Mt 9,30).

„— Czy faktycznie używał dziesięciu?”

— Nie potwierdzono”.

Fragment przesłuchania jednego z agentów oddelegowanych do sprawy nr 2019/01/N-6082.

Odkąd ceny wszczepów do widzenia spadły na tyle, że prawie każdy mógł sobie na nie pozwolić, wzrosło zapotrzebowanie na esencjon całkowity. Coraz częściej decydowano się na kontrakt pośmiertny, gwarantujący dawcy spore zyski oraz bezpłatną opiekę medyczną na najlepszych akademiach. Esencjon całkowity można było, w odróżnieniu od esencjonu częściowego, pozyskać jedynie odbierając komuś życie. Oczywiście śmierć musiała nastąpić w odpowiednich warunkach. Dawca nie znał daty, w kontrakcie określano jednak próg czasowy, po którym miało nastąpić pobranie esencjonu. Substancja posiadała jedną wadę. Mogła być magazynowana wyłącznie w ludzkim ciele.

Nazywano ich dobrymi nosicielami, w skrócie deen. Ale równie często posługiwano się określeniem „wiadro”.

Jeden

Marek poczuł ból. Był pewien, że operacja się powiodła. Gdyby było inaczej... byłby martwy. Wiedział, że znajdował się na siódmym piętrze Gdańskiej Akademii św. Wojciecha i choć w sali nie było nikogo, miał świadomość bycia obserwowanym. Spojrzenia. Patrzyli na niego. Sprawdzali reakcje. Muszą mieć pewność, że instalacja się powiodła. Co robili z tymi,

którzy mieli wynik negatywny?

Stabilny... pozytywnie... Esencjon zainstalowany... gruczoł pracuje... prawidłowa...

Głos. Poczł pulsowanie w głowie. Od razu uspokoił oddech. Fala mdłości przyszła nagle. Zakaszał. Znów usłyszał coś, czego nie powinien. Tym razem nie zrozumiał prawie nic. Zobaczył obraz. Początkowo mglisty kształt nabrał ostrości. Twarz matki. Błada, wysuszona jak pergamin skóra opinała kości czaszki. Z ust dobiegał szept.

Szarpięcie za ramię. Spróbował unieść się do pozycji siedzącej. Po ciele rozlało się nieprzyjemne ciepło i pieczenie, jakby pod skórę wiano mu gorący olej. Obraz znikł. Czerń. Mgła. Światło.

— Jeszcze raz — usłyszał znajomy głos — powiesz do mnie „mamo”, a naprawdę spiorę ci dupsko.

Niski, ubrany w niebieski kitel mężczyzna z maseczką na twarzy przypominał krasnoluda, którego ktoś skrzyżował ze smerfem.

— Gu... — wyszeptał Marek. Przechylił się przez łóżko. Zwymiotował. Zakaszał.

— Teraz mamusia ma cię przytulić? — Mężczyzna stanął krok bliżej, uważając, by nie wdepnąć w kałużę wymiocin.

— Sukces? — Poczł działanie leków przeciwbólowych.

— Trochę się opierałeś... ale dało radę. Jesteś teraz gniazdem z jednym kukułczym jajem.

— Już potwierdzili? — Chciał się upewnić.

— Do niepotwierdzonych nie wpuszczają. Cztery dni byłeś w pieprzonej komie, ale w końcu zaskoczyło. Farciarz z ciebie, młody. Teraz już pójdzie z górki.

Marek poczuł się senny. Najchętniej poddałby się temu stanowi. Niech wszyscy idą do diabła! Pytania? Terminy? Z trudem powstrzymał się przed zaśnięciem. Przywołał twarz matki.

— Kiedy następny? — musiał wiedzieć.

— Spokojnie. Musisz odchorować.

— Inaczej się umawialiśmy — warknął Marek, choć coraz bardziej pogrążał się we śnie.

— Trzeba było nie odwalać takich numerów. Żaden ośrodek nie zaufa takiej kupie rzygowin jak ty... — gestem zabronił mu się odzywać. — Nie dziś... Nie jutro... Daj sobie trochę czasu. Postawią cię na nogi, to zostaniesz najlepszym wiadrem w mieście...

— Umowa...

— Umowa, umowa! Śpij, jutro i tak będzie...

Zapadł w sen. Nie słyszał nic. Nie widział.

Dwa

Połączenie było kiepskiej jakości. Obraz pojawiał się i znikał. Z dźwiękiem było trochę lepiej. Marek podłączył przewód do opaski na głowie. Ledwie odczuwalny impuls przebiegł od urządzenia do jego mózgu i z powrotem. Kontrola przebiegła prawidłowo. Mężczyzna pożegnał kontrolera. Wyłączył urządzenie. Zwinął kabel. Zdjął opaskę. Wszystko poukładał w futerale, który następnie wsunął pod łóżko.

Ubrał się. Poszedł umyć zęby, jednocześnie sprawdzając aktywność esencjonów. Zainstalowanie drugiego nie sprawiło takich problemów jak wyhodowanie gruczołu-gniazda i bloкера. Opiekun miał rację. Teraz powinno być z górki.

Obmył twarz. Zignorował zarost. Sięgnął po pigułki. Wziął je ze sobą do kuchni. Zasunął rolety, uciekając od światła. Poranek dla dobrych nosicieli zawsze był taki sam. Mdłości, lekki niepokój i wrażliwość na światło oraz dźwięk nie trwały dłużej niż pół godziny, ale były codziennością. Kontrola odbywała się w tym najgorszym dla wiadra czasie.

Pigułki działały szybko, ale nie do końca skutecznie. Trudno. Marek włączył tablet. Przejrzał listę zadań i celów. Część z nich przesunął na inny termin. Sprawdził pocztę

osobistą oraz alertową. Pusto. Gdyby pojawiła się ta wiadomość, miałby naprawdę ciężki dzień. Wszystko działo się błyskawicznie. Od czasu powiadomienia do instalacji mijało mniej niż kilkanaście godzin. Świat stawał wtedy na głowie. Liczył się czas. Tylko czas. Marek miał świadomość, że właśnie wtedy komuś ten czas się kończył.

Trzy

Wiadomość. Alert. Teraz. Marek ubrał się w pośpiechu. Wybiegł z mieszkania. Zabezpieczył drzwi kodem. Mdłości już minęły, ale czuł się źle. Może dlatego robił wszystko automatycznie. Wyciągnął telefon. Zadzwoił po transport. Zwolnił odrobinę. Samochód pojawił się po dwóch minutach. Czarny Nissan Quest był mu dobrze znany. Kierowcę widział po raz pierwszy. Marek podał mu kod, który otrzymał w wiadomości. Szofer wprowadził go do nawigacji, po czym ruszył nieśpiesznie w wybranym kierunku.

Po chwili kierowca podał pasażerowi wydrukowany plik z dokumentami. Nie było tego dużo. Akurat tyle, by można przejrzeć w czasie podróży. Standardowo znalazły się tu dane dawcy oraz krótki biogram. Właściwie nic specjalnego. Mężczyzna wolał nie myśleć o tym za wiele. Procedura i tak zakładała, że dobry nosiciel oraz dawca muszą się choć raz spotkać. Marek był na to gotów.

— Który to? — zagadnął kierowca.

Marek nie od razu zrozumiał.

— Wiozłem kiedyś dziewiątkę — powiedział kierowca, uśmiechając się słabo.

— Trzeci — szepnął. — Będzie trzeci.

Szofer pokiwał głową i zamilkł.

— Tu — odezwał się dopiero, gdy dojechali na miejsce. Stacja benzynowa z kilkoma dystrybutorami znajdowała się na obrzeżach miasta.

Marek od razu skierował się do środka. Automatyczne drzwi przesuwne ustąpiły z pewnym ociąganiem. Za szeregami regałów z napojami, chipsami i słodyczami stała lada, a za nią średniego wzrostu starszy mężczyzna.

Marek spojrzał w jego kierunku. Musiał się napatrzeć. Nadal trudno było uwierzyć, że to się dzieje ot tak. Kilka podpisów, trochę papierów... Kontrakt.

Wziął z półki puszkę pepsa. Postawił na ladzie.

— Może batonik czekoladowy? — zapytał pracownik stacji. — Mamy teraz w promocji.

— Nie — odpowiedział. — Tyle mi wystarczy.

Usiłował opanować emocje. Zapłacił monetami. Przez chwilę się wahał, ale w końcu powstrzymał się od tego, by powiedzieć coś więcej. Co miał rzec? „Stary, za kilkadziesiąt sekund zostaniesz pozbawiony życia?”; „Masz jakieś ostatnie słowo?”; „Dlaczego, będąc na kontrakcie, pracujesz na stacji benzynowej?”

Wyszedł. Otworzył puszkę. W drzwiach minął trzech mężczyzn. Było cicho. Nie przejeżdżały żadne samochody. Nie było nikogo, kto mógłby coś zepsuć. Napił się. Zdawało mu się, że słyszał krzyk. Jeden wyraz sprzeciwu. Bo jakżeby inaczej. Kontrakt. Rozumiał to. Zaraz będą trójką, powtarzał sobie.

Kiedyś wiozłem dziewiątkę...

Cztery

Widzenie było dobrą zabawą. Otwierało nowe możliwości. Stało się nowym narkotykiem, z uregulowaną procedurą użytkowania. Wyobraźcie sobie, że w jednej chwili możecie widzieć świat innymi oczami. Jesteście w swoim ciele, dotykacie przedmiotów, smakujecie, wachacie, słyszycie. A co, jeżeli to nie wszystko? Co jeśli widzenie innymi oczami sprawia, że świat odkrywa przed wami nieznaną poziomą? Pojawiają się przejścia, z niebytu wyłaniają się rzeczy i zjawiska, których swoim widzeniem nie mogliście dostrzec. Czy to nie wspaniałe? Znaleźli się i tacy, którzy widzenie wykorzystali do szczytnych celów. Albert Murr wynalazł lek na raka, Ben Hiberthill opisał cały przebieg II wojny światowej,

wykorzystując widzenie wsteczne. Nikt jednak nie policzy mordów dokonanych dzięki widzeniu, nie odkryje zła schowanego w innych wymiarach.

Dzień upłynął mu na grze w tenisa, kolacji z Małgosią oraz seksie z Małgosią. To ostatnie przeciągnęło się nawet odrobinę dłużej. Nie był chłodny, jak to się mu zdarzało. Naprawdę jej pragnął. Potem zachciało mu się pić. Sięgnął tam, gdzie intuicyjnie wyczuł, że znajdzie to, czego szuka. „To taka zwykła rzecz” — pomyślał. Nie musiał się ruszać, by sięgnąć po to, co chciał. Nie wiedział, z którego esencjonu skorzystał. Nieraz zdarzało mu się śnić o „Nich”. Co prawda wiedział, że esencjon nie jest i nie może być jaźnią, duszą czy jakkolwiek byśmy to nazwali, ale z pewnością był to wyrwany z człowieka twór. Bezosobowy, ale kiedyś przypisany jakiemuś Jankowi, Basi czy Michałowi.

Napił się zimnej wody prosto ze źródła. Zamknął portal. Zapomniał o zdarzeniu. Kontrola nigdy nie wykazała, jakoby posługiwał się esencjonem. Wytarł mokrą dłoń o poduszkę.

Pięć

Różnica między instalowaniem a reinstalowaniem jest taka, że nikt nie umiera. Jest też o wiele bardziej bolesna — oczywiście dla dobrego nosiciela. Choć przeprowadzana jest w całkowitej narkozie, to i tak nie da się uniknąć cierpienia. Marek wiedział, że jest tylko wiadrem. Przecież stanowi wyłącznie magazyn dla esencjonów, z którego w pewnym momencie wszystkie produkty zostaną wybrane do cna. Nie są to wszak rzeczy tanie. Klienci płacą ogromne sumy za co bardziej rozwinięte esencjony. Udowodniono też, że bezpieczniejsze dla biorcy jest podhodowanie esencjonu w wiadrze, niż instalowanie go bezpośrednio. Dlatego też cierpliwie czekano, aż esencjon się uleży, uspokoi i będzie gotowy do użycia.

Codziennie kontrole za pomocą urządzenia miały nie tylko sprawdzać, czy dobry nosiciel nie korzysta z dobrodziejstw esencjonów. Marek domyślał się, że firmy świadomie przepuszczają w kontrolach sporadyczne używanie dobrodziejstw substancji. Musiały wszak mieć wiedzę na temat ich właściwości oraz cech szczególnych.

Marek śnił podczas operacji. Pamiętał to później wyraźnie. Twarz matki. Podobnie jak za pierwszym razem była trupio biała, wyniszczona. Wśród posiwiałych włosów dostrzegał białe larwy, które usiłowały skryć się w skórze głowy, ale za każdym razem koścista dłoń matki przeganiała je stamtąd. Wyglądało to tak, jakby chciała odgarnąć niesforny kosmyk z czoła. Potem widział dom. Stary budynek, w którym kiedyś prawdopodobnie mieszkał, ale musiało to być wspomnienie z bardzo wczesnego dzieciństwa. Ledwie zarys ścian. Drewniany ganek. Oparty o ścianę rowerek.

Ból świdrował w głowie, jakby miał w niej ogromny ząb, który ktoś wykręca z dziąsła. Marek wyobrażał sobie, jak ktoś wyjmuje mu mózg z czaszki, by pookładać go kijem bejsbolowym i poprzypalać papierosami.

Potrzebował nowej materii. Wiedział, że pustka go zabije.

Sześć. Siedem. Osiem.

Sen trwał bardzo krótko. Oczywiście mózg twierdził inaczej. Miało się wrażenie przebywania w beczasie. Dominował ruch. Ucieczka. Pościg. Trzask. Przepaść. Lot.

— Powinieneś zacząć brać leki — zaproponowała leżąca obok Małgosia. — To normalne.

— Leki nie działają. — Odwrócił się na drugi bok, próbując przypomnieć sobie szczegóły snu.

— Innym pomagają.

Marek wiedział, że miała rację. Przymknął oczy. Czuł zapach jej ciała. Ciepło. Pragnął zapomnieć. Zostawić to, co go dręczyło. Ale nie mógł. W jednej chwili przeniósł się gdzie indziej. Esencjon, którego użył, był bardzo intensywny. Wokół rozlegał się szum morza. Zimne, wilgotne powietrze niesło zapach suszących się rybackich sieci. Stał przed wejściem

do jaskini. Za sobą miał wąski pas plaży. Łódź, którą musiał tu przypląć, dryfowała przy brzegu. Niesamowicie realny fragment rzeczywistości napełniał go strachem. Bywał tu kilkakrotnie. Za każdym razem czuł się obserwowany. Wątpił jednak, by ktokolwiek chciał go skrzywdzić. Lud zamieszkujący wyspę był ciekawski, ale nieszkodliwy. Nie zauważył też nigdy śladów ich bytności zaraz przy jaskini, jakby celowo ją omijali. Wszedł do środka. Macając ścianę, przemierzał tunele. Zastanawiał się, czy jest jednocześnie w swoim łóżku i w tym dziwnym miejscu, czy może zniknął z tamtego świata? Może w tej właśnie chwili ziemia zatrzymała się, czas stanął w miejscu, by on mógł tutaj dotrzeć. Nie obchodziło go to.

Matka siedziała na niewielkim podwyższeniu. Padające z góry światło rozświetlało jej postać. Spod skalnej półki, na której znajdowała się kobieta, sączył się dym.

— Witaj — powiedział Marek.

— Jesteś głodny? — zapytała.

Uklęknął, ukrywając twarz w dłoniach. Miał ochotę zapłakać, ale powstrzymał się.

— Bałem się, że cię tu nie zastanę.

— Nigdy stąd nie odejdę.

— Ale ty nie istniejesz! — wykrzyczał.

Uśmiechnęła się. Wyglądała młodo. Nawet w jej oczach nie sposób było dostrzec głębi, której nabiera się z wiekiem.

— Będę tu zawsze — obiecała.

— A ta prawdziwa?

Wstała. Jej suknia była prawie przezroczysta. Skóra cienka i delikatna jaknamoczony papier ryżowy. Włosy delikatne jak u niemowlęcia.

— Są inne światy — powiedziała. — Pewnie już to słyszałeś?

Zamachnął się na nią. Odskoczyła w tył. Upadła i rozplynęła się w powietrzu. Zaklął. Intensywnie myślał. Wspomnienia, które tak dawno zatarły się w jego pamięci, wracały i powodowały ból. Nie dawały wyjaśnień. Ścieżka, którą podążał od dłuższego czasu, była niepewna. Bał się, że jego starania nie dadzą żadnego efektu. Jednak znalazł ją. Nie była to jego prawdziwa matka, może echo, ledwie cień, ale znaczyło to tyle, że trzeba szukać dalej. Drażyć skalę.

Wszedł z jaskini. Esencjon był niezwykle trwałe. Każdym zmysłem czuł świat, w którym był. Czy poza tą wyspą było coś jeszcze? Czy w morzu pływały ryby?

Tubylcy skryli się za skalę. Widział ich. Oni jego też. Zarówno oni, jak i on mieli tego świadomość. Pomachał ręką. Odmachali. Zastygli w bezruchu, czekając na coś jeszcze. Marek cofnął się o krok. Zniknął.

Dobry Nosiciel

Późnym wieczorem klub zapełnił się młodymi ludźmi. Większość była pełnoletnia, ale przychodziło też niemało przodujących, którzy przeszli już proces i mimo swojego wieku mieli prawo wstępu do większości tego rodzaju lokali. Esencjon zbiorowy przyciągał jak mało co. Wejściówki nie były tanie, ale kto był raz, ten wracał. Reklama dryfująca nad klubem zapowiadała noc duchów. Strach podniecał wszystkich. Rozmowy nie milkły. Niektórzy pili alkohol, narkotyzowali się, podrasowywali się własnymi esencjonami.

Marek siedział w kącie, próbując nie rzucać się w oczy. Nie było to łatwe. Mierniki esencjonu robiły ostatnio furorę, więc sporo osób wiedziało, że jest wysokopoziomowym wiadrem. Nie zaczepiano go, jednak wyczuwał na sobie wiele spojrzeń. Ciekawość połączona z fascynacją.

Zanim zaczął się seans, Marek wyszedł z klubu. Na bramce odebrał broń, na którą miał pozwolenie. Zastanawiał się, czy transakcja nastąpi o wyznaczonej godzinie. Nie spodziewał się, że wszystko pójdzie tak gładko. Na ostatniej kontroli musiał się gęsto tłumaczyć, ale dano mu szansę. Nie każdy człowiek jest predysponowany do bycia Dobrym Nosicielem, a co za tym idzie, ceniono tych, którzy nimi byli.

Powietrze było ostre. Zaciągał się nim jak dymem papierosowym. Czuł ból. W kieszeni znalazł monetę. Rzucił ją bezdomnemu, który przygrywał na gitarze i śpiewał. Potem zagłębił się w esencjonie, który zniekształcał rzeczywistość. Ulica rozszerzyła się. Stojące po obu stronach kamienice przypominały teraz niewielkie domki. Ludzie zmniejszili się do rozmiarów stojących na tylnych łapach kotów. Ponad głową Marka wyrósł ogromny księżyc. Uliczny grajek unosił się w powietrzu, a dźwięki, które wydobywały się z instrumentu brzmiały znajomo. Gdzieś w tle dosłyszeć można było fortepian i słowa:

*Hey Jude, don't be afraid,
you were made to go out and get Her.
Są inne światy...*

Marek znał prawie na pamięć *Mroczną Wieżę* Kinga i zastanawiał się, jak to się stało, że wizja pisarska stała się tak bardzo realna. Czy spięte ze sobą światy mają jakąś nadrzędną formę?

Szedł wolno. Dźwięki stopniowo cichły, zamieniając się w jednostajny szum. Marek czuł spokój. Musiał tylko czekać.

Zero

Obudził się wcześniej niż zwykle. Świat zza poszarzałej firanki przypominał miraż. Jeszcze nie dzień, a już nie noc. Wstał. Poszedł do łazienki. Umył zęby. W kuchni spotkał ojca siedzącego przy stole. Nie odezwali się do siebie. Marek był zbyt niewyspany, by mieć chęć na rozmowę. Ojciec wydawał się nieobecny. Wpatrywał się we własne dłonie rozpostarte na blacie stołu. Chłopak wyszedł.

— Matka odeszła — rzucił ojciec. — Nie musisz dziś iść do szkoły.

Słowa nie dotarły do niego. Usłyszał je, ale ich znaczenie było dla niego niezrozumiałe.

— Zostawiła list — dodał.

Ojciec wstał. Drżącą ręką wyciągnął pomietaną kartkę z kieszeni. Podszedł do syna. Podał mu list, po czym wrócił na miejsce.

Marek przez chwilę wpatrywał się to w ojca, to w list. Od dłuższego czasu wiedział, że dzieje się coś złego, choć ostatnio zauważył poprawę. Matka miała zrezygnować z pracy. Chciała w końcu przestać brać leki, które i tak nie niwelowały wszystkich skutków bycia wiadrem. Miała być tylko dla nich. Tylko...

— Gdzie odeszła?

— List. Przeczytaj list.

— Musimy ją znaleźć. — Marek podszedł do ojca. — Nie możemy tak jej zostawić! Ona nie wie, co robi!

— Wie! Jesteś taki sam jak ona.

— Musimy...

— Ona jest tam, gdzie żaden z nas jej nie znajdzie.

Dopiero teraz do Marka dotarło, co zrobiła jego matka. Usiadł obok ojca. Zaczął czytać list.

Dziesięć

Czuł ogień w klatce piersiowej. Długi bieg wykończył go. Resztkami sił zaciągnął ciało w zarośla. Podejrzewał, że nie ma wiele czasu. Pomimo długich treningów, zdawał sobie sprawę z czujności służb. Nawet korzystając z przejść, nie zdoła pozostać niezauważonym. Spieszył się.

Użył esencjonu, by być w dwóch miejscach jednocześnie. Następnie otworzył tunel. Przeszedł przez niego, zmuszając się do wzięcia na barki nieprzytomnego mężczyzny. Był mu potrzebny. Zorganizowanie wszczepienia dziesiątego esencjonu kosztowało go nie tylko większość oszczędności, ale wymagało wprowadzenia wielu fałszywych informacji do obiegu. Wykorzystał esencjony, które pozwoliły mu przekonać niewielki zespół do udzielenia

pomocy. Teraz albo nigdy.

W sali operacyjnej było dwóch lekarzy oraz dwóch pacjentów, w tym jeden na skraju śmierci. Marek był przytomny. Znieczulenie miejscowe działało. Nie mógł pozwolić sobie na narkozę. Brakowało mu czasu. Esencjon o numerze dziesięć powoli wtapiał się w jego ciało. Czuł, jakby wypełniało go coś ciężkiego i ogromnego. Doświadczał niesamowitego. Miał wrażenie, że to wszystko, czego dokonał, nie ma już najmniejszego znaczenia. Jego plan. Jego cel. A co, jeśli się pomylił? Odrzucił tę myśl.

Przypomniawszy sobie list matki. Nie był długi. Zaledwie kilka zdań, skreślonych koślawymi literami. Ileż godzin spędził szukając informacji na temat esencjonów. Krążyła plotka, że gruczoły esencjonalne pojawiały się u różnych osób w historii. Jezus, Budda, Mahomet, Ojciec Pio... Czy możliwe było, żeby natura tak wyposażyla człowieka? A jeśli tak, to po co?

Marek wiedział, że matka kłamała. Zamiast pozbywać się esencjonów, zatrzymywała je dla siebie. Te jej wszystkie wyjazdy były kolejnymi instalacjami. Czy była dziesiątką? Nie był pewien. Ale dziś miał nadzieję się przekonać. Znajdzie ją tam. Uruchomi dziesięć esencjonów, otwierając przejście. Nie wiedział tego na pewno, ale podróżując wśród portali, spotykał różne osoby, które słyszały o bramie głównej. Wniebowstąpienie?

— Już — rzucił lekarz. — Powiodło się.

Marek zdążył pomyśleć o Małgosi. Miłość. W jednej chwili otworzył wszystkie bramy, wszystkie umiejętności. Miłość?

Dlaczego spadamy

Lukasz Skoneczny

Minh Nu-Jeket dotknął czołem marmurowej podłogi świątyni. Codziennie modlił się do Izaaka o wiedzę, ale dziś prosił o wiarę. Młody kleryk nie mógł pozwolić sobie na wątpliwości, które, niczym zblakany promień wewnątrz sferycznego lustra, odbijały się od ścian jego oczyszczonego medytacją umysłu. Poły bordowej, syntetycznej szaty zadrżały poruszone powiewem powietrza. Odgłos otwierających się drzwi sprowokował Minha do podniesienia się na kolana.

— Nie ma potrzeby przerywać modlitwy dla takiego starego dziada jak ja. — Mistrz Leil leciał z wolna w kierunku adepta na swoim lewitującym wózku. — Trudno potem zasnąć, gdy przesiaduje się poza domem o takich porach — dodał.

— Tu jest mój dom, Mistrzu Leil — wyszeptał powoli Minh, nie odwracając wzroku.

— Idź już, jutro ważny dzień. Słyszałem, że Izaak i Ona dają siłę tylko wyspanym. — Starzec uśmiechnął się.

Kleryk kiwnął głową, po czym wstał i z dłońmi splecionymi na wysokości pasa udał się w stronę drzwi. Zanim wyszedł, odwrócił się i ostatni raz spojrzął na pięciometrowy pomnik proroka. Żelazna podobizna Izaaka Newtona patrzyła w przestrzeń, niewzruszona rozterkami śmiertelników.

Poranną modlitwę zazwyczaj odmawiał na dachu. Klerykom przydzielano ascetycznie urządzone apartamenty na najwyższych piętrach. Usiadł ze skrzyżowanymi nogami i wziął głęboki wdech. Gdy wypuszczał powietrze, odchylił głowę i otworzył oczy. Błękitne niebo, przyozdabiane gdzieniegdzie oddalającymi się z zawrotną prędkością chmurami, stanowiło granicę myśli.

Arc-10, spadające miasto, było jedynym światem, jaki znał. Historię tego miejsca spisywano od pięciu pokoleń, przedtem nie było nic. Ludzie pojawili się w otoczonej polem siłowym strukturze zupełnie znikąd, a ich przeznaczeniem stał się lot. Już na początku czasu

znajdowały się tu systemy podtrzymywania życia oraz przeogromne bazy danych, wspominające o mitycznym Poprzednim Świecie i rządzących nim prawach ludzkich i naturalnych. Zgodnie ze spisana tam fizyką miasto pędziło przez nieskończoną atmosferę ze stale rosnącą prędkością. Wyglądało jednak na to, że pradawnym nie udało się skonstruować idealnego zbioru zasad. Według niego niemożliwe było istnienie miejsca tak ogromnego jak przestrzeń, w której od zarania dziejów spadało Arc-IO, a jednocześnie cechującego się warunkami umożliwiającymi przetrwanie ludziom.

Pole siłowe otaczające miasto chroniło je przed przeciążeniem. Gdy Minh spokojnie medytował na dachu, ono mogłoby zmienić spadającą osadę w pył.

Patrząc na pozostające na horyzoncie od początku czasu jasnozielone słońce, kleryk nie znajdował powodów, by nie ufać Kościołowi Jej. Lot jest jedyną stałą, a powoduje go właśnie Ona, Grawitacja. Życia przemijają, lot trwa. Umysł Minha niepokojony był tylko rozbieżnościami pomiędzy spisana przez mędrców Poprzedniego Świata fizyką a stanem faktycznym.

Skoro nie zanoszą się na żaden upadek, to może chmury pędzą, a Arc-IO pozostaje nieruchome?

Młody Nu-Jeket potrząsnął głową. Wiedział, że takie bzdury nie powinny zaprzęcać umysłu przyszłego kapłana. Wstał z kwaśną miną i przeciągnął się. Był pewien, że dzisiaj już nie zdoła wprowadzić się w stan medytacji. Powietrze filtrowane przez pole siłowe było nieruchome, generatory różnicy ciśnień produkowały sztuczny wiatr. Kilkanaście kilometrów sześciennych żelaznej konstrukcji miasta wleciało właśnie w wyjątkowo dużą i gęstą chmurę. Widok bezkresnego nieba został na kilka sekund przesłonięty, Arc-IO wydawało się otoczone śnieżnobiałym bąblem.

Bąbel jest przezroczysty, ale co to zmienia, pomyślał Minh, po czym skierował się w stronę schodów. Syntetyczny zefir muskający jego twarz nie pomógł w zachowaniu wiary w autentyczność nauk, miasta, czy w ogóle lotu.

Zniesmaczony swoimi wątpliwościami zszedł z dachu. Mijając siódme piętro, usłyszał głos Hwanga.

— Czy pobłogosławiła cię darem inspiracji? — spytał opierający się o poręcz akolita.

— Gdybym nie miał jej w sercu już od dawna, czy Mistrz odważyłby się uczynić mnie kapłanem? — Minh uniknął odpowiedzi wprost.

— Czy odważy się?

— Do czego pijesz, Hwang? — Nu-Jeket zmarszczył brwi.

— Widzę to w twoim spojrzeniu, bracie. Nie jesteś oddany. Nie jesteś nawet przekonany!

— Zejdź mi z oczu.

Kleryk minął akolitę i udał się dalej w dół schodów.

— ...i Jej zawdzięczamy stale wzrastający pęd, dzięki któremu nasze żywoty mają sens spadania. Masa — Mistrz Leil zakończył modlitwę.

— Masa — powtórzyli chóralnie ustawieni w szeregach klerycy.

Zgodnie z tradycją, namaszczenie kapłańskie wiązało się z ceremonią, która stawała się punktem centralnym dnia wszystkich mieszkańców Arc-IO. Na głównym placu urządzano zebranie, na którym nieobecność uważana była za duży nietakt. Czystość białych, odświętnych szat kontrastowała z estetyką miasta powyginanych blach i prętów zbrojeniowych. Zgromadzeni ludzie ustawieni byli dookoła rdzewiejącej statuy jabłoni z pojedynczym, zwisającym na cienkim druciku jabłkiem. Najbliżej metalowego drzewa klęczeli przyszli kapłani.

W dzień namaszczenia generatory wiatru były całkowicie wyłączane, aby zapewnić

absolutną ciszę.

Minh spoglądał na mityczny owoc, symbolizujący oświecenie największego proroka Jej. Dałby wiele, by nawet metalowa wersja spadła mu na głowę, jeśli miałoby to wybić z niej jego niepewność. Mistrz Leil obrócił lewitujący wózek w stronę adeptów.

— Spadamy, więc roztrzaskamy się o grunt. Ale przed tym cieszymy się lotem, albowiem... — Potężny wstrząs zmusił najwyższego kapłana do przerwania mowy.

Zgromadzeni zaczęli spoglądać po sobie. Kilka sekund później nastąpiło drugie drgnienie — silniejsze. Ktoś z tłumu postronnych powiedział coś o barierze, ktoś inny krzyknął, że to już koniec. Trzeciemu wstrząsowi towarzyszył przeraźliwy zgrzyt wyginanego metalu, dochodzący spod podłoga. Zanim chaos wśród postronnych rozpełtał się na dobre, blacha na samym środku placu rozdarła się, tworząc krater o promieniu kilku metrów i pochłaniając metalowe drzewo wraz z Mistrzem Leilem.

Minh zerwał się z miejsca, ale zamiast uciekać jak wszyscy inni, podczołgał się do krawędzi wyłomu i zajrzał do środka. Jego oczom ukazała się czarna otchłań z kilkoma migającymi na czerwono i niebiesko punktami na różnych wysokościach. Dno wyrwy musiało znajdować się dużo poniżej korytarzy hydraulicznych i sekcji podtrzymywania życia.

— Oczekujemy tego, co pod nami, a nigdy nie odważyliśmy się zajrzeć pod własne stopy — wyszeptał przerażony. Spięcie zerwanego przewodu oślepiło go i zmusiło do odwrócenia wzroku od otchłani. Podniósłszy głowę, Minh zobaczył snop iskier wystrzeliwujący z monolitu na horyzoncie. Jeden z pięciu ogromnych generatorów pola siłowego właśnie przestał działać.

Pomimo katastrofy cyklu dnia i nocy nie wstrzymano. Mieszkańcy Arc-Io uznali utworzenie się wyłomu i niechybną śmierć duchowego przewodnika za zwiastun końca.

Uznano, że teraz należy cieszyć się ostatnimi godzinami lotu. Systemy przejrzystości bariery co dwanaście godzin zmieniały wartość procentową przepuszczanego światła ze stu na dziesięć procent.

Minh był przekonany, że gruby przewód, pożyczony z komunalnych nieużytków, utrzyma jego ciężar. Nie był pewien swoich umiejętności wiązania węzłów, ale w najgorszym wypadku liczył na przychyłność Grawitacji. Powoli zsuwał się wgłąb wyrwy, mając nadzieję na znalezienie jakichkolwiek odpowiedzi na jej dnie. Miał silne przeczucie, że jego mistrz żyje.

Kilkanaście metrów niżej niedoszły kapłan znalazł się na końcu swojej prowizorycznej liny. Przymocowana do barku latarka oświetlała wystające kable i druty. Widok nie napawał optymizmem. Minh był teraz około pięciu metrów poniżej sekcji systemów podtrzymywania życia. Do tej pory żył w przekonaniu, że pod nimi nie znajdowało się już zupełnie nic oprócz aerodynamicznie wyprofilowanej podstawy miasta.

Spojrzał w dół.

Początek rozłamu okazał się pęknięciem w betonowej skorupie dna, niczym więcej.

Poświecił po ścianach dookoła niego. Dopiero teraz zauważył, że zwisał pomiędzy krawędziami rozerwanego tunelu. Jego konstrukcja wyglądała na starszą, niż oficjalnie najniższe poziomy Arc-Io. Rytmicznie machając nogami, starał się rozbujać na tyle, by dosięgnąć gzymsu.

Przewód osunął się kilka centymetrów. Zanim kleryk zdążył zareagować, zorientował się, że spada. Pierwsze otarcie było bolesne, ale najgorsze miało nadejść w następnych sekundach. Ból rozrywanej skóry przeszył jego rękę, a chrzęst łamanej kości stał się ostatnim impulsem przed utratą świadomości.

Obudziło go zimno metalu przylegającego do skóry. Inteligentny materiał syntetycznej szaty zasklepił się i obkurczył w miejscach rozcięć, tamując upływ krwi. Ciasno owinięta, wystająca z łydki kość wyglądała groteskowo. Interfejs materiału zaaplikował środki przeciwbólowe. Minh złapał za pręt wystający ze ściany. Zaciskając zęby, wstał, utrzymując ciężar ciała na nieuszkodzonej nodze.

Wylądował w blaszanej wnęce, dosyć blisko dna. Sekcje podtrzymywania życia były o wiele za wysoko, aby mógł się do nich dostać w obecnym stanie. Około trzech metrów powyżej jego głowy znajdował się tajemniczy tunel, który widział zaraz przed upadkiem.

Wspinaczka wydawała się wyzwaniem możliwym do zrealizowania. Sprawność fizyczna była bezpośrednio związana z trybem życia adeptów Kościoła Jej. Niemniej teraz wdrapywanie się po wyrwach i przewodach okazało się wykonalne tylko dzięki zaaplikowanym automatycznie medykamentom. Kilka minut później jego ręka dotykała już gzymsu. Stojąc przy krawędzi, ostatni raz skierował wzrok w górę. Mógłby zawołać o pomoc, ale w środku nocy prawdopodobnie nie zostałby usłyszany. Poza tym nie znalazł jeszcze tego, po co tu przyszedł. Poszukał wzrokiem prowizorycznej kuli. Ogromne pokłady wystających zewsząd drutów dawały szeroki wybór.

Obrócił się twarzą do nieznanego. Mrok tunelu nie stanowił problemu, bo latarka przetrwała upadek. Maszynierię pokrywającą ściany zdobiły symbole zbliżone do tych, których używali mieszkańcy Arc-IO, jednak miejscami wyglądały one obco. Minh pomyślał, że pismo nie mogłoby zmienić się aż tak mocno od czasów pierwszego pokolenia żyjącego w mieście. Wystarczyłoby przestudiować tylko te pozornie mało istotne dane techniczne, by udowodnić bezpośrednie powiązanie Arc-IO z Poprzednim Światem. Szedł dalej.

Coś niedużego pobłyskiwało na podłodze. Metalowe jabłko z pomnika mogło wpaść w dowolną inną szczelinę, ale z jakiegoś powodu wylądowało właśnie tutaj. Minh dopiero teraz przypomniał sobie o Mistrzu Leilu. Jego ciało nie leżało na dnie, lewitujący wózek musiał uratować mu życie. Starzec mógł zwiększyć moc urządzenia, by przesunąć się kilka metrów w górę, ale nie na tyle, żeby wydostać się z wyrwy. Gdziekolwiek był teraz, albo dotarł tam drogą, którą kierował się kleryk, albo wybrał drugą część tunelu.

Nu-Jeket postanowił wziąć jabłko ze sobą.

Korytarz kończył się zamkniętymi drzwiami. Adept poświecił na zakurzony skaner linii papilarnych. Urządzenie, podobnie jak wszystkie instalacje w tunelu, utraciło zasilanie w wyniku rozłamu. Albo zostało odłączone celowo.

Minh westchnął i odwrócił głowę w stronę wyrwy. Dopiero teraz dotarło do niego, że tajemnicza prawda, której szukał, mogła być jedynie złudzeniem, a on sam znajdował się na jakimś dawno zapomnianym odcinku sekcji technicznych, o których istnieniu prawdopodobnie dobrze wiedzieli konserwatorzy miasta. Przeklinał swoją głupotę. Mistrz Leil prawdopodobnie potrzebował jego pomocy po drugiej stronie rozłamu, a on stał przed zamkniętymi drzwiami, oczekując odpowiedzi na pytania, których nie umiał nawet sformułować.

Przyłożył dłoń do czytnika. Nic się nie stało.

Zrezygnowany zaczął wracać po swoich śladach. Uszedł ledwie pięć kroków, kiedy uchwycił kątem oka światło wydobywające się zza swoich pleców. Wyświetlacz skanera świecił na zielono, jarzeniówka najbliższej drzwi zamrugała kilka razy, aby za chwilę zapalić się na stałe.

Gdy podszedł bliżej, wejście otworzyło się. Zapalające się świetlówki ujawniały pomieszczenie z rzędami szaf, wyglądającymi na serwery. W odległym końcu pokoju znajdował się olbrzymi wyświetlacz. Mijając szeregi metalowych komód, Minh wierzył, że cokolwiek wydarzy się w następnych chwilach, wyjaśni wszystko.

Stał teraz naprzeciw monitora, pośrodku którego pojawił się biały punkt.

— Daj mi chwilę — syntetyczny głos rozniósł się echem. Ktokolwiek był jego

właścicielem, Minh był gotów dać mu godziny, dni, miesiące.

Po upływie momentu, który wydawał się wiecznością, głos przemówił ponownie, a wypowiedane przez niego słowa wyświetlały się na ekranie.

— Jestem sztuczną inteligencją projektu Arc, modyfikowaną na potrzeby stacji numer dziesięć, której jesteś mieszkańcem. Spójność konstrukcji, zgodnie z przewidywaniami twoich przodków, uległa uszkodzeniu. Raporty stanu poszczególnych aparatów zdają się to potwierdzać. Zniszczenia wywołane przeciążeniem w tej chwili sięgają stopnia — głos przerwał na chwilę — znacznego. Zgodnie z zaleceniami ostatniego użytkownika o uprawnieniach administratorskich, powinieneś opuścić tę salę.

— Ale dlaczego spadamy? — adept wypluł z siebie pytanie, które zbyt długo zatruwało jego myśli.

Głos milczał.

— Dlaczego spadamy? — powtórzył Minh, starając się artykułować słowa najdokładniej, jak umiał.

Cisza.

— Dlaczego spad... — Adept zamachnął się na ekran metalowym jabłkiem, ale przerwał ruch, gdy ponownie usłyszał głos sztucznej inteligencji.

— Odtwarzam nagranie archiwalne numer 000008.

Wyświetlacz zamrugał na biało, po czym ukazała się na nim twarz kobiety. Siedziała przed kamerą w ciemnym pomieszczeniu, wypełnionym sprzętem Poprzedniego Świata. Po kilku sekundach stop-klatki okrutnie skompresowane wideo uruchomiło się.

— Eee, nie mamy zbyt wiele czasu — kobieta mówiła wolno, ale nerwowo, jakby miała problem ze znajdowaniem odpowiednich słów. — Jesteśmy po wysłaniu pierwszych czterech ark. Wszyscy mamy nadzieję, że dotarły na swoje planety w całości. Nagrywam to, bo obawiam się, że coś pomijamy. Maszyna zmaterializuje miasta w miejscach, w których atmosfera będzie identyczna do ziemskiej. Losowych miejscach. Znaczący... Wiem, że to nasza jedyna opcja, ale otwieramy tunele czasoprzestrzenne, które mogą prowadzić gdziekolwiek. Te środowiska mogą się znajdować tysiące lat świetlnych od granicy obserwowalnego wszechświata, każda arka będzie pojawiać się dalej niż poprzednia. Ósma, dziewiąta? One mogą znaleźć się gdzieś na granicy absurdu, na granicy pojmowania. Gdybyśmy mieli kilka miesięcy więcej, moglibyśmy chociaż... Ale teraz nie mamy czasu na strach przed nieznanym.

Nagranie zatrzymało się.

— Czy moja odpowiedź była satysfakcjonująca?

Minh wbił wzrok w podłogę.

— Jak stare jest to nagranie? — spytał.

— Nagranie pochodzi sprzed — głos przerwał — czterystu trzynastu lat.

— Dlaczego to miejsce zostało odcięte od reszty miasta? — Kleryk miał nadzieję, że zadaje odpowiednie pytania.

— Odtwarzam nagranie archiwalne numer 004285.

Na ekranie pojawił się człowiek w średnim wieku, stojący dokładnie w miejscu, w którym teraz stał Minh. Jego ubranie mocno odbiegało od współczesnych standardów. Był nieogolony, wyglądało też na to, że nie spał o kilkanaście godzin za długo.

— Nagrywam ten materiał, bo rada podjęła decyzję. Jakkolwiek szalenie to brzmi, będziemy rozkładać ramiona w locie. Generatory grawitacji powinny wytrzymać. Nie ma — westchnął — nie ma żadnych przesłanek mówiących, że kiedykolwiek dolecimy do gruntu. Prędkość spadania rośnie w nierównym tempie, czasem w ogóle nie rośnie. Tych warunków nie dało się przewidzieć, ale musimy się przystosować. Będziemy zamykać dostęp do kriokomór i tego pomieszczenia. Na stałe.

Mężczyzna przetarł pot z czoła.

— Rada stwierdziła, że... Stwierdziliśmy, że najlepiej będzie sakralizować...

Nagranie urwało się.

— Zapis uszkodzony. Czy moja odpowiedź była satysfakcjonująca?

— Nie — wyszeptał kleryk. — Ile mamy czasu? Kiedy miasto się rozpadnie?

— Równie dobrze możemy mieć piętnaście sekund, Minh — głos Mistrza Leila wypełnił ciszę, która zapadła po ostatnim pytaniu. — Może wszedłem tu drugimi drzwiami, może pojawiłem się znikąd. Nawet to nie jest pewne. Jakich definitywnych odpowiedzi oczekujesz od tej maszyny?

— Nie wiem. — Z jakiegoś powodu pojawienie się starca nie zaskoczyło adepta.

— Przy obecnym przyspieszeniu, trzy lata i cztery miesiące — komputer odpowiedział na zadane mu pytanie.

— Spadamy, bo taka jest natura rzeczy, Minh. — Lewitujący wózek Mistrza unosił się nad ziemią niżej niż zazwyczaj, amortyzacja upadku musiała pochłonąć znaczną część zasobów energii urządzenia. — Możemy się nad tym zastanawiać w nieskończoność albo wyjść na górę i załatać tę wyrwę, zanim ktoś jeszcze do niej wpadnie. — Leil uśmiechnął się serdecznie.

— Czy wiedziałeś o tym miejscu, Mistrzu?

— Nie — odrzekł starzec. — Ale domyślałem się tego, co dane mi było tu usłyszeć. I niczego to nie zmienia.

Minh zmrużył oczy i przez chwilę stał zupełnie nieruchomo. Wziął głęboki wdech, odwrócił się i uśmiechnął do starca.

— Wracajmy.

Odpowiedzi, które usłyszał, pozwoliły mu znaleźć drogę do tych, które od zawsze znajdowały się w jego głowie.

— Gdzie tak pędzisz, młody człowieku? — Matuzal o pogodnym spojrzeniu zagadnął przebiegającego obok chłopca.

— Pokazać mamie rysunek!

— Jaki rysunek?

Dziecko podeszło do siedzącego na ławce starca i wręczyło mu nieduży zwój. Klekotanie drewnianej kołatki odbijającej się od krawędzi fontanny rytmicznie przebiegało ciszę klasztorного poranka.

— To twoi rodzice, hmm?

— Tak — młodzieniec dumnie kiwnął głową. — A to nasz dom, a tam jest Poprzedni Świat.

— Ten kwadratowy, o, tu? — zdziwił się mistrz.

— Tak — wyszczerzył się chłopiec.

— Biegnij, tylko uważaj na schodach, żebyś nie spadł! — Starzec wstał i oddał zwój kilkuletniemu artyście.

Dzieciak zbiegł po świątynnych schodach, po czym zatrzymał się i spojrzął za siebie.

— Dlaczego spadamy, Mistrzu Minh?

Stary Nu-Jeket zaczął powoli pokonywać stalowe stopnie. Lekko przerdzewiała, bioniczna proteza nogi co jakiś czas skrzypiała nieprzyjemnie.

— Spadamy, bo pod nami nie ma gruntu.

— Tak po prostu? — zdziwił się chłopiec.

Starzec wzniosł spojrzenie na oddalające się powoli chmury i ewidentnie przypomniał sobie coś zabawnego.

— Dokładnie tak.

Błaszaków pamięci żaloszny jazgot

Radosław Dąbrowski

Miasta, które nigdy nie zasypiają, płacą wysoką cenę za wyniszczający tryb życia. Tyjąc, pochłaniają wszystko, co stoi na ich drodze. Swędzi reklamowa wysypka, zatykają się żyły ulic. Pierwszymi objawami choroby są wizyty geodetów. Rozstawiają teodolity i rozmawiają przez krótkofalówki. Pod koniec sierpnia odwiedzili kolonię blaszanych garaży na skraju przedmieść. Jej zachodnią granicę stanowiły ogródki działkowe, południową hałdy gruzu, wschodnią rzędy czteropiętrowych bloków, a północną bagnista łąka. Posiadacze blaszaków oraz zamieszkujący altanki strażnicy papierówek i czeresni wierzyli prorocत्वom Planu Zagospodarowania Przestrzennego. Głosiły one, iż gruzowe szczyty przeistoczą się u kresu czasu w obwodnicę, która pochłonie tylko garażowisko. Kompletnie zaskoczeni działkowicze pierwsi otrzymali nakazy eksmisji. Pełni wiary, że ocalały swoje bajkowe księstwko przed nadchodzącym miastem, ślali urzędowe pisma, informowali prasę, wręczali kawę, koniak i bombonierki przez cały pierwszy rok.

Przeegrali. Skończyły się grillowe biesiady i rozmowy przez ogrodzenia, zamilkły kosiarki. Alejkami ciągnęła żałobna procesja przyczepek wywożących ogrodowe krzeselka, taczki, łopaty i konewki. Altanki przejęli bezdomni, działkową świetlicę zaanektowały metalowe zespoły. Ogródki upadały przy jazgocie przesterowanych gitar, dudnieniu perkusji i pomrukach basu. Wtórowało im tłuczone szkło, zgrzytały kradzione ogrodzenia, rynny i rury. Nocami płonęły ogniska, karmione meblami oraz krzakami porzeczek. Niemal codziennie przyjeżdżały radiowozy i ambulansy. Późnym latem pierwsze płonące altany zaczęła gasić straż pożarna. Zaśmierdziało spalenizną, potem stęchłą dyktą. Pod koniec września zaskowyczały wygłodniałe piły łańcuchowe, załomotały siekiery. Owocowe drzewka zniknęły w bagażnikach. Ogołociwszy działki, nieznani sprawcy włamali się do garaży numer jeden oraz sześć. Blaszaki przyłgnęły do siebie, trwożliwie obserwując kręcących się w pobliżu, ciągnących wózki zbieraczy złomu. Smutno minął drugi rok.

Garaż numer dziesięć od dawna czekał na ten moment. Nie przepadał za prowizorycznymi rozwiązaniami, zwłaszcza, gdy w pobliżu mieszkało coraz więcej ludzi. Podobne, trwające zbyt długo, okresy przymusowej tymczasowości, źle mu się kojarzyły. Na szczęście dobiegła końca jego dyskretna opieka nad gromadką blaszanych urwisów. Bezpieczne przez lata od włamań, pożarów oraz wszelkiego zamętu, musiały odtąd radzić sobie same. Chcąc poprawić im humor, zorganizował pożegnalną imprezę. Kapryśna wichura pięknie zatańczyła na rurze słupa. Chętnie dołączyła do niej filuternie mrugająca, rtęciowa lampa. Garaże nie znosiły jej bezustannego brzęczenia, ale rozpaczały, gdy zamilkła, a potem zgasła. Krzaki współczująco poklepywały ich ściany. Stojące przy ogrodzeniu karoserie przestały wyśmiewać toporny kształt blaszaków i kolekcje pikantnych plakatów wieszanych przez starszych panów po wewnętrznej stronie drzwi. Takiej zgody i braterstwa numer dziesięć od dawna nie widział. Taki był ten trzeci rok.

Zagłada przyjechała ciężarowym volvo. Powietrze gęstniało przed burzą, tłumiąc smętny klekot garaży o numerach jeden i dwa, rozbieranych i wywożonych w nieznanym kierunku. Trzy dni później zniknęło nocą ogrodzenie. Nic już nie mogło powstrzymać karoserii przed odejściem do skupu złomu. Starszyczna, czyli cztery i pięć, próbowała dodawać otuchy blaszanemu ludowi. Twierdziła, iż to nie klęska, a zmiany zwiastujące rozbudowę oraz gruntowną modernizację garażowiska. Sześć wyśmiewał pocieszające bajeczki. Siedem, a może osiem dni później właściciel blaszaka numer dziewięć zabrał opla, wędki i wszystkie kartony. Zniknięcie zepsutej lampy skomplikowało sytuację. Zdezorientowane garaże zwróciły się do tego, którego uważały za najmądrzejszego. Dziesięć wytłumaczył im wszystko najłagodniej jak potrafił. Nie chciały uwierzyć, a potem rozgniewały się, że tak długo ukrywał prawdę.

— To tak? To tak? — stuknęły na wietrze poluzowanymi kawałkami dachów.

— Tak! Tak! — odpowiadał.

Minął czwarty rok.

Garaże pogodziły się ze swoim losem. Drwiła z nich zarośnięta łąpuchami i pokrzywami hałda. Na przekór wielokrotnym solennym zapewnieniom o walce do końca, obozowisko opuściła starszyzna. Razem z nią odeszły trzy, sześć i siedem, pocięte szlifierkami kątowymi, a potem wrzucone na skrzynię stara. Dwudziestego pierwszego stycznia, tuż po północy, do numeru dziesięć włamali się dwaj zziębnięci, szukający schronienia bezdomni. Nie błysnęło światło, nie rozległ się żaden głos, nic nie zaśmierdziało. Mężczyźni wybiegli nago ku łące, padli w śnieg i zmarli z wychłodzenia. Odtąd sąsiadujące z dziesiątką blaszaki gotowe były na wszystko, byle znaleźć się jak najdalej. W sierpniową noc ósemkę odwiedził właściciel skody stojącej w jego wnętrzu. Włączył radio, uruchomił silnik i, nie opuszczając garażu, rozpoczął ostatnią podróż, siedząc z czołem opartym o kierownicę. Bezradny, pozbawiony resztek nadziei numer osiem prawie dwa tygodnie ukrywał jego rozkładające się zwłoki. Dobiegł końca piąty rok.

Szósty rok minął pracownicy. Hałda wciąż sądziła, że Plan Zagospodarowania Przestrzennego jest tylko legendą. W słoneczny, majowy poranek zaatakował ją spychacz. Daremnie huczała gruzem, nadymała się i stroszyła chwastowe futro. Zniknęła bez śladu. Stojące samotnie pośrodku pustkowiec garaże zaczęły zwracać uwagę. Pracownicy firmy budowlanej rozebrali numery osiem i dziewięć. Otworzyli zamknięte na skobel drzwi dziesiątki i zajrzeli do wnętrza. Długo przekonywali potem przełożonych, że blaszaka nie wolno ruszać. Ani słowem nie wspomnieli o tym, co widzieli. Garaż postanowił zastosować nadzwyczajne środki bezpieczeństwa. Szybko zaczęły oplatać go pędy jeżyn. Dookoła wyrósł ochronny kordon ostów, pokrzyw oraz barszczu Sosnowskiego. Osy chętnie budowały gniazda pod blaszanym dachem, pająki plotły fantazyjne, ogromne sieci, zaskrońce wygrzewały się pod ścianami. Rozmach i tempo tych działań pochłonęły więcej energii, niż się spodziewał. Długo odzyskiwał siły wśród kłującej i parzącej zieleni.

Siódmy rok spędził wspominając. Niczym na puszczonej od tyłu filmie, znikły odrzutowce, anteny i linie wysokiego napięcia, samochody ustąpiły miejsca konnym bryczkom. Czasy ceglanej komórki zmieniły się w burzliwą erę drewnianej szopy krytej gontem, a wcześniej trzcina. Człapali starcy, maszerowali żołnierze, biegły dzieci. Zanim osadnicy wykarczowali las, był na przemian szałasem i namiotem ze zwierzęcych skór, wstydliwie schowanym w gęstych krzakach. Tęsknił za poprzedzającym ten okres letargiem wewnątrz kurhanu ozdobionego czaszkami. Stał na polanie pośrodku pierwotnej puszczy. Rzadko, ale regularnie odwiedzali go myśliwi, piękne dziewczęta oraz brodaci starcy. Płonął ogień, obficie lało się piwo, wino i krew. Dalej, na niższych poziomach pamięci, wytarte od częstego używania obrazy trudniej było ustawić we właściwym porządku. Zapuściwszy się tam, numer dziesięć nie potrafił odróżnić faktów i snów. Mógł jedynie podejrzewać, że jest o wiele starszy niż mamuty lub szablozębne tygrysy.

Ósmego roku zniknął za ogrodzeniem placu budowy. Powiewały nad nim sztandary z herbem dewelopera. Szczelnie opleciony jeżynami, otoczony zasiekami ostów i pokrzyw, chroniony przez osy, stał samotnie na skraju parkingu dla maszyn budowlanych, szerokim łukiem omijany przez robotników. Stróż zamieszkujący stojący obok kontener co noc budził się z krzykiem. Kłął, włączał telewizor i parzył kawę. Po latach nikotynowej abstynencji wrócił do palenia dwóch paczek dziennie. Zobaczywszy, co pewnego dnia odsłoniła koparka, doznał rozległego wylewu krwi do mózgu. Umarł przed przyjazdem karetki. Archeologowie całe lato skrupulatnie odkopywali i fotografowali niecodzienne znalezisko. Dziesiątki ludzkich szkieletów noszących ślady poważnych obrażeń oraz kanibalizmu, często pozbawionych głów. Wszystkie upiornie poskręcane, osmalone, wymieszane ze zwierzęcymi kośćmi, bronią, ozdobami i skorupami naczyń. Naukowcy zachowali dla siebie treść

koszmarów nawiedzających ich regularnie podczas upalnych nocy.

Dziewiąty rok minął w oka mgnieniu. Jak spod ziemi wyrastały prostokąty budynków oraz śmietnikowe wiaty. Numer dziesięć cierpliwie czekał, wsłuchany w warkot i jęki ciężkiego sprzętu. Tuż przed nocą letniego przesilenia postawiono nad nim rusztowania, a potem szczelnie przykryto je plandekami. Pod osłoną nocy na budowę wjechały limuzyny, eskortowane przez radiowozy. Wsiadły z nich postacie dźwigające narzędzia, których schematów nie znajdzie się nawet na końcu najgłębszego Internetu. Uroczyści goście zniknęli wewnątrz rusztowania. Nie błysnęło, nie rozszedł się śwąd. Następnego ranka rozebrano prowizoryczną konstrukcję. W miejscu blaszaka stał kontener transformatora. Tabliczki z piorunami ostrzegały ewentualnych śmiałków. Drzwi zdołała dziesiątka. Obok zaczęto wznosić plac zabaw, posiano trawę, zasadzono tuje oraz świerki. Transformatorownia szykowała się do snu. Miała powody do zadowolenia. Cztery zgony i sześć przypadków obłądu to niewiele w porównaniu z wcześniejszymi przemianami.

Dziesiątego roku przyjechali lokatorzy. Pełni entuzjazmu pomagali wnoszącym meble pracownikom firm przewozowych. Co weekend urządzano parapetówki. Radość nie trwała długo. Usiłując jak najszybciej sprzedać mieszkania, nie wspominali o koszmarach, które nękały ich od dnia przeprowadzki. Nowi właściciele, oszołomieni atrakcyjnymi cenami, nie zadawali zbyt wielu pytań. Porównując garażowisko z osiedlem, można by zauważyć szereg podobieństw. Oświetlającą parking lampę umieszczono tam, gdzie rezydowała jej rtęciowa poprzedniczka. Zamiast karoserii syreny, skody i opla tuż przy płocie odpoczywały służbowe kombi. Opiekunki Irenek, Baś oraz Stasiów unikały placu zabaw. Wszelkie próby podboju drewnianego zamku albo korzystania ze zjeżdżalni kończyły się poważnymi kontuzjami. Nawet najgrzeczniejsze dzieci sypały innym piasek do oczu. Transformatorownia drzemiała w lipcowym słońcu. Są miejsca, których nie można przenieść ani zlikwidować. Niewtajemniczeni powinni trzymać się od nich z daleka.

Piekło

Jan Madejski

Była ciepła, majowa noc, kiedy miałem stracić duszę.

Rzecz jasna, nawet nie podejrzewałem, że się na to zanosi — inaczej nie spędzałbym wieczoru leniwie przesiadując na dachu i podglądając sąsiadów. Odkąd się ociepliło, uwielbiałem wdrapywać się na budynek i rezydować w moim prywatnym odeonie. Czasem zadowalał mnie spektakl świateł: nieuzbrojonym okiem oglądałem elektryczną zorzę na ścianach pobliskich wielosegmentowych bloków — ciepłe żółcie kuchennych żarówek powoli ustępowały zimnym błękitom telewizorów, by wreszcie całkowicie wygasnąć. Innym razem brałem ze sobą lornetkę i zapuszczałem żurawia prosto do cudzych mieszkań, oglądając nieme sceny rodzinne lub po prostu pulpity komputerów.

Tej nocy pokaz dość szybko mnie znudził i zamiast tego znalazłem sobie wygodną pozycję na plecach, by oglądać niedobitki gwiazd, słabo widoczne z racji miejskiego zanieczyszczenia świetlnego. I w takiej sytuacji, podczas rozmyślenia o wadach i urokach urbanizacji, złapała mnie drzemka.

Ocknąłem się, gdy odrobina zimnej wody chlapnęła mi na twarz. Zerwałem się na równe nogi, starając się niezwłocznie zorientować, czy to majowa mżawka, czy też zrosiło mnie jakieś zwierzę. Okazało się, że to kominiarz.

Wąsaty mężczyzna stał kilka kroków ode mnie, w jednej ręce dzierząc opróżnioną piersiówkę, w drugiej zaś ciężką kulę na sznurze, jakby gotową do wymierzenia ciosu...

— Rany! Panie, co pan? — wyrzuciłem z siebie, wycierając policzek przedramieniem. Prewencyjnie odsunąłem się od niego na dwa kroki, kątem oka zważając na niski murek dzielący mnie od upadku cztery piętra w dół.

Kominiarz przypatrywał mi się chwilę badawczo, po czym zręcznym ruchem dłoni zatrzasnął flaszkę i schował ją za pazuchą, trochę się rozluźniając.

— Proszę opuścić dach. Nie powinien pan tu przebywać, zwłaszcza po ciemku — zakomunikował mężczyzna, wskazując ruchem głowy otwartą klapę, którą się tutaj dostałem. Nie miałem ochoty na wyklócanie się — siła jego autorytetu zadziałała i tylko coś sennie odburknąłem, kopniakiem wepchnąłem stary dmuchany materac pod zadaszenie, po czym skierowałem się w stronę drabiny. Kominiarz zrobił kilka kroków równoległe do mnie, lecz nie przeszkodziło mi to dostrzec zza jego ramienia dwóch innych pracowników nachylających się nad wylotami wentylacji kilka segmentów dalej.

Dopiero gdy zszedłem na dół drabiny i usłyszałem nad sobą dźwięk zatraskiwanej klapy, dotarło do mnie, że jeden z nich nie miał na sobie czarnego kombinezonu, tylko sutannę.

Dziwaczność tej sytuacji wnet mnie rozbudziła. Czy ja dobrze widziałem? Co mógł robić ksiądz nocą na dachu, w towarzystwie dwóch pracowników miejskich? Nie mogłem przejść obojętnie obok tej zagadki!

Droga powrotna była zamknięta, więc przemknąłem na parter i obiegłem blok, próbując dojść do tego, którędy trójka dostała się na dach. Nie mogli wspiąć się przez mój lufcik, bo obudziłoby mnie to dużo wcześniej. Żadna z drabin przeciwpożarowych nie była opuszczona, ale mój przyjaciel — światło z okien, rozpalające się na kolejnych piętrach jednej z klatek schodowych dzięki czujnikom ruchu — zdradził mi, że właśnie zmierzali na dół schodami. Zaczaiłem się za śmietnikami i odczekałem, aż opuścili budynek.

Nie myliłem się: dwóm kominiarzom towarzyszył ksiądz — a przynajmniej osobnik w sutannie i koloratce — niosący pod pachą dużą paczkę, osloniętą ciemnym płótnem. Szli w milczeniu, a jednak dobiegało z ich strony ciche, zduszone warczenie.

„Może schwytali jakiegoś gronostaja?” — zapytałem siebie w myślach, po czym doszła do mnie absurdalność tej hipotezy. Czym prędzej zrobiłem im kilka zdjęć telefonem, a gdy zniknęli za rogiem budynku, pospieszyłem za nimi.

Następne kilka minut pamiętam jak przez mgłę, ponieważ właśnie wtedy ukradziono mi duszę. Zdaje się, że wąsaty kominiarz odszedł, a ja chwilę obserwowałem pozostałą dwójkę skupioną przy bagażniku czarnego kombi i starałem się z oddali podejrzeć zawartość pomrukującego i podskakującego pakunku. Chyba filmowałem wszystko, łącznie ze zbliżeniem na tablicę rejestracyjną wozu — niestety w następstwie późniejszych wypadków mój telefon ucierpiał i nie zdołałem odzyskać żadnych nagrań. W swojej głupocie musiałem wykorzystać moment, gdy księżulo próbował wygrzebać coś spod przedniego siedzenia: odwróciłem czymś uwagę trzeciego mężczyzny — być może rzuciłem kamieniami w blachę falistą, pełniącą funkcję zadaszenia nad śmietnikami — po czym zakradłem się do wozu. I bach — w następnej chwili ktoś przygniatał mnie do ziemi, zakładając mi kajdanki, a ja już byłem bez duszy!

— Coś ty narobił? — syknął wściekle kominiarz, podnosząc mnie do pionu i rzucając na bok auta. Mimo szczyrych chęci nie potrafiłem odpowiedzieć na to pytanie.

— Mimo szczyrych chęci nie potrafię...

— Ciszej! — Mężczyźni nie byli w nastroju do próżnych rozmów i chyba sami dużo lepiej wiedzieli, co tu się właśnie wydarzyło. Kominiarz pochodził chwilę wokół bagażnika, po czym sam zaczął odpowiadać na moje niezadane pytania:

— Wypuściłeś go. Zajrzałeś do klatki i dałeś się omotać. Na świętego Floriana!

— Uspokój się, Staszku — rzucił ksiądz, piszący w pośpiechu SMS-a. Łysiejąca głowa w dziwny sposób dodawała mu autentyczności.

— Co... czym to było? — zapytałem, rozglądając się. Z tyłu samochodu leżała otwarta klatka. Pamiętałem, że to coś, co w niej siedziało, miało wielkie, mokre oczy... Wtedy znowu zakręciło mi się w głowie.

— Słuchaj — kominiarz pomógł mi przysiąc i kucnął obok. — Dla twojego dobra lepiej by było, gdybyś wiedział jak najmniej. Ale stało się: wypuściłeś boboka, a ten ukradł ci duszę.

Moja mina musiała domagać się dalszych wyjaśnień.

— Ech. Wytropiliśmy z ojcem Joachimem boboka. To taki demon, czy też licho — nieważne. W każdym razie, gdy na niego spojrzales, omamił cię i zmusił do otwarcia klatki. Teraz jest już pewnie daleko.

— Z moją duszą? — Przyswajałem zdania z pewnym opóźnieniem. Postanowiłem odpuścić sobie niebotyczne zdumienie i pogardliwe żarty — widocznie wraz z duszą traci się sceptycyzm. — Mogę ją odzyskać?

— Nawet musisz! — wtrącił się ksiądz z telefonem przy uchu. — No, uciekł. Tak, mamy świadka. Kod siódmy. — Ostatnie słowa były już zapewne skierowane do słuchawki.

Głowa mnie strasznie bolała, ale spróbowałem przypomnieć sobie istotę z klatki. To był nieduży zwierzak z długim, czarnym futrem. Mógłby uchodzić za kota, gdyby nie małe, kilkupalczaste dłonie zamiast łap oraz nagi, szczurzy ogon. No i olbrzymie, bezdenne oczy...

— Skup się! — Kominiarz wymierzył mi siarczysty policzek. Ból sprowadził mnie na ziemię, chwilę później dały mi się też we znaki wykręcone kajdankami nadgarstki. — Musimy go schwytać. Tylko wtedy będziesz bezpieczny. Na razie stanowisz zagrożenie dla siebie i dla nas.

Przyjrzałem się dokładniej mojemu rozmówcy. Chociaż był koło trzydziestki, kilka cech postarzało go — nawet nie tyle o lata, co o dekady: gęste bokobrody, podkrążone oczy wyglądające trochę jak u wojaków ze stresem pourazowym oraz długa, prosta blizna biegnąca od czoła do żuchwy. Jego żołnierski ton budził jednocześnie szacunek i zaufanie.

— Możecie go wytropić? Jest w jakimś kominie, tak?

— To nie takie proste. Teraz wie, że na niego polujemy i się gdzieś schowa. Ale nie oddali się bardzo, to terytorialne stworzenie.

Ksiądz poczęstował kominiarza fajką. Przysunął też paczkę do mnie, ale pokręciłem głową.

— Rzuciłem.

—Prawidłowo — powiedzieli obaj, równocześnie zapalając swoje szlugi. Po krótkim dymku kominiarz wrócił do tematu:

— Słuchaj, nie jest tak źle. Nadal łączy cię więź duchowa... z duszą.

— Oj, słabo to zabrzmiało — wtrącił się duchowny.

— Jeśli się skupisz, to może dasz radę ją zlokalizować.

Nie czekając dłużej, zamknąłem oczy i zacząłem zadawać sobie pytanie: „gdzie jestem?”. Coś mi podpowiadało, że właśnie tak powinienem się do tego zabrać. No więc gdzie wtedy byłem?

...poszarpany karton... cegły z wykruszonym spoiwem...

Tymczasem powrócił drugi kominiarz, kręcąc głową:

— Musiał pobiec inaczej, niż zakładałem. Jak młody?

— Szybko łapie, jak z nami współpracować.

...rura niedbale ukryta w ścianie... trutka na szczury...

— Jestem w piwnicy! — prawie wykrzyczałem. Ksiądz przyłożył palec do ust, przypominając, że jesteśmy na śpiącym osiedlu.

— O proszę, toż to nasz gołąbek z dachu. — Siwy wąsacz, który wcześniej skropił mnie wodą, teraz wyciągnął w moją stronę wielką grabę, ściągając przy tym rękawicę: — Henryk.

Poruszyłem ramieniem, by pokazać, że drugi kominiarz skuł mnie wcześniej kajdankami i nie mogę odwzajemnić uścisku.

— Do kaduka, Stachu, rozkuj biedaka!

Złowieszcza kula ze szczecinką nadal zwisała u jego pasa, ale teraz obok dostrzegłem i kaburę na broń.

— Czy wy... w zasadzie macie uprawnienia, żeby mnie tak skuwać? — Rzuciłem, gdy Staszek zdejmował mi kajdanki, ale zostałem zignorowany. Kominiarze i ksiądz wymieniali się uwagami:

— Więc: piwnica. Nic zaskakującego.

— Dzieciak musi jeszcze podumać. Bez znaków szczególnych zejdziemy na sermater.

— Daj mu jeszcze chwilę, widać, że się stara.

...wykręcona żarówka... stare narty... ceramika...

— Jeszcze się przemieszczam. Znaczy, on się przemieszcza. Ale na pewno jest w moim bloku, tym tutaj. Poznałem donice, na które zawsze trzeba uważać.

Henryk poklepał mnie po ramieniu:

— Zuch chłopak! Przejrzę, czy gdzieś są wybite wietrzniki. Dzwoncie, jak coś więcej ustalicie. — Starszy kominiarz sprawdził odruchowo, czy jego kabura jest pełna, po czym udał się na szybki obchód budynku.

Czułem się trochę nieswojo, więc z radością przyjąłem butelkę wody od Stacha. Po głębokim łyku przesunąłem wymownie oczami po jego szramie.

— On ci to zrobił? Bobok?

Mężczyzna zawahał się chwilę i spojrzął na księdza. Ten puścił kółko z dymu nonszalancko:

— No weź, należy mu się trochę wyjaśnień.

— Nie bobok. To był szybul.

— Święta Panienko! A ten to znowu co takiego?

— Szkodnik. Kiedyś zmore górników, teraz przesiaduje pod windami i zżera izolację z kabli. Ale już na wymarcu — wytępiłiśmy, ile się dało.

Przetrawiłem chwilę jego słowa, starając się wyobrazić sobie, jak duży musiał być szpon, który dokonał takiego cięcia.

— Wytępiłiście? Znaczy kominiarze?

— Nie tylko. Bractwo Dziesięciu.

Dla dodania efektu właśnie w tym momencie obok rozzwoniła się muzyka The Who z serialu „CSI”. Ksiądz Joachim odszedł na kilka kroków i odebrał telefon, więc po krótkiej przerwie kominiarz kontynuował:

— Gdy postępowała urbanizacja, a potem industrializacja, wszystkie te licha, biesy i inne dziwożony, o których pewnie czytałeś w bajkach czy u Leśmiana, nie zniknęły. Część, owszem, nie potrafiła przystosować się do nowych warunków, ale sporo z nich po prostu zamieniło leśne ostępy i wiejskie gospodarstwa na ciemne kanały kloaczne, kominy fabryk, dzumienne slumsy czy tunele metra. Na przełomie siedemnastego i osiemnastego wieku kilka cechów — w tym kominiarze, szczurołapy i rzeźnicy — założyli bractwo, mające na celu tępienie tych szkodników. Z czasem dołączali przedstawiciele kolejnych profesji związanych z miejskimi rynsztokami, piwnicami, cmentarzami i innymi zakamarkami — łącznie zebrali się nas dziesięć cechów.

— Księża też należą do Bractwa?

— Duchowni to nie cech. Po prostu czasem musimy z nimi współpracować, a czasem i niektórzy z nas przyjmują święcenia.

— I działacie oficjalnie? Rząd o was w ogóle wie? Z czego utrzymujecie działalność?

— Ożywiłem się, bo dotarło do mnie, że właśnie rozmawiam z prawdziwymi Ludźmi w Czerni.

Kominiarz zaśmiał się:

— Obecnie głównie z lewych grantów unijnych... Ale teraz skup się i pomóż

Henrykowi zlokalizować legowisko boboka.

Zamknąłem więc oczy.

...boks z pudłami po sprzęcie RTV... widzę wszystko z góry, przeskakując z dużej, poprzecznej rury na gzyms... mijam częściowo zbity lufcik przesłonięty czerwoną tekturą...

— Nasze maleństwo nie opuściło piwnicy — ksiądz przekazywał na bieżąco informacje Henrykowi. — Podobno zatrzymał się w boksie, gdzie jest dużo piachu. Ale młody powoli traci kontakt.

— A ten bobok... Po co mu moja dusza? Czym on się... żywi? — spytałem mojego rozmówcę i nagle zdjął mnie lęk. Kominiarz dociągnął papierosa do końca, po czym go zdeptał. Odparł dopiero po krótkiej, teatralnej chwili:

— Głównie sadzą i substancjami smolistymi.

— Zbieramy się — wtrącił się ojciec Joachim. — Henryk mówi, że młody musi podejść bliżej duszy, żeby móc ją dalej wyczuwać.

Chcąc nie chcąc opuściliśmy nasz parkingowy kącik i ruszyliśmy śladem starszego kominiarza.

— Czy ja umrę? Albo już umarłem? — spytałem niepewnie w trakcie marszu.

Tym razem rozmowę podjął ksiądz:

— Nie dosłownie. Bez duszy będziesz po prostu... bezduszny. Z tego co wiem, większość szkodników, którymi zajmują się Bracia, albo prowadzi nas do grzechu, albo w inny sposób grozi ludzkiej cności — inaczej byłyby to zwykłe zwierzęta. Z czasem popadniesz w acedię, zatracisz kreatywność i wszelkie pasje, całkowicie zadowoląc cię będzie oglądanie telewizji i komentowanie w Internecie.

— To brzmi znajomo...

— Tak, tę wojnę przegrywamy.

Przystanęliśmy na chwilę, bo Staszкови wydawało się, że coś poruszyło się za mijanym lufcikiem piwnicznym. Resztę rozmowy dokończyliśmy szeptem:

— A jak namierzyliście boboka? W tym bloku ponad połowa mieszkańców mogła paść jego ofiarą... Przynajmniej tak się zachowują.

— Zwykła statystyka. My porównujemy trend w wizytach duszpasterskich, oni — ksiądz wskazał na kominiarza — dla odmiany liczbę sprzedanych kalendarzyków dobroczynnych. Znaleźliśmy równocześnie anomalię w tym rejonie i dalsze tropienie nie było już trudne.

— Odtąd zawsze będę kupował te kalendarze...

Kominiarz obrócił się do mnie:

— Rozsądnie! Zapach farby, której używamy, odstrasza gniewiuchy.

...lęk... zgrzytanie zębów... szklane ściany...

— No no, nie odpływaj nam tutaj — ksiądz z kominiarzem posadzili mnie na schodach budynku. — Masz zawroty, bo ten skurczybyk może się już pastwić nad twoją duszą. Ale to dobrze: znaczy, że się zatrzymał w swoim leżu.

Gdy dochodziłem do siebie, z naprzeciwka nadszedł Henryk. Chował w połach uniformu tę samą flaszkę, którą wcześniej mnie skropił.

— Poświęciłem wszystkie lufciki. Drań nie wyjdzie już z tego segmentu. Schodzimy! Młody żyje?

Jęknąłem, dając znać, że zaraz stanę na nogach. Młodszy kominiarz kucnął obok mnie.

— Słuchaj, nie martw się. Według wszelkiej wiedzy dusza jest nieśmiertelna. Jak tylko mu dokopiemy, odzyskasz ją.

— Ona teraz cierpi...

— Każdy z boboków ma manię wielkości. Te małe skurczybyki myślą, że są panami ciemności, książętami piekieł. Dlatego więżą ludzkie dusze i czerpią satysfakcję z samego ich

posiadania. To tacy wredni klawiszarze.

Dałem radę wstać i mogliśmy wejść do budynku. Kominiarze nie mieli trudności z otwarciem drzwi za pomocą kodu.

— Większość miejskich cechów, nawet spoza Bractwa, posiada tajne alfabety. — Staszek zdecydował się oświecić mnie, wskazując na mijany gryzmoł. — To może wyglądać jak wrzuta chuligana, a tymczasem mówi nam, jaki jest uniwersalny kod domofonu.

— Runa elektryków? — zażartowałem.

— Ulotkarzy. A teraz już cisza, bo schodzimy do piwnicy.

— Nie macie żadnych świateł?

— Nie chcemy go spłoszyć. Będziemy szli trochę po omacku, ale światło z lufcików powinno wystarczyć, żebyśmy się nie pozabijali.

Podziękowałem w duchu za miejskie zanieczyszczenie świetlne.

Nigdy nie lubiłem schodzić do tych pomieszczeń — zawsze wydawało mi się, że za kolejnym zakrętem może czaić się szalony rzeźnik, a z otwieranego boksu wyskoczy nagle rój szczurów. Tym razem towarzyszyło mi dwóch uzbrojonych osiłków i ksiądz, ale bałem się jeszcze bardziej! „Porzuć wszelką nadzieję” — ta myśl świdrowała mi nieustannie w głowie podczas wędrówki przez piekielne kazamaty...

Poprzeczna rura... Zbity lufcik z czerwoną tekturą... Wiedziałem, że niedawno pokonywałem tę samą trasę. Serce zakrzepło mi od trwogi, a w gorączce zdawało mi się, że moi towarzysze nie są ludźmi, tylko jakimiś hienami lub panterami. Mijaliśmy kolejne boksy piwniczne, „drogą w boleść wieki, w gród łez niezliczonych”...

Aż wpadłem na plecy jednego z kominiarzy. Pod nogami poczułem rozsypany piach. To właśnie tutaj: Piekło! Zdało mi się, że moi towarzysze niepodziewanie rozpoczęli zażartą dyskusję, jednak w rzeczywistości kominiarze milczeli — kakofonia złąknionych głosów słyszana była nie przez moje ciało, lecz przez duszę!

Wtem zaiskrzyło i wszystkie jęki ucichły — to Stach przywalił prętem zbrojeniowym w kłódkę trzymającą drzwi boksu.

Tutaj znowu pamięć trochę mnie zwodzi... Zdaje się, że wszyscy bezmyślnie wparowaliśmy do środka. Pręt zbrojeniowy przeciął powietrze i zablokował się w czymś, co okazało się pudełkiem na świąteczne bombki. Bobok był w boksie i szybko dał susa na jedną z półek, lecz oberwał kulą do czyszczenia kominów. Joachim próbował skropić go wodą święconą, lecz przypadkowo rozbił flaszką wargę któremuś z kominiarzy. Złapałem za coś, co wydawało mi się ogonem demona, i niestety nim było... Próbowałem zakręcić młyńca, lecz czarny kudłacz natychmiast owinał się wokół mojego przedramienia i boleśnie w nie wgrzył. Musiałem machnąć ręką na odlew i chyba złamałem nos któremuś z towarzyszy.

Ktoś zapalił boczne światło, co zapewne nie spodobało się bobokowi, bo wydał z siebie dziki rykoświst i spróbował zakopać się w piasku. Przydeptałem z całej siły jego ogon, by nie zdołał uciec, a Henryk rozpoczął spuszczenie mu łomotu swoją mocarną kulą. Normalne żyjątko byłoby już mokrą miazgą, ale licho nie zamierzało się poddać — bobok łypnął swoimi bezdennymi oczami i aż mnie odrzuciło pod ścianę.

— A teraz grzecznie oddacie swoje dusze księciu ciemności... — wycedził z beznamiętną grozą ojciec Joachim, odbezpieczając pistolet wykradzony z kabury Henryka. W jego oczach widniała taka sama pustka, jak w spojrzeniu boboka. Pręt zbrojeniowy i kominiarska kula gruchnęły głucho o ziemię, gdy opętany ksiądz brał na cel raz któregoś z Braci, to znowuż mnie.

— No już, oczy szeroko, to nie zabolą.

Bobok triumfalnie otrzepał się z piachu, po czym wspiał się po kaftanie przerażonego Stacha i chwycił go oburącz za bokobrody, szukając spojrzeniem wzroku rozpaczliwie kręcącego głową nieszczęśnika.

— Staszek! Srebrem! — krzyknął starszy z kominiarzy.

Zanim bobok i Joachim zdążyli zareagować, Stach wyrwał jeden ze swoich guzików i przytknął do podbrzusza demona, który natychmiast głośno zaskomlał i odskoczył. Wykorzystując chwilę dezorientacji, Henryk zdołał obezwładnić i rozbroić księdza. Uznałem, że to moja chwila prawdy i przygniotłem demona własnym ciałem.

— Zdychaj, ty szcziroma! — Chwyciłem oburącz jego szczęki i rozwarłem szerzej, niż przyzwoitość nakazywała. Kominiarz przypieczętował dzieło, wpychając srebrny guzik na głębokość łokcia.

Niedługo potem Joachim doszedł do siebie i odprawił kilka modłów, po których z księcia piekiel została jedynie okopcona plama.

— Czy to już wszystko? Mam już duszę? — spytałem, otrzepując się z piachu i sadzy.

Zamiast odpowiedzieć, moi towarzysze zapalili dodatkowe światło wewnątrz boksu. Oczom naszym ukazały się słoiki po konfiturach i kiszonkach — dosłownie każda półka, która przetrwała bitwę, była nimi zapchana. Większość poustawiana była do góry nogami, jakby więżąc niewidoczne świetliki.

— Jasny szlong! Napracował się, drań jeden — rzucił Henryk i rąbnął prętem zbrojeniowym w najbliższą półkę.

Dosłownie poczułem błogą ulgę i usłyszałem z oddali wielogłos radości. Ochoczo przyłączyłem się do tłuczenia pozostałych pojemników. Wyobraźcie sobie, że w głębi boksu stały nawet dwa stare akwaria, uszczelnione smołą i kitem — gdy je rozbiliśmy, powietrze aż zafalowało od ulatujących duszyczek.

Złapaliśmy oddech dopiero, gdy w pomieszczeniu nie było już ani jednego całego zbiornika.

— Ale jak się dowiem, która jest moja?

— Sama będzie wiedziała. I pewnie już wróciła na swoje miejsce — odparł duszpasterz. — Pozostałe też po krótkim błędzeniu odnajdą swe więzi i wrócą do właścicieli. Tak to już jest, że zagubione dusze łatwiej naprowadzić na właściwą drogę od tych, które są przekonane o swojej nieomyślności — dodał filozoficznie.

Gdy wyszliśmy na powierzchnię, zbliżał się świt. W niektórych oknach nadal paliło się sztuczne światło — albo ktoś zarwał kolejną nockę przy komputerze, albo może ocknął się właśnie z bezdusznego letargu...

— Słuchajcie, nim zmusicie mnie do jakichś ślubów milczenia lub wymażecie pamięć, wyjaśnijcie mi dwie rzeczy! — Cała trójka obróciła się w moim kierunku. — Bobok żerował tu od dłuższego czasu. Dlaczego nigdy mnie nie dopadł na dachu?

— A, to akurat proste: otwarty teren. Licha zwykle go unikają, bo widać je wtedy z nieba czy jakoś tak... Wolą nie wyściubiać pysków z kominów.

— No i zwykle zakładamy kratki przeciw „gołębiom” na wylotach. — Henryk zaznaczył palcami cudzysłów. — Dodajemy do nich odrobinę srebra. Fest robota!

— Ale lepiej nie przesiaduj więcej na dachach, bo nie wszędzie pousuwano azbest — dorzucił Joachim. Po pełnym uznania, ale i zadziwienia spojrzeniu obu towarzyszy dodał: — No co? Ja też mogę się na czymś znać.

— Ma rację. Wszystkie karcynogeny przyciągają czorty.

— No dobrze. Ale... Domyślaliście się, że bobok nagromadził u siebie trochę dusz, prawda? — Kominiarze spojrzeli po sobie zakłopotani. — Mogliście go potraktować srebrem i egzorcyzmem już w samochodzie. A jednak pozwoliliście mi się zakraść i go uwolnić, co nie? Bo inaczej nie znaleźlibyście legowiska!

Henryk zamachał wężem i położył rękę na moim ramieniu:

— Synu — westchnął, przygotowując mnie na ojcowską przemowę — na wała drążyć temat?

Obaj kominiarze wybuchli śmiechem, a Stach wyciągnął do mnie dłoń:

— Zatrzymaj na szczęście! — Po uścisku zostawił mi w ręku okopcony, srebrny

guzik. — I pamiętaj... — tu twarz mężczyzny spoważniała, a jego oczy znów zdradziły, że widziały w życiu wiele zła. — ...jeśli zobaczysz kiedykolwiek kominiarza w cylindrze, to wiej. Szukaj poświęconej ziemi albo oblej się wodą świętą i schowaj w jakimś kącie. Ale nie zbliżaj się i nie pytaj go, co ukrywa pod kapeluszem!

Odczekałem chwilę, ale żaden z nich się nie zaśmiał, więc poczułem powagę tego ostrzeżenia.

Gdy już mieli wsiadać do auta, zdecydowałem się jeszcze podbiec:

— Stachu, poczekaj! Bractwo Dziesięciu... Jakie cechy jeszcze do niego należą?

Kominiarz pomasaował się chwilę po nosie, który jeszcze pamiętał cios na oślep w piwnicy. Potem się uśmiechnął:

— Pomyśl, porozglądaj się. Zobaczysz, że jest nas wielu. I że czuwamy.

X

Patrycja Dzień

Nie byłem wylewnym człowiekiem. A moja historia była krótka, nie wiedziałem, ile trwała. W zasadzie nie miało to wtedy znaczenia.

Nazywałem się Jan Kośny. Wiek około 60 lat, znaczy się, chyba tyłu lat dożyłem. Nie wiedziałem dokładnie, bo przestawiono mi metrykę, gdy po raz kolejny zmieniał się system. Ale ktoś powiedział, że wiek jest nieważny, ważne, na ile lat się akurat czujemy. No to ja raz miałem lat sto, a raz dwadzieścia. Raz nawet przyłapałem się na tym, że liczę sobie dwieście pięknych lat życia. Nie było to oczywiste dla wszystkich.

Jak już mówiłem, nazywałem się Kośny i nie lubiłem o sobie opowiadać. A teraz opowiadam, bo jest okazja, by wyjawić sekret, którego mam powyżej dziurek w nosie. Czas obwieścić światu, jak to jest naprawdę. Otwórz umysł, weź oddech, nie za głęboki, nie za płytki. Nie każę ci nadmiernie skupiać uwagi, bo nie na tym mi zależy. Sekrety nie zawsze są interesujące, więc jak tylko znudzi cię czytanie — wybac, mogę robić błędy, jestem bardzo stary, szkoła nauczyła mnie wiele, ale bardzo dawno temu — to odłóż tekst i tyle.

Na dobry początek: lubiłem pić wino...

Ucinam wszelkie domysły, nie byłem alkoholikiem. Nie piłem nałogowo, chociaż wielu tak sądziło i nie raz szanowne organy władzy brały mnie na dywanik. Także dzień pracy rozpoczynałem od dmuchania w balonik. Od poniedziałku do soboty o szóstej rano wsiadałem na rower, jeden i ten sam przez dziesięć lat, i jechałem na stację PKP w Trzebnicy, gdzie to parkowałem mojego składaka i wsiadałem do zielono-żółtej lokomotywy, ciągnącej cztery zielone wagony. Mieszkałem na ulicy Milickiej, więc miałem kawałek do pracy, ale dzięki jeździe rowerem prawdopodobnie byłem zdrowszy. Wspomniałem o winie. Miałem kolegę, dzięki któremu czynnie wspomagałem rodzimy rynek trunków alkoholowych. Stanisław, z którym znaliśmy się ze czterdzieści lat, produkował linię o dumnej nazwie Staropolskie. Rozsmakowałem się w niej, zwłaszcza że Staszek kradł owoce z tego samego sadu na Marcinowie, gdzie dawno temu ganialiśmy z karabinami Rusków. Na Ruskach wyrosły drzewa i w efekcie piliśmy wino z trupich owoców. Szalone czasy.

Pracowaliśmy ze Staszkiem na jednej lokomotywie. Razem, ja na dzienną zmianę, on na nocną, prowadziliśmy naszą Zofię na trasie Trzebnica — Wrocław. Czasami zamienialiśmy się na warcie, ale rzadko. Poza tym prowadzenie pociągu w nocy nie było na moje nerwy.

Ilekoć nie mogłem spać, myślałem o Staszku: że mogłem akurat dzisiaj się zamienić, pojechać za niego. Często mu powtarzałem, że może zrezygnować z nocnej trasy na Wrocław, ale on zawsze odmawiał. Gadał, że obietnica to obietnica i nie łamie się jej tylko dlatego, że zarywasz noc, którą swoją drogą mógłbyś smacznie przespać. Przez jakiś czas

zastanawiało mnie, komu on do cholery przyrzekł po wsze czasy jeździć starą Zofią? Raz zapytałem, czy aby nie jest chorobliwie zakochany w naczelniku, że mu takie bzdury obiecał i chce za wszelką cenę dotrzymać słowa. O tych worach pod oczami nie mówiłem — znałem Staszka i jego podejście do pracy. Ważniejsze było jedynie wino. Za co bywałem mu dozgonnie wdzięczny, bo i mnie pomagało spać w nocy.

To przez tunel za Psim Polem.

Powinienem był zażywać relanium albo przynajmniej pić mocną melisę, a nie robiłem ani jednego, ani drugiego. Za każdym razem miałem przy sobie butelkę wina, ale nigdy nie odkręciłem jej na warcie. Emocje mieszały mi w głowie już po minięciu stacji Pawłowice. Jeszcze brałem kilka szybkich oddechów, po czym może nawet do samego Psiego Pola wstrzymywałem powietrze, nie pamiętałem. Ale im bliżej Sołtysowic, tym bardziej rosło ciśnienie. W myślach pragnąłem lekarza albo szybkiej eutanazji. Nie ruszałem od razu, chwilę zajmowało mi, zanim pociągnąłem za cyngiel ogłaszający zamknięcie drzwi. No i ten moment ruszenia, jakby trwał całą wieczność. Kilka lat wcześniej powódź podmyła tory na wysokości Psie Pole — Sołtysowice. Widawa rozlała się na wszystkie strony, bo wały przeciwpowodziowe służyły jako piaskownica dla dzieci. Nawet po powodzi opowiadano o nich kawały. Ale do rzeczy. Był plan, by te tory naprawić, bo porobiły się znaczne rozchody, ale komuna była komuną i na planach się skończyło. Od tamtego czasu na trasie od Psiego Pola znajdowały się znaki ograniczające prędkość, za co jeszcze bardziej nienawidziłem władzy, pod którą znajdował się mój kraj.

Dwadzieścia piekielnych kilometrów na godzinę.

Ograniczenie prędkości oznaczało, że przejazd przez tunel był niemiłosiernie długi. Mijałem w ślimaczym tempie ostatnie zakręty, na wpół rozwalony szlaban stacji, po czym wyjeżdżałem na otwartą, zieloną przestrzeń zwiastującą Sołtysowice, ale aby tam dotrzeć, na tę cholerną dziesiątą stację, trzeba było najpierw przejechać przez tunel. Wyjechałem na ostatnią prostą. Ciężko przełknąłem ślinę. W dali zamajaczył kompleks na wpół rozmontowanych budynków zrujnowanej, starej stacji kolejowej Grudy. Za każdym razem przy pierwszym przejeździe, na warcie Trzebnica — Wrocław, zaraz za Psim Polem, gdy otwierało się ceglano-czarne pęknięcie w horyzoncie, moje flaki ścisnęły się w węzeł. I daję słowo, że nie był to nadmiar alkoholu.

W centralnym punkcie znajdował się przejazd, na którym dawno temu zatrzymywał się pociąg lecący na stolicę Dolnego Śląska. Była jakaś legenda, że Niemcy wymordowali wszystkich pasażerów, podpalili strażnicę, ogień się ponoć rozszedł i doszczętnie zniszczył całą resztę zabudowań. Zostały połacie ceglanych ścian, ale nie dało się nic z nimi zrobić. Nawet budowlańcom mającym w kontrakcie odbudowę stacji udało się jedynie odgruzować przejazd. Trafili na pociąg, ale pusty. Żadnych ciał, nawet kości. Może znaleźli popioły, tylko ciężko byłoby stwierdzić, czy to tynk, czy proch po ludziach. Mury nie dały się zburzyć, nie dały się poprawić, nie dało się do nich niczego dobudować. Stańło na tym, że wyczyszczono i względnie połatano torowisko. I można było tamtędy jedynie przejechać. Teoretycznie stacja Grudy powinna być tą dziesiątą w rozpisce, ale nie była. Istniała jedynie jako stacja-wspomnienie.

Wjeżdżając na Grudy, miałem wrażenie, że nawet Zofia wstrzymuje parę. Sapie głośniej, skrzypi przenikliwiej i jakby przeklina stare tory, po których mogłaby przecież jechać szybciej. Nie dziwiłem się mojej lokomotywie. Wcale. Podzielałem irracjonalnie jej emocje. Krótki był to odcinek, nie więcej niż 150 metrów, i to tylko dlatego, że zabudowania powstały na niewielkim wzniesieniu. Ale tyle wystarczyło w zupełności. Światło słoneczne zanikało, tory wydawały się rozciągać i spręzać, powietrze przenikała specyficzna woń rdzy, takiej, która kojarzy się tylko z krwią. Lampy przygasaly, a temperatura spadała. W tej chwili zazwyczaj odmawiałem zdrowaśkę. Oczy Zofii mrużyły się, jedno migalo, drugie przygasalo. Strumienie niewyraźnego światła nadawały wiadomość z piekła. Gdybym miał odwagę, może

próbowałbym odczytać coś z tego sygnału. Pewnie okazałoby się wtedy, że całkowicie odebrało mi rozum. I gdy już myślałem, że umrę na zawał, a pociąg stanie w połowie tunelu i zapadnie się sklepienie, witał mnie jasny blask światła po drugiej stronie. W tym miejscu kończyły się ograniczenia prędkości, a ja nie zwlekałem nawet po to, by wytrzeć pot z czoła, tylko przyspieszałem lokomotywę, jak miałem wrażenie, niemal do prędkości światła. I tak było codziennie przy pierwszym przejeździe. I zawsze w drodze do Wrocławia, nigdy z powrotem. Na Sołtysowicach moje ciśnienie wyrównywało się. Zazwyczaj wtedy wchodził też konduktor. Co cztery dni inny. Chwilę rozmawiałem z nim o byle czym, aby zapomnieć o tunelu, i stawałem się całkowicie normalnym, starym maszynistą.

Moja przerwa na Wrocławiu Głównym trwała 25 minut po każdym kursie. W tym czasie zdążyłem napić się kawy, zjeść śniadanie i sprawdzić, co słychać w świecie. Bo na każdym ze stoisk, czy to z gazetami, czy z biletami, miałem znajomych. W końcu spotykałem się z nimi po kilka razy dziennie. Dzień rozpoczynał się o 6:10, a kończył o 18:10, wtedy zmieniał mnie Stanisław. Nie mieliśmy ciężkiej roboty, każdemu mógłbym ją polecić. W pociągu ciepło, kasjerki ładne, konduktorzy trochę szemrani, ale któż taki nie był, gdy przychodziło rozliczać się z władzą. Można było wymieniać fanty. Kto tego nie znał? Kto nie korzystał? Nie paliłem papierosów, ale zawsze miałem Zefiry do podziału. Dali mi kiedyś Popularnego do spróbowania, okazało się, że nie jestem materiałem na palacza. Za to nie omieszkalem wymieniać fajek na inne, potrzebniejsze rzeczy, czasem na przysługi. Kiedyś nawet nasi trzebnicki milicjanci złapali mnie na przekraczaniu prędkości. I to rowerem! Na szczęście wracałem z trasy i miałem co nieco za pazuchą. Tak że, drogi czytelniku, papierosy nie zawsze tylko szkodzą zdrowiu.

W momencie, w którym wszystko się zaczęło, obudziłem się całkowicie wypoczęty. Był trzeci z czterech kwietniowych czwartków. Piąta rano, słońce błyskało zza firanki. Wstałem, wypilem kawę, zjadłem śniadanie. Wyzwałem zasrany przez psa chodnik, którym szedłem do garażu po rower. Odblokowałem koło i póki co wszystko wskazywało, że to będzie zwykły dzień. Z wyjątkiem patrolu milicji, który akurat wtedy znajdował się w innym miejscu. Uśmiechnąłem się pod nosem, wsiałem na rower i ruszyłem w stronę stacji, na Kolejową 4. Była 5:45.

O 6:00 Zofia powinna była stać na swoim miejscu. A nawet nie było słychać gwizdu z Brochocimia. Unieruchomiłem swój jednośląd na stojaku i spojrzałem w stronę Mostowej.

— Janek! — podszedł do mnie zawiadowca Tomek. Człowiek ze dwa metry, z brodą po sam mostek, wielki jak dom. Jakbym Wikinga widział, tylko topora nie miał. Za to był pewnie cały w tatuażach. — Z Głównego dzwonili, że Staszek się spóźnił wczoraj, po tobie. — Podał mi rękę, uścisnąłem ją.

— A dalej?

— Z każdej stacji po kolei dzwonili do centrali, że Zośka nawet nie zwołniła na stacjach. Ludzi nie zabrał, jak podjechał pod Wrocław, tak ruszył, jedynie ludzie wysiedli. Nawet drzwi nie domknał, nie gwizdał. Nic. Jakby go Szatan opętał.

Zmarszczyłem brwi.

— Psia jego mać, jak nie Staszek. Flaki byłby sobie dał wypruć, byle na czas dojechać. I dalej go nie ma?

— Zawiadowca z Taczowa przed chwilą dzwonił do mnie, że słychać go, że gdzieś, kurwa, wyje między Miłocinem, ale jak tam dojedziesz, jak to w lesie jest? Nawet nie ma jak wyrzeć. Szlag by trafił. Całą nockę mi tym spierdolił.

— No, ale to wcale w nocy nie przyjechał?

— A gdzie tam. Nie. Jak zajechał przed siódmą wczoraj, ludzi wywalił, mówię ci, i już go nie było. Zero kontaktu. — Włączyła się lampa na ścianie dyżurki.

— Mówię ci, to nie Staszek.

— Kurde, chodź, bo dzwonią. Może już go gdzieś namierzili.

Weszliśmy do środka stacji. Tomek wpadł do swojej dyżurki, wszedłem za nim. Odblokował słuchawkę.

— Halo, Tomasz Wisła, Trzebnica. Halo? — Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Słyszałem trzaski na linii. — Halo? Staszek? Staszek jesteś tam? Bo mnie kurwica weźmie, stary weź się odezwij... — Tomek spojrzał na mnie i wskazał drugi telefon na ścianie, światelko migало. — Weź odbierz, centrala na tamten dzwoni.

Odebrałem telefon. Przyznaję, byłem zaniepokojony, no dobra, zeszary.

— Halo? Jan Kośny, Wisła ma kogoś na linii.

— Kogo ma Wisła na linii, jak wszystkie linie zajęte mamy?

— Jak to?

— Tak to, cuda się tam u was, Trzebnica, dzieją, jak nic cuda niewidy.

— Niewidy to my mamy. A z kim rozmawiam, do jasnej cholery?

— Arkadiusz Małuszkiewicz, Wrocław Główny. Wysłaliśmy drezynę za waszym pociągiem widmo.

— Kiedy wysłaliście?

— A z pół godziny temu. Powinniśmy mieć za chwilę raport z jakiej stacji, jak się w końcu przy Zośce zatrzymają.

— A czemu nie wcześniej? Przecież kurs stoi od wczoraj, jak go zostawiłem.

— A ty myślisz, że my po nocach monitorujemy z drezyny, jak jeżdżicie? Co wy, kurna, dzieci jesteście, że trzeba was pilnować na każdym kroku... Jest, dzwonią, zaraz dam znać, co z Zośką.

Odłożyłem słuchawkę, a właściwie walnąłem nią o bazę.

— Co za obmierzły kutas... — Warknąłem i odwróciłem się do Tomka. Siedział ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, wgapiiony w jakiś punkt na podłodze.

— No i? Teraz ciebie Szatan opętał?

— Niechby spróbował... Ale, człowieku, ja tam Staszka nie słyszałem. Bogowie Olimpu mi świadkami, że tam, kurwa, jakiś opętaniec do słuchawki sapał... I tylko mówił: „pomsta, pomsta”... I „jutro będzie nas znowu więcej”.

— I tyle? — Dopiero teraz na mnie spojrzał. I widziałem w jego oczach najprawdziwszy strach.

— Stary, zmroziło mnie do kości. A ja się niczego nie boję. Ale mnie zmroziło. I, kurwa mać, w biały dzień, rozumiesz? W biały dzień.

— Jaka, do jasnej cholery, pomsta? Ja pierdołę, gdzie ten Staszek? Nic z tego nie rozumiem, a taki dzień ładny się szykował... — Naszła mnie ochota odkręcić schowaną w torbie butelkę i pociągnąć solidny łyk.

Ludzie pukali do nas w szybę. Każdy chciał wiedzieć, co dzieje się z pociągiem. Tomek nie odrywał wzroku od aparatu telefonicznego. Zauważyłem, że ten z centrali znowu miga. Odebrałem.

— Kośny.

— Arek. Drezyna złapała Zośkę na wysokości Taczowa Małego. Ale nawet się nie zatrzymał. Jedzie powoli i nie staje. Zadzwonili do nas z dyżurki na Małym. Ponoć widzieli, jak na Siedlcu czarny dym poszedł z pociągu, na Miłocinie wagony zaparowane przejechały. A przecież pusty jechał. W lesie się ponoć zatrzymał, bo gwizdał.

— Wisła mówił. Tyle co na stację przyjechałem.

— Na żadnej się nie zatrzymał. Po kosztach go, ma z głowy wypłatę za cały rok. Nie wiem, co się stało, ale na wszelki wypadek zadzwonimy po karetkę, niech podjadą do was zaraz. Bo powinien już nadjeżdżać. W każdym razie na Małym już go nie ma. A drezyna wraca, bo ci kurs opóźni. Tylko niech cię ręka boska broni nawalić mi na kursie powrotnym. Bo zabiję.

— Jak on w końcu dojedzie, to pojedę. Moja robota przecież.

— Ja myślę, załatwcie to i zaraportujcie jak najszybciej. Do usłyszenia.

Ledwo co odwiesiłem słuchawkę, a jakaś pani kiwnęła do nas, że pociąg nadjeżdża. Wskoczyłem z dyżurki jak oparzony. Za mną wyskoczył zawiadowca. Zatrzymaliśmy się na peronie i obserwowaliśmy, jak w ślimaczym tempie podjeżdża Zofia. Gdy w końcu zatrzymała się przy granicy, sapnęła. I faktycznie szyby w środku były zaparowane, nic nie dało się zobaczyć.

— Poczekajcie, zajrzę do środka. Tomasz, zatrzymaj na razie pasażerów na peronie, postaram się czegoś dowiedzieć. — Otworzyłem drzwi pierwszego wagonu. Nawet nie wiedziałem, czemu nie wchodzę bezpośrednio do lokomotywy. Ale tak zrobiłem. Otworzyłem, wszedłem do środka i zamknąłem drzwi. Nie wiedziałem, co to za zapach unosi się w wagonie, wszystko oprócz zaparowanych okien wyglądało całkiem normalnie.

— Staszek? Staszek! — Nacisnąłem klamkę i stanąłem w przejściu. Ale lokomotywa była pusta. Sama przyjechała na stację. Ciężko przełknąłem gulę zalegającą w gardle. I czułem, jak jeżą mi się włosy na karku. Coś mi podpowiadało, gdzie może być maszynista. Zawróciłem i przemaszerowałem przez wagony. Wszystko było tak, jak zostawiłem wczoraj. Oprócz pary na szybach. Para z dziwnych przyczyn utrzymywała się na miejscu.

Już przez szybę w przejściu zobaczyłem Staszka. Siedział tyłem do kierunku jazdy, na ostatnim siedzeniu. Wziąłem głęboki oddech i ruszyłem przed siebie.

— Staszek? Staszek, co ci? Co się stało? — Szedłem do niego a on nie reagował. Nie byłem w stanie stwierdzić, czy oddycha, nie poruszał ramionami. Z oddali dobiegł mnie dźwięk syreny ambulansu. Stanąłem nad moim zmiennikiem.

— Staszek?

Oczy miał otwarte szeroko, szczęki zaciśnięte, twarz całkiem stężała. Napięta do granic możliwości. Był blady. Chciałem położyć mu rękę na ramieniu, ale w tym momencie spojrzał na mnie tak, że aż odskoczyłem przerażony. Stanisław zmroził mnie wzrokiem, jakby moje całe ciało zostało przebite lodem.

— Staszek, kurna, weź się ocknij! — Palnąłem go jednak w ramię. A on skrzywił się dziwnie, bo we wszystkie strony na raz.

— Janek. Janek. Złamałem obietnicę, bo już nie mogłem.

— Staszek, co ty gadasz? Człowieku?!

— Przyszli do mnie któregoś razu... Miałem tylko jeździć jak zwykle... — Uśmiechnął się jak obłąkany. — Tylko jeździć pociągiem. Janek, oni po mnie przyjdą teraz! — I nie wiadomo skąd, rozplakał się.

— Staszek, nikt nie przyjdzie, jesteś maszynistą, nie zbrodniarzem jakimś! — Potrząsnąłem nim, był zimny jak sople i telepał się jak galareta.

— Przyjdą, ty nic nie wiesz. Miałem tylko jeździć i zatrzymywać się na Dziesiątej.

— Człowieku, my się na dziesiątej zatrzymujemy przecież, tam ludzie do roboty wsiadają! — Spanikowałem, bo zaczynało do mnie docierać, na jakiej Dziesiątej Staszek zatrzymywał lokomotywę.

Znów na mnie spojrzał tym gniewnym, przerażającym wzrokiem.

— Staszek, kurwa, Sołtysowice!

— Żadne Sołtysowice. Stacja Grudy, na której zabieram umarłych. Dziesiąta stacja zawsze jest dla umarłych, oni tam wsiadają, a ja im obiecałem. I teraz po mnie przyjdą... — Zerwał się i uderzył głową w szybę. Nie zdążyłem go powstrzymać. Na szczęście wziął zbyt mały rozmach, ale po sekundzie zamierzał powtórzyć atak na samego siebie. Temu już zapobiegłem. Złapałem go pod ręce i za kark.

— Janek, ty im niczego nie obiecuj, nie obiecuj. Puść mnie, kurwa mać, puść mnie!

W tej chwili do pociągu wpadli ratownicy.

— On się chce zabić, zróbcie coś, do cholery! — Wpakowali mu strzykawkę w szyję i Staszek osunął się na podłogę.

— Co tu zaszło?

— Nic nie wiem, kurwa, człowieku, pojęcia nie mam. Siedział tu, tu go znalazłem. Gadał coś, że przyjdą po niego. Myślę, że w szoku jest. — Dwóch medyków uniosło Staszka do góry i wywlekli go z wagonu. Nie szedłem za nimi, usiadłem, by odsapnąć, pozbierać myśli do kupy. Rozejrzałem się po wnętrzu — para z szyb zniknęła. Odetchnąłem.

— Boże, miej mnie w opiece. — Sapnąłem.

— Stary, co się stało? Wpuszczać ludzi do środka? — Tomek przywołał mnie do rzeczywistości.

— Nie, jeszcze moment, muszę się zebrać w sobie...

— Ale co? Gadał coś? Czemu przejechał trasę?

— Ty wiesz, że lokomotywa sama jechała? Sama. Dostała rozumu i przyjechała.

— Co ty pierdzielisz?!

— Sama. Jak Boga kocham. Tu go znalazłem, siedział tu, gdzie ja teraz. Mówił, że duchy woził. Duchy umarłych! — Chyba go zszokowałem, bo zrobił wielkie oczy. — Zadzwoń do centrali, powiedz, że pociąg przyjechał, a Staszka w amoku karetka zabrała. Pewnie będą drażyć temat, bo przecież pociąg całą noc nie jeździł. Ale już nic na to nie poradzimy. — Westchnąłem, znowu naszła mnie ochota na łyk.

— Dobra. To wpuszczam ludzi. Zdążyli nawet już kasy pootwierać, więc wszyscy już bilety mają. — Próbował się uśmiechnąć, wyszedł grymas. Machnąłem ręką.

— Zabierajmy się do roboty, przecież umarli to nie wymówka, by brać wolne na żądanie. Wyśmieją mnie jak nic we Wrocławiu. Pewnie delegację też wyślą. Ech...

Tomek nic już nie powiedział. Wyszedł do pasażerów i po chwili zaczęli oni zapełniać wagony.

Zofia nie zdradzała emocji, stała sobie spokojnie i czekała na swoje pięć minut. Dałem sygnał dźwiękowy. Uruchomiłem lokomotywę, zczekałem aż ciśnienie osiągnie siedem atmosfer i odhamowałem skład, wybrałem kierunek i na niskim rozruchu ustawiłem Zofię dziobem w stronę Mostowej.

— Kierunek Wrocław.

Minuty mijały jedna za drugą, a ja odliczałem stacje. Z zaciśniętymi zębami i skupionym wzrokiem wyczekiwałem Psiego Pola. Gdy minąłem zakręt, starałem się patrzeć jedynie w głąb tunelu. Byleby go minąć. Wmówiłem sobie, że jest dzień, słońce świeci, a stacja Grudy nigdy nie istniała.

Tamtego dnia odczuwałem jakiś dziwny, podejrzany wręcz spokój. Nic się nie działo. Zwolniłem do ograniczenia, ale Zofia jechała jak nigdy. Spokojnie przesuwiała się do przodu. Minęła tunel bez migających świateł, a moje ciśnienie utrzymywało się na zwykłym poziomie. Odetchnąłem głęboko i spokojnie rozpedziłem skład.

Mając przed oczami Sołtysowice, uśmiechałem się sam do siebie, nie do końca wiedząc, dlaczego.

— Panie Janku! — W tej euforii nie zauważyłem konduktorki. Stała obok mnie w dobrze skrojonym mundurze Polskich Kolei i przeżyła to, co miała najlepsze — przeżyła chyba dla mnie. Nie dało się tego nie zauważyć. Miała na imię Marta, dawno z nami nie jechała.

— Witam, pani Marto. Co słyhać?

— A po staremu. Dziecko do przedszkola już posłałam. — Uśmiechnęła się. — Centrala niezadowolona dzisiaj. Ale im to nie dogodzisz.

— Nie zawsze trasa idzie po naszej myśli. Jakby się tory w końcu rozeszły, toby nic nie jeździło. — Roześmiałem się. Już prawie dojeżdżaliśmy do stacji.

— Ale są w porządku jeszcze. Tylko niech nas pan dowiezie na ten Wrocław, panie Janku.

— No, takiej ładnej pani to nic, tylko złote góry obiecać. — Spojrzała na mnie uważniej. Zaśmiała się, jakby nieco sztucznie, ale ładnie.

— To obiecuję pan?

— A pewnie, że obiecuję, co to takiego do Wrocławia dojechać...

Wszystko ze mnie odeszło, cały rozum. W jednej chwili. Zaczął się peron sołtysowicki. Zwolniłem, ale nie wiedziałem za bardzo, co robię. Zatrzymałem Zofię, ręce pracowały jak u robota. Dopiero wtedy zauważyłem, że szyby mam zaparowane, że zimno w kabinie. Że nie było Marty, nie mogło jej być, bo konduktorka zginęła w wypadku samochodowym. Zacisnąłem szczęki. Przesunąłem oczy na szybę. Nie odbijała się w niej Marta. Tylko Kostucha. Najprawdziwsza Kostucha w niemieckim hełmie na głowie. Wysoka, ciemna, w burym płaszczu, szurła nogami po podłodze. Jak przełknąłem ślinę i odwróciłem się w stronę drzwi, okazało się, że buciorami naniósł mi błota. Uniosłem głowę do szyby w drzwiach przejściowych, ciśnienie mi skoczyło i zrobiło się gorąco.

Patrzyłem zza szyby niemieckiej śmierci w czarne, złowrogie oczy. A ona chuchała na szybę, na której osadzała się para.

W lokomotywie byłem już sam, lecz Kostucha cały czas na mnie patrzyła.

— Masz wybór, przewoźniku. — Usłyszałem, ale ona nic nie mówiła. — Złożyłeś obietnicę. Teraz albo jej dotrzymasz, albo zabiorę ci wszystkich tych ludzi. — Uderzyła szpiczastym paznokciem w szybę.

Co miałem zrobić? Przez ściśnięte gardło wysapałem, że się zgadzam.

— Janek! — A to stał konduktor. — Janek jedź już. Czas goni.

Kiwnąłem mechanicznie głową i pojechałem. I jeździłem tak przez prawie cały dzień. Myśli bełtały mi się w głowie. Zastanawiałem się, czy to moje myśli. Czy to ja? Bo przecież nikt na co dzień ze śmiercią nie rozmawia. I jakie mogą być konsekwencje, gdy nie dotrzymam słowa? Co ja miałem, do cholery, robić? Nie jadłem, nie piłem i nie witałem się z ludźmi, szybko opowiadałem historię Staszka, który leżał w szpitalu, bo zasnął na trasie i zabrała go karetka.

W końcu zrobiłem to, na co jeszcze było mnie stać. Podjąłem ostateczną decyzję i o 16:00 z determinacją w głosie poinformowałem, że wracam do Wrocławia pustym składem i odstawiam lokomotywę na bocznice do serwisu, bo znalazłem wady w układzie sterowania. Niech wymienią na inną. Dojechałem do Trzebnicy, odstawilem pasażerów i ruszyłem po raz ostatni w trasę. Sądziłem, że nad sobą panuję, że odpowiadam za swoje czyny. Że żadna siła nie mamrocze mi do ucha — ba! od razu do głowy — że mam jechać i napęłnić skład umarłymi.

Minąłem Brochocim, Taczów Mały i Duży, Miłocin, Siedlec, Pasikowice, Zakrzów, Pawłowice. Zatrzymałem się tuż za Psim Polem i spojrzałem w szczerzącą się paszczę stacji.

— Chcecie pociągiem pojeździć? Na gapę? Niedoczekanie wasze.

W jednej chwili podjąłem decyzję. Uruchomiłem Zośkę i rozpędziłem ją jak się tylko dało. Dałem jeszcze głośny sygnał, że nadjeżdżam, niech mnie słyszą, zdechlaki. Pamiętam, że chciałem wykoleić pociąg i chyba mi się udało.

Poszły iskry, był huk, później śwąd, coś strzeliło, zakłuło, syknęło.

I w końcu ich wszystkich zobaczyłem. Leżałem przygnieciony, nie czułem ciała, był jedynie ciężar, nawet nie mój. A pośród wszystkich bladych i burych postaci stała ona. Paniusia w hełmie. Gapiała się na mnie, zła jak osa. Postanowiłem ją wyśmiać. Wystawiłem jej jęzor. Jęzor człowieka, który postanowił oszukać Kostuchę. Może mi się udało. Nie mnie to oceniać. W końcu zamknąłem oczy, bo i tak szczypały mnie od kurzu. Niech szlag trafi tę Dziesiątą Stację razem z jej śmiercią...

Wilgoć zalegała mi na szybach od rana, grzałem pociąg, ile weszło, ale nic to nie dało. Telepało mną na wszystkie strony. Naciągnąłem czapkę prawie na oczy. Cholerna stara lokomotywa, trzeba by ją w końcu odstawić, tak jak mi Staszek mówił. Ledwo co minąłem się z nim na peronie. Pomachał mi, ale sprawdzał, czy nikt nie patrzy. Dziwny był, jak nie Staszek, pożegnał się chyba. Odmachałem mu szybko i ruszyłem na Główny. Niewielu

pasażerów wiozłem, większość poruszała się samochodami, zaroilo się od nich ostatnio. Na przejazdach kolejowych stoją ich coraz dłuższe kolejki. To dobrze, chociaż może nie dla Kolei.

Za Siedlcem trochę się nagrzało. Chociaż para dalej szła mi z ust. Przejechałem przez ponure Sołtysowice, wsiadało tam coraz mniej ludzi, w końcu przestałem się tam zatrzymywać, bo nikogo nie było na peronie.

Za to na Grudach? Tam zawsze czekały tłumy. Dziwiło mnie, że mieszczą się w wagonach. Współczułem moim konduktorom, chociaż nie zdążyłem jeszcze zapytać, jakie są kary za brak biletu. Stacja Grudy — ładna, odremontowana, przyjemnie było się na niej zatrzymywać.

Liczba początku i końca

Mariusz Wojteczek

Kiedy Anna umierała, ja zmywałem naczynia.

Rozbiłem wtedy kubek, rozcinając boleśnie palec na starej, odziedziczonej po babci porcelanie.

Zapieкло, krew pociekła gęstą strużką, barwiąc zawieszoną spienioną wodę z płynem do naczyń.

Zakląłem pod nosem, odkręcając kurek od zimnej wody.

Moja żona wtedy umierała, kilka kilometrów ode mnie, w innej części miasta, a ja — w naszym starym, pobabcinym mieszkaniu w Nowej Hucie zmywałem naczynia.

Był 10 października 2010 roku.

Kiedy przyjechali mnie o tym poinformować, to jakby ktoś nagle zgasił światło. Chciałbym powiedzieć, iż pomyślałem, że to żart. Niesmaczny, chamski, prostacki. Chciałbym móc przyznać, że ryczałem jak bóbr, siedząc w salonie, na kanapie o wybitych siedziskach. Chciałbym powiedzieć wiele rzeczy o tamtej chwili, kiedy ciotka przyjechała do mnie z tą wieścią. Ale nie mogę. Bo nie poczułem nic. Tylko pustkę. I jakby ktoś zgasił światło.

Żebyśmy się dobrze zrozumieli. To nie tak, że nie kochałem mojej żony. Anna... była wszystkim. Całym życiem. Więc kiedy ktoś ci mówi, że cały twój świat umarł... Nie umiałem zrobić nic. Bo przecież ja też byłem martwy.

To był 10 października 2010.

Pamiętam, jak ją poznałem. Notabene, 10 października. To był 1997. Rok wielkiej powodzi, kiedy każdy w kraju patrzył z lękiem na rosnące, rozpychające się coraz bardziej koryta najbliższej rzeki. Ja też chodziłem wtedy nad Wisłę patrzeć na brudny nurt w kolorze żuru. Kotłował się w próbującym utrzymać go w ryzach korycie. Tam ją spotkałem. Czytała Baczyńskiego.

Kiedy się dosiadłem, spojrzała na mnie ciemnymi, orzechowymi oczami. Ławka była wilgotna od mżawki siąpiącej rankiem. Zimne listwy wbijały mi się w plecy.

„To jesień, Anno, Anno wybaw

Od jawy i od snu”.

Do dzisiaj nie wiem, czemu to powiedziałem. To mój ulubiony cytat z Baczyńskiego. Nie wiedziałem jeszcze, że ma na imię Anna. Uśmiechnęła się wtedy do mnie, a jej oczy zaiskrzyły. Mieliśmy po dwadzieścia lat i głowy pełne marzeń.

A teraz nie żyła. Umarła, tak: o. Jeśli tak: o można umrzeć. To był 10 października 2010.

Nie pamiętam już, kiedy do mnie przyszła ta pierwsza. Zadzwoił dzwonek, taki głuchy, kiczowaty „ding-dong”, jaki montują w standardzie. To stało się tydzień po śmierci

Anny? Nie wiem sam. Pogrzeb odbył się kilka dni wcześniej. Chyba. Byłem na nim gościem. Czuję się jak manekin targany przez wiatr. Wszystkim zajęła się siostra Anny. Podziękuję jej kiedyś. Wtedy chyba tego nie zrobiłem. Pamiętam tylko mgłę. I piekące oczy. Tyle pamiętam.

Stała na klatce, jakby wyrwana z poprzedniej epoki. W chustce na głowie, przygarbiona, okutana w jakieś szmaty w kratę i z kobiałką tuloną do piersi. „Jaja sprzedaje, wiejskie — pomyślałem. — Albo ser, mięso. Ale na chuj mi to teraz?”

Miałem coś odburknąć, zatrzasnąć drzwi przed perkatym nosem, przed pomarszczoną twarzą czujnie zaglądającą do wnętrza mieszkania. Ale zapytała wcześniej:

— Janiszewski? Mąż Anny?

Zamarłem z dłonią na klamce. Po plecach przeszedł mi dreszcz. Ona знаła Anię? Ale...

— Kim pani jest?

— Nie tutaj — odepchnęła mnie na bok, szturchając kobiałką i torując sobie drogę do wnętrza.

Chód miała kołyszący, jakby kaczy, pewnie przez pokaźną otyłość.

— Ściany mogą słuchać, a na nic nam to — rzuciła jeszcze do mnie przez ramię, kierując się do kuchni.

Zrobiłem kawę. Trafił się jej kubek z Thorgalem. Nie chciała mleka, ale nie pogardziła cukrem. Mój kot, Teofil, zwany przez Annę Theo (tak nazywał się brat van Gogha, Anna zaczęła tak przezywać kota, kiedy przeczytała biografię malarza), łąsił się do jej kraciastej spódnicy, mrużąc cicho.

Ja stałem niedbale oparty o zlew, udając nonszalancję, choć żołądek zwijał mi się w supeł.

— Więc mówi pani, że Anna... Anna była wiedźmą? — wydukałem w końcu. Wciąż byłem zbyt otepiały, by się roześmiać. Upiłem łyk kawy ze swojego kubka z „Horroru klasy B”, parząc sobie przy tym język. Dołałem mleka ze stojącej na blacie kuchennym butelki.

— Wiedźmą, czarownicą, czarodziejką, szeptuchą... Chuj tam — machnęła ręką. Przekleństwo w jej ustach brzmiało nienaturalnie, jakby wasza dobrotliwa, rumiana babcia nagle tak zaklęła. — Nazywaj to jak chcesz. Była i już.

Przypomniał mi się facebookowy mem wrzucony jakiś czas temu przez znajomą. „Czym różni się czarodziejka od czarownicy? Wiekiem”. Ania na jego widok popłakała się ze śmiechu. Aż łyzy jak grochy pociekły jej po policzkach.

— Bzdura! — warknąłem. — Poza tym Anna nie żyje, umarła.

— Wiem — pokiwała ze smutkiem baba, drapiąc się jednocześnie po nosie. — Ale nie martw się. Którego dzisiaj? — zagapiła się w kuchenne okno, jakby tam, na szybie, albo i jeszcze dalej, na niebie, wypisany był jakiś kalendarz. — A, siedemnasty. No to nieźle. Jeszcze trzy dni. — Spojrzała na mnie z powagą. Za trzy dni żona do ciebie wróci.

Pomyślałem, że albo ja oszalałem po stracie żony, albo ona po chuj wie czym. Wiejskim tłustym żarciu i tonach cholesterolu? Albo schlałem się czymś lub spaliłem, choć starałem się po śmierci Anny wytrwać i nie popaść w nałogi.

Baba wstała, zakręciła się po kuchni, wyszperała jakieś pęki ziół z kobiałki, wymamrotała, abym przekazał je Annie... i wykołysała się w kierunku drzwi. Tyle ją widziałem.

Ale przychodzili inni.

Następne trzy dni były dziwne. Jak fantasmagoryczny sen, ułuda. Ktoś wchodził, ktoś wychodził. Dzwonek brzęczał kurewsko wręcz nieznośnie, dlatego przestałem zamykać. Nadal byłem na urlopie, więc nie myślałem o pracy, tylko siedziałem na kanapie, gapiałem się na nasze zdjęcie wiszące nad telewizorem i paliłem papierosa za papierosem. Czasem jadłem

mrożonki smakujące jak dykta. Sporadycznie piłem piwo, przynoszone ze sklepu na dole przez syna sąsiadów, który był kimś w rodzaju umyślnego czy chłopca na posyłki. Dawałem mu resztę, drobniaki, a on podkradał mi fajki, kiedy myślał, że nie patrzę.

Zwykle przychodziły kobiety. Starsze, młodsze. Rzadziej mężczyźni, taszczący cięższe pakunki.

Przeważnie się do mnie nie odzywali, tylko kiwali głowami na powitanie, w niemym pozdrowieniu, jakby ich obecność nie wymagała komentarza, żadnych słów. Jakby była oczywista.

A mnie było po prostu wszystko jedno. Skoro nie było Anny, to nie było nic.

Kiedy całkowicie poddałem się szaleństwu, uwierzywszy, że wróci? Naprawdę nie wiem.

— To już dziewiąty dzień — mówi. Ma ciepły, poważny głos. Jak matka pouczająca dziecko.

Patrzę na nią. Siedzi obok mnie, założywszy nogę na nogę, smukłe dłonie zaplotła na kolanie. Jest piękna urodą dojrzałej, dystygowanej diwy, choć ubranie ma skromne, zwyczajne — granatową spódnicę i białą bluzkę z głębokim dekoltem. Kiedy się pochyla, jej ciężkie, nabrzmiałe piersi kołyszą się w rytm oddechu.

— Czemu niby to się ma stać jutro? — pytam, wzruszywszy ramionami. Nie widziałem jej tu wcześniej. Ale nie dziwi mnie jej obecność. Grupa dziwaków, sekta albo handlarze ziołem zrobili sobie z mojego mieszkania lokal przerzutowy. Nie obchodzi mnie to.

Pochyla się jeszcze bardziej do przodu, by na mnie spojrzeć. Lśniące, czarne włosy spływają kaskadą, odsłaniając smukłą szyję. Może mieć czterdzieści kilka lat, lecz wygląda... perfekcyjnie? Chyba to dobre słowo.

— Ty nadal w to nie wierzysz, prawda?

Czuję zapach ziół, jakichś słodkawych perfum i lekką woń jej potu. Zwilża czubkiem języka pełne wargi, w ni to lubieżnym, ni to niewinnym geście. Jej oczy są czujne i starannie lustrują moją twarz. I patrzy w moje oczy, jakby chciała przejrzeć mnie na wylot, zajrzeć mi w duszę.

Wzruszam ramionami, sięgając jednocześnie po papierosa. Zapalam. Też bierze jednego, bez pytania sięgając do mojej paczki. Podaję jej ogień. Kiwa głową w podziękowaniu. Zwykły, ludzki odruch.

— Sam nie wiem. Chciałbym wierzyć. Ale...

— To bzdura?

— Właśnie.

Uśmiecha się.

— Są rzeczy, które jeszcze sto lat temu były uważane za bzdurę. Za inne palono na stosie. A teraz jest inaczej. Ludzie nie wierzą. I tak jest lepiej. Bezpieczniej. — Zaciąga się, a potem wolno wypuszcza strużkę dymu w sufit.

— Czemu Anna? — pytam. Patrzy na mnie chwilę, milcząc.

— Marcin, tego się nie wybiera... Z tym... z tym się rodzisz. Ona taka była. I już. To było w niej.

— Dobrze — sam nie wiem, czy się z nią zgadzam, czy zwyczajnie ucinam temat. Kiełkująca w moich trzewiach nadzieja nie chce dać się zagasić, wypłenić. — Ale dlaczego jutro?

— Bo to dziesiąty dzień od śmierci. A dziesięć to liczba magiczna. Liczba początku — jedyński — i końca, którym jest zero. To liczba cyklu, reinkarnacji, zmartwychwstania. To naturalna kolej rzeczy, związana z cyklem życia — wzdycha, jakby dziwiło ją, że znów musi tłumaczyć komuś to, co przecież oczywiste. Ale dla niej, nie dla mnie. Niech tłumaczy. —

Coś się rodzi, coś umiera i rodzi się ponownie. Żadne życie nie przemija, nie całkiem. Jeśli umiesz o nie zadbać, oczywiście. Dziesięć to symbol podróży, wiecznego koła życia... — mówi z energią i ze swadą, a jej oczy błyszczą. Kiedy gestykułuje, popiół odpada z końcówki papierosa i jakoś tak wolno opada na dywan.

— Jesteście jakąś sektą? — przerywam jej.

Uśmiecha się znów tym matczynym uśmiechem.

— Kościół tak by nas nazwał...

— Sataniści? Nie, oni wierzą w szóstki. New Age? — zgaduję. Znów ten uśmiech, jeszcze bardziej pobłażliwy.

— Jesteśmy starsze niż New Age. Starsze niż Kościół i Szatan razem wzięci. Jesteśmy tak stare jak nasza Matka Ziemia. Jak Gaja...

— Czarownice? — strzelam, gasząc w popielniczce papierosa. Dziwne, nijak nie przypomina mi czarownicy ani nawet wiejskiej wiedźmy, jak ta pierwsza, która tu przyszła. Raczej bizneswoman.

— Ja bym tego tak nie nazwała, ale skoro w ten sposób łatwiej ci to pojąć — tym razem ona wzrusza ramionami. Odchyła się na kanapie, przez co jej spódnica podsuwa się do góry, ukazując czarną koronę brzegu pończoch. Robi to specjalnie? Nie czuję podniecenia — choć może powinienem?

— Więc jak was określisz? — pytam, odwracając wzrok od niej i jej jędrnego, szczupłego uda.

— Firmą? A siebie dyrektorką? Tak, to nas najlepiej obrazuje. Zarabiamy na swojej wiedzy, płacimy podatki. Ludzie... niektórzy ludzie o nas wiedzą.

— Mówisz o rządzie? — ponownie zgaduję, a ona znów kiwa głową. „To się robi nudne — myślę. — Mechaniczne gesty”. Jednak nie stać mnie na żywszą reakcję. A ją? Nie wiem.

— Już od czasów Piłsudskiego. Odkąd pomogliśmy jego żonie... Wiesz, to była zapamiętała okultystka. W ogóle okultyzm, spirytyzm — to było wówczas cholernie modne... Masz piwo? — przerywa. — Napiłabym się.

— I wiesz — papla dalej, jak z psiapsiółką na zakupach, kiedy ja człapię do lodówki. — Raz szanowna pani Maria się zapędziła, sprowadzając jakieś nad wyraz szemrane medium, z Niemiec bodajże. Pech chciał, że medium co nieco umiało i przywołało ducha, istną wredotę, po czym nie potrafiło go odwołać... No cóż, wyleczyliśmy szanowną małżonkę, czym zyskałyśmy wdzięczność Naczelnego Wodza. A on spokoj. I z pokorą przyjął, że nie możemy się babrać w załatwieniu mu rozwodu za pomocą naszych... praktyk. Pewnie mu to było nie w smak, jednak rozumiał, że lepiej mieć nas po swojej stronie niż przeciwko. I zgodę, nieformalną, bo nieformalną, ale dał. Oficjalnie: porady duchowe i ziołolecznictwo — to były nasze domeny. I są do dziś. Choć nadeszły dla nas złe czasy, ciężko było przetrwać wojnę, wiele z nas zginęło. Ot tak, przypadkiem, bez związku z naszą mocą. Byliśmy tylko ludźmi, a wojna wszystkich traktuje równo. A i później nie było lekko. Jaśnie oświecony umysł władzy ludowej nie dopuszczał myśli, że jest coś poza osnową rzeczywistości. Ukrywałyśmy się jak ci z Solidarności. A nawet bardziej, bo nam na nic było budować sobie mroczne legendy opozycjonistów. I przetrwałyśmy, z trudem. Zwykle leczymy przypadki, których nie ogarnia medycyna. Dbamy o spokojne porody, bez cesarskiego cięcia, oczyszczamy miejsca ze złej aury... Dzięki — przyjmuje ode mnie oszronioną butelkę piwa, już otwartą, i upija łyk. — Ale czasem... zdarza się coś trudniejszego... — zawiesza głos.

— To się przydarzyło Annie? — nadal nie wiem, czy w to wierzyć. Czy może oszalałem, a mój pierdolnięty umysł dorabia magiczną historię o korporacji wiedźm w Polsce. Ale cóż, jest mi to obojętne. Albo jutro wszystko się posypie, albo zwariuję już całkiem. Tak czy tak przyjdzie do mnie spokój.

— Tak — przytakuje. Nie patrzy teraz na mnie, wbija wzrok w dywan, jakby śledziła

sploty włókiem, liczyła szpary w rozeschniętym parkiecie, który często obiecywałem żonie wymienić. — Czasem duch jest zbyt silny... Serce nie wytrzymało.

Czuję, jak po policzkach zaczynają mi cieknać łzy. Pierwsza, druga kropla. Potem kolejne. Pierwsze łzy od śmierci Anny. Od dziewięciu dni. Jakbym dopiero teraz przypomniał sobie, jak to jest płakać. Wreszcie tama puszcza. Łzy lecą strumieniem, tryskają mi z oczu. Chowam twarz w dłoniach, czując, jak słone krople zbierają się w zgięciach palców, mieszają się z ciekącą z ust śliną i glutami z nosa. Wyrzucam z siebie to wszystko, a razem z tym ból, strach i tęsknotę.

Nie wiem, ile tak siedzę, rycząc jak bóbr.

— Masz — słyszę nad sobą i podnoszę głowę. Ona stoi nade mną, trzymając w dłoni parujący kubek. Ten z Thorgalem. Po pokoju roznosi się zapach ziół.

— Wypij to — wręcza mi. Biorę naczynie w dłonie. — Wypij, ulży ci. Zaśniesz. Jutro dziesiąty dzień. Anna wróci — mówi. Znów ten matczyzny uśmiech. Pełen współczucia, smutny, ale ciepły. Taki, jaki powinien być uśmiech matki.

Oczy mnie pieką, ręce kleją się, oblepione smarkami. Jednak nie zważam na to. Upijam łyk, czując dziwny, gorzkawy smak, zapach nieznanymi ziół, drażniący nozdrza, oraz ciepło, rozpluwające się od przełyku do brzucha i po całym ciele.

— Mam na imię Loretta — mówi.

Po chwili ktoś gasi światło i zapada ciemność.

Budzi mnie dzwonek do drzwi. Wstaję z kanapy, prostując zdrętwiałe członki. Nie do końca jeszcze dociera do mnie rzeczywistość, jeszcze nie całkiem rozpoznaję kształty mebli, zarys drzwi do przedpokoju. Przecieram oczy. Promienie słońca wpadają przez brudne szyby, rzucając cieniste refleksy na ścianę. Dzwonek odzywa się ponownie.

Otrząsam się, kiedy przemierzam zielony dywanik w przedpokoju. Raptem kilka kroków, a te zdają się wiecznością, rozciągają się w czasie, razem z wnętrzem, wąską gardzielą przedsiönka, który wydaje się nagle jak z gumy i wydłuża się w nieskończoność. Czuje się jak skazaniec na zielonej mili, który za drzwiami na wprost odnajdzie swoją śmierć. Albo zabawienie.

Kiedy otwieram, ona tam stoi, na korytarzu. Ma na sobie prostą, szarą sukienkę. Włosy zaplotła w warkocz spływający na prawe ramię. Jest blada, a jej ciemne, migdałowe oczy wydają się matowe, puste. Kącik ust drży nerwowo, kiedy mówi zwykle, proste:

— Cześć.

Jakby to wszystko nie stało się naprawdę. Jakby nagle nie zniknęła, nie umarła, nie pochowano jej w ziemi. W wilgotnej, kleistej brei. Jakbym nie słyszał głuchych pacnięć grud o wieko trumny. Jakbym nie widział tych wszystkich współczujących spojrzeń i kiwania głowami w niby-rozumieniu mojego cierpienia, którego nikt z nich i tak pojąć nie mógł.

Stoi przede mną blada, drżąca. Ewidentnie osłabiona, bo za nią stoi wysmukła Loretta w długim, czarnym płaszczu z dzianiny i podtrzymuje ją za łokieć, by nie upadła.

— Wpuścisz mnie? — uśmiecha się ni to żartobliwie, ni to z lękiem. Niecodziennie staje się w obliczu takiej sytuacji tak jak ja. Albo jak ona. Niecodziennie powstaje się z martwych.

Wpuszczam je do środka, odsuwając się pod ścianę. Czuję plecami chropowatość tapety i drewniane drzwiczki, za którymi kryje się skrzynka z bezpiecznikami.

Znów zielony dywanik, stopy mojej żony w sportowych, skórzanych trampkach i stukające obcasami lakierki Loretty.

Drepczą do pokoju, krok po kroku, jedna za drugą. A ja nie wiem, co mam myśleć.

Ogarnia mnie lęk. Czy Anna to jeszcze Anna? Czy to moja żona, czy ktoś... coś innego?

Nigdy nie byłem przesadnie religijny, nawet nie wiem, czy nazwałbym siebie wierzącym, ale o egzorcyzmach słyszałem. Oglądałem „Omen” i inne filmy. Czy... czy Anię

mogło coś opętać? Przypomina mi się „Godsend” i „Smętarz dla zwierząt”. Kołaczą mi w głowie wspomnienia z dzieciństwa. Legendy, ludowe przypowieści, którymi wieczorami karmiła mnie babka. O zmorach, o diabłach i demonach. I podświadomy strach, jaki gdzieś osiadł w głębi mnie. Myślę sobie, że z tamtej strony można wrócić tylko pozornie. Z tamtej strony się nie wraca. Zamiast nas przychodzi coś... mrocznego. Nie chcę jej takiej. Takiego czegoś w niej. I jeszcze to puste, matowe spojrzenie. A może mi się zdawało?

Słyszę głosy w pokoju. W drzwiach do kuchni mignęła mi Loretta, niosąca — pewnie dla Anny — gorący kubek naparu. Zapach ziół — inny niż wczoraj — rozchodzi się po pomieszczeniu. Idę w ślad za nią.

Moja żona... Coś, co było moją żoną, siedzi na kanapie o wybitych siedziskach. Poprawia nerwowym ruchem sukienkę. Jej gesty są sztywne, nienaturalne. Jakby sprawiała jej ból. Jakby nie pamiętała, uczyła się ich na nowo.

Biorę ze stolika na wpół opróżnioną butelkę piwa. Pociągam łyk. Alkohol jest bez gazu, ciepły, zwietrzały. Ohydny. Mimo to zwilża zaschnięte gardło. Oddycham ciężko, patrząc tępym wzrokiem to na jedną, to na drugą kobietę. Loretta coś do mnie mówi — o nowych narodzinach, o powrocie, kole narodzin i śmierci, nowym początku. Nie wiem, nie słyszę jej. Głos dobiega jak ze studni, głuchy, przytłumiony. Jakbym był pod wodą.

Biorę zamach znad głowy i uderzam Annę z całej siły. Nie mogę tego słyszeć, ale jednak słyszę głuche tąpnięcie i trzask pękających kości czaszki. Z rany bucha krew, a zwłoki mojej żony upadają najpierw na kanapę, by zaraz potem stoczyć się na dywan. Krew, okruchy czaszki i płyn mózgowy znaczą dywan ohydną plamą. Pewnie się nie wyczyści.

Loretta krzyczy piskliwie, wysoko, zaciskając palce jak szpony i unosząc ręce ku twarzy w geście przerażenia. Niewiele myśląc, odwracam się do niej i potężnym ciosem na odlew uderzam w twarz. Gruhoczę jej szczękę, krwawa ślina tryska pomiędzy połamanymi zębów. Dziwne, że butelka nie pękła. Kobieta upada, jęcząc głucho, gardłowo, jakbym na powrót wepchnął w nią ten histeryczny krzyk, który chciała z siebie wydać. Opadam na kolana, by mieć bliżej i poprawiam cios. Jeden, drugi. Szkło wreszcie nie wytrzymuje i pęka z suchym trzaskiem. Ranię się odłamkiem w dłoń. Jest po wszystkim.

Siadam na kanapie, czując krew ciekącą mi po palcach. Drżą mi nogi, a serce bije jak oszalałe.

Za zabójstwo żony mnie nie skażą. Przecież nie żyje już od dziesięciu dni. Z Loretą to już inna sprawa.

Dziesięć śmierci Gonzalesa

Krzysztof Radomin

Mówią, że żyje się tylko raz, że kiedy śmierć klepie cię po ramieniu, to koniec, trzeba kojfnąć i tyle. Otóż gówno prawda.

— A taki kot, przykładowo? Ma siedem żyć — mówi Parker, rzeźnik.

— Dziewięć. Dziewięć żyć — z powagą poprawia go Gruby Jim.

— No, to skoro kot może, to i Gonzales może, nie? — stwierdza Parker, po czym zanurza usta w pianie.

Przykro było patrzeć, jak pije. Przypominał wieprza siedzącego przy barze, mimo że to Jim był z nas wszystkich najtłustszy.

Dochodziła dwudziesta. Czas Gonzalesa. Dwie po jak zwykle wszedł do baru i skierował się prosto do swojego stolika. Tego miejsca od lat nikt nie zajmował, chyba tylko przyjezdni, którzy prędko doświadczali gniewu mężczyzny.

Stary Gonzales zawsze miał obojętny wzrok i twarz wykrzywioną w grymasie niezadowolenia. Siadał na tym swoim ulubionym miejscu, jakby siadał w fotelu w domu, pił

piwo i nie patrzył na nikogo, nieważne, czy przy barze siedzieliśmy my, czy zgrabne, młode dziewczyny. Gonzalesa nie interesowało nic. Nawet śmierć. Choć może właśnie ona...

Tak czy siak, dla starego śmierć była chlebem powszednim. Ty idziesz się wysrać, Gonzales umiera. Ty idziesz do roboty, Gonzales kopie w kalendarz. A kiedy po pijaku próbujesz sensownie zbajerować kobietę, do której na trzeźwo nie podszedłbyś nawet, gdyby ci kto za to płacił, Gonzales właśnie całuje śmierć w kościste dupsko.

O Gonzalesie nikt nic nie wiedział, bo Gonzales z nikim nie rozmawiał, dlatego też krążyły o nim różne plotki, od tych w miarę wiarygodnych, do zupełnie wyssanych z palca. Mówiono, że żona go zostawiła, że syn nie utrzymuje z nim kontaktu. Ale gadano też, że łowi wiewiórki w parku, a z ich skórek robi sobie poszewki na pościel. Na pewno wiadomo było tylko tyle, że Gonzales lubił sobie gołać, mieszkał na ostatnim piętrze kamienicy przy Change Street i pracował w magazynie przy rozładowywaniu ciężarówek. W pracy też nie utrzymywał z nikim kontaktu. Robił swoje i na fajrant znikał jak kamfora. To chyba wszystko, co wiadomo o starym Gonzalesie. Poza tym, że skurczybyk nie mógł umrzeć.

Dziewięć razy. Tyle naliczyłem, kiedy zacząłem analizować przypadki Gonzalesa. Zresztą, nie wszystko można nazwać „przypadkami”.

Pierwsza śmierć Gonzalesa nie wydarzyła się w sąsiednim mieście. Stary pracował w porcie, przy kontenerach. Miałem tam kumpla, nazywał się Bob Jennings. On trzymał ten cały interes za mordę.

Jednego dnia, kiedy spotkaliśmy się, żeby opijać jego czterdzieste urodziny, opowiadał mi o Meksykańcu, niejakim Gonzalesie, którego już wtedy nazywał „starym”. Gość był mrukiem, ale pracował solidnie i nigdy się nie spóźniał. Któregoś razu Bob zauważył, że Gonzalesa nie ma na stanowisku.

— Gdzie jest pieprzony Gonzales? — pyta Bob ekipę, która rozładowuje właśnie świeżutki kontener, a chłopcy mu na to, że pewnie poszedł się odlać. Boba akurat przypiliło, więc idzie do kibla, żeby upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Otwiera drzwi do sracza, a tam Gonzales właśnie wykopuje spod siebie krzesło i zawisa na sznurze.

— Dynda tak i dynda, i gapi się na mnie, a ja na niego. O mało nie zesrałem się ze strachu. Nagle dotarło do mnie, że chłop zaraz umrze, no to dawaj do niego. Ale zanim zdążyłem podejść, sznur przywiązany do klatki wentylacyjnej pękł. Gonzales dupnął o posadzkę, poleżał chwilę, a potem wstał, otrzepał się, ściągnął sznur z szyi i wyszedł, jakby przed chwilą stawiał kreta, a nie właśnie próbował popełnić samobójstwo. Tym razem nawaliłem w gacie. — Tak opowiadał Bob.

Jakiś czas później Gonzales przeniósł się do nas, dwadzieścia mil na północ. A Bob niedługo potem zginął pod kontenerem pełnym konserw rybnych. Minęło prawie dziesięć lat. Gonzales każdego października przypominał o sobie, czy tego chciał, czy nie chciał.

Gonzales wybiega na drogę, wprost pod ciężarówkę. Samochód w ostatniej chwili omija go i zamiast rozwalić starego, wpada na idące prawidłowo poboczem dzieciaki i robi z nich kaszankę. Wszyscy giną na miejscu, kierowca też. Nikt nic nie widzi, więc skąd niby wiadomo, że pod ciężarówkę wbiegł Gonzales? Że w ogóle ktoś pod nią wbiegł? Babcia Jenny, biała jak kreda, zarzekała się, że wszystko widziała z kładki dla pieszych. Oczywiście nie zgłosiła tego na policji, ale do tej pory chodzi po mieście i rozpowiada, że była świadkiem. Babcia Jenny, mimo tego, że urodziła się na długo przed dinozaurami, wzrok nadal ma sokoli. Ale i tak nikt w nic jej nie wierzy, bo jest lekko świrnięta. W Gonzalesa próbującego potraktować ciężarówkę z główki też nie.

Stary Gonzales schodzi czasem ze swojej tajemnej kryjówki w kamienicy do sklepu Patricksona. Łysy jak kolano, postawny Patrickson sprzedaje głównie alkohol, poza tym niewiele ma do zaoferowania — trochę słodczy, papierosy i śmieciowe żarcie popakowane w folię. Tak opowiadał przy piwie:

— Stary przyszedł, jak co tydzień, w niedzielę przed południem, i jak zwykle

śmierdział jak skunks. Czy Gonzales kiedykolwiek używa wody? — zapytał retorycznie. — Nie wydaje mi się — odpowiedział sam sobie.

Nagle nie tylko czoło, ale cała biała, idealnie gładka głowa Patricksona pokryła się potem.

— Muszę się napić. — Pociągnął duży łyk budweisera i kontynuował: — Wtedy do sklepu wlaź ten świr. Zawsze wiedziałem, że z nim coś nie tak, ale żeby zaraz napadać na mój sklep? — Zaakcentował, jakby jego sklep był najważniejszym miejscem na Ziemi. — Pajac włożył kominiarkę na łeb, obniżył głos i myślał, że go nie poznam. Znam go od dzieciaka, jak każdy z was. Taka mała miejscina... Mickey to stuprocentowy imbecyl, ale wtedy miał dubeltówkę i nie za bardzo miałem ochotę mu tego powiedzieć. Mierzył z niej to do mnie, to do Gonzalesa. „Dawać szmal!”, krzyczy, a ja mu na to, że nie mam, bo i nie miałem — trochę bilonu w kasie, ot co. Niedziela była, chwila po otwarciu sklepu... No, imbecyl. „Dawaj forszę”, mówi, „bo ci odstrzelę łysy łeb! Albo nie! Najpierw zrobię ser szwajcarski ze starego!” „Nie wygłupiaj się, Mickey!”, powiedziałem, a wtedy ten idiota przestraszył się, że go rozpoznałem, upuścił strzelbę i zaczął uciekać, ale zamiast wyjść drzwiami, wpadł na szybę. Pierwszy raz widziałem coś takiego. Kawałki szkła powbijały mu się wszędzie, nawet w tę kominiarkę. Stałem tak nad Mickeyem i nie mogłem uwierzyć w to, co ten głupek zrobił. Nagle przypomniałem sobie o Gonzalesie. I o wystrzale. Młody upuścił strzelbę, a ta przy upadku wystrzeliła i trafiła Gonzalesa w nogę. Widzę, że nogawka tych jego brudnych, zielonych spodni przesiąka krwią i mówię: „Gonzales, żyjesz?”. A Gonzales żył. Powiedział, że to tylko draśnięcie, podziękował za zakupy i wyszedł jak zawsze. Strzelba Mickeya powinna odstrzelić mu nogę, a tymczasem stary nawet nie kuleje.

Dyskretnie zerkam w stronę Gonzalesa. Wolałbym nie napotkać jego wzroku.

— No, na co się gapisz?! Chcesz w zęby?! — Zawsze denerwuje się Gonzales i wstaje od stolika gotowy do bitki, a wiadomo, że nikt nie chce się bić ze starcem.

Lekko drży nu sucha dłoń, zanim chwyci butelkę. Gonzales nigdy nie pije z kufła. Patrzę, jak rusza się gardło starego, kiedy ten przelyka piwo, i przechodzą mnie dreszcze. Według moich rachunków to była czwarta śmierć Gonzalesa. Powinna być.

Parę lat temu Gonzales siedział na swoim miejscu, jak zwykle. Do pubu Jenkinsa weszło kilku rośłych łebków, hałaśliwych, bezczelnych i kompletnie zalanych. Z daleka czuć było od nich awanturę. Kiedy Gonzales dopił swoje piwo i poszedł się odlać, łebki zajęły jego stolik. Każdy z nich to był kawał bydlaka. Naszych było w środku dwa razy więcej, a i tak dało się wyczuć, że chłopaki niechętnie odpowiadaliby na zaczepki. Każdego interesowało tylko to, co robi stary. A stary, jak to on, wolno wrócił do swojego stolika i tak po prostu kazał łebkom wypierdalać. Tych na moment замуrowało, ale po chwili pustogłowi zaczęły rechotać. Gonzales powtórzył swoją „prośbę”, a kiedy to nie poskutkowało, zaczął wrzeszczeć. Jeden z byczków wstał i odsunął stół tak, że stojący na drugim jego końcu Gonzales dostał kantem w brzuch. To rozjuszyło szalonego Gonzalesa. Ze zdumieniem patrzyliśmy, jak stary dureń rzuca się na zaskoczonych niespodziewanym oporem byczorów.

Krew była wszędzie. W trakcie tej jatki jeden z łebków próbował ogolić Gonzalesa tulipanem. To cud, że stary nie wykrwawił się na śmierć. Wszyscyśmy byli nieźle porozbijani, ale właściwie ucieszyliśmy się, że spuściliśmy manto tym gościom. Teren obroniony. Gonzales jakimś fartem spędził tylko tydzień w szpitalu.

Patrzę teraz na to jego gardło, na którym świeci blizna.

— A ty co? Zakochałeś się w starym? — komentuje Gruby Jim.

— Spierdalaj, Jim — mówię tylko i wracam do analizowania.

Ostatnich kilka nocy spędziłem na próbach rozwikłania zagadki Gonzalesa, zapisywaniu przypadków jego możliwej śmierci, na sprawdzaniu dat. Stary witał się ze śmiercią zawsze w październiku.

Jak wtedy. Deszcz lał od kilku dni. Wiatr szarpał wszystkim, czym mógł. Nie

przeszkadzało nam to jednak odwiedzać knajpy Jenkinsa. Zresztą, u Jenkinsa było bezpiecznie jak w schronie. Pub znajdował się w piwnicy, był suchy i cichy. Niemal nie dochodziły do niego dźwięki z ulicy. Ale ten dźwięk usłyszeli wszyscy. Nieźle pieprzęło. Łamanie drewna, jęk giętej stali i krzyk kobiety. Poderwaliśmy się do wyjścia. W sekundę deszcz zrobił z nas mokre szmaty. Przez ścianę wody dostrzegliśmy samochód zaparkowany po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko przybytku Jenkinsa. Jego dach zmiądzony był przez słup, a linie wysokiego napięcia oplatały go jak wąż ofiarę.

— To chyba żona Stokesa! — krzyknął ktoś.

Tak, to była żona Stokesa. Widać, przyjechała po swojego pijaka, a ten zmył się do domu dosłownie dziesięć minut wcześniej. Ruszyliśmy w stronę auta, ale Tom w pewnej chwili kazał wszystkim stanąć. Jako jedyny pomyślał trzeźwo, mimo iż był równie wstawiony jak reszta. Wszędzie było mokro, a linie wysokiego napięcia z powalonych dwóch słupów, jednego z przodu, drugiego z tyłu samochodu, leżały tak na karoserii zdezelowanego forda, jak i na mokrym asfalcie. Nie mieliśmy pewności, czy podczas próby ratowania kobiety nie zostaniemy usmażeni. Zdążyłem zauważyć uśmiech na twarzy Gonzalesa, kiedy oderwał się od nas i wolno szedł w kierunku unieruchomionego samochodu. Zanim nadjechała straż pożarna, żona Stokesa i jej roczny synek zostali wyciągnięci z samochodu, kiedy tylko Gonzales upewnił się, że wokół jest bezpiecznie. Nikt z nas nie został tostem. Gdy wracaliśmy do środka, prowadząc z sobą kobietę z dzieckiem, coś mnie tknęło, żeby się odwrócić. Przez ścianę deszczu zobaczyłem Gonzalesa, który schylał się po przewód wysokiego napięcia. Błysk, tępy huk jak z pistoletu na kapiszony i woń spalenizny. Na szczęście zrobił to, kiedy kobieta była już w środku i nie musiała na to patrzeć. Chwilę potem przyjechała straż pożarna i karetka. Pochylałem się nad starym, a za moimi plecami już stali sanitariusze. Gonzales otworzył półprzysłone oczy, popatrzył na mnie, następnie przeniósł wzrok na sanitariuszy i momentalnie podniósł się z mokrego asfaltu.

— Uważajcie na przewody — powiedział cicho, odchodząc.

Mało kto w „przypadkach Gonzalesa” doszukiwał się czegoś niesamowitego. „Ot, ma chłop pecha i tyle!” — mawiali ludzie. Ale ja wiedziałem swoje. Wystarczyło tylko odrobinę się wysilić, żeby dostrzec pewne zależności. Gonzales niczego nie ukrywał, niczego nie utrudniał. Gonzales nawet to miał gdzieś. Wydawało się, jakby na coś czekał, w międzyczasie próbując „farta”.

To cholernie małe miasto. Jeśli żyjesz tu od urodzenia, znasz wszystkich, od żuli na ławkach do ludzi na stanowiskach.

Pamiętam, jak przyszedł do mnie Charles Banks, szef tego przybytku, gdzie zasował Gonzales, i pyta mnie, czy nie widziałem starego, bo już drugi dzień nie było go w pracy.

— Nie ma ci kto ciężarówek rozładowywać, Charles? — pytam.

— Niby ma kto, ale Gonzales jest dobry. Śmiga widlakiem jak ta lala — odpowiada Banks.

— Zadzwoń do niego.

— Gonzales nie ma telefonu.

— Czego ty właściwie chcesz? Skąd ja niby mam wiedzieć, gdzie jest Gonzales? Czy ja z nim dzieci mam, czy jak? — Byłem zły, gdyż w telewizji leciał akurat mój ulubiony serial, a ja miałem przygotowane piwo i przekąski. — Jedź do niego. Adres chyba masz?

— Słuchaj, bo...

— O, nie! Wiem, co kombinujesz, Charles. Możesz spadać. Idę oglądać serial!

No i pojechaliśmy. Wdrapaliśmy się na ostatnie piętro tej kamienicy, która wyglądała tak, jakby mieszkały w niej tylko szczury.

— Gonzales? Gonzales! — krzyczał Charles, jednocześnie pukając do drzwi. — Jasna cholera, właściwie jak on ma na imię? — powiedział do siebie. — Gonzales! Tu Banks!

Otworzyliśmy drzwi i weszliśmy do mieszkania starego.

— Śmierdzi Gonzalesem — stwierdził Charles.

Wnętrze wyglądało tak, jak powinno wyglądać mieszkanie starego kawalera. Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że Gonzales nie był kawalerem. No, może po części. To osobliwy i niewesoły rodzaj kawalerstwa.

— Gonzales! Gdzie jesteś? — darł się Charles.

Z Charlesa szef był surowy, ale w środku chłop był miękki. Martwił się o Gonzalesa.

Wszedłem do małego pokoiku, który okazał się sypialnią Meksykańca. Pościel na łóżku była rozwalona, szara i stara. W kącie stał telewizor. Obok barłogu znajdowała się szafeczka, a na niej stała tylko lampka i ramka ze zdjęciem. Fotografia przedstawiała kobietę, mężczyznę i chłopca, wszyscy byli uśmiechnięci, wyglądali na szczęśliwych. W mężczyźnie rozpoznałem Gonzalesa, choć wyglądał zupełnie inaczej bez licznych zmarszczek, z duszą w jasnych oczach, ze szczerym uśmiechem na ustach.

— Nie ma? — Usłyszałem za sobą głos Charlesa.

— Ni chu, chu... — odpowiedziałem.

Nazajutrz spotkałem się przy piwie z moim dobrym znajomkiem, Petem Robsonem, policjantem.

— Marlowe wyszedł z psem na spacer i znalazł gościa. Znaczący pies gościa znalazł. Stary Meksykaniec. Gonzalo, czy jakoś tak...

— Pies Meksykaniec?

— Pies znalazł Meksykańca! Gonzalo. Ten Meksykaniec nazywa się Gonzalo. Nazywa się, a prawie by się nazywał, w czasie przeszłym.

— Gonzales — poprawiłem Peta.

— No, Gonzales, chyba. W każdym razie ten Gonzalo mieszka przy Change Road, a znaleziono go na drugim końcu miasta, w parku.

Udawałem, że sprawa mnie nie obchodzi, że w ogóle nie wiem, kim jest „Gonzalo”, choć już wtedy powoli zaczynałem się interesować jego igraszkami z *la muerte*.

— Facet wygląda na sześćdziesiąt, sześćdziesiąt pięć, ale w rzeczywistości ma czterdzieści trzy lata. Żebyś ty go widział, kiedy go ładowali do karetki. Stłuczony na kwaśne jabłko. Nie wiadomo było, gdzie twarz, gdzie dupa. Ale będzie żył, wylize się.

I rzeczywiście, Gonzales się wylizał. Półtorej miesiąca później znowu jeździł widlakiem u Charlesa Banksa.

W mieście coraz głośniejsze mówiło się o pechu, jaki prześladował Gonzalesa. Ja zaś byłem przekonany, że jeśli to rzeczywiście jest pech, to ma on zupełnie inną naturę, niż powszechnie sądzono. Zastanawiałem się tylko, po co Gonzales to robi?

Trzy następne przypadki miały miejsce w ciągu trzech kolejnych lat, zawsze w październiku, zawsze w okolicy dziesiątej przed południem lub dwudziestej drugiej.

Pierwszy miał związek z lotem. Po co Gonzales chciał lecieć do Meksyku? Nie wiadomo. Ale to tak, jakby pytać Amerykanina, dlaczego chce wracać do Stanów. Stary wziął taksówkę. Jedyńm taksjarszem w mieście był Stanley.

— Ja myślałem, że Gonzales nie mówi! Choć ponoć niektórzy słyszeli... — powiedział Stanley.

— Przyjezdni zawsze słyszą Gonzalesa. Kiedy zajmą jego miejsce — zauważył Gruby Jim.

— No, ale kiedy było już prawie pewne, że spóźnimy się na lotnisko, Meksykaniec zwariował! Zaczął paplać, trochę po angielsku, trochę po hiszpańsku. Popędzał mnie, a ja nie mogłem zrobić. No, korki! A kiedy auto mi się rozkraczyło, zwyzywał mnie i tak trzasnął drzwiami, że myślałem, że mi się całkiem ten samochód rozleci.

Potem przez miesiąc trąbiono w telewizji o tym rozbitym samolocie. Nikt nie ocalał.

Następnego roku mrozy przyszły wyjątkowo szybko. Jakiś przechodzień wyłowił Gonzalesa spod lodu. Podobno stary nie był zbyt wdzięczny za uratowanie życia.

Wreszcie rok temu Gonzales podciął sobie żyły w wannie, ale pijany sąsiad pomylił mieszkania, znalazł Meksykańca i momentalnie otrzeźwiał, kiedy zadzwonił na pogotowie. Gonzalesa chciano nawet zamknąć w psychiatryku, ale koniec końców uznano, że nie ma takiej potrzeby.

I dziś, następnego października, Gonzales siedział na swoim stałym miejscu i jakby nigdy nic popijał piwo. Kiedy zerknąłem w stronę stolika, a jego tam już nie było, wiedziałem, że muszę go znaleźć.

— Gdzie idziesz? — pyta Parker, a ja mu na to, że odlać się.

Ale tego dnia to niebo odlewało się na całego.

Gonzalesa nie było ani w kiblu, ani nigdzie, więc wyszedłem na zewnątrz, żeby trochę zmoknąć. Wspiąłem się schodami przeciwpożarowymi na dach budynku, w którym mieściła się knajpa. Gonzales stał na krawędzi.

— Wracaj, stary wariacie — mówię, a on odwrócił się i popatrzył na mnie.

— Ty wiesz, prawda? — powiedział tylko chrapliwym głosem.

Wszystko, co mówił potem, pozornie wydawało się nie mieć sensu. Że żona i syn, że wypadek, że tęsknił. Że próbował popełnić samobójstwo, ale śmierć powiedziała mu, że to nie jego czas. Jego rodzina zginęła w wypadku samochodowym dziesiątego października. Tego samego tragicznego dnia Gonzales próbował odebrać sobie życie, ale nim zabrał się do dzieła, przeklął los i zwyzywał kostuchę, a ta podobno oznajmiła mu, że każdego roku Gonzales, czy chce, czy nie chce, będzie bezskutecznie próbował odebrać sobie życie.

— Każdy ma swój czas, powiedziała, i nie ty, głupcze, będziesz o tym decydował — charczał Gonzales, balansując na krawędzi. — I wiesz co? Dzisiaj mija dziesięć lat. Idę do żony i syna.

— Gonzales, chodź lepiej na piwo, ja stawiam — powiedziałem, starając się brzmieć pogodnie.

Podszedłem bliżej i wyciągnąłem do niego rękę. Deszcz spływał po mnie, szczypał w oczy.

— Masz rację — odparł i uśmiechnął się szeroko.

Odetchnąłem. Przymknąłem na chwilę powieki, a kiedy je otworzyłem, Gonzalesa już na dachu nie było.

Jednym susem doskoczyłem do krawędzi i spojrzałem w dół. Ciało Gonzalesa leżało na chodniku. Nagle stary poruszył się. Potem wstał. Zacząłem się śmiać.

— Widzisz, Gonzales? To nie twój czas! — krzyknąłem z góry.

— Oszukała mnie! Koścista suka, oszukała mnie! — Usłyszałem przez szum deszczu. Gonzales zatoczył się, upadł i już się nie podniósł, a ja przestałem się śmiać.

Dekalog '84

Paweł Naskręt

I. Nie będziesz miał bogów cudzych przede Mną

Codziennie miliony ludzkich kropli wyciekały z tysięcy identycznych, stupełtowych wieżowców mieszkalnych. Następnie skraplały się w człowiecze rzeki rozlewające się po trzewiach miasta. Spokojny i jednolity nurt płynął utrwalonym korytem i wsiąkał w te same biurowce.

Gdy wyszedłem z wypchanej windy, od razu zostałem porwany przez strumień jednakowo ubranych postaci — mężczyzn w wytartych sztruksowych marynarkach i kobiet w szarych sukienkach. Poranek był ciepły i słoneczny. Jak co dzień przywitał mnie podwieszony na słupie przed blokiem telebim. Dziś pokazywał wyświetlające się jedno po drugim hasła: POKÓJ, DOBROBYT, JEDNOŚĆ, okraszone wizerunkami uśmiechniętych

ludzi. Zjechałem po ruchomych schodach do stacji nr 2568. Mimo niedziałającej od lat klimatyzacji pod ziemią było chłodno i przyjemnie. Wepchałem się do wagonu i złapałem za pęknięty gumowy uchwyt. Nie było to potrzebne, bo ścisk powodował, że nawet gdy ktoś mdlał, to aż do następnej stacji tłum utrzymywał go w pozycji pionowej. Skład nie miał okien, toteż aby nie patrzeć nikomu w oczy i nie zostać oskarżonym o molestowanie, wszyscy spoglądali w kierunku monitorów, na których emitowano kronikę filmową. Zanim znalazłem wygodną pozycję, spojrzałem przelotnie w oko jednej z kamer i odniosłem wrażenie, że ono również skupiło się na mnie. Wzdrygnąłem się i w popłochu odszukałem ekran. Wyświetlano właśnie relację ze żniw. Automatyczne kombajny przemierzały bezkresne morze zbóż. Kobięcy głos wygłaszał z dumą informację o wzroście plonów. W przygnębieniu stwierdziłem, że od jesieni racje chleba pewnie znów zostaną zmniejszone.

Kątem oka dojrzałem, że jedna z pasażerek nie obserwuje z wystarczającym skupieniem nadawanych wiadomości. Od czasu do czasu zerkała pod nogi i wydawało mi się, że trzyma coś w ręce. Jakiś szósty zmysł podpowiedział jej, że ją obserwuję. Spojrzała w moim kierunku, uśmiechając się zawadiacko. Pociąg zatrzymał się właśnie na stacji pod Urzędem nr 107 i wysiadłem wraz z większością podróżnych. Na peronie próbowałem wyłowić spośród ludzkiego mrowia dziwnie zachowującą się kobietę. Znalazłem ją, gdy rozmawiała z dwójką roślących mężczyzn w czarnych garniturach. Wyglądała jakby się tłumaczyła. „Pokojowy Patrol”! — struchlałem i udałem się wprost do wyjścia. Wokół przewijała się jednobarwna ludzka masa, kompletnie niezainteresowana rozgrywającą się sceną. Po drodze rzuciłem jeszcze okiem na funkcjonariuszy i aresztowaną. Jeden z mężczyzn zaczął ją przeszukiwać i z kieszeni jej płaszcza wyciągnął prostokątny przedmiot. Nie od razu go rozpoznałem, bo nie widziałem czegoś takiego od czasu objawienia się Kreatora. Dopiero po chwili zrozumiałem, że była to książka. Prawdziwa książka! Ich posiadanie było zakazane i groziła za to surowa kara. Jedynym legalnym źródłem informacji były objawienia Kreatora przekazywane przez wszędobylskie ekrany.

Stróże prawa wyprowadzili kobietę w nieznanym kierunku. Byłem pewien, że już jej nigdy nie zobaczę.

II. Nie będziesz brał imienia Kreatora nadaremno

Pomieszczenia biurowe w urzędach były wielkimi, bezokiennymi halami podzielonymi na małe boksy, w których siedzieli kanceliści i rachmistrze. Pawilon, oświetlony mdłym światłem, przypominał kurnik z kronik filmowych. Zasadnicza różnica polegała na tym, że kurniki, jak i cała produkcja rolna, zostały zautomatyzowane, a pracę biurową wykonywano ręcznie. Jedynymi maszynami były liczydła i dziurkacze.

Do moich zadań należało uzupełnianie tabel. Wpisywałem w odpowiednie pola liczby oznaczające dzienną produkcję różnych artykułów przemysłowych. Wypełnione arkusze wrzucałem do tuby przesyłowej na sprężone powietrze, nie interesował mnie ich dalszy los.

Akurat wypadało Święto Zjednoczenia i z tego powodu skrócono czas pracy, abyśmy mogli punktualnie dotrzeć na miejsce uroczystości. Sztywna zwykle atmosfera w tym wyjątkowym dniu trochę się rozluźniła. Niektórzy pozwalali sobie nawet na niezobowiązujące pogaduszki.

— Piękny mamy dziś dzień, nieprawdaż? — Z sąsiedniego boksu wychyliło się ku mnie piegowate lico rudowłosego chłopaka. Zdziwiłem się, bo do tej pory urzędował tam pan Rodgers. Nie był na tyle stary, aby przejść na emeryturę, a w związku z niezbyt szczęśliwym pochodzeniem szczytem jego kariery pozostało stanowisko młodszego rachmistrza.

— Tak, rzeczywiście — odparłem zaskoczony, bo nie wiedziałem, czy chodzi mu o pogodę, czy o przypadającą okrągłą, trzydziestą rocznicę rewolucji. Chłopak uśmiechnął się do mnie przyjaźnie.

— Nie mieliśmy okazji się jeszcze poznać. — Wyciągnął w moim kierunku chudą dłoń o długich palcach. — Nazywam się Charrington.

— Miło mi, Smith — przedstawiłem się. Rękę miał zimną i jakby oślizgłą. Szybko zabrałem swoją i skrycie potarłem wierzchem dłoni o spodnie, chcąc zetrzeć nieistniejący śluz. — Pan w zastępstwie pana Rodgersa czy na stałe? — zapytałem, a po sekundzie pożałowałem, że nie ugryzłem się w język, bo takie próby sondowania mogły się dla mnie nieprzyjemnie skończyć.

— To pan nie wie? — Do rozmowy włączyła się dziewczyna, która pełniła obowiązki wewnętrznego kuriera, rozwożąc skrzypiącym wózkiem dokumenty i pocztę. Z racji swojej mobilności była jedną z najlepiej poinformowanych osób w urzędzie. — Awansował na kierownika w Biurze Dostaw Rolnych.

— Doprawdy? — Szczerze się zdziwiłem.

— Doniósł na dotychczasowego kierownika za to, że tamten fałszował raporty.

— Przecież kreatywna księgowość nie jest karana — zdziwił się nowy.

— No tak, ale on naginał dane nie w tę stronę, co powinien — dodała ściszym głosem dziewczyna.

— Zaniżał? Po co? — dopytywałem dalej.

— Powołując się na swoje stanowisko, z imieniem Kreatora na ustach, kradł nadwyżki, które wykreślił z protokołów — odparła formalnie.

— Ile tego mogło być? — rudy ciągnął za język nieostrożną dziewczuchę, czym mógł zaszkodzić całej naszej trójce.

— Udowodniono mu przywłaszczenie dziesięciu kurzych jaj i trzech kielbas — wyszeptła.

III. Pamiętaj, abys dzień święty święcił

Ludzkie morze rozlało się aż po horyzont. Zadarte do góry głowy, ramię przy ramieniu, na karku wyczuwało się gorący oddech stojącego z tyłu współuczestnika. Miało się wrażenie, że jednostki, niczym pojedyncze komórki, scaliły się w jeden organizm. Stałem tak, otoczony przeważnie znajomymi z pracy, choć co to za znajomi, skoro nigdy nie poznałem ich imion. Z odległości kilometra nie sposób było dojrzeć szczegółów ustawionej na błoniach trybuny honorowej, więc większość z obecnych od czasu do czasu zerknęła na wielkie telebimy wyświetlające obraz podium. Trybuna, oddzielona od ludu czteropasmową autostradą oraz barierkami i zasiekami z drutu kolczastego, nawet pusta, zdawała się wręcz emanować mistyczną wszechpotęgą. Ozdobiona geometrycznymi wzorami, miała sprawiać wrażenie prostoty, ale swoim ogromem wzbudzała podziw i zarazem respekt. Audytorium mrucało pojedynczymi szeptami połączonymi w jeden donośny gwar. Uważać na to, co i do kogo się mówi, było sprawą naturalną, ponieważ agentów i czujnych, społecznie świadomych konfidentów nie brakowało.

Pierwsze akordy hymnu uciszyły wszelkie poszeptywania. Głośniki drgały spazmatycznie, rozwibrowane tysiącami decybeli. Powietrze przeszyły podobne gromom dźwięki trąb, do których dołączyły instrumenty smyczkowe ze swym piskiem przypominającym dźwięk hamującego awaryjnie pociągu. Rozległ się taki jazgot, że nie byłem w stanie rozróżnić pojedynczych nut, choć utwór znałem na pamięć. Wszyscy słuchacze tego odtwarzanego po raz tysięczny koncertu wyprężyli się w postawie zasadniczej. Wszędobylskie kamery, prócz oczywistego rejestrowania prób zakłócania porządku, nagrywały wzruszone twarze. Najbardziej podekscytowane pokazywano później w kronikach.

Muzyka ucichła, a na podium ukazał się on — Kreator. Nastąpiła chwila niczym niezmaconej ciszy, po czym milionowa ciżba wybuchła nieokiełznanym, dzikim aplauzem. Wyglądało to jak zawody na okrzyki i wiwaty — kto mocniej, kto głośniej. Kobiety w pierwszych rzędach, prawdopodobnie zaufane pracownice rządowej administracji, mdlały teatralnie. Niekończąca się ekstaza zdawała się być szczerym wybuchem miłości do umiłowanego przywódcy, kreatora Nowego Świata, wolnego od wojen, przemocy i głodu.

Ja również dałem się porwać tej na pozór spontanicznej euforii. Machałem ręką,

dopóki mi nie zdrętwiała i krzychałem tak długo, aż nie zapiekło mnie w gardle. W moim ciele rozlała się fala ciepła i poczułem się szczęśliwy. Grupa daje poczucie bezpieczeństwa i słuszności sprawy — a co dopiero kilkumilionowy kolektyw. Chodziły oczywiście plotki, że to nieracjonalne ludzkie zachowanie intensyfikowane było za pomocą rozpylanych w powietrzu gazów, ale w tym momencie nic mnie to nie obchodziło.

IV. Czcij Kreatora swego jak ojca i matkę swoją

Kreator podniósł do góry dłonie, chcąc uciszyć rozentuzjzmowanych wielbicieli. Tumult powoli cichnął. Na ekranach ukazało się zbliżenie sylwetki drobnego mężczyzny, niczym nieróżniącego się od typowego urzędnika niższego szczebla. Taka sama sztruksowa marynarka i szara koszula jak u milionów innych. Zaczesane na łysinę kosmyki przetłuszczonych siwych włosów, okulary w drucianych oprawkach — cechy, które trudno byłoby łączyć z kimś, kto dokonał rewolucji, zniósł system ucisku, zamieniając go na układ oparty na pełnej sprawiedliwości społecznej, i od trzydziestu zgoła lat stał na czele światowego supermocarstwa.

— Obywatele! — odezwał się Kreator, a jego głos zelektryzował fanatycznych wyznawców i odnosiło się wrażenie, że należał do olbrzyma — był stanowczy i doniosły. Wydawało się, że mówca mógł obyć się bez mikrofonu i setek głośników, a jego przekaz i tak dotarłby do ostatnich rzędów. Całkowicie nie korespondowało to z jego mikrą posturą. Po latach okazało się, że przemowy były wcześniej nagrywane przez aktorów, ale wtedy wszyscy w skupieniu i z nabożną czcią słuchali elektryzujących mów. Prawie wszyscy.

Do dziś nie potrafię pojąć jak to się mogło stać. Przedstawienie było przecież doskonale wyreżyserowane i zabezpieczone. Jak w takim razie opozycjonistom z Ligi Wolności udało się wnieść i rozpiąć transparent z wywrotowym hasłem? Incydent może i zostałby zatuszowany przez władzę, ale zbyt agresywna reakcja funkcjonariuszy Pokojowego Patrolu spowodowała niemożliwe do opanowania implikacje.

Krótką szarpanina gdzieś pośrodku tłumy nikogo by nie obeszła, ale niekontrolowane spryskanie gazem pieprzowym i nieautoryzowane użycie broni palnej spowodowało lawinę niespodziewanych zajść. Znalazłem się niedaleko miejsca zdarzenia, więc widziałem wszystko na własne oczy. Stojący najbliżej zaczęli w panice przepychać się jak najdalej od strzelaniny, zapoczątkowując tym samym efekt domina. Ktoś krzyknął: „Ludzi gazują!”, inny dodał: „Strzelają do nas!”, ktoś kolejny: „Uciekajcie!”. Niezorganizowana masa zaczęła napierać na siebie, ludzie mdleli, padali tratowani lub najzwyczajniej w świecie zostawali uduszeni. Ktoś szarpnął mnie za ramię, odrywając rękaw marynarki. Tłuszcioch przede mną zbyt wolno przebierał krótkimi nóżkami, toteż po chwili nie wytrzymał nacisku na plecy i padł na okrągły brzuch. Chciałem go przeskoczyć, ale pchany z tyłu nie miałem czasu na rozpęd i nadepnąłem biedakowi na rękę. Ofiary zajść na Placu Defilad liczone później w tysiącach zabitych i dziesiątkach tysięcy rannych. Odwody służb zabezpieczających nie dały rady opanować zdeorientowanej ludzkiej lawiny, która rozlała się na ulice miasta.

V. Nie zabijaj

Przy udziale wielkiej dozy szczęścia udało mi się wydostać z błoni bez szwanku. Tłum porwał mnie na ulice miasta. Połączona dotychczas podległością wobec przywódcy i systemu, który reprezentował, a teraz zjednoczona w amoku rewanzu i wyrównania krzywd, rzesza rozkrzyczanych gardeł i zaciśniętych pięści zaczęła atakować funkcjonariuszy, demolować i podpalać urzędy. Sam chwytalem wyrwane z bruku kostki i rzucałem nimi w opancerzonych policjantów z prewencji. Na sztandarach wywieszono kolejne hasła jak „Chleba i Wolności” czy „Dość Niewoli”. Próby grabienia sklepów spęzły na niczym, bo te okazały się puste. Ktoś próbował zapanować nad zamętem i zaczęto stawiać barykady. W przypływie nieracjonalnego entuzjazmu pomagałem układać w stosy betonowe płyty wyrwane z chodników. Ktoś przyniósł herbatę. Biesiadna atmosfera wyparowała w momencie pojawienia się oddziałów armii. Piechota poruszała się w asyście wozów opancerzonych,

przechesując ulice i pacyfikując buntowników. Gdy służby dotarły do szańca, którego obsady byłem członkiem, część jednodniowych bojowników pierzchła. Wśród pozostałych na miejscu była młoda dziewczyna w wojskowej bluzie z naszywką z symbolem Ligi Wolności. Jej twarz wydała mi się znajoma i po chwili rozpoznałem w niej kobietę z metra.

— Przygotuj się — powiedziała do mnie i wcisnęła mi w ręce szklaną butelkę. Z szyjki wystawała szmata. Przez szpary w zaporze dostrzegłem zbliżającą się kolumnę wojska. Dziewczyna podpaliła materiał i krzyknęła:

— Rzucaj!

Zielona butelka poszybowała w górę i rozbiła się na dachu wojskowego jeepa. Ciecz momentalnie zapłonęła i dostała się do środka pojazdu. Z wnętrza wyskoczyły dwie postacie, przypominające żywe pochodnie. Biegały wśród oniemiałych szeregowców, krzycząc coś, po czym jedna po drugiej padły na jezdnię. Kilku wojaków zaczęło gasić palące się ciała wydobytą z drugiego pojazdu gaśnicą. O barykadę zadudniły wystrzelone w naszą stronę pociski. Wszyscy skulili się instynktownie. Tylko ja stałem jak sparaliżowany, nie mogąc zinterpretować rozgrywających się jakby obok mnie wydarzeń. W rękę wciąż trzymałem butelkę z zapalonym szmacianym lontem. Odrzuciłem ją instynktownie przed siebie. Rozbiła się na asfalcie, wzniesząc pióropusz płomieni, który jednak nie zrobił nikomu krzywdy.

— Spadamy! — nieznajoma szarpnęła mnie za kołnierz i pociągnęła za sobą.

VI. Nie cudzołóz

Biegliśmy przez ciemne ulice pełne pogrążonego w amoku, zdziczałego tłumu. Prąd został wyłączony w kilku dzielnicach miasta i jedynym źródłem światła były płonące śmietniki. Gdzieś z oddali dochodziły przytłumione odgłosy wystrzałów i wycie syren. Podążałem krok w krok za swoją przewodniczką niczym nierozumny cień. Dziewczyna ani razu nie obejrzała się do tyłu i pewnie wcale nie przejęłaby się, gdybym ją zgubił, a może nawet by tego nie zauważyła.

Skreśliśmy w wąski zaułek przypominający kotlinę wyłobioną przez rzekę w ciągu milionów lat. Metrowej szerokości deptak ogrodzony był nieotynkowanymi ścianami bloków mieszkalnych zbudowanych z betonowych prefabrykatów. Minęliśmy dopalający się kubel i zbiegliśmy w dół po metalowych schodkach, które prowadziły do drzwi znajdujących się na poziomie piwnicy. Dziewczyna chwilę przewracała w palcach wielki pęk kluczy, aż w końcu znalazła właściwy i otworzyła odrzwia.

— Dla zmylenia przeciwnika, gdyby klucze wpadły w niepowołane ręce — powiedziała, dostrzegając moje zniecierpliwienie na widok metalowego zwoju.

Wewnątrz zapaliła kilka świec, które nie były jednak w stanie do końca rozprościć ciemności. Centralne miejsce na podłodze zajmowała sporych rozmiarów maszyna drukarska, wokół wałały się kartki papieru. Podniosłem jedną — były to ulotki Ligi Wolności.

Dysydentka wyciągnęła z jednej z szafek zieloną butelkę, którą odkorkowała i upiła z niej spory łyk.

— Trzymaj. — Odkasznęła, podając mi flaszkę. Powąchałem wylot szyjki i aż się wzdrygnąłem. — To jest do picia, a nie do wążania — zganiła mnie. Z powodu wprowadzonej przez Kreatora prohibicji nie piłem alkoholu od trzydziestu lat. Ostrożnie łyknąłem niewielką ilość mętnej cieczy. Trunek smakował paskudnie i był straszliwie mocny albo to ja po prostu się odzwyczaiłem.

— Gdzie się podziały moje maniery? — dziewczyna uśmiechnęła się szeroko i wygrzebała dwie brudne szklanki, które zaraz napełniła.

— Julia — uniosła szkło.

— Winston — stuknęliśmy się musztardówkami.

Gdy butelka była już prawie pusta, szumiało mi w głowie. Rozmawialiśmy ze sobą tak swobodnie, jakbyśmy znali się całe życie

— To był dobry dzień — powiedziała. — Czuję, że zaczęło się coś wielkiego, że

ludzie w końcu zrozumieli — popatrzyła mi głęboko w oczy. Nic nie odpowiedziałem. Nie byłem przekonany, czy dzisiejsze zajścia coś zmienią, a nie chciałem zepsuć tej chwili. Przysunęła się bliżej. Czuję jej oddech. Zaprawiony alkoholem pachniał słodko, owocowo.

VII. Nie kradnij

Drzwi schowka otworzyły się z hukiem i do środka wpadła grupa mężczyzn i kobiet o brudnych od sadzy obliczach. Nie od razu rozpoznałem Charringtona.

— Pan tutaj? — zdziwiłem się.

— Słyszałem, co się stało na barykadzie. — Ten od razu mnie spostrzegł, podszedł i uściśnął dłoń. — Całe miasto tylko o tym mówi. Jest pan bohaterem!

— Ja? bohaterem? — Przypomniała mi się sytuacja z butelką benzyny i płonącym samochodem. Wytrzeźwiałem w jednej chwili. Popularność tego rodzaju, w przypadku upadku rebelii, nie była bynajmniej pożądana. Miałem zamiar wybrnąć z niezręcznej dla mnie sytuacji, ale wypadki potoczyły się swoim torem.

— Poznajcie pana Winstona Smitha — Charrington objął mnie ramieniem i zwrócił się do zgromadzonych. „Skąd znał moje imię?” — przyszło mi do głowy, bo nigdy mu się nie przedstawiłem. — Jego nieustraszona postawa w obliczu wroga wlała w serca rebeliantów odwagę i waleczność. Gdyby nie on, już dawno zgnieliby nas jak pluskwy! — perorował dalej, a moje policzki oblały się rumieńcem. Znow chciałem protestować, ale zgromadzeni wokół ludzkie zaczęli mi gratulować.

— Niech żyje Smith!

— Smith na przywódcę!

Mimo początkowych obiekcji dałem się ponieść entuzjazmowi i w tej jednej, jedynej chwili rzeczywiście uwierzyłem w swoją legendę.

VIII. Nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu

Pałac Sprawiedliwości oszałamiał z zewnątrz swoją monumentalnością, a wewnątrz przytłaczał wysokim na trzy metry sufitem i dwumetrowymi oknami. Gdy tylko przekroczyłem jego próg, ulotniła się gdzieś buzująca mnie energia i poczułem się jak mała mrówka, która wspina się po trąbie słonia.

— Po każdej walce przychodzi czas na negocjacje pokojowe — powiedział Charrington. — To udziałem naszej trójki — wskazał na drepczącego za nami otyłego Toma Parsoma — jest zaszczyt reprezentowania społeczeństwa przed władzą, a zarazem ciężar obrony jego interesów — mówił z pełną powagą.

Ściskałem w spoconych dłoniach dziesięciopunktowy manifest, który miałem przedstawić reprezentantom władzy. Pośladki zdrętwiały mi już od siedzenia na twardym taborecie. Z konsternacją stwierdziłem, że nawet w pracy mieliśmy wygodniejsze siedziska. Charrington stał wpatrzony w okno, natomiast Parsom wyciągnął ze sfatygowanej aktówki kanapki i kielbasę, które pożerał, wzbudzając we mnie odruch wymiotny. Osobnik ten był naszym doradcą i jednocześnie reprezentował środowisko naukowe, choć w moim mniemaniu uchodził za skończonego kretyna.

Wreszcie otworzyły się drewniane drzwi i weszliśmy do sali konferencyjnej. Przywitał nas urzędnik, który przedstawił się jako O'Brien. Szczególną wylewność okazał Charringtonowi, którego uściśkał po przyjacielsku i skrycie szepnął mu coś na ucho. Ku mojemu zdumieniu okazał się jedynym parlamentariuszem obozu władzy.

— Panowie, bez zbędnych ceregieli przejdźmy do konkretów — zaczął O'Brien.

— Oczywiście — poparł go Charrington. — Co pan proponuje?

— Kreator zgodził się na podział władzy. — O'Brien stukał nerwowo palcami o blat i wyglądał jakby się gdzieś spieszył, a nasza rozmowa była dla niego tylko przykrym obowiązkiem. — Utworzymy parlament, w którym zajmiemy siedemdziesiąt procent miejsc, a reszta będzie do obsadzenia w drodze wyborów. — Usłyszawszy te słowa, chciałem zaprotestować, ale Charrington powstrzymał mnie stanowczym gestem.

— Uważamy, że jest to uczciwa propozycja — poparł go milczący do tej pory Parsom.

— Kreator musi odejść! — Nie wytrzymałem i wyrzuciłem z siebie to, o czym mówiła ulica, a przecież uważałem się za jej reprezentanta. — Nasze postulaty. — Rzuciłem dokument na stół.

— Spokojnie, nie wszystko na raz — przerwał mi O'Brien. — Panie Charrington, proszę poskromić swojego kolegę i przypomnieć mu, na czym polegają rokowania. — Charrington, niczym tresowany piesek, wykonał polecenie i wyprowadził mnie z pokoju przytrzymując za łokieć. Nie miałem odwagi stawiać oporu. Sytuacja widocznie przerosła moje kompetencje.

— Wszystko zniszczysz! — powiedział do mnie na korytarzu. — Pamiętaj, komu zawdzięczasz swoją pozycję, i daj pracować zawodowcom. — Rudowłosy zatrzasnął za sobą drzwi i zostawił mnie zdezorientowanego w przepastnym hallu.

— Zwycięstwo! — ogłosił Charrington triumfalnie.

— Mamy to — dodał uśmiechnięty Parsom.

— Kreator zrezygnuje? — spytałem z nadzieją.

— I na to przyjdzie czas — odpowiedział. — Na początek wywalczyliśmy elekcyjność czterdziestu dziewięciu miejsc w parlamencie.

— Musisz, Winstonie, ogłosić tę nowinę — zwrócił się do mnie Charrington. — Tu masz tekst przemówienia. — Podał mi zapisaną kartkę. Przeczytałem szybko treść.

— Ale tu nie ma nic o naszych postulatach? Gdzie prawo do strajków, wolność słowa? — oburzyłem się. — I co oznacza to, że przeszłość odkreślamy grubą linią?

— Ogłosisz to — odparł szorstko, tonem nieznoszącym sprzeciwu.

IX. Nie požądaj żony bliźniego swego

Wybierałem się właśnie na posiedzenie zarządu zalegalizowanej Ligi Wolności, której zostałem przewodniczącym. Ubrałem się w najlepszy garnitur i spryskałem najprzedniejszą wodą kolońską. Wszystkie te starania miały na celu zaimponować Julii — dziewczynie, od której wszystko się zaczęło. Postarałem się nawet o zarezerwowanie stolika w modnej, nowo otwartej restauracji, do której chciałem ją zaprosić.

— Samochód czeka — odezwał się stojący w rogu pokoju mój osobisty kierowca. Nazywał się Shadow i to nazwisko pasowało do jego roli jak ulał. Został mi polecony przez Charringtona i to musiało wystarczyć za gwarancję jego profesjonalizmu. W jednej z prywatnych rozmów przyznał, że widział nagranie z wydarzeń na barykadzie. Uspokoił mnie jednak, że taśmy są w dobrych rękach i nigdy nie wypłyną. Dodatkowo szofer okazał się bardzo dobrze poruszać w meandrach polityki, toteż jego rady okazywały się często bezcenne i z wiadomych względów nie sposób było pozostać na nie głuchym.

Stała przed drzwiami nowej siedziby Ligi i paliła papierosa. Moro zastąpiła gustowną garsonką, na stopy założyła błyszczące lakierki, a koński ogon ustąpił miejsca wysoko upiętemu kokowi. Wyglądała na kobietę świadomą swojej wartości i zdeterminowaną w osiągnięciu wyznaczonych celów.

— Julio, jak dobrze cię widzieć. — Przywitałem się, delikatnie cmokając w wypudrowany policzek. Pachniała polnymi kwiatami i wiatrem.

— Cześć, Winston — odparła chłodno, czym przygasiła mój początkowy zapał. Nie poddawałem się jednak.

— Chciałem cię spytać... — zacząłem nieśmiało, ale w pół słowa przerwał mi Charrington, który wyrósł między nami jak spod ziemi.

— Dobrze, że już jesteście! — Rudzielec wręcz promieniował radosnym nastrojem. Podeszedł do Julii, objął ją w pasie i pocałował w usta. Obserwowałem tę scenę jak spetryfikowany. — Winstonie — spojrzał na mnie czarnymi jak piekielna smoła oczami i nawet na chwilę nie przestał obściskiwać dziewczyny — chcielibyśmy zaprosić cię na nasze

przyjęcie zaręczynowe dziś wieczór. — Julia potwierdziła skinieniem głowy.

— Oczywiście, przyjdę — odpowiedziałem apatycznie.

— Chciałeś mnie o coś zapytać? — zagadnęła Julia, gdy Charrington odszedł w kierunku grupy delegatów.

— Nie, już nie. — Zmusiłem się do uśmiechu.

X. Ani żadnej rzeczy, która jego jest

Śmierć Kreatora stała się okazją do nowych wybuchów niezadowolenia społecznego. Pan Shadow wyjaśnił mi, że masowe protesty i marsze organizowane były przez ekstremę, która chciała wciągnąć kraj w otchłań krwawych rozliczeń i uspokoił, że sytuacja jest już pod kontrolą.

Choć byłem chodzącym symbolem dokonujących się zmian, to jednak czułem się odsunięty od głównego nurtu toczącej się rozgrywki. Do czasu, aż do moich drzwi zapukała dwójka brodatych mężczyzn i młoda kobieta, wszyscy w wojskowych bluzach takich samych jak ta, którą miała na sobie Julia w dniu, kiedy ją poznałem. Przedstawili się jako reprezentacja Ligi Wolności — Frakcji Rewolucyjnej. Zaproponowali mi objęcie funkcji lidera i poprosili o pomoc w całkowitym odsunięciu reprezentantów poprzedniego systemu.

Wreszcie poczułem się doceniony, w końcu miałem szansę odegrać pierwszoplanową rolę i przestać być marionetką, której sznurki pociągane są przez innych. Z radością i ulgą przyjąłem ofertę. Umówiliśmy się, że pojawię się przed bramą stołecznego uniwersytetu, który był centrum protestów, i wygłoszę oświadczenie.

Postawiłem kołnierz prochowca i zasłoniłem twarz szerokim rondem głęboko naciągniętego kapelusza. Wyszedłem na zwykle gwarną główną ulicę miasta. Nie zwracałem uwagi na to, że wszyscy przechodnie przystanęli i obserwowali miejskie telebimy.

Dotarłem pod uczelnię. Tam również zastałem skupiony i niemy tłum. Zadarłem do góry głowę i zerknąłem na ekran, który wyświetlał nagranie z barykady! Odtwarzano moment, w którym stoję z trzymaną w ręce butelką. Operator dokonał zbliżenia na moją twarz. Ktoś stojący za mną cisnął płonącym pociskiem. Po chwili został przeszyty serią z automatu i padł martwy. Znów przybliżenie na mnie — zdeorientowanego i przerażonego. Zapętłona scena powtarzała się w kółko.

Ludzie strusie

Agnieszka Żak

Dziś oficjalnie zakończono budowę tamy Kariba. Wiadomość ta przyniosła mi ulgę, choć nie rozwiała obaw co do dalszych losów tego potężnego przedsięwzięcia. Ponad osiemdziesięciu ludzi straciło życie w trakcie prac i przewiduję, iż na tym się nie skończy. Ja sam omal nie padłem ofiarą gniewnych mocy, których działania nie potrafię wyjaśnić. Widziałem rzeczy zbyt niesamowite, by móc o nich zapomnieć, dlatego zdecydowałem się spisać swoją historię, nawet jeśli nikt, kto ją przeczyta, mi nie uwierzy.

Piszę te słowa, trzymając pióro w jednej dłoni — pięć palców — a papier przytrzymując drugą — również pięć. Razem dziesięć. Jak powszechnie wiadomo, budowa dłoni, razem z postawą wyprostowaną i dużym mózgiem, zadecydowały o dominującej roli naszego gatunku. Przeciwny kciuk, długość palców, proporcje i precyzja chwytu pozwoliły nam na korzystanie z narzędzi. Dziesięć wydaje się liczbą idealną, zgrabną, symbolicznie zaznaczającą perfekcję ludzkiej formy i będącą dowodem na doskonałość boskiego stworzenia. Człowiek zdaje się nie potrzebować ani mniej, ani więcej palców. To samo dotyczy stóp — dziesięć nie tylko buduje harmonię z górnymi kończynami, ale też umożliwia chodzenie, bieganie, utrzymywanie równowagi.

Czyż w końcu nie współczujemy ludziom, którzy stracili palce? Czy nie ogarnia nas

smutek na myśl, jak muszą radzić sobie bez nich i czy nie podziwiamy ich, gdy są w stanie wciąż chwycić przedmioty lub biegać? Przede wszystkim jednak — czy nie odwracamy od nich wzroku, a gdy już musimy spojrzeć na ich okaleczone dłonie lub stopy, robimy to z niechęcią, odczuwając głęboki dyskomfort? Nie ma w tym nic niewłaściwego — w końcu, jak już ustaliliśmy, dziesięć jest liczbą dla palców idealną, a to, co idealne, jest miłe dla oka.

Patrząc jednak na własne dłonie, nie mogę pozbyć się wrażenia, że dziesięć palców to rozrzutność. Dostaliśmy więcej, niż nam się należało. Bóg nas rozpieścił — udowadnia to cud, który uratował mi życie.

Działo się to w styczniu 1957 roku, zaczynajmy jednak od samego początku. Prace nad tamą Kariba na rzece Zambezi, rozdzielającej Zambię i Zimbabwe, trwały od dwóch lat. Od pierwszych dni budowie towarzyszył pech — konflikty z tubylcami, wypadki, ulewne deszcze i powodzie. Zamieszkujące te tereny plemię Tonga, na którym wymusiliśmy przesiedlenie, ostrzegало nas przez Nyaminyami, bogiem-wężem. Tonga, pakując swój dobytek, wykazywali niezachwianą wiarę, że ich bóstwo nigdy nie pozwoliłoby ukończyć budowy, gdyż ta uniemożliwiłaby mu swobodne przemieszczanie się wodnym szlakiem i spotkania z ukochaną żoną w górze rzeki. Żyli w przekonaniu, że przenosiny były tylko tymczasowe i za parę lat powrócą na dawne ziemie, gdy Nyaminyami pozbędzie się obcych. Ale my uważaliśmy się oczywiście za ludzi oświeconych i inteligentnych, nie chcieliśmy wierzyć w przesady.

Zaledwie kilka miesięcy po starcie prac przyszła pierwsza powódź. Woda uderzyła z zaskakującą siłą, wymywając fundamenty i niszcząc most pontonowy. Uszkodzenia oczywiście rozżłościły kierownictwo, bo oznaczały stratę czasu i pieniędzy, jednak wśród robotników co innego wzbudziło niepokój. Po tym, jak woda opadła, jej poziom znów się podniósł. Dziwne zmiany wysokości utrzymywały się przez pewien czas. Nikt wcześniej nie widział takiego zjawiska na rzece Zambezi i nie potrafił go wyjaśnić. Wkrótce pojawiło się więcej dowodów na działalność rzeczno-bóstwa — u stóp wielkiej skały wyrastającej z brzegu pobliskiego jeziora znaleziono ciało jednego z budowlańców. Mężczyzna utonął i szybko ustalono, że był to nieszczęśliwy wypadek. Jednak plemię Tonga wiedziało lepiej — skała, przy której wypłynęło ciało, nazywała się Kariwa, co w ich języku oznaczało „pułapkę”. Według legendy to właśnie tam mieszkał Nyaminyami.

Sam nie słuchałem ani ostrzeżeń Tonga, ani podszytych lękiem plotek krążących wśród współpracowników. Wiarę w pogańskie bóstwa uważałem za bluźnierstwo. Wszystkie wydarzenia potrafiłem wyjaśnić albo zjawiskami pogodowymi, albo nieostrożnością i pośpiechem, albo wolą bożą. Nie sądziłem jednak, by Bogu nasza praca była niemiła. Jeśli już coś Go obrażało, to właśnie przekonanie co niektórych budowniczych, że nadprzyrodzona istota zamieszkuje w rzece. Kontynuowałem pracę pewien, że to tylko zła pogoda uniemożliwia dotrzymanie terminów. Tymczasem pod skałą Kariwa znaleziono kolejne ciało. Ci, którzy poszli je wyłowić, mówili, że widzieli czerwony, wijący ślad na tafli jeziora — wyraźny znak obecności Nyaminyami.

Pracowaliśmy wytrwale, mimo głosów zwątpienia i protestów wśród załogi, ale wkrótce dopadło nas kolejne nieszczęście. W 1956 roku pora deszczowa przyszła miesiąc wcześniej, niż zapowiadano. Ściana deszczu okazała się tak potężna, że gdybym spróbował unieść w górę rękę, opór wody byłby zbyt mocny, bym mógł to zrobić. A nawet gdyby mi się udało, nie zobaczyłbym własnej wyciągniętej do przodu dłoni. Rzeka wezbrała z dziką energią, zalewając budowę.

Męczyliśmy się z deszczem kilka miesięcy. Woda bezustannie podchodziła pod fundamenty, padało bez przerwy. Ciągłe dochodziło do wypadków. W dzień, w którym Nyaminyami zdecydował się na ostateczne ostrzeżenie, pracowałem po wschodniej stronie tamy. Krzyczałem właśnie do podwładnego, próbując mu coś wyjaśnić, gdy ogarnęło mnie nagłe uczucie spokoju. Przez chwilę myślałem, że nasze kłopoty właśnie się kończą. Wiatr na

moment ucichł i spojrzałem w niebo w nadziei na promień słońca, tak silne było to wrażenie.

Jedynym, co zobaczyłem, była woda. Spieniona, czarna masa, niosąca ze sobą połamane gałęzie, kamienie, potopione zwierzęce truchła, brud i błoto. Wynurzyła się z ogłuszającym hukem znad tamy, rzucając na nas niczym wygłodniała lwica. Zostaliśmy pochłonięci. Straciłem słuch i wzrok, ciało miałem sparaliżowane — prąd był tak silny, że nie byłem w stanie płynąć. Uderzyłem o coś plecami. Ból wycisnął mi resztki powietrza z płuc, zachłysnąłem się. Nagle moja głowa znalazła się nad powierzchnią wody. Uszy wypełniał szum, nie byłem pewien, czy rzeki, czy krwi. W ciemności powodzi dostrzegłem drżące światła naszej największej koparki; fala przechyliła ją na bok z taką łatwością, z jaką wiatr kładzie źdźbło trawy. Rozległo się przeciągłe skrzypienie metalu uderzającego o beton i kamienie. Maszyna wpadła do jeziora, a woda znów zakryła mi twarz. Popłynąłem w dół rzeki, bezradny, szarpany na wszystkie strony. Nie byłem sam — uderzyłem w ramię innego mężczyzny, tak samo jak ja bezsilnego. Straciłem rozeznanie, gdzie jest dno, a gdzie powierzchnia, nie wiedziałem, w którą stronę płynąć, jak się ratować. Wtedy go zobaczyłem.

Wyglądał dokładnie tak, jak opowiadali Tonga. Miał potężne, niktające w głębinach ciało węża, ale głowę jakby rybią, z okrągłymi oczami, ale pyskiem smoka i ostrymi zębami. Widziałem dwie małe — oczywiście w stosunku do całości, rozmiarem nadal dorównywały dorosłemu człowiekowi — falujące płetwy tuż za łbem. Naszła mnie szalona, przedśmiertna myśl, w której pożałowałem, że nie kupiłem niewielkiej, przedstawiającej Nyaminyami figurki z drewna, przynoszącej rzekomo szczęście.

Ale bóstwo nie zaatakowało mnie. Zamiast tego chwyciło w zęby mężczyznę obok. Znajdował się bliżej powierzchni, może wężowy potwór obawiał się, że ucieknie przed jego gniewem. Nagle z dna wystrzelił ogon. Uderzył mnie w ramię, ostre jak brzytwa łuski boleśnie pocięły skórę. Ogon owinał się wokół kolejnej ofiary. Nyaminyami zbierał krwawe żniwo, wciągając nas coraz głębiej, jednego po drugim. Zakręcił wielkim łbem, wywołując wir wodny. Nim straciłem przytomność, poczułem, jak mnie wciąga.

Obudziło mnie drżenie własnego ciała. Drgawki były tak silne, że aż przywołały mnie do świadomości. Leżałem w płytkiej wodzie na brzegu rzeki, na kamieniach. Nie mogłem wstać przez przeszywający czaszkę ból. Zakwililem jękiem konającej kozy, przerażony i zagubiony, nie wiedząc, czy cieszyć się, że uszedłem z życiem przed potworem, czy płakać nad własnym losem, bo czekało mnie długie i bolesne konanie z wyziębienia, głodu, odniesionych ran. Chciałem się pomodlić, ale szczękające zęby uniemożliwiały mówienie, a zgrabiące palce nie potrafiły wyrysować znaku krzyża.

Wtedy coś dostrzegłem, strusie nogi wystające z krzaków na skraju lasu. Zdziwiłem się, co ten wielki ptak tam robił. Kończyny o dwóch układających się w literę V palcach zbliżyły się powoli, ostrożnie. Byłem przekonany, że je rozpoznałem, a jednak brakowało im ostrych pazurów i były zbyt mięsiste oraz ciemne, by mogły należeć do strusia. Przekręciłem głowę, by spojrzeć w górę. Zamiast dzioba i oczu wielkich jak pięść ujrzałem ludzką twarz. Pomyślałem, że to nadchodząca śmierć zsyła mi halucynacje.

Mężczyzna przykucnął obok mnie. Na jego twarzy ciekawość walczyła z lękiem. Nic nie mówił, tylko patrzył jak sęp czekający na zgon. Próbowałem poprosić o pomoc, ale z mojego gardła wydobył się tylko charkot. Być może nawet na chwilę straciłem przytomność, bo pociemniało mi przed oczami. Nie wiem, ile czasu minęło. Nagle usłyszałem podniecone krzyki w nieznanym języku. Odepchnąłem się ramieniem od mokrych kamieni i zobaczyłem w koronie drzewa drugiego człowieka, pokazującego coś palcem. Momentalnie oprzytomniałem. Moja walka jeszcze nie dobiegła końca. Poczułem, jak poziom rzeki wzrasta, i mimo przeszywającego bólu uniosłem się na łokciu, nim woda zalała mi twarz. Zobaczyłem czerwony, zygzakowaty ślad — zwiastun nadchodzącego boga-węża.

Nagle moją pierś otoczyły dwie pary olbrzymich krabich szczypiec. Mężczyzna-potwór zaczął mnie ciągnąć po ziemi. Krzyknąłem rozpaczliwie. Czyżbym trafił

do piekła? Byłem uwięziony między dwoma przerażającymi istotami, zdeformowanymi demonami, które miały rozerwać między sobą moją duszę. Spróbowałem się wyrwać i zostałem puszczony prawie natychmiast, aż z początku nie zauważyłem, iż jestem wolny; walczyłem chwilę z powietrzem. Człowiek, który mnie zaatakował, wybiegł z wody na brzeg, wyraźnie wystraszony. Zaczął wspinać się na drzewo. Dłonie i stopy o dwóch rozczapierzonych palcach wcale mu w tym nie przeszkadzały, wręcz przeciwnie — z łatwością obejmowały pień.

Znów spojrzałem za siebie. Między miniaturowymi wirami, wytworzonymi szalejącym prądem, błysnęły luski. Do dziś nie wiem, skąd znalazłem w sobie siłę, by zacząć pełznąć ku brzegowi. Kamienie raniły skórę, lewe kolano pulsowało bólem, a krew z rozciętej skroni zalewała oczy. Czołgałem się w stronę lądu, ale ten zdawał się bardziej oddalać niż przybliżać; to poziom wody rósł z każdą chwilą. Dotarłem do drzew, których korzenie zostały już zalane. Wielkie oko, na rybi sposób puste, wpatrywało się we mnie. Znów zacząłem niekontrolowanie drzeć i musiałem przyłgnąć do pnia, by utrzymać równowagę. Coś śliskiego przemknęło po mych kostkach. Zacisnąłem powieki, spodziewając się, że za chwilę Nyaminyami okręci wokół mnie swój potężny ogon i raz na zawsze wciągnie w głębinę.

Spomiędzy liści dobiegł krzyk. Nie rozumiałem ani słowa i tylko mocniej wbilem paznokcie w korę, jakby mogło mnie to uchronić przed tragicznym losem. Demon rzucał urok, zsyłał przekleństwo. Tak przynajmniej w pierwszej chwili pomyślałem, ale gdy wołanie nie ustawało, wyczułem w nim coś poganiającego, zachęcającego... Zmusiłem się, by spojrzeć w górę. Dostrzegłem krabią kończynę wyciągniętą na ratunek.

Woda sięgała już metra. Musiałem dokonać wyboru, choć obrzydzenie paraliżowało moje ruchy. Nie chciałem, by ten potwór z dżungli, podszywający się pod ludzką istotę, kiedykolwiek znów mnie dotykał. Bałem się go nie mniej niż Nyaminyami, ale w tamtym momencie zmysł przetrwania zwyciężył. Zbyt mocno pragnąłem przeżyć, by odrzucić być może ostatnią szansę na ratunek. Szansę, która mogła okazać się pułapką. Być może chwytając krabie szczypcę, wydawałem na siebie wyrok nawet gorszy od gniewu boga-węża. Ale musiałem spróbować.

Zostałem wciągnięty na drzewo, ale nie dostałem czasu na odpoczynek. Gestami i podniesionym głosem wyjaśniono mi, że muszę wspiąć się wyżej. Kaleczyłem dłonie, próbując dobrze złapać kolejne gałęzie. Nogi — jedna obuta, druga tylko w przemoczonych skarpetce — ślizgały się po korze i dawały marne oparcie. Gdyby nie ciągała pomoc, nie dałbym rady wdrapać się na szczyt.

Gdy z bezpiecznego miejsca w końcu mogłem spojrzeć na wodę, zobaczyłem wyraźnie zarysowane pod powierzchnią cielsko węża. Czy zamierzał jeszcze raz zaatakować? Czy istniała choćby najmniejsza szansa na ucieczkę przed jego zemstą? Cóż w końcu stało na drodze, by przywołał kolejną powódź i zrzucił nas z kryjówek w koronach drzew? A jednak istoty, które mnie uratowały, siedziały spokojnie i cierpliwie. Wkrótce zrozumiałem, na co czekały. Najpierw zobaczyłem drzenie liści, a potem — więcej demonów dżungli. Poruszały się szybko i z gracją, a jeden z nich niósł niewielkie koźle pod pachą. Choć zwierzę wierzgało, nie upuścił go, lecz przytrzymał mocno i precyzyjnym, pewnym ruchem podciął mu gardło.

Krew spłynęła do wody, która natychmiast zawrzała. Istoty zrzuciły ofiarę, a Nyaminyami ją przyjął — moje życie w zamian za życie kozy. Bóg-wąż odpłynął, pozostawiając za sobą czerwony ślad.

Kolejne dni pamiętam jak przez mgłę. Traciłem przytomność i odzyskiwałem ją, zagubiony między snem a jawą. Zostałem zabrany do wioski i ułożony przy ogniu. Czasami budził mnie ciepły dotyk kobiecej dłoni. Za pierwszym razem, gdy zobaczyłem opiekunkę, odskoczyłem przelękniony. Miała jednak normalne ręce, więc pozwoliłem, by opatrzyła moje rany, wcierając w nie śmierdzącą maź. Nie protestowałem więcej, ciesząc się, że dane mi było

powrócić między ludzi.

Kobieta przychodziła tylko wtedy, gdy spałem lub gdy udawałem, że śpię. Kiedy tylko otwierałem oczy, wycofywała się. Chciałem z nią porozmawiać, ale nie rozumiała ani po angielsku, ani w Shona. Spróbowałem paru słów z języka Tonga, które poznałem przy okazji budowy, ale również bez skutku.

Kilka dni później mogłem już chodzić. Kobieta towarzyszyła mi w krótkiej wycieczce po wiosce, cały czas idąc w pewnej odległości ode mnie. Reszta tubylców także utrzymywała dystans, niektórzy nawet przede mną uciekali. Nie wydawali się wystraszeni, raczej nieśmiali. Niewątpliwie wzbudzałem ich zaciekawienie, ale woleli obserwować mnie z daleka. Gdy zmęczony usiadłem, starszy mężczyzna przykucnął obok, podzielił się ze mną owocem, po czym natychmiast zniknął.

Plemię opiekowało się mną dobrze, nie dopytując się ani o zapłatę, ani o to, kim jestem i skąd przybywam. Nie czułem nacisku, że powinienem opuścić wioskę. Nie wiedziałem zresztą, gdzie się znajduję i w którą stronę powinienem iść. Wciąż przerażała mnie możliwość, że rzeka po raz kolejny wyleje i Nyaminyami sobie o mnie przypomni. U tych dziwnych, cichych ludzi czułem się bezpiecznie, jak w sanktuarium.

A byli to niewątpliwie ludzie, wbrew temu, co o nich w pierwszej chwili myślałem. Obserwując ich codzienne, spokojne życie, zauważyłem, że wielu z nich miało strusie nogi, niektórzy zaś dodatkowo krabie dłonie, wszystkiego ledwo osiem palców. Podejrzywałem, że przez deformacje zostali wypędzeni z rodzinnych wiosek i zmuszeni do egzystencji w dzikich, odciętych od świata zakątkach dżungli. Kobieta, która się mną opiekowała, a także innych „normalnych”, o dziesięciu palcach u rąk oraz nóg, uznałem albo za rodziny kalek, albo za ludzi o dobrych sercach, którzy postanowili pomóc dotkniętym przez dziwną chorobę.

Po pewnym czasie plemię przyzwyczało się do mojej obecności. Gdy siedziałem u wejścia do bambusowej chatki i w milczeniu przyglądałem się ich codziennym zajęciom, nie zwracali na mnie uwagi. Czasem pewien starszy mężczyzna dosiadał się i oferował mi fajkę. Innym razem częstował piwem warzonym z dzikich owoców. Tylko dzieci wciąż śmiały się z obcego. Poznałem też w końcu imię kobiety — Mhora. Próbowwała nauczyć mnie lepienia glinianych naczyń, ale garnki wychodziły krzywe i nierówne. Przepraszałem za nieporadność, a ona tylko się uśmiechała.

Im lepiej się czułem, tym wyraźniej zacząłem dostrzegać braki w życiu plemienia. Choć opatrzyli moje rany, nie mieli lekarza ani szpitala, ich dzieci — tak samo jak dorośli zdeformowane — nie chodziły do szkoły. Nosili proste ubrania, czasem tylko przepaski, mieszkali w chatkach z trawy i gałęzi, jedli to, co zebrali lub upolowali. Nie wiedziałem, jak daleko znajdujemy się od cywilizacji i czy wysłali choć jedną osobę z informacją, że się tutaj znajdują. Narastała we mnie złość, że nikt nie udzielił pomocy tym ciężko doświadczonym przez los ludziom. Obiecałem sobie, że po powrocie do domu wystosuję oficjalną petycję, by umieścić plemię w odpowiednim ośrodku.

Szybko zacząłem się wahać co do tego, czy ludzie o strusich nogach rzeczywiście potrzebują asysty rządu. Wszyscy mieszkańcy wioski wykonywali swoje obowiązki niezależnie od tego, ile mieli palców. Gdy zdrowi mężczyźni wyruszali na polowanie, ci chorzy szli z nimi. I radzili sobie zaskakująco dobrze, a nawet lepiej — biegali szybciej i sprawniej wspinali się na drzewa, przynosząc tyle samo, jeśli nie więcej zwierzyny. Krabie dłonie okazały się idealnie nadawać do chwytania ryb. Nikt nikogo nie wyręczał, nikt nikomu nie pomagał tylko ze względu na niepełnosprawność. Nie istniała też hierarchia wskazująca, że ci, którzy mieli zdrowe kończyny, byli w jakiś sposób lepsi. Musiałem przyznać, że na co dzień nikt w zasadzie nie zwracał uwagi na różnice w budowie ciała. Posiadanie ograniczonej liczby palców było tu tak powszechne, że nie budziło zdziwienia czy współczucia, było po prostu elementem życia. Choć nie rozumiałem ani słowa z ich języka, odnosiłem wrażenie, że nikt nie skarży się na los.

Moi wybawcy nie znali też wstydu — znałem go za to ja. Byłem sprawny i zdrowy, wciąż trochę obolały, ale jednak pobłogosławiony dziesięcioma palcami u rąk i kolejnymi dziesięcioma u stóp. Mimo to ze wszystkim radziłem sobie gorzej niż moi strusionodzy przyjaciele. Często pozostawałem za nimi w tyle. Zdałem sobie sprawę, że jako jedyny wymagam asysty i opieki. Raziło to dumę cywilizowanego człowieka i budziło bezustanną potrzebę wykazania się. Gotowy byłem nawet opiekować się dziećmi, choć było to zajęcie dla kobiet, byle pokazać, że nie jestem bezużyteczny. Próbowałem też odwzajemnić się jakoś mężczyźnie, który uratował mnie przed pewną śmiercią — chciałem rozpałcić za niego ognisko, myśląc, że nie poradzi sobie z tym zadaniem. On tylko uśmiechnął się do mnie i zakrzeszał iskrę, całkiem samodzielnie i zgrabnie. Czułem się więc gorszy. I obiektywnie rzecz biorąc — byłem dla mych opiekunów tylko brzemieniem. Mimo to nie okazali mi nic innego jak sympatię i szacunek.

Pewnego ranka obudziły mnie podniesione głosy. Przywódca plemienia kazał wszystkim spakować skromny dobytek i przygotować się do drogi. Złapałem Mhorę za rękę, odczuwając nagły niepokój. Doskonale zrozumiała, o co mi chodziło. Szeptala coś w podnieceniu do mojego ucha, ale zrozumiałem tylko jedno słowo.

– Nyaminyami.

Uciekaliśmy więc przed kolejną powodzią. Ruszyliśmy głębiej w dżunglę, z dala od rzeki i jak najdalej od tamy. Ściana deszczu sprawiła, że w środku dnia było ciemno niczym w nocy. Strumienie płynące między drzewami zamieniły teren w bagnisko. Każdy korzeń, każdą trawę ocierającą się o kostki brałem za ogon boga-węża. Za plecami słyszałem jego ryk w huku spienionej wody. Ciało mogło uleczyć się z ran, ale duszę wciąż miałem poharataną koszmarnymi wspomnieniami. Jak żywe widziałem obrazy tonących współpracowników i rybnie, martwo wpatrujące się we mnie oczy...

Moi towarzysze znów zdecydowali się na podniebną podróż. Szeroko rozstawione palce stóp czyniły wdrapywanie się na drzewa dziecinnie prostym. Także zdrowi ludzie radzili sobie nie najgorzej, szkoląc się w tej sztuce latami. Ale ja byłem osłabiony, czułem nawrót gorączki. Z moich stóp i przedramion płynęła krew. Coraz częściej zatrzymywałem się, chciałem zejść na ziemię i iść przez wezbrane potoki. Reszta poganiała mnie, ciągnęła za podarte ubranie. Mhora prosiła, bym się nie poddawał. Pilnowała, bym nie spadł, odwozowała od szalonego pomysłu, by wejść do wody. Opiekowała się mną jak własnym, niepokornym dzieckiem i zawsze będę jej za to wdzięczny. Uratowała mi życie.

Nie wiem, jak długo uciekaliśmy. Nawrót choroby i wycieńczenie odebrały mi znów przytomność. Obudziłem się w miejscu w pierwszej chwili tak dziwnym, iż myślałem, że śnię. Byłem w szpitalu! Zerwałem się w łóżka zszokowany. Co to miało oznaczać? Czy to wszystko było tylko snem?

Szybko położono mnie z powrotem do łóżka i uspokojono. Przedstawiciel lokalnej policji opowiedział, jak mnie odnaleziono. Otóż nikt nie widział plemienia, o którym bez przerwy wspominałem. Zostałem porzucony niedaleko niewielkiego, wysuniętego na teren dżungli, posterunku. Funkcjonariusze znaleźli mnie, gdy wybiegli na zewnątrz w poszukiwaniu chuliganów, którzy obrzucali budynek kamieniami. W deszczu dostrzegli tylko zarys kobiecej sylwetki, która natychmiast znikła w ciemnościach.

Większość myślała, że bełkoczę w gorączce. Wielotygodniowe samotne szwendanie się po dżungli, głód, zmęczenie i zimno sprawiły, że wyobrażałem sobie niestworzone rzeczy. Tylko jeden lekarz mi uwierzył, przyznając, że również słyszał o tym tajemniczym plemieniu, ale żyje ono w odcięciu od reszty świata i nigdy nie komunikuje się z innymi ludźmi. Tylko nieliczni odkrywcy mieli okazję je spotkać, a szczegółów o ludziach-strusiach próżno szukać w książkach.

Zaproponowano mi powrót na dawne stanowisko, na co z wahaniem przystałem. Wytrzymałem na budowie ledwo kilka miesięcy. Każdy niespodziewany dźwięk wywoływał

u mnie nerwową reakcją, a większy deszcz — ucieczką. Wpatrywałem się godzinami w wodę, zatrużony i czujny. Nawet ci, którzy z początku wierzyli w działanie boga-węża, teraz patrzyli na mnie jak na wariata, gdy tłumaczyłem, że Nyaminyami naprawdę istnieje i że widziałem go, ledwo uchodząc z życiem z tego spotkania. Rodzinom robotników, których ciała nigdy nie odnaleziono, tłumaczyłem, że zostały one wciągnięte w głębiny przez potwora. Reakcje na te rewelacje okazały się skrajne. Ostatecznie, ku uldze zarówno mojej, jak i przełożonych, zrezygnowałem z pracy pod koniec 1957 roku. Po raz kolejny uciekając tym samym śmierci, bo już na początku następnego roku kolejna powódź, największa, jaką kiedykolwiek widziano, pochłonęła konstrukcje, maszyny i ludzi.

Minęły lata, a tama dalej stoi i pracuje. Wielkie powodzie ustały, Nyaminyami został na zawsze oddzielony od swej żony i pogrążony w smutku zniknął pod skałą Kariwa, całkowicie zresztą przez działalność tamy zatopionej. Tak oto mit przegrał z technologią, świat duchowy i magiczny został wyparty przez cywilizację. Nie ma już wielkiego węża. Zamiast niego płynie prąd.

Jestem spakowany, gotowy do podróży. Pragnę dowiedzieć się, czy i ludzie-strusie zniknęli. Nie będzie łatwo ich odnaleźć, ale czuję, że tam są. Wiem, jakich śladów stóp szukać.

Zemsta Patroklesa

Przemysław Karbowski

— Daleko jeszcze? — Hippiasz zasapał się, choć zbocze wzgórza wcale nie było nazbyt strome.

Wskazujący drogę pastuch popatrzył na niego z rozbawieniem.

— Przecież mówiłem, że na szczycie. Jeden skok.

Trzeci ze wspinających się mężczyzn wysforował się przed towarzyszy i pierwszy zameldował się na wzniesieniu.

— Przynajmniej łażenie po górach jako tako mi wychodzi — zdawkowo pochwalił sam siebie zdobywca szczytu.

— W przeciwieństwie do wysilania mózgowicy... — Zziębnięty Hippiasz aż przykucnął ze zmęczenia, ale na cierpką uwagę miał jeszcze dość sił. — Cny Patroklesie, najgłupszy uczeń w historii Lykejonu...

Patrokles nie odpowiedział na brzydką sugestię. Po pierwsze — nie najgłupszy, a jeden z głębszych, po drugie — jaka to tam znowu historia, po trzecie — on się zemści, zemści straszliwie za niezasadne obelgi i wyrzucenie ze szkoły. Wszystkim pokaże! A oni zobaczą!

Przewodnik Hippiasza i Patroklesa zaprezentował gościom z Aten nieliczną wystawę z kości. Na kamieniach, wśród rachitycznych krzewów rozmarynu, niebanalnie jawiły się czaszki, żebra i piszczele.

— Nie dało się tego składować nieco niżej? — marudził Hippiasz.

— Żeby ukradli? — popukał się w czoło pastuch. — Takich amatorów staroci jest więcej. Pół biedy, gdy szukają jakiegoś żelastwa po Persach. Gorzej, jak znajdą i zarzną nim owieczkę, bo przecież zreć coś muszą...

— No, dobra... — Patrokles pochylił się nad szczątkami. — Jest centaur, jako żywo...

— Jaki znowu centaur? — zapytał znieczcierpliwiony Hippiasz.

— Centaur, centaur — z niewinną miną poświadczył pastuch. — Ze zdobyczną głową

pokonanego w walce konia...

Hippiasz nie wytrzymał i kopnął w krzaki kości ramienne oraz łokciowe. Zamienił miejscami czaszkę ludzką i końską.

— A teraz? — wycedził. — Zwyczajny koń wgapiający się w zdobyczną głowę pokonanego w walce człowieka...

— Panowie Ateńczycy! — zaperzył się pasterz-przewodnik. — Trochę zaufania. Co wy sobie wyobrażacie? Że ja to specjalnie ułożyłem? Pieniądzy i tak nie oddam!

Patrokles otworzył usta, ale Hippiasz nie dał mu dojść do słowa.

— Dokładnie tak to sobie wyobrażamy. Że ułożyłeś, że specjalnie, i że pieniędzy i tak nie oddasz... Ale w łeb możesz dostać.

— Spróbuj szczęścia, Ateńczyku... — Pastuch zmrużył oczy i ścisnął kij w dłoniach.

— Dajcie spokój! — Patrokles stanął między gotowymi do bójki. — Mamy namacalne dowody, dołożyliśmy starań, rzetelność zachowaliśmy, materiał do kolejnego rozdziału jest... A gdzie ta niesamowita niespodzianka?

— Bomba, bez dwóch zdań! — Doktor Jodłowski przejęty klikał w skany, jakby ukończył kurs szybkiego czytania w starej grece. — Szkoda, że mamy to nieoficjalnie i nic się nie da z tym zrobić...

— Kto ukraść i skąd? — nazwał rzeczy po imieniu profesor Mokrzycki.

— Banasik w Oxfordzie...

— Proszę... A ja myślałem, że całe stypendium przepuścił na dziwki i mało go nie wylałem z adnotacją „brak postępów w pracy naukowej”...

Podniecony Patrokles obracał na wszystkie strony wielką czaszkę.

— O matko moja... — jęknął. — Jadowity olbrzym?

Pastuch promieniał dumny z siebie i z efektu wywołanego na twarzach Ateńczyków. Nawet Hippiasz osłupiał tak bardzo, że przez gardło nie przeszła mu żadna zaczepna insynuacja.

— Pierwsze słyszę... Ale gdzie on miał ten jad? W języku? Ślinie?

— Policzcie zęby, panowie Ateńczycy...

Hippiasz szybko przeběbnił palcami po zaskakująco kompletnej szczęce.

— Trzydzieści sześć, jak w pysk strzelił.

— Po dziesięć z każdej strony na górze — dopowiedział pastuch. — Jad był w tych dziesiątych...

— Cny Patroklesie! — Hippiasz zezował na towarzysza. — Ty na pewno chcesz się pod tym podpisać własnym imieniem?

— Cały czas. Bo co?

— Bo już tam baran trącał centaury, hydry i mantykory. Każdemu coś o uszy się obilo. Ale bajki o dziesiątym zębie tesalijskich olbrzymów, z którego kapały jadowite krople i paraliżowały ofiarę... Po co kogoś gryźć, jak się jest olbrzymem?

— Olbrzymy żywiły się ludzkim mięsem, jak konie Diomedesa — pouczył Ateńczyków pasterz.

— Aha, zamiast w łepetynę zdzielić, nadepnąć, kopnąć, kark przetrącić, to wielki na dziesięć stóp olbrzym wołał się zaczaić i w łydkę ugryźć? — odzyskał rezon Hippiasz. — No, głupio jakoś. Patroklesie, tym sposobem to tylko kariera bajkopisarza ci grozi, a nie uczonego. A jak opchniemy tę wiekopomną księgę jako nieznaną pracę Arystotelesa albo Teofrasta, to przynajmniej wzbudzimy niezdrowe zainteresowanie i zostaniemy bogaci...

Profesor Mokrzycki zajął do elektrycznego czajnika.

— Więcej kamienia w tym uniwersyteckim rurociągu niż w starożytnej drodze — westchnął. — Jaki to ma tytuł?

— „O częściach stworzeń dawnych” — wyjaśnił Jodłowski. — Jakby Bekker dożył, to by się pewnie ucieszył... Stanford już wstępnie otrąbił, że dzieło w Corpus Aristotelicum musi się znaleźć. Na pewno nie jest autorstwa Arystotelesa, ale Straton albo Teofrast w grę wchodzi jak najbardziej.

— No, Arystotelesowi w kwestii zębów bym nie wierzył. U własnej baby nie umiał się doliczyć i wypisywał głupstwa, że kobiety mają ich mniej... Dziesiąty ząb jadowy... Amerykanie już pewno postawili wszystkie wydziały przyrodnicze na nogi?

— A jakże! — Doktor Jodłowski przeglądał maile. — W sumie już i Niemcy pracują pełną parą, bo dziełko znalazło się oczywiście u nich...

— Oczywiście w antykwariacie w Monachium? — ironicznie spytał profesor. — Leżało między włócznią świętego Maurycego a czapką Monomacha? Jakoś mnie to nie dziwi...

Baranie udźce skwierczały nad ogniskiem, zrumienione, lśniące od oliwy podpłomyki dopiekały się na kamieniach, a byli uczniowie Lykejonu wciągali w nozdrza kulinarne aromaty i wsłuchiwali się w opowieść pasterza, przekrzykującego grające im z głodu marsza kiszki.

— To by wiele tłumaczyło. — Hippiasz przerzucał z dłoni do dłoni gorący podpłomyk. — Nie wszystko, ale wiele...

— W dawnych czasach żyły jeszcze większe olbrzymy, do jakich te, o których mówimy, miały się jak dzisiejszy człowiek do zwykłego jadowitego olbrzyma. Najstarsi opowiadają, że te dziesięciozębne jeszcze do dziś kryją się po górach i lasach. — Pastuch raczył towarzystwo kolejnymi rewelacjami, nawet mu powieka nie drgnęła. — Jakbym tak popytał kolegów, to może i jakaś kość olbrzyma olbrzymiego by się znalazła... Nie za darmo, ale...

— Poprzestańmy na tym, co mamy. — Patrokles żuł baraninę i był świadomy, że pieniądze na badania naukowe już mu się skończyły, a do Aten daleko.

Hippiasz dojadł swoją porcję, pociągnął z bukłaka kilka łyków rozcieńzonego wina i usnął jak niemowlę. Pastuch odciągnął Patroklesa na ubocze.

— Tej czaszki zostawić wam nie mogę — tłumaczył konspiracyjnym szeptem. — A pan Ateńczyk dalej jest pewny, że na nim też chce się zemścić?

Patrokles spojrzał na śpiącego Hippiasza. Na tego pyskatego, wywyższającego się, pewnego siebie aroganta, przez którego bezczelność wywalono ich z Lykejonu w większym stopniu niż z powodu przeciętnych możliwości umysłowych Patroklesa. No, ale zawiadujący szkołą Likon uznał, że jak podziękuje im obu, to atmosfera się oczyści. „Jeśli dwie czarne owce sięją ferment w stadzie, pozbadź się obu, bo ostawiając jedną, zyskasz tylko ferment połowiczny” — tak uzasadnił swoją decyzję. Bogowie, gdyby tego tytana pomyślunku usłyszeli prawdziwi stoicy sprzed wieków, to by się chyba nogami nakryli, że takie chodzące nic wyciera sobie gębę ich filozofią...

— Tak, jestem pewny.

— Dzień dobry panu dentyście, dziś zaplombuje mi pan dziesiątkę — ironizował profesor Mokrzycki, bo nauzerął się ze studentami, którzy udawali, że pocą się jak myszy w pologu nad tłumaczeniem „Chmur” Arystofanesa, a na kolanach trzymali przekład Sandauera

i myśleli, że wykładowca się nie połapie. — Wie pan, moja żona jest biologiem i turlała się ze śmiechu nad tą sensacją. Trochę się uspokoiła, jak jej tłumaczyłem, że taki olbrzym z dziesiątym zębyszczem był maleństwem w stosunku do olbrzyma olbrzymiego, przed którym uciekał... To by miało sens, stwierdziła...

— Pewnie tak. — Doktor Jodłowski czytał plik z przechwyconą przez rezydującego w Oxfordzie adiunkta Banasika anglosaską korespondencją. — Ale Uniwersytet Stanforda podszedł do tego całkiem poważnie. Pan się z małżonką podśmiewa, a oni tu o jakimś przekształcaniu ślinianek przyuszných piszą i o ich połączeniu z tym nieszczęsnym dziesiątym zębem, o kanalikach, o toksycznej ślinie, o... Co to znaczy „warunkowo jadowity”? Tego akurat nie rozumiem... Nie znam się na biologicznej nomenklaturze...

— *Nomen omen*, nomenklaturze — wyzłośliwił się profesor. — Punkty w rankingu szanghajskim lecą, ilość cytowań i publikacji wzrasta... Wie pan, co panu powiem na stare lata? Że nie ma takiej bzdury, której nie dałoby się uzasadnić naukowo... A tego Banasika, jak wróci, to ja jednak wyleję. Zdecydowanie więcej zarobi jako haker niż filolog klasyczny.

— Domyśliłem się... — szepnął Patrokles, oglądając czaszkę w świetle pochodni. — Ktoś łeb miał rzeczywiście potężny, a olbrzym mógł mieć niewielki, czemu nie? Bardziej mnie ciekawi, na czym się te zęby trzymają.

— Mieszanka z rozgotowanych rogów i kopyt. — Pasterz uśmiechnął się przebiegle. — Tego mamy pod dostatkiem. Wystarczy posmarować i trzyma jak Herakles byka kreteńskiego...

— Na to bym nie wpadł... Ale zapamiętam. Z czego ten jad?

— Ze skorpionów, ale niezbyt groźnych. Ręka albo noga może mu zdrętwieć...

Pastuch wyciągnął z torby maleńką króbkę z kory zatkaną kawałkiem materiału.

— Wiesz, co masz zrobić? — zapytał Patrokles.

— A jakże. Pan Ateńczyk zdzieli go w głowę, ja ugryzę w ramię albo nogę i ranę posmaruję jadem.

— Uwierzy w jadowite olbrzymy... We wszystko uwierzy...

— A jak zacznie liczyć ślady po zębach?

— Nie sądzę. Zresztą jad był w ślinie, tak? Z dziesiątego zęba tylko kapał...

Od migoczącego nieopodal ogniska dobiegł ich wrzask Hippiasza. Szybko pobiegli w tamtym kierunku.

Profesor Mokrzycki wietrzył gabinet ze swędu spalonej grzałki czajnika.

— Zrobiłem to specjalnie — wyjaśnił Jodłowskiemu. — Ten kamień już mnie doprowadzał do pasji. A pan napisze do dyrektora instytutu podanie o czajnik z grzałką płytową. Hałasu będzie więcej, ale przynajmniej nie będę codziennie oglądał osadu z kamienia...

— Coś jeszcze? — cierpko zapytał doktor.

— Tak. W przyszłym roku akademickim będzie pan odpowiedzialny za rekrutację.

Doktor Jodłowski pożałował, że zadał pytanie.

— Niech pan tak na mnie nie patrzy, jakby pana zęby bolały. I niech się pan cieszy, że ma pan tylko trzydzieści dwa... I niech pan usunie całą korespondencję z Banasikiem o starożytnych „dziesiątkach”, bo my tu jeszcze wyjdziemy na złodziei własności intelektualnej...

Patrokles wraz z pasterzem na złamanie karku zbiegali w ciemnościach zboczem.

Zgubili i pochodnię, i kij pasterski, i czaszkę rzekomego giganta. Mieli powody do panicznej rejterady, bo przy ognisku dwa tesalijskie olbrzymy, które wyszły na żer, zaczynały już obgryzać sparaliżowanego Hippiasza.

Za to w niepodpisanym dziele *O częściach stworzeń dawnych* Patrokles wzniósł się na wyżyny i o ile rozdziały o centaurach, mantykorach, hydrach czy innej gadzinie nie zrobiły aż takiej furory, o tyle część o olbrzymach z Tesalii i ich jadowitych dziesiątych zębach tak bardzo odbiegała od reszty poziomem, stylem i naukowym zaangażowaniem, że Uniwersytet Stanforda ogłosił, iż autorów anonimowej książki musiało być dwóch.

Dziesięć białych kamieni

Izabela Ozga

Miejsce, w którym zmaterializował się demon, było białe. Na środku wypełnionego białymi sprzętami pomieszczenia stało bose, ubrane na białą dziecko. Chłopiec, nie więcej niż dziesięcioletni. Za oknem prószył śnieg. Mróz rysował na szybach białe wzory. Demon cofnął się poza krąg światła, ostrożnie poruszając się po białej posadzce. Nie bardzo poprawiło mu to samopoczucie.

— Dziesięć białych kamieni? — powtórzył. Nie była to zbyt wygórowana cena jak za duszę, ale dziesięć? — Nie może być trzynaście albo piętnaście, albo... tysiąc i jeden białych kamieni? A może czarnych? Dlaczego nie mogą być czarne albo czerwone, albo czarno-czerwone z żyłkami?

Chłopiec patrzył na demona w milczeniu. Ten, nieco nerwowym ruchem, szczególnie zacisnął połę czarnego płaszcza, długiego, staroświeckiego w kroju, nasunął cylinder na gadzie oczy i czekał.

— Dziesięć — powtórzyło spokojnie dziecko. — Potrzebuję dziesięciu białych kamieni.

Demon zgrzytnął zepsutymi zębami aż iskry poszły.

— Liczby parzyste przynoszą pecha, a szczególnie dziesiątki, sam rozumiesz: dziesięć przykazań bożych, dziesięciu patriarchów biblijnych przed Potopem, dziesięciu sprawiedliwych, oczyszczenie dziesięciu trędowatych oraz dziesięć plag egipskich zesłanych przez Boga — wyliczał, odginając kolejno wąskie palce dłoni, zakończone długimi, pomalowanymi na czarno paznokciami. — W piekle nie przepadamy też za kolorem białym — dorzucił desperacko. W duchu wyrzucał sobie chciwość. Zachciało mu się duszy. Od średniowiecza to w końcu szmat czasu, można się odzwyczaić. Wyglądało na to, że w dwudziestym pierwszym wieku dusze staniały, ale za to negocjacje były dużo bardziej wyczerpujące.

— To niemożliwe — zaprzeczyło uparcie dziecko. — Tylko dziesięć białych kamieni może go powstrzymać.

— Kogo? — zapytał demon. Z braku lepszego zajęcia rozglądał się po pomieszczeniu. Prychnął, kiedy uniósł głowę i zorientował się, że lampy wiszące na suficie emanują białym, oślepiającym światłem. Nasunął cylinder głębiej na gadzie oczy i przymknął grube powieki. Tylko to powstrzymywało narastającą irytację.

— Człowieka w bieli.

Jęknął. Otworzył jedno oko i natychmiast je zamknął. Jarzeniówki drażniły przyzwyczajony do mroku zmysł. Kiedyś to były czasy. Nie proste „do diabła” i odrobina wiary, że zadziała, ale cały skomplikowany rytuał. Takie świece, na przykład, nawet kolor miały odpowiedni. A jaki nastrój. Bardziej pojętni używali nawet czarnych, co stanowiło prawdziwą rozkosz dla zmysłów. A niektórzy — demon aż westchnął w myślach na samo wspomnienie — rysowali jeszcze pentagramy.

— Masz na myśli anioła? — zapytał, czując jak wymawiane słowo staje mu niczym ludzka kość w poprzek gardła.

— Anioła? — Chłopiec zamrugał. Miał irytująco niebieskie oczy. Duże, jak to u dzieci. Ostatni raz demon widział takie u Archanioła Michała i u Lucyfera przed upadkiem. Bardzo mu się to nie podobało.

— Tak. Nie wierzysz w anioły?

Chłopiec pokręcił przecząco głową, uniósł na demona te swoje obłędnie błękitne oczy.

— W tym miejscu nie ma aniołów.

— Nie? — Demon wolał się upewnić. Zaciąganie niewinnych, czystych dusz do piekła mogło nie tylko ukrócić jego karierę, ale także niepotrzebnie rozwścieczyć tych u góry. Nie miał ochoty na ciągnięcie po sądach. A gdyby jeszcze do wszystkiego wmieszała się Inkwizycja... Na samą myśl aż zgrzytnął zębami. Tam, na górze, mieli niestety lepszych adwokatów i urzędy działały sprawniej. Ogólnie rzecz biorąc, w niebie był porządek. U nich, na dole, nikt specjalnie nie przywiązywał wagi do biurokracji, a od papierkowej roboty i księgowości dostawało się regularnych bólów głowy. I oczywiście nikt nie płacił podatków od pozyskanych dusz. Wszystko to łącznie bardzo niekorzystnie odbijało się na ich rządach.

— Nie — potwierdził tymczasem chłopiec. — W tym miejscu nie ma nikogo takiego. Jest Człowiek w bieli i inni, niektórzy tacy jak ja.

— A co takiego robi Człowiek w bieli? Jak się zachowuje? — indagował demon, nerwowo oglądając paznokcie. Bliskość duszy, pierwszej legalnie zdobytej duszy po tak długiej przerwie, zupełnie rozstrajała mu nerwy.

— Kiedy przychodzi Człowiek w bieli — powiedział tymczasem chłopiec — czasem ktoś znika, zostaje po nim puste łóżko i pusty pokój identyczny jak ten. Wiem — dodał ciszej, niemal szeptem — sam widziałem. Tu obok mieszkał kiedyś inny chłopiec. Przyjaźniliśmy się, czasem rozmawialiśmy przez ścianę, mieliśmy nawet taki swój specjalny kod, tajny język. Ale Człowiek w bieli musiał się dowiedzieć i mu się to nie spodobało, bo przyszedł po niego którejś nocy, słyszałem, jak się porusza i jak mówi do siebie, i jak dotyka sprzętów. Myślałem, że przyjdzie też po mnie, ale się nie zjawił. — Obejrzał się trwożliwie za siebie, jakby Człowiek w bieli stanął zniecka za jego plecami, a potem znów spojrzął na demona. — On wróci. Potrzebuję dziesięciu białych kamieni.

Demon, po raz pierwszy odkąd został wezwany, poczuł coś w rodzaju ponurej satysfakcji. Zatarł dłonie. Nagle był gotów wyczarować dziesięć białych kamieni. Nawet tysiąc, jeżeli będzie trzeba. Obrzydliwie białych. Taka dusza, niewierząca w anioły, pięknie się smaży w piekielnych kotłach. Skwierczy aż miło, a jak głośno krzyczy. Muzyka dla uszu.

— A w Boga wierzysz? — zapytał konwersacyjnym tonem. Postanawiał nie zgłębiać fenomenu, który pozwalał chłopcu wierzyć w diabły, a kategorycznie odrzucać istnienie aniołów. Religijność ludzi dwudziestego pierwszego wieku była skomplikowana, a teologia nigdy nie należała do wiodących piekielnych profesji. Zajmowali się tym raczej tam, na górze, co jakiś czas podrzucając ojcom kościoła swoje idee wprost do głów. W dawnych czasach niebo, w przeciwieństwie do piekła, było mało dyskretne i kompletnie pozbawione wyobraźni. Taki Lucyfer, na przykład, zdecydowanie miał klasę. Urządził im tam na dole całkiem gustowne piekło.

Chłopiec milczał.

— Człowiek w bieli włada śmiercią. Może sprowadzić na ciebie magiczny sen, z którego nigdy się nie obudzisz — powiedział w końcu cierpliwie, zupełnie jakby to było coś oczywistego. — Tylko dziesięć białych kamieni może go powstrzymać.

— No dobrze — odparł demon, wyraźnie zadowolony, i nie wchodząc w szczegóły, rozsunął poły płaszcza, by z dużej wewnętrznej kieszeni wyjąć cyrograf. — Wyczaruję ci tych dziesięć białych kamieni.

Podsunał chłopcu pergamin i pióro z ostrą, stalową końcówką. W piekle czas płynął

wolniej. Pewne rzeczy się nie zmieniały. Piekło, wbrew pozorom, było bardzo przywiązane do swojej tradycji.

— Własną krwią poproszę.

Znaleźli go nad ranem. Szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w sufit. Nie stwierdzono przyczyny zgonu. Chłopiec był młody, a jego ciało zdrowe. Serce biło mocno i w odpowiednim tempie. Płuca też były czyste, żadnych nagłych zmian w ciele, które można było zmierzyć, zamknąć w liczbach, obrazach i krzywych przy użyciu najbardziej profesjonalnego sprzętu. Nic nie zagrażało życiu dziecka. Samobójstwo wykluczono od razu. W pokoju nie było żadnych ostrych przedmiotów, drzwi zamknięto na klucz, w okna wstawiono nietłukące się szyby, sporządzone według najnowszej technologii, „super bezpieczne” wedle opinii producenta. Pacjent też był całkiem bezpieczny. Tylko na szpitalnym stoliku pozbawionym kantów leżało dziesięć białych kamieni. Zapytany o zdanie, psycholog odpowiedzialny za terapię chłopca wyjaśnił krótko:

— Bał się kogoś, kogo określał jako Człowieka w bieli. Podejrzewamy, że chodziło o jednego z naszych anestezjologów. Złe reagował na jego widok. Odmawiał przyjęcia posiłków, często wpadał w histerię. Tylko dziesięć białych kamieni go uspakajało.

— Dlaczego dziesięć? — zapytała jedna z pielęgniarek.

— Właśnie — poparła ją inna. — Dlaczego nie na przykład trzydzieści?

— A dlaczego białych? — dorzuciła trzecia. — Dlaczego nie czarnych?

— Nie jesteśmy pewni. Być może bez powodu. Takie rzeczy często nie mają powodu, choć dla pacjentów wydają się najzupełniej logiczne. W tym wypadku jednak, no cóż... — Psycholog wydawał się nieco zakłopotany. — Sądzymy, że zarówno dziesiątka, jak i barwa miały związek z postacią ze starej dziecięcej opowieści. Jej rodowód jest chyba zresztą średniowieczny, ale to nieważne. Liczy się to, że ta bajka jest ilustrowana. Gdyby państwo zobaczyli rysunek, z pewnością uchwyciliby podobieństwo do naszego anestezjologia. Tak samo wysoki, tak samo szczupły i jasnowłosy, tak samo zawsze gdzieś się przemykający, jakby bokiem, nieco nierównym chodem. Dziesięć białych kamieni było dla chłopca jak amulet. W opowieści noszone przy sobie, zaszyte w woreczku albo w podszewce pod ubraniem, zapewniały bezpieczeństwo. To jednak tylko teoria. Niczego tak naprawdę nie wiemy na pewno.

Jedna z pielęgniarek zasłoniła usta dłonią i wydała cichy, zduszony jęk:

— Doktorze... — powiedziała przymuszona ciężkim spojrzeniem dyrektora szpitala i drżącą dłonią wskazała na leżące na stoliczku dziesięć białych kamieni — ale te kamienie... ich przecież wcale nie powinno tu być. — Jej twarz stała się biała jak ściana, bledsza nawet niż leżące na łóżku ciało dziesięcioletniego chłopca.

— Co ma siostra na myśli? — zapytał zirytowany dyrektor. Sytuacja i tak już przeciekła do prasy. Brakowało mu jeszcze rozhisteryzowanych stażystek.

— Te kamienie są jak najbardziej na miejscu — wyraził swoją opinię psycholog.

— To moja wina — tłumaczyła się siostra, a jej twarz to czerwieniała, to powlekała się bladeością. — Myślałam, że ktoś je tu nieumyślnie zostawił i wyrzuciłam je z obawy, że pacjent może je połknąć albo w jakiś inny sposób zrobić sobie krzywdę...

— Wyrzuciła je siostra?

— Ja...

— Przecież wydałem instrukcje... — zirytował się psycholog. — Było wyraźnie napisane: „Nie ruszać dziesięciu białych kamieni”. Czy siostra potrafi czytać?

Stażystka spuściła głowę. Nagle wydała się bardzo drobna, niepozorna i krucha. Zupełnie jakby zmaląła.

— Ja przeczytałam instrukcje, ale uznałam, że to żart pielęgniarzy, jak to się czasem

robi początkującym kolegom, no i przecież naprawdę mógł je połknąć... ale to nieważne. Te kamienie... — wykrztusiła.

Ale dyrektor nie słuchał.

— Myślała siostra, że to żart? — powiedział zimno. — W takim razie bez względu na to, jak z powrotem znalazło się tu te dziesięć białych kamieni, nawet jeżeli umieściłby je tu sam szatan we własnej osobie i zostawił podpisany cyrograf, to siostra zabiła tego chłopca.

Dyżurni lekarze i pielęgniarki obecne w pomieszczeniu w milczeniu pokiwali głowami. Wszyscy stali tak jeszcze przez chwilę, po czym wyszli w kompletnej ciszy, którą przerywało tylko łkanie drobnej stażystki. Nikt z obecnych nie zauważył, że zniknął identyfikator zgonu. Na jego miejscu widniała, przyczepiona do dużego palca u nogi, wypisana ręcznym pismem, nieco archaicznym w kroju, kopia diabelskiego cyrografu.

Bestia ponowoczesna

Lukasz Stróżek

To taka gra, w której spośród miliona lśniących kolorami i neonowo jarzących się linków do ofert nowych, cyfrowych Ewangelii oraz zróżnicowanych, równie dobrych systemów metafizycznych za jedyne dziewięć dziesięćdziesiąt dziewięć, kupujesz jedną. Przy czym nie ma prawidłowego wyboru, nie znajdziesz Świętego Graala w formie drewnianego kielicha, jak Indiana Jones. Wszystkie są tak samo do dupy. Serio. Chyba że doznałeś religijnego objawienia i na jednej z czakr uprawiasz tybetańskie niewidzialne i nienamacalne kryształy New Age, przy czym faszerujesz się na śniadanie, obiad oraz kolację metą i zaciągasz medyczną marihuaną. Wtedy, zapewne, jesteś bardzo szczęśliwy lub po prostu nie dostrzegasz żadnych wad. Ani dilerą wycinającego ci nerkę w zamian za zaległe rachunki.

Dlaczego o tym mówię? Nie, nie jestem żadnym nawiedzonym prorokiem czy innym ojcem kościoła ani ideologiem marksizmu-leninizmu w wersji na telefony osobiste. Po prostu przyjąłem intensywną dawkę ponowoczesnych Ewangelii zapakowanych w każdy bit i mem danych i sfiksowałem na maksa. Na Mad Maxa. Nadmiar informacji miewa bardzo ciekawe skutki.

Mam teraz w sobie dziesięć wirusów. Dziesięć pseudointeligentnych programów kontrolujących weszło mi do łba i czasami próbuje przejąć stery nad moją świadomością. Osiodłać ją i wytresować. Różnie się ich nabawiłem. Skanowałem niesprawdzone kody QR, łąziłem po aplikacjach mających zwiększyć objętość użytkową mózgu czy ściągałem nielegalne filmy, które podprogowo wgrywały mi takiego skurwiela. Ostatni to zupełnie inna historia. Do głowy wrzucił mi go kowboj, używając noworadzieckiego wojskowego SKAP-a. Musiał mi przy tym usunąć dużą część wspomnień z dzieciństwa, więc nie chcę ryzykować kolejnych morderczych rajdów wzdłuż i wszerz mojej świadomości ani następnych modyfikacji. Przy naszym pierwszym spotkaniu, gdy dostrajał sprzęt, ochrzcił mnie Nostromo. Wiedział, ilu cybernetycznych pasażerów wiozę w sobie na gapę. Miał świadomość, jak bardzo ci „Obcy” są niebezpieczni. Pochodził z plemienia Łowców Tanich Win. Takiego zabawnego, postnowoczesnego konglomeratu poschirzeńców mieszkających w ruinach Filharmonii. Noszą neonowe irokezy, pastelowe dredy i ciężkie automaty kałasznikowa. Ogólnie banda dosyć łagodnych i pomocnych odszczepieńców, no chyba że zobaczą gdzieś krzyż celtycki. Nie wiem czemu, zawsze kojarzy im się z tarczą strzelniczą, a nie bawią się w oszczędzanie magazynków. Znają się też na programowaniu.

W ostateczności do nich wrócę, ale średnio sobie wyobrażam życie, jeśli ponownie coś mi we łbie przypadkiem przestawią. Mogę zacząć lubić małe kundelki lub kotki. Gdy skończył robotę, a ja wcisnąłem mu miedziaki, pokręcił tylko głową i mruknął:

— Wiesz, Trepie, bydlę, które wrzuciłem ci do systemu nerwowego, to prawdziwy skurwiel. Nie jakiś zwykły trojan czy program szpiegowski, wywlekający twoje wnętrze dla wspomnieniowych ćpunów, albo wojskowy berserk. Może zrobić krzywdę.

Zamrugalem, nie rozumiejąc.

— Ukatrupi cię lub przepali system nerwowy, jeśli poczuje zagrożenie. Pamiętaj o tym. — Zgasił papierosa i nałożył gogle ochronne.

Sokratesowi, antycznemu filozofowi, podobno odbiła palma, choć w czaszce siedział mu tylko jeden. Nazwał go Eudajmonen. Twierdził, że jest to duch, który pomaga mu w dokonywaniu zgodnych z etyką i rozumem wyborów. Abstrahując kompletnie od tego, że nie wiem co, poza sporyszem i grzybami, ćpali starożytni, doskonale rozumiem faceta. W moim mózgu krąży dziesięć duchów, dziesięć bytów opartych na kodzie zerojedynkowym, nieustannie mówiących mi, co powinienem robić, co jest dobre, a co złe. Oczywiście tylko według nich. Eudajmony o różnych systemach metafizycznych, ontologicznych i etycznych, nieustannie kłócące się wewnątrz głowy. Zaprogramowana schizofrenia paranoidalna, z tym, że głosy są realne jak jasna cholera, a zagrożenia prawdziwe.

Mówię na głos także dlatego, że teraz krzyczą mi we łbie, próbując dorwać się do mikrofonu, a ja je zagłuszam. Mam w sobie dokładnie tyle demonów, z iloma zmagał się dwudziestowieczny heros, Scoobie Doo. Dziesięć.

Nie powinienem tego robić. Niuniuś, którego prowadzę przez Miasto, zerka na mnie niepewnie, gdy gadam sam do siebie. Zawsze tak patrzą. Czasem nawet znikają o poranku. Nie wiem, czy uciekają skąd przyszli, czy raczej wybierają samotną, dalszą podróż. Tak czy inaczej, oznacza to dla nich śmierć.

— *Ten też jest głupcem* — mruczy mi w głowie konglomeratyczny unigłos moich lokatorów. Dziesięć opinii zlewających się zgodnie w jedno zdanie.

— Wiem — burczę, godząc się w końcu z ich opinią.

— Co wiesz? — ciekawi się Niuniuś. Prawie łśni. Na ryju ma wymyślne lustrzanki o pomarańczowych szklach, nowiutki model filtra powietrza i tatuaż wrażliwy na natężenie promieni UV. Niżej nie jest lepiej. Nosi kurtkę pilotkę od Diora, pod nią koszulkę Dolce & Gabbana, jakieś poliestrowe, zapewne kuloodporne spodnie popačkane pseudowojskowymi łatkami zieleni i brązu. Lалуś. Przez plecy przewiesił mononuklearną katana, która kosztowała pewnie więcej niż mieszkanie w stolicy. Może nie takie w centrum, ale w nowych dzielnicach, jak Sochaczew czy Wyszków, mógłby się urządzić.

— Co wiesz? — powtarza zniecierpliwiony pytanie i sięga po elektronicznego papierosa napełnionego zielonym gównem.

— Wiem, co teraz muszę zrobić — mruczę i ruszam parę kroków przed siebie. Tacy niuniusie przyjeżdżają tu, by wyrwać się z wielkiej korpo, zobaczyć miasto, z którego uciekli ich rodzice, i zapolować na jakiegoś Składaka. Potrzebują oczywiście przewodnika, bo w głębokiej rzeczywistości odnajdują się gorzej niż kociaki w worku wrzuconym do rzeki. To drapanie małpy. Strasznie prosta kasa. Szczególnie dla kogoś takiego jak ja, kto wychował się już w pustych dystryktach. Najpierw tragicznie spadł przyrost naturalny, potem, żeby znaleźć pracę, też trzeba było stąd wyjechać. W końcu żyli tu tylko emeryci, a to, z dość oczywistych powodów, nie jest długoterminowe zamieszkanie. Miasto umarło. Jak wiele innych po tej stronie Wisły.

Została tu tylko garść takich jak ja i ci popaprańcy mieszkający w Filharmonii. To właśnie przez tę chroniczną samotność ściągnąłem sobie partnerów. Zupełnie świadomie i z premedytacją. Byli zawsze ze mną, niezależnie od dostępnego transferu łącza czy awaryjności sprzętu mobilnego. Czasem powodowali problemy, wywoływali bóle głowy, ale to oni nauczyli mnie tego wszystkiego. Podsunęli pomysł na pracę. Drobne niedogodności sprawiały, że byli bardziej ludzcy.

Zaczynam cicho nucić. Przez chwilę bucę jednostajnie, jak zepsuta lodówka.

Podskakuję zgarbiony, szuram stopami po asfalcie do rytmu „Du hast” Rammsteina i w końcu wyrzucam w powietrze garść diabelków oraz kawałków blachy i parę nakrętek. Wokół mnie wirują jeszcze poły wielobarwnego, ciężkiego płaszcza z kuloodpornego nylonu, fragmenty połamanych płyt DVD powplatanych we włosy i neonowe smugi kilkunastu pierścieni podoczepianych do zamków błyskawicznych, guzików i wciśniętych na palce.

Oczywiście odstawiam tylko cyrk przed turystą, który łyka wszystko jak młody pelikan. Słyszę strzelanie papierowych petard i stuk nakrętek na asfalcie.

— *Skany pokazują, że ten Składak, za którym idziecie, poszedł w lewo* — oznajmiają mi głosy, analizując na bieżąco odczyty całego sprzętu, jaki zdołałem w siebie wrzucić.

— Idziemy na lewo — orzekam tonem nieznoszącym sprzeciwu, z dumną miną indiańskiego wodza na emigracji.

— Większość złomu poleciała na prawo — zaoponował nieśmiało Niunius, podnosząc się z kucek i ponownie zarzucając na ramię plecak.

— No właśnie! — szybko ucinam i ruszam ciemną uliczką. Lampy nie działają już od dawien dawna, chociaż pamiętam ich blask. Wszystkie okna znajdujące się na parterze są zabite dyktą i okryte ciężkimi kratami. Zresztą, te na pierwszym piętrze też. Budynki są tak ślepe, jak my. Stukamy głośno przy każdym kroku. Nieważne, jak cicho staramy się iść. Puste miasto, ściany domów wyolbrzymią wielokrotnie każdy dźwięk. Zatrą też miejsce jego pochodzenia. Dochodzimy do końca i kucam przy dawno wyblakłych pasach przejścia, obok kupy brudów i złomu zakrywającej całkowicie śmietnik.

— *Poszedł prosto* — orzeka po krótkiej kłótni moich dziesięciu towarzyszy.

— Sądzę, że poszedł prosto, obok dawnego centrum kultury i McDonalda, aż na plac Litewski. — Mówię trochę głośniejsze.

— Zdaje się — zaoponował Niunius — że zmieniono jego nazwę na Patriotów Polskich?

— I co z tego? — Zwracam na niego wzrok. Właśnie kręci z niedowierzaniem głową. Uśmiecha się. Widzę blask jego zębów, niczym z reklamy pasty czy płynu do płukania ust. *Dziewięciu na dziesięciu dentystów poleca nasz produkt nawet w świecie postapo*, żartuje w mojej głowie Trzeci. Zawsze odznaczał się poczuciem humoru. Chichoczę. Niunius to zauważa. Chyba myśli, że nabijam się z niego.

— Czy jest coś złego w tym, że dbam o nowe tradycje patriotyczne? — Patrzy na mnie wilkiem. — To one pozwalają nam na zachowanie tożsamości i dynamiczny rozwój, a także stabilizację w życiu rodzinnym.

— *Dzięki towarzyszowi Napoleonowi niesiemy też więcej jaj* — znów odzywa się Trzeci.

— Nie, skąd. Po prostu mi odwała. Wiesz, samotność, brak prawidłowej socjalizacji i te sprawy. Nie obrażaj się. — Sięgam do wewnętrznej kieszeni, wydaję srebrny termos, odkręcam i podaję mu.

Patrzy na mnie nieufnie, odmawia i wyjmuję swoją piersiówkę. Nie chce? Więcej kawy dla mnie. To może i lepiej. Noc zapowiada się długa, a Niunius jest uparty i łatwo nie odpuści. Przypomina mi pod tym względem zajadłego, małego kundla. Psiaka z mononuklearną kataną. Pierwszy łyk ma lekko chemiczny smak kawy rozpuszczalnej, potem czuję słodzik i język mi obojętnieje na kolejne walory napoju. Pociągam drugi i trzeci. Gorący płyn o konsystencji przepracowanego oleju silnikowego wlewa mi się do żołądka. Lubię to uczucie.

— Lepiej, żebyś już tu się przygotował. Zbędne rzeczy osobiste i ubrania spakuj do plecaka. Schowamy go na klatce schodowej. Mam klucze.

— Nie mógłbyś go wziąć ze sobą?

— Jeśliby coś poszło nie tak i musielibyśmy uciekać, rzuciłbym go bez wahania. Zostałbyś z niczym.

Kiwa z ociąganiem głową i zaczyna powoli przypinać nagolenniki, naramienniki, kirysy i inne fragmenty zbroi. Uruchamia światłoczułe gogle. Nowiutkie i nieużywane, *made in Japan*.

— Nie zapomnij wyjąć wszystkiego, co ma w sobie elektronikę. Składaki wyczuwają ją z dużej odległości. Miałbyś problem z wykorzystaniem elementu zaskoczenia.

Opróżnia kieszenie. Wyjmuje dek, telefon i całą kupę innych elektronicznych gratów, którym nie zdołałem się przyjrzeć. W końcu zdejmuje też okulary. Z nabożnością wkłada je w futerał i wpycha z resztą szpargałów. W międzyczasie prowadzę swój wykład. Wyćwiczyłem go do perfekcji już przy poprzednich wyprawach:

— Musisz zdawać sobie sprawę z tego, że tak naprawdę nikt nie wie, czym są Składaki. Tworzą się same, z całego śmiecia dostępnego w najbliższej okolicy gniazda. Wyglądają jak humanoidalne lub zwierzokształtne kupy metalu, zużytego sprzętu i ostrych, stalowych krawędzi. Często najeżone są resztkami zautomatyzowanych systemów bezpieczeństwa, noży kuchennych czy ostro zakończonych prętów, ale nawet jeśli nie oberwiesz takim wynalazkiem, sama waga łapy zamieni ci wnętrze w chińskie danie na wynos. Atakują z wyjątkowym brakiem finezji, ale sama masa i brutalność wystarczą do tego, aby rozstrzygnąć ich korzyść prawie każdą walkę, do której są zmuszane. Nie przypominają pod tym względem ani cyborgów, ani robotów. Może trochę cyberświrów.

Zapalam papierosa, chroniąc żar w złożonych dłoniach i kontynuuję tym samym, wypranym z uczuć tonem:

— Zasadniczo to przez to, że tworzą je dość prymitywne programy, pseudointeligencje, które w normalnych warunkach rozwijają się przez dokonywanie szeregu prób sprawdzających wszystkie dostępne opcje. Mylą się aż do osiągnięcia sukcesu. Dlatego są olbrzymie, krępe i szalenie sprawne, to skuteczna i prosta metoda na przeżycie, szczególnie dla zbzikowanej lodówki lub zbuntowanego komputera osobistego.

— W swoich rozważaniach pomijasz dodatkowe kończyny i nietypowy wybór zmysłów... — zauważył Niunius.

— Bo to bajki opowiadane po klubach dla bogaczy. Jak bananowy Yeti coś takiego upolował to znaczy, że mu to podstawiono, a wnętrze miało wyprute z jakiejś biednej pralki lub starego kalkulatora. Mógł też opić się płynu do polerowania alufelg i zmyślać.

— To znaczy...

— To znaczy, że ta cała przechwalająca się po modnych klubach banda nigdy nie była w takiej strefie jak ta — kończę za niego. — Składaki weryfikuje rzeczywistość i teoria ewolucji, dlatego częściej mają cztery niż dwie nogi, a koła nie występują wcale. Raz widziałem bydlę na gąsienicach. Takich jak wy weryfikują natomiast Składaki — dodają, nie próbując kryć uśmiechu. Kończę papierosa. Gaszę o chodnik, zostawiając czarne smugi. Ruszam. Niunius idzie za mną. Ma miarowy krok, ale często się potyka.

— *To nasze miasto, nie jego. Nasza Zona*— mruczą moje elektryczne, nieustannie czuwające anioły. Gdybym im pozwolił, rozszarpałyby go. Moimi rękami i zębami. Słyszę, jak warczą, gdy się zbliża. Powoli wchodzimy w długi cień garaży podziemnych centrum handlowego, postawionego na dawnym placu Litewskim. Idziemy od jednego ciężkiego betonowego słupa z antycznym oznaczeniem do kolejnego. Kiedyś te wyblakłe litery miały ułatwiać orientację. Dziś nie znaczą kompletnie nic. Topografia się zmieniła. Zasady się zmieniły. Mrok skrywa parę szybko pożeranych przez rdzę wraków samochodów. Są złupione doszczętnie ze wszystkich elementów, które można było wymontować. Nie zrobili tego złomiarze, a właśnie Składaki budujące swoje ciała i gniazda. Albo tylko jeden. Duży i stary.

Wchodzimy po szerokich, długich schodach o niskich stopniach. Na niektórych palą się jeszcze słabo ledowe listwy. W ich ćmiącym blasku widzę stare, olbrzymie graffiti na ścianie. To nie żaden throw up czy cyrkuflak z tagiem, zrobiony przez zwykłego crossera czy

toya. To arcydzieło. Rozplanowane do ostatniej kreski, każdego użytego koloru, ostatniego centymetra kwadratowego powierzchni. Przedstawia rycerza, zakutego od stóp do głów w błyszczącą, gotycką zbroję. Pancierz lśni niczym czysty chrom. Rycerz szarżuje na swoim wiernym rumaku, wyglądającym niczym wierzchowiec jednego z jeźdźców apokalipsy, mierząc kopią w wijącego się gada, prawdopodobnie smoka. Bestia zije zielonkawo-czarnym ogniem, stoszy łuski i zasłania się wielkimi jak szable pazurami niczym tarczą. Zagarnia też swoimi błękitnymi splotami oprawcę i każdy niezajęty skrawek obrazu. Nie wiem, czy twórcy przyświecała jakaś szczególna idea, ale stworzył dzieło na wskroś piękne. Mam też nadzieję, że ten rycerz, którego z sobą prowadzę, upora się ze swoim potworem. Kiedy jesteśmy w połowie pierwszego piętra, z najwyższego do moich uszu dobiega szcęk stali i odgłos ciężkich kroków.

— *Idzie klusem*— uświadamia, szepcząc moimi ustami, Piąty.

— Jest na samej górze, prawda? — dopytuje się Niunius, nowo pasowany przeze mnie na rycerza, wyciągając z pochwy katanę. Mam nadzieję, że trochę poćwiczył z jakimś trenerem szermierki i nie zadowolił się jedynie nocnym seansem filmów Tarantino. Uma Thurman może i wygląda zajebiście machając mieczem, ale robi to zupełnie bez polotu i stylu. Niunius poobcina sobie łapy przy próbie naśladowania jej.

Problem w tym, że nie wiem. To inny gatunek. Mamy prawie nieróżniący się zestaw genów, generalnie rzecz ujmując, to ten sam hardware. Jedziemy na analogicznym sprzęcie. Na tym podobieństwa się kończą. Dzieli nas wychowanie, kultura, ambicje. Cały jebany software, wgrany nam przez rodziców i środowisko do łbów. On miał fart, swoje plemię, które go chroniło, dbało o niego i załatwiło pracę. Bawił się w modnych klubach, zachlewał mordę z przyjaciółmi ze szkoły, ćpał nanonarkotyki i pukał najpiękniejsze dziewczyny, jakie stanęły mu na drodze. Takie o trójkątnych twarzach i delikatnej skórze nieskażonej kwaśnymi deszczami. Ja jestem turystą. Nigdzie nie należę. Nikt się za mną nie wstawi. Nie stanie po mojej stronie. Nie, nie z wyboru. Zostawiono mnie i nigdy nie dano szansy. Jedynych przyjaciół, nauczycieli musiałem sam sobie załatwić. Stali się moimi elektrycznymi aniołami. Nie są doskonali, ale nie miałem wyboru. Byłem sam.

Czyni nas to dwoma zupełnie różnymi gatunkami ludzi i dlatego nie umiem go zrozumieć. Nie wiem, po co to wszystko robi. Dlaczego bierze miecz, wynajmuje mnie i idzie zabić potwora, o którym słyszał do tej pory tylko pijackie opowieści. Może to jakiś rytuał przejścia, by stać się mężczyzną. Nie wystarcza mu już sześciocyfrowa wypłata i odpowiedzialne stanowisko w korpo. Istnieje też szansa, że chce wykazać się przed szefem lub jakąś dziunią o trudnym charakterze, pragnącą daniny z tego elektrycznego krokodyla. Jak pisał Derrida, nastąpił odwrót od nowoczesności. Zaakceptowaliśmy widma dawnego świata i zażądaliśmy ich powrotu. Może właśnie to go opętało, pragnienie powtórzenia, stworzenia błędnej pętli dziejów świata. Walenia tępym kawałkiem metalu równie tępego oponenta, zdobywania ulotnych białogłów i umierania na grypę po trzydziestce.

Nie wiem.

Nie pytałem go nawet o powód. Dlaczego? Mógłby powiedzieć cokolwiek, a ja nie wyczułbym łgarstwa. Jak już wspominałem, jesteśmy dwoma zupełnie różnymi gatunkami. Nie wiem nawet, czy odróżnia kłamstwo od błędu i jak je definiuje. Nie wiem, czy to robi.

Docieramy wreszcie na najwyższą kondygnację centrum handlowego. Drugie piętro ma przeszklony dach, ale nie oświetla go blask gwiazd. Smog skutecznie je ukrywa. Niunius mija mnie, idzie z mieczem uniesionym wysoko nad głowę. To chyba postawa z kendo. Wygląda jak jeden z tych samurajów, którzy w pierwszej połowie dwudziestego pierwszego wieku wyruszyli na ulice Tokio, by walczyć z nielegalnymi androidami i imigrantami z Azji Wschodniej. Przynajmniej tak ich zapamiętałem jako dzieciak, oglądając pirackie transmisje na ukradzionym deku. Z księgarni, przez od dawna rozbity witrynę, wychodzi Składak. Tak jakby wiedział, jakby od dłuższego czasu czekał tu na nas i właśnie dawał nam ostatnią

szansę na zmianę planów. Jest zdumiewający. Wyglądem trochę przypomina wielkiego gada.

— *Smok* — szepce w mojej głowie Szósty. — *Wygląda jak smok z mangi.*

Spomiędzy gąszczu kątowników i wzmocnionych ram samochodów buchają dymy z wysokoprężnego silnika benzynowego. Nastroszony grzbiet brzęczy cicho tysiącami szprych z kół motocykli. Kiedy ryczy, słyszę miarowy warkot V6 i syki tłoków wypełniających paszczę. Głowę, szyję i ogon tworzą wielokrotnie zmiażdżone do właściwego kształtu fragmenty karoserii dziesiątek aut, boki zbudował z bardziej topornych drzwi od bulwarówek i przeróżnych masek. Skrzydła pokrywają gładkie i nienaruszone tafle chromu. Przynajmniej tak mi się wydaje. Zupełny odjazd, kompletny czad i narkotyczna wizja. Po co, do jasnego krachu Windowsa, są mu potrzebne skrzydła? Jest za ciężki na lot, a do niczego innego nie mogą się przydać. Poza jednym — mógłbym się w nie wpatrywać długimi latami, ale to chyba nie był właściwy cel tego Składaka.

Niunius ruszył biegiem. Z potwornym wrzaskiem, mającym zapewne wystraszyć przeciwnika. Na pewno go ostrzegł, bo nawet jeśli Składak nie miał zmysłu słuchu ani wzroku, musiał wręcz odczuć dźwięk na tej całej blasze, od której odbiły się jego fale. Pomimo to potwór nie zdążył z unikiem. Przed ciosem zasłonił się jedynie łapą. Błysnęła mononuklearna katana. Usłyszałem przeraźliwy pisk i zobaczyłem, jak kończyła spada z brękiem na posadzkę. Toczyła się po niej jeszcze przez chwilę. Wojownik odskoczył, ponownie zajął pozycję wyjściową i zmierzył przeciwnika wzrokiem. Robot kłapał parę razy zębami. Nie walczył jak typowy Składak, nie wykazywał się agresją i brutalnością. Nie atakował gwałtownie. Był opanowany. Miałem wrażenie, że dokładnie przemyślał każdy ruch i kolejny krok. Jakby wszystko już policzył. Znał riposty na to, co mógł przedsięwziąć przeciwnik.

Kiedy znów do siebie przyskoczyli, wynik starcia był bardziej wyrównany. Ofiara straciła fragment łba, a myśliwy całą lewą rękę naszpikowaną miał dziesiątkami szprych. Musiał zmienić sposób, w jaki trzymał miecz. Stracił zdolności ofensywne i pół litra krwi.

Słyszę zlewające się głosy kłócących się Eudajmonów:

Pomóż mu.

Wyjmij broń.

Nie, nie jemu, ćwoku!

Jak możesz być tak niewrażliwy.

Na pewno się zrewanżuje, pomoże...

Nie zasługuje na to, przecież wiesz.

Ty będziesz winny. Jest taki ludzki.

Nie walczy jak inne składaki, nie jest agresywny.

Zostaniesz mordercą, stary!

Wyjmuję broń i słyszę cichy gwizd ładującego się bezłuskowca dokładnie w momencie, gdy Niunius znów przyskakuje do przeciwnika. Nawet nieźle sobie radzi.

— *Słuchaj* — w końcu odzywa się Dziesiąty, który musiał znokautować pozostałych, bo tylko jego głos słyszę — *nie chcę wpływać zbytnio na twoją decyzję odnośnie do tego, do kogo zaraz otworzysz ogień, ale pamiętasz ten mural, który wszyscy oglądaliśmy przy wejściu?*

— Tak.

— *Zadam ci proste pytanie* — uprzedził Dziesiąty — *które powinno pomóc w dokonaniu wyboru. Czy zakuty w stal rycerz ani trochę nie przypominał ci robota? Robota walczącego z postnowoczesną bestią?*

To taka gra, w której spośród miliona lśniących kolorami i neonowo jarzących się linków do ofert nowych, cyfrowych ewangelii oraz zróżnicowanych, równie dobrych systemów metafizycznych za jedyne dziewięć dziewięćdziesiąt dziewięć wybierasz jeden. I nie ma dobrego wyboru. Tylko dźwięk strzałów w starym centrum handlowym. Dziesięciu.

Dziesiąty demon

Grzegorz Czapski

Ostrze kilofa wbiło się głęboko w kruchą skałę Peloponezu. Odłamki upadły na ziemię z głośnym hukiem, wzbijając w powietrze tumany pyłu, które i tak nie były wstanie zasłonić czarnej otchłani prowadzącej do trzewi wzgórza — wejścia do starożytnej świątyni.

Zebrani dookoła robotnicy oraz polscy archeolodzy obserwowali wszystko z nieudawaną ekscytacją. Zwłaszcza profesor Kisielewski, który zacierał ręce na samą myśl o potencjalnych znaleziskach. Zdawał sobie sprawę, że już w tym momencie można było uznać to za sukces, albowiem ową świątynię uważano za wymysł kronikarzy i miejscowych, a tu proszę, wystarczyło pokopać trochę dalej. Nie chciał też pozbawić się przyjemności zbadania jej jako pierwszy. Tylko śmierć mogła go od tego powstrzymać.

Marek stał tuż za nim. Młody, zaledwie dwudziestosiedmioletni doktorant o poważnej twarzy i kędzierzawych włosach. Był zadowolony z tego, że dał się namówić profesorowi na tę wyprawę. Zawsze lepsze to od siedzenia za biurkiem i przeglądania stosu starych dokumentów o prawie rzymskim.

— Dobra, panowie, na świętowanie przyjdzie jeszcze czas — powiedział po angielsku rozradowany profesor, aby i robotnicy mogli go zrozumieć. — Najpierw trzeba zabezpieczyć wejście, by się nie zawaliło, gdy będziemy w środku. Wchodzimy z samego rana, a po tym, jak sprawdzimy i opiszemy wszystko, stawiam wódkę.

Naukowcy pokiwali głowami, każdy uśmiechał się od ucha do ucha nie tylko na myśl o odkryciach, ale i o nadchodzącej popijawie. Jedyne robotnicy nie odwzajemnili radości badaczy. Na ich twarzach było widać strach.

Marek podejrzewał, że bogobojni miejscowi lękają się tego, co może znajdować się w dawno zapomnianej pogańskiej świątyni. Podczas jednej z przerw zapytał ich wprost, czemu ogarnia ich strach i żądają tak wysokich stawek za swą pracę. Dowiedział się od nich, że owo wzgórze jest przeklęte. Ponoć gdy przyłoży się ucho do skały w środku nocy, można usłyszeć krzyki potępionych. Doktorant kilka razy wymknął się ze swojego namiotu, aby to sprawdzić, niestety srogo się zawiódł.

Domyślał się również, kto rozpowiadał plotki o tym miejscu, i był zaskoczony tym, że ów osobnik jeszcze się nie pojawił. Był to ksiądz z miejscowej cerkwi, który przychodził każdego dnia na teren wykopalisk, namolnie próbując przekonać profesora do porzucenia poszukiwań, aby, broń Boże, nie obudzić śpiącego pod wzgórzem diabła.

Marek za każdym razem, gdy to słyszał, próbował ze wszystkich sił powstrzymać się od ryknięcia śmiechem. Jednak miejscowi słuchali duchownego. Po każdej jego wizycie jeden lub dwóch robotników rezygnowało z pracy i wracało do swoich wiosek.

Oczywiste było, że to właśnie przez księdza odchodzili, jednak nikt nie złapał go na gorącym uczynku. Zdenerwowany profesor podejrzewał, że klecha nie musiał bezpośrednio rozmawiać z robotnikami. Mógł równie dobrze powiedzieć parę słów żonie, matce lub teściowej. Tak czy siak, od początku wykopalisk Kisielewski zdążył zatrudnić dziesięciu nowych do kopania i wolałby przy tej liczbie pozostać.

W końcu nastąpiła noc. Robotnicy skończyli pracę i wrócili do domów. Na miejscu zostali tylko naukowcy, którzy szykowali się do snu w obozowisku, oraz dwójka ochroniarzy do pilnowania terenów wykopalisk. Markowi nie przeszkadzały polowe warunki, właściwie to nawet bardzo mu się spodobały. Odpoczynek od wielkiego miasta tu, gdzie czujne oko nadopieczniczki matki nie sięga, a człowiek może być wreszcie samodzielny. Chłopak otulił się śpiworem, zgasił latarkę i spróbował zasnąć.

Jednak nie dane mu to było zaznać snu. Nagle usłyszał przeraźliwy krzyk, jakby setki

zarzynanych naraz świń, krów, owiec i kur. Odgłos, który równie dobrze mógłby być pozdrowieniami z samego dna piekieł.

Wyskoczył z namiotu jak z procy, chwytając po drodze latarkę. Na zewnątrz panował chaos. Naukowcy biegali po całym obozowisku, nie mogąc się zorganizować. Jedynie Kisieliński zachował zimną krew, stojąc niczym pomnik otoczony płochliwymi gołębiami.

— Spokój! Wszyscy do mnie! — wrzasnął profesor, starając się przekrzyczeć upiorne wycie. — Cholera jasna, zbierzecie się do kupy czy mam zrobić zbiórkę jak w podstawówce?

— Zdaje mi się, że to dochodzi ze świątyni — powiedział jeden z archeologów, stojący obok Kisielińskiego.

— Hm... — chrząknął z niedowierzaniem profesor. — A gdzie nasi ochroniarze?

— Doktor Orczyk widział, jak jeden uciekł do wioski. Co z drugim, nie wiem. Może pobiegnął w innym kierunku?

— Cholerni tchórze. I to mają być ochroniarze? — warknął Kisieliński. — Jutro się z nimi rozliczę. Teraz trzeba zbadać źródło tych wrzasków. Za mną!

Wszyscy ruszyli niepewnie za profesorem. Dorośli mężczyźni, których ów potępieńczy krzyk zaskoczył, zmienili się w bandę rozhisteryzowanych dzieci. Jednak to, co zobaczyli przed wejściem do świątyni, zważyło ich z nóg.

— Co do... — profesor zmełł w ustach przekleństwo.

Na ziemi leżał ochroniarz, z dziurą wielkości pięści ziejącą na samym środku klatki piersiowej. Tuż pod jego ciałem zasychało już krwisto-brunatne błoto.

— Obudziliśmy diabła — jęknął jeden z naukowców.

— Nie gadaj głupot. Nie ma tutaj żadnego diabła — odpowiedział mu ktoś inny.

— A jeśli to jedno podanie okaże się prawdą?

— Bzdura, lepiej zadzwońmy po policję.

— Ja tam nie schodzę!

— Ty, Filip, zawsze srasz po gaciach.

— Zamknijcie się jeden z drugim! — wrzasnął profesor. — Będą mi tu przekupki głądzić i panikować. Krzysiek, leć po komórkę i dzwoń na policję. Reszta do obozu i czekać. Po wszystkim zwołuję naradę. Już!

Kilku jeszcze miało ochotę na histeryzowanie, ale samo spojrzenie Kisielińskiego wystarczyło, by podkulili ogony i pokornie wrócili do obozu.

Marek przystanął jeszcze na moment i poświecił latarką na martwe ciało. Poza dziurą w miejscu, gdzie powinno być serce, trup miał również wyrwany nos oraz wydłubane oczy. Poczł, jak fala mdłości wzbiera mu w gardle. Nagle zdał sobie sprawę, że krzyki ustały. Nie przed chwilą, a w momencie, kiedy odnaleźli ciało nieszczęsnego ochroniarza. Tak jakby zwłoki specjalnie miały odwrócić uwagę. Teraz z wnętrza świątyni dobiegały ciche, ledwo słyszalne oddechy.

— Głowacki, замуrowało cię? — krzyknął z oddali profesor. — Ruchy do obozu, a nie trupa będziesz oglądał.

— Już idę.

Marek odwrócił się i posłusznie dołączył do reszty.

Do bladego świtu miejscowa policja przeczesywała teren i zabezpieczała ślady, jednak nadaremno. Funkcjonariusze nie ustalili nic konkretnego. Właściwie to nie wiedzieli, kto, jakim cudem i po co dokonał tak makabrycznego morderstwa. Jediną pociechą dla profesora był fakt, że śledczy nie wierzyli w diabła spod wzgórze i nie widzieli sensu, by schodzić do świątyni. Obiecali jednak, że zostawią przynajmniej dwójkę funkcjonariuszy, by pilnowali przez następną noc miejsca zdarzenia. Na wypadek, gdyby ów psychopata raczył się jeszcze pojawić.

Wszyscy byli niewyspani, zmęczeni i zdenerwowani. Połowa archeologów marzyła, by położyć się do snu. Pozostali również chcieli zasnąć, ale w swoich ciepłych łóżkach, w

kochanej Polsce. Morale naukowców spadało niczym wartość rubla.

— Dobra, ludzie, wiem, że jesteście zmęczeni, ale musimy się jeszcze naradzić — powiedział Kisieliński, ziewając co chwilę.

— Ja tam nie zejdę! — wrzasnął, nie po raz pierwszy, Filip.

— Ja też nie — wtórował mu inny Polak.

— A ja tam zejdę, trzęsidupy — powiedział dumnie Orczyk.

— Dobra, nikogo nie będę zmuszał — powiedział z ciężkim sercem Kisieliński. — Kto chce zostać w obozie, niech podniesie rękę.

Z całej dziesiątki archeologów aż siedmiu uniosło dłonie. Jedynie profesor, doktor Orczyk i Marek byli na tyle odważni, by dokonać oględzin świątyni.

Doktorant widział na twarzy swojego promotora zawód. Znał profesora, który całym sercem był ateistą i wierzył wyłącznie w fakty potwierdzone naukowo. Świadomość, że aż tylu stchórzyło przed wyimaginowanym diabłem, zapewne napelniała go goryczą.

Marek, mimo iż również nie dawał wiary istnieniu diabła spod wzgórza, czuł dreszcz podniecenia. Zdążył już zderzyć się z brutalną rzeczywistością archeologii i porzucić wszystkie marzenia o przygodach w stylu Indiany Jonesa. Jednak za każdym razem, gdy pojawiał się choćby i najmniejszy ślad tajemnicy, ogarniała go ekscytacja.

— Dobra, koniec tego. Idziemy spać, trzeba się zdrzemnąć przed robotą. Oczekuję, że gdy wrócimy, będziecie czekać tutaj na nas, a nie na lotnisku na pierwszy samolot do Warszawy — powiedział gorzko Kisieliński.

Wszyscy odetchnęli z ulgą i poczłapali niczym żywe trupy do swoich namiotów. Marek również poszedł w swoją stronę, ale ktoś złapał go za rękę. Odwrócił się i zobaczył, że był to profesor.

— Dzięki, że idziesz ze mną. — Uśmiechnął się do chłopaka. — Chcę z tobą pogadać.

Marek kiwnął głową i posłusznie ruszył za profesorem na sam skraj obozowiska. Zastanawiał się, czego on od niego chce.

— W czym problem, profesorze?

— Coś mi tu śmierdzi, ale jeszcze nie wiem co. Podejrzewam, że to morderstwo nie było przypadkowe i prędzej czy później zmuszą nas do zaprzestania prac.

— Chyba nie zaczyna pan wierzyć w diabła spod wzgórza?

— Głupis? — Kisieliński spojrzał na swego doktoranta z wyrzutem. — Pewnie, że nie. Jednak nie wiem, kto to mógłby być. Mam pewność, że nikt od nas tego nie zrobił, miejscowi pewnie też nie, w końcu ochroniarz był jednym z nich.

— Może ksiądz?

— Też nie. — Stary archeolog machnął ręką. — Ten klecha jest na to zbyt bogobojny.

— Też nie wiem, kto to mógłby być. Pewnie jakiś psychol. Tylko wariat zmasakrowałby aż tak czyjeś ciało. Serca wyrywali Aztekowie na ofiarę dla bogów, a my jesteśmy w Grecji.

— Hm... — zamyślił się Kisieliński. — Fakt, to może być jakiś wariat. Rozmawiałem z policją. Poza tymi dwoma przyślą z miasta paru dodatkowych tajniaków, by nas przypilnowali. Jednak wciąż jest jeden problem.

— Jaki, profesorze? — Marek nie krył zaskoczenia.

— Nie mów, że nie wiesz. Większość ekipy ma wielką ochotę zdezerterować. Obawiam się, że ta menda Filip będzie wszystkich podburzał.

— Filip? Ma pan na myśli profesora Kowalika?

— Jak zwał, tak zwał. To gnida, menda społeczna, alkoholik i donosiciel. Nie zdziwiłbym się, gdyby codziennie pisał raporty do dziekana. Szlag by go trafił i te pieniądze. Gdyby nie to, że zabrakło jednej trzeciej funduszy, nie zgodziłbym się na ten układ i... — Kisieliński przerwał, zdając sobie sprawę, że powiedział za dużo.

— Spokojnie, profesorze, postaram się nie zawieść pańskiego zaufania — odparł

Marek.

— Dobry z ciebie chłopak. Idź się zdrzemnij choć trochę, byś nie zasłabł mi pod ziemią.

Marek z ulgą przywitał się ze swoim śpiworem. Po nocy pełnej wrażeń nie było nic przyjemniejszego niż odrobina zasłużonego odpoczynku. Ledwo dotknął twarzą poduszki, a już wpadł w kojące objęcia Morfeusza.

Jednak nie zaznał ukojenia. Śniły mu się koszmary, jakich w życiu nigdy nie widział. W tym śnie padał na niego deszcz martwych szerszeni, zasypując go całkowicie. Starał się uciec, wydostać spod zwałów zdechłych insektów, jednak cały czas nie mógł się oderwać od dna. Przy każdym ruchu żądła kłuły i wbijały się w jego nagie ciało. W końcu się poddał, a wtedy biała niczym marmur dziesięciopalczysta dłoń o długich pazurach pochwyciła go i wyciągnęła na powierzchnię.

Wtedy się obudził, zrywając się na równe nogi tak, że uderzył głową o aluminiowe rusztowanie namiotu. Oddychał ciężko i nierówno, a cały zlany był potem. Przez moment starał się uspokoić nerwy. Parę razy uderzył się w twarz, by przywrócić jasność umysłu. Tłumaczył sobie, że to jedynie kumulacja zbiegów okoliczności. Zmasakrowany trup ochroniarza oraz plotki o diable sprawiły, że jego umysł zaczął wpadać w nastrój grozy. Nie zmieniło to jednak faktu, że coraz bardziej czuł się bohaterem jednego z opowiadań Lovecrafta lub jakiegoś jego mniej utalentowanego wielbiciela.

Wreszcie przestał tak się tym przejmować i spojrzał na zegarek. Dochodziła dziesiąta, podejrzewał, że niedługo profesor przyjdzie go obudzić. Marek machnął ręką, pewny, że i tak już by nie zasnął. Za dużo adrenaliny krążyło w jego żyłach. Przebrał się, a następnie wyszedł z namiotu.

Kisieliński już nie spał, siedział na turystycznym krzeselku, dopalając papierosa. Worki pod oczyma wskazywały na to, że również był niewyspany. Gdy tylko zobaczył swego doktoranta, zgasił niedopałek i wyrzucił do podręcznego worka na pety.

— Czołem, młodzieży. Widzę, że nie najlepiej się spało — stwierdził z troską. — Pewnie aura tych boidudków nie dawała nam spać. Dobra, czekamy jeszcze na Orczyka i zaczniemy powoli schodzić.

— A co z pozostałymi? — Marek rozejrzał się na wszystkie strony.

— Jak to co? Trzech z nich śpi, Kowalik myje zęby, a reszta sprawdza, czy przypadkiem wariat nie uszkodził stropów przy wejściu albo nie ukradł nam sprzętu.

— Rozumiem — chłopak kiwnął głową. — A, właśnie, muszę panu coś powiedzieć. Jak tak stałem wczoraj przy wejściu, to...

— Czekaj, słyszysz? — Kisieliński przerwał Markowi.

Profesor minął go i spojrzał w stronę wioski. Z jego ust wyszła najbardziej finezyjna wiązanka przekleństw, jaką chłopak w życiu słyszał.

W stronę wykopalisk szła procesja, składająca się na oko z dziesięciu ludzi, kobiet oraz mężczyzn, cały czas żegnających się na prawosławną modłę. Wśród nich Marek rozpoznał jednego z ochroniarzy, który wczoraj uciekł, jak widać, by skryć się pod sutanną.

Na czele pochodu szedł słynny ksiądz, ubrany w strój liturgiczny z felonionem dumnie wiszącym mu na barkach. Ogromny złoty krzyż błyszczał w porannym słońcu tuż nad opasłym brzuchem duchownego, tak jak trzymana przez niego ikona.

— Cholera, ten klecha idzie tu z obstawą. Będą kłopoty. — Drżącymi rękoma Kisieliński zapalił kolejnego papierosa.

— Widzę tam naszego ochroniarza. Pewnie doniósł na nas.

— Cholerni ortodoksi, cholerny wariat, wszystko niech pójdzie w cholerę! — Stary naukowiec wtłoczył do płuc porządną dawkę nikotyny. — Całe wykopaliska może trafić szlag przez jednego trupa, a teraz ten idzie i będzie egzorcyzmował oraz rzucał klątwy na lewo i prawo.

— To co robimy, profesorze?

— Marek, Marek, Marek. Dobry z ciebie chłopak i niezły archeolog, ale czasem nie potrafisz pomyśleć. Teraz będę musiał przypilnować interesu, by nic nie narozrabiali. Niby mamy ochronę policji, ale, znając życie, oni tyłków nie ruszą, by nam pomóc.

— Co się dzieje? — powiedział doktor Orczyk, który pojawił się tuż za nimi.

— A, dobrze, że jesteś, Krzysiek. Schodzisz z młodym sam. Muszę pilnować, by ta hołota nie zniszczyła wejścia do świątyni, a tobie mogę zaufać.

— Słuchaj, przecież to twoje odkrycie, ty musisz zejść — powiedział ze zdziwieniem tamten.

— Krzysiek, tobie ufam, ale reszta naszych pożał się nieistniejący Boże kolegów to idioci. Bez urazy, ale nie masz odpowiedniej charyzmy. — Kisieliński posłał przyjacielowi przepaszające spojrzenie. — Jak ja nie wrzasnę, to będą latać po całym obozowisku niczym stado bezgłowych kurczaków, a ci zrobią, na co tylko będą mieli ochotę.

— Dobra, potem pogadamy, bo widzę, jak się do nas zbliżają — odparł smutno Orczyk. — Bierz młody latarkę i za mną. Idziemy na oględziny, a ty się trzymaj, Daniel.

Marek poszedł za doktorem, nie oglądając się za siebie. Współczuł profesorowi, że ten nie mógł pójść z nimi, chociaż z drugiej strony, znając jego charakter, odbije sobie porządną awanturę. Wieść akademicka niesie, że w młodości był niezłym zabijaką. Mimo iż od tego czasu minęło kilka dziesięcioleci, chłopak czuł się pewniej, mając tego starego archeologa za plecami.

Odgłosy oddechów brzmiały identycznie jak w nocy. Chłopak czuł pot, niosący w sobie woń strachu, spływający mu po ogarniętych dreszczami podniecenia plecach. Dwie sprzeczne ze sobą emocje toczyły bój o wolę Marka, jednak ostatecznie zwycięstwo należało do tej drugiej.

Nie czekając na nic, ruszyli przed siebie, by odkryć sekrety zapomnianej świątyni.

Ciemność niechętnie odsłaniała swe tajemnice przed promieniami światła pochodzącymi z latarek. Starali się stawiać ostrożnie każdy krok na zakurzonych schodach, aby kolejny nie był też ich ostatnim. Odgłos tajemniczego oddechu mieszał się z głosami ludzi wrzeszczących na siebie na powierzchni. Był coraz głośniejszy, przypominający swym tembrem sapanie śpiącego psa.

W końcu postawili nogę na ostatnim stopniu i ich oczom ukazała się skąpana w mroku główna sala świątyni. Nie zaimponowała im. Spodziewali się jakichś ornamentów, zdobień, rzeźb, a zobaczyli jedynie dziesięć prostokątnych kolumn. Nawet podłoga była tylko wygładzonym kamieniem.

— Może to tylko przedsionek? — zastanawiał się Orczyk. — Refektarz powinien być dalej.

— Nawet jeśli, to powinny być tu jakieś zdobienia, posągi albo cokolwiek, co mogło zaimponować prostym ludziom, a tutaj... nic — odparł zawiedziony Marek, spoglądając w każdy zakamarek.

— Na szczęście pomieszczenie nie jest duże. Wystarczy pojedynczy reflektor, by je oświetlić. O, tam widzę jakieś przejście.

Dalsza droga wiodła długim, wydrążonym w skale korytarzem. Dwójkę archeologów coraz bardziej to wszystko intrygowało. Wszyscy myśleli, że świątynia została zasypana w wyniku jakiegoś kataklizmu, ale wyglądało na to, że specjalnie wydrążono ją w skale. Zastanawiało ich również, kto mógłby ją wykopać, bo na pewno nie Grecy. Na ścianach nie było śladów żadnej ze znanych kultur, właściwie to nie było śladów jakiegokolwiek kultury. Jedna tajemnica sprawiała, że pojawiało się dziesięć kolejnych i tak dalej, i dalej.

Wkroczyli do kolejnego pomieszczenia, znacznie większego, choć budową przypominającego poprzednie.

Raptem Marek coś zauważył.

— Tam, doktorze, na podłodze. Chyba tam leżą jakieś zwłoki — wskazał dłonią.

— Ostrożnie, może tutaj być więcej ciał, uważaj, by przypadkiem nie nadepnąć na nie.
— Orczyk poświecił latarką we wskazaną przez Marka stronę.

W białym świetle błysnęła kość. Był to jedynie szkielet, otulony starymi, podartymi łachmanami. Jednak jeden szczegół sprawił, że obydwoj przelknęli głośno ślinę. Kościotrup nie miał części kręgosłupa, a klatka piersiowa była połamana. Wyglądało to, jakby ktoś zrobił w ciele tego nieszczęśnika wielką dziurę na wysokości serca.

Naukowcy popatrzyli na siebie z niedowierzaniem. Nieszczęsny ochroniarz również miał identyczną ranę. W ich przesączonych nowoczesnością i wiarą w naukę umysłach zakotłowało się niczym w kipiącym garnku. Czyżby to oznaczało, że ów diabeł spod wzgórza naprawdę istniał?

Orczyk pochylił się, by dokładniej przyjrzeć się zwłokom i zauważył wystający spod stosu szmat kawałek pergaminu. Archeolog delikatnie wyciągnął ocalały kawałek skóry, tak by go nie zniszczyć. Jednak i tak ząb czasu mocno nagryzł dokument. Pergamin był podziurawiony i kruszył się, gdy mocniej się go nacisnęło. Wiele fragmentów tekstu było nieczytelnych, jednak te nieliczne zdania, które dało się odczytać, sprawiły, że Orczyk zmrużył oczy.

— Coś nie tak, doktorze? — zapytał Marek.

— Albo już kompletnie zwariowałem, albo naprawdę coś tutaj jest. Ten nieszczęśnik był Rzymianinem. Ja tu wyraźnie widzę tekst zapisany klasyczną łaciną.

— Łaciną? Prawda, Rzymianie rządili tymi terenami, ale jak ten tutaj znalazł się akurat w tej świątyni?

— Niewiele da się z tego odczytać. Tylko o jakimś haczykowatym nosie, krogulczych pazurach i dziesiątym demonie. Śmieszne, przecież ani Grecy, ani Rzymianie nie numerowali swoich demonów.

— A może to jest ten nasz diabeł spod wzgórza? — zapytał drżącym głosem Marek, przypominając sobie swój koszmar, w którym pochwyliła go łapa o szponach niczym u drapieżnych ptaków.

— Nie gadaj głupot — warknął doktor, odkładając delikatnie dokument na podłogę.
— Sprawdźmy jeszcze jedno pomieszczenie i wychodzimy.

— Nie boi się pan?

— Ja? Nie, ale jeśli chcesz, to możesz spadać na górę. Kisieliński pochwali cię za zostawienie mnie samego — powiedział niepewnie Orczyk.

Marek domyślał się, że doktor, podobnie jak on, zaczynał popadać w paranoję. Trupy, demony, wściekli prawosławni księża. Cała ta wyprawa naprawdę zaczynała przypominać horror klasy B, jeśli nie Z.

Kolejne pomieszczenie różniło się od poprzednich. Przy każdej ze ścian znajdowały się czary, ustawione na niskich, metalowych stojakach, a na samym środku, na niewysokiej platformie stał ołtarz. W powietrzu unosiła się nieprzyjemna woń zgnilizny.

Doktor poświecił latarką na ołtarz. Ciemne plamy krwi, pamiętające dziesiątki, jeśli nie setki lat, mieszały się ze współczesnymi. Na kamiennej powierzchni znaleźli brakujące organy nieszczęsnego ochroniarza. Nos, oczy i nagryzione serce.

Obydwoj mężczyźni zakryli usta dłońmi, starając się powstrzymać wymioty. To było już dla nich za dużo. Cofnęli się do poprzedniej sali, próbując złapać oddech.

— Młody, nie wiem jak ty, ale ja mam dość na dziś. Spadamy stąd.

— W pełni się zgadzam, doktorze, ale co powiemy Kisielińskiemu?

— To uparty dziad, ale biorę go na siebie. Cholera, koniec z tymi wykopaliskami. To wszystko jest chore! — wrzeszczał na całe gardło Orczyk.

Raptem usłyszeli za sobą głośne, wściekłe warczenie ni to psa, ni to niedźwiedzia. Odwrócili się, a ich oczom ukazała się bestia niczym z sennych koszmarów.

Stwór był wielkości człowieka, o długich i ostrych niczym noże zębach, miał nos zagięty niczym hak, umięśnione ręce o dłoniach zakończonych dziesięcioma palcami ze szponami jak u krogulca. Naga skóra stwora przypominała swą barwą wypolerowany marmur. Patrzyło na nich wściekle dziesięć czarnych ślepi. Tak intensywnie, jakby chciały przeszyć dusze archeologów na wylot.

Z krzykiem rzucili się do ucieczki, a bestia ryknęła wściekle i ruszyła tuż za nimi. Biegli po ciemku, powierzając swój los pamięci, która powinna zachować całą trasę, jaką przeszli.

Instykt jednak zawiódł Marka. Uderzył o kolumnę i upadł na ziemię. Orczyk nawet nie obejrzał się za doktorantem, tylko gnał przed siebie, już wspinając się po schodach na górę.

Demon bezwzględnie to wykorzystał. Uderzył pazurzastą łapą w plecy próbującego się podnieść chłopaka. Dziesięć krwistych linii pojawiło się pomiędzy łopatkami Marka.

Chłopak już żegnał się z życiem, ból był niemiłosierny. Miał nadzieję, że bestia zabije go następnym ciosem, byle tylko nie cierpiać.

Raptem stwór warknął wściekle, jakby coś sprawiało mu ból.

Marek podniósł głowę, w dochodzącym z powierzchni świetle zauważył krępa postać trzymającą coś błyszczącego, krzyczącą przy tym coś, zdaje się, po rosyjsku.

Widocznie to zadziało, albowiem demon cofał się, nie mogąc znieść widoku świętego obrazka.

— Cholera, Marek, żyjesz? — wrzasnął Kisieliński, pojawiając się tuż za plecami duchownego. — Tylko mi tu nie umieraj, słyszysz?!

Profesor wziął chłopaka pod ramię. Ktoś podbiegł do nich i ujął Marka z drugiej strony, by pomóc staremu archeologowi wyciągnąć go na powierzchnię.

Kisieliński, będąc jeszcze na schodach, odwrócił się, by spojrzeć na bestię. Przełknął głośno ślinę i ruszył w dalszą drogę.

Po kilku minutach również ksiądz wyszedł z podziemi. Miejscowi jak na zawołanie podważyli stropy. Tony ziemi i kamieni zasypały przejście, chociaż jeszcze przez jakiś czas, tak na wszelki wypadek, zwozili tutaj gruz i piach.

Kilka dni później zaprzestano wszelkich prac wykopaliskowych. Kisieliński ugiął się i uznał, że świątynia została zasypana na wieki i należy wrócić do kraju. Choć do końca swojego życia nie mógł sobie tego darować.

Po powrocie do Polski Marek nie porzucił archeologii. Obronił doktorat, znalazł zatrudnienie na uczelni i jakoś się ustatkował. Jednak wydarzenia z Grecji odcisnęły na nim swoje piętno. Stał się ponury, miewał napady paranoi lub hysterii. Najgorsze były zawsze noce dziesiątego dnia miesiąca lub cały październik.

Miał powody do strachu, albowiem udało mu się dotrzeć do kilku przerażających faktów. Wszystko zaczęło się od niewinnej informacji, że ów nieszczęsny ochroniarz urodzony był dziesiątego. Z początku Marek to zbagatelizował, jednak potem zaczął coraz bardziej się zastanawiać. Przypomniawszy sobie, że w świątyni było dziesięć kolumn, a w tekście demon był nazwany dziesiątym. Chociaż równie dobrze Orczyk mógł źle przetłumaczyć nieczytelne znaki. Wszędzie było zbyt dużo dziesiątek.

Wiedziony przeczcuciem, skontaktował się z księdzem. Po wielu namowach ten w końcu zdradził mu pewną tajemnicę, przekazywaną od pokoleń przez miejscowych duchownych, nie tylko prawosławnych, ale wszystkich, którzy opiekowali się poprzednio miejscowym ludem.

Demon był żywym uosobieniem liczby dziesięć. Duchowny sam nie wiedział dlaczego, poza tym, że stwora przyciąga jakikolwiek związek z dziesiątką, niczym niedźwiedzia do miodu. Morduje, pożera lub po prostu się bawi swymi ofiarami. I jak opowiadał mu jego poprzednik, bestia czaiła się w tym miejscu, zanim pogańscy bogowie

Hellenów zadomowili się na Olimpie. Ksiądz zapewnił, że Marek nie ma czego się bać, albowiem kazał specjalnie postawić w tym miejscu kapliczkę i zawsze każdego dziesiątego dnia miesiąca przed ikoną odprawia odpowiedni obrzęd egzorcyzmujący.

Chłopaka jednak te zapewnienia nie uspokoiły. Po ciekawym wszelkich tajemnic młodzieńcu nic nie zostało. Mimo iż jego data urodzenia nie miała w sobie dziesiątki, nie był dziesiątym synem i tak dalej, to i tak był naznaczony. Dziesięć szram na plecach stało się dla niego symbolem, że lepiej, jeśli człowiek nigdy nie odkryje niektórych sekretów tego świata.

Dziesięć

Izabela Gryca

Matylda obudziła się z ustami pełnymi piasku. Język tak bardzo jej wysechł, że miała wrażenie, iż pomiędzy zębami wyrosła jej drewniana deseczka. Próba poruszenia nim nie pomogła, a jedynie wywołała odruch wymiotny. Skurcz chwycił ją za gardło tak mocno, że rozkaszała się, aż z oczu popłynęły jej łzy. Zatkaną usta kocem i zacisnęła powieki, nie chcąc uronić ani jednej kropelki życiodajnego płynu. Chwilę kotłowała się w pościeli, próbując powstrzymać kaszel, ale w efekcie jedynie skręcając się z bólu przez nadwyrężoną przepoń. Po kilku minutach walki, gdy jej gardło wreszcie samo uporało się z brakiem wilgoci, znieruchomiała, uspokajając oddech. Wypluła resztki piasku z ust, z irytacją dostrzegając, że ktoś znowu nie domknął poły namiotu, pozwalając pustynnemu wiatrowi na swobodne gromadzenie pyłu w jej otwartych ustach. Podniosła się na łokciu i zaspanym jeszcze wzrokiem zlustrowała śpiących niedaleko niej ludzi. Puste miejsce od razu rzuciło się jej w oczy.

Marina... — warknęła w myślach — Oczywiście...

Ze złością z powrotem rzuciła się na posłanie i przykryła głowę kocem. Wiedziała, że Marinie i tak się upiecze. Jak za każdym razem. Była w ich osadzie główną Zbieraczką, więc na wiele z jej przewinień patrzono przez palce. Mówiono, że posiada dar, który pozwala jej na wyczucie, kiedy i w jakim miejscu można znaleźć Wodę. Faktycznie przynosiła jej do osady najwięcej ze wszystkich Zbieraczek. Jednak nie zawsze. Bywało, że przez kilka tygodni nie wychodziła na pustynię ani razu, tłumacząc, że nie słyszy jej wołania. Czasami zaś znikwała na dobę lub dwie, wracając niekiedy nawet z dwoma pełnymi bukłaczkami zielonkawego płynu. Być może coś w tym było. W tym jej „darze”, intuicji czy „zewie pustyni”, jak nazywała to sama Marina.

Matylda skrycie zazdrościła jej niemal wszystkiego. Fajnego zajęcia, o wiele ciekawszego niż zwijanie nici i cerowanie ubrań czy dogłądanie malutkiej fermy myszy. Tej otaczającej ją aury tajemniczości, szacunku, którym darzyły ją nawet najstarsze kobiety, a przede wszystkim jej lazurowiebieskich oczu. Mało której dziewczynce udawało się przejść Rytuał Inicjum bez nieprzyjemnych efektów ubocznych. Najczęściej kończył się on czarnymi wybroczynami wokół oczu, często również ślepotą, a w skrajnych przypadkach śmiercią. Nie zdarzało się, żeby poddawana rytuałowi zachowała naturalny kolor oczu, zarówno barwnych tęczówek, jak i białka wokół nich. Marina była wyjątkiem. Ona jedyna, poza najstarszymi kobietami, założycielkami osady, miała „normalne” oczy.

Z zamyślenia wyrwała Matyldę chłodna dłoń, która wsunęła się pod jej koc i objęła ją mocno.

— Śpisz, małeńka? — Mama szepnęła jej do ucha i przytuliła szorstki policzek do jej policzka.

— Marina znowu nie zamknęła namiotu. Mam pełno piasku w buzi — poskarżyła się odruchowo.

— Możemy zamienić się miejscami. Od jutra ja będę spać obok wejścia —

zapropowała spokojnie kobieta, pogładziwszy Matyldę po głowie.

— Nie chcę, nie o to chodzi — fuknęła dziewczynka, zła, że nawet w mamie nie znalazła sojusznika.

— Wiem, że za nią nie przepadasz — westchnęła matka. — Wiesz jednak, że wiele jej zawdzięczamy. Gdyby nie ona, nigdy nie nazbierałybyśmy Wody na Inicjum...

— Tak, wiem... — jęknęła Matylda zrezygnowana. Jednocześnie poczuła, jak w środku rośnie jej ogromna gęła utrudniająca oddychanie. Spięła się zauważalnie, więc matka tylko mocniej przygarnęła ją do siebie.

Jesteś silna, na pewno wszystko będzie dobrze... — pomyślała, bojąc się wypowiedzieć te słowa na głos, żeby nie zapeszać.

Mimo bliskości matki Matylda nie mogła już usnąć. Wpatrywała się szeroko otwartymi oczami w płótno namiotu, po raz setny rozmyślając nad nadchodzącym rytuałem. Liczba dziesięć stała się dla jej plemienia niezwykle istotna. Nacechowana zarówno negatywnie, kojarząc się z bólem i śmiercią, jak i pozytywnie, przynosząc wybawienie i wolność. Dziewczynka w równym stopniu oczekiwała, co obawiała się rytuału. Chciała go przejść jak najszybciej, by oddalić od siebie widmo przymusu ciąży, ale skręcało ją ze strachu na myśl o możliwych konsekwencjach Rytuału Decem. Pierwsza miesiączka pojawiła się u niej już niemal rok temu. Dużo wcześniej niż w przypadku pozostałych dziewczynek, z którymi miała dzielić uroczystość. Przez to co miesiąc bała się, że któregoś razu miesięczna krew się nie pojawi, a jej brzuch zacznie z dnia na dzień rosnać. Najgorszy jednak w tym wszystkim był strach czający się w oczach jej matki. Zawsze starała się go ukryć, ale z miesiąca na miesiąc był coraz bardziej widoczny. Jej matka się bała. Bała się, że jej córkę spotka los, którego jej samej cudem udało się uniknąć. Sama była w pierwszej grupie uciekinierów ze Sztad. Podobno opiekujące się nimi kobiety podały im wówczas substancję, która zapoczątkowała Rytuał Inicjum. Dzięki temu oddzielono je od pozostałej grupy, co dało im sposobność do ucieczki. Niestety nie udało im się zabrać ze sobą cudownej substancji, a ta, którą przygotowują Babcie, poza pożądanym efektem przynosiła także niebezpieczne skutki uboczne. Podobno substancja, którą dostały w Sztad wywołała u nich jedynie ból i bardziej obfitą krew miesięczną. Podobno, ponieważ kobiety, które to przeżyły, nie były skore do opowieści. Wówczas uciekło ich zaledwie osiem, wraz z trzema opiekunkami, które z uwagi na starszeństwo nazywano teraz Babciami. Znalazły bezpieczny azyl i stworzyły tam osadę, starając się *de novo* zbudować własną rzeczywistość. Dopiero wiele lat później zdecydowały się na dzieci i obecnie, łącznie z kobietami, które przybyły na miejsce później, osadę zamieszkiwało dwadzieścia pięć osób.

Jako małe dziecko zawsze bała się, że któregoś dnia mieszkańcy Sztad ich znajdą i zmuszą do powrotu. Nadal zastanawiała się, dlaczego tak się nie stało. Ich osada nie była aż tak oddalona od miasta, żeby nie byli w stanie jej wykryć. Nie obchodzili ich? Może stanowili tak mały odsetek ludzkiego społeczeństwa, że nikt nawet nie zauważył ich nieobecności? A może od początku ich obserwują i tylko czekają na dogodny moment, żeby zaatakować?

Wiedza Matyldy na temat miasta i jego mieszkańców była szczątkowa. Nie mogła sobie wyobrazić, co może być dla nich istotne, a co nie.

Historie, które opowiadano o Sztad napawały ją niepohamowanym lękiem. Dziewczynki hodowane jak zwierzęta. W zamkniętych ośrodkach, oddzielone od świata, nie wiedzące nawet, kim jest ich matka. Po pierwszej miesiączce zachodziły w ciążę, a po dziewięciu miesiącach odbierano im dziecko. Jednocześnie poddawano je oczyszczaniu, wycinając załázky piersi i narządy rodne, odzierając z kobiecości. Te, które to przetrwały, przenoszono na łono społeczeństwa i po odpowiedniej terapii pozwalano żyć normalnym życiem. Mogły wówczas znaleźć pracę, a nawet związać się z kimś na stałe. Bez szans na potomstwo oczywiście. Wychowywaniem dzieci zajmowały się wybrane jednostki, w specjalnie do tego przystosowanych ośrodkach. Podobno większość kobiet była zadowolona z

takiego obrotu spraw. Dzięki temu kobiety i mężczyźni traktowani byli na równi, co wcześniej podobno było niemożliwe. Mogły poświęcić cały swój czas sobie i swojej karierze, przy jednocześnie zapewnionym przedłużeniu gatunku.

Z zamyślenia wyrwał ją dźwięk gongu wzywający na posiłek. Delikatnie wyswobodziła się z objęć mamy, włożyła szeroką tunikę i chwyciwszy leżącą nieopodal torbę, wyczołgała się z namiotu. Od razu rzuciła się pędem w kierunku kuchni, by zdążyć przed porannym tłokiem. Na szczęście była pierwsza. To dało jej prawie godzinę przed pracą, a czas ten mogła spożytkować wedle własnego uznania. Wiedziała, że Mark będzie już na nią czekał.

— Cześć, Tylda! Znowu pierwsza — uśmiechnęła się do niej Andrea, pełniąca funkcję głównej kucharki. — Gdzie ty tak ciągle biegasz, hę? — zagadnęła, wciskając jej w dłonie twarde bulwy.

— Mówiłam ostatnio, uczyć się — rzuciła dziewczynka, nerwowo wciskając owoce do niewielkiej torby przytroczonej do pasa.

— Czego się uczysz?! Przecież wszystko już umiesz! — odskrzyknęła Andrea w kierunku oddalającej się w pośpiechu Matyldy.

— Jasne, wszystko umiem... — mruknęła pod nosem dziewczynka. — Pleść jakieś głupie nici, cerować ubrania i karmić myszy... Czego tu można nie umieć!... Ale o Sztad, o świecie nie wiem nic! Zupełnie nic!

Pograżona w wewnętrznym monologu dziewczynka nie dosłyszała Babci Judyty, wołającej ją po imieniu. Nagłe szarpnięcie za rękę prawie wyrwało jej ją ze stawu. Skrzywiła się z bólu i odwróciła zaskoczona.

— Gdzie tak pędzisz, młoda? — z dobrodusznym uśmiechem spytała Marina, nie zwalniając stalowego uchwytu. — Babcia cię woła. — Ruchem głowy wskazała staruszkę siedzącą przed namiotem nieopodal.

Matylda wyszarpnęła jej dłoń z nieskrywaną nienawiścią.

— Nie twoja sprawa! — warknęła, gotowa, by od razu uciec w przeciwnym kierunku. W porę przypomniała sobie jednak o Babci i z miną skazańca ruszyła w jej stronę. W tej samej chwili zapomniała o Marinie, kalkulując w myślach, ile minut jej drogiego czasu może zająć rozmowa z Babcią.

— Tak, Babciu? — jęknęła, prawie pewna, że nie zdąży już na umówione spotkanie.

— Pochyl się, dziecko — zaskrzeczała staruszka, nie mając zamiaru unosić się z kłębowiska szmat, które pełniło rolę jej legowiska przed namiotem. To było jej ulubione miejsce. Miała stąd widok na niemal wszystkie zakamarki osady, mogła więc z lubością śledzić wszystko i wszystkich.

Pomarszczoną dłonią pokrytą ciemnymi plamami złapała Matyldę za podbródek i przyciągnęła do siebie. Siły miała zaskakująco dużo jak na tak kruchą staruszkę. Jej oczy o wyblakłych tęczęwkach przez dłuższą chwilę studiowały twarz dziewczynki. W końcu zwolniła uchwyt.

— Wejdz, proszę, do mojego namiotu. Po lewej stronie jest worek z ziarnami. Weź parę, wsyp do glinianego kubka i nasikaj na nie. Możesz to potem zostawić tam na stoliku — wyrzuciła jednym tchem i od razu straciła zainteresowanie Matyldą, uważnie przyglądając się kobietom, które zaczęły już schodzić się na poranny posiłek. Dziewczynka wzruszyła ramionami, posłusznie weszła do namiotu i wykonała polecenia Babci. Była ona ich główną szamanką i niektórzy mówili, że zioła i dziwne specyfiki, których zażywa, wyzarły jej mózg. W związku z tym nie należało się z nią kłócić. Matylda zrobiła co trzeba i z ulgą pobiegła na spotkanie, odprowadzana czujnym spojrzeniem staruszki.

Mark czekał na nią tam gdzie zwykle. Odwinął długą chustę, którą osłaniał twarz przed pustynnym wiatrem, i uśmiechnął się swym szelmowskim uśmiechem. Poklepał dłonią miejsce na kamieniu obok siebie. Usiadła, zachowawszy bezpieczną odległość. Nie chciała

przecież, by powtórzyło się to, co miało miejsce kilkanaście dni temu. Wspomnienia tamtych chwil wracały do niej często, szczególnie w nocy. Na początku budziły jej przerażenie, później jednak zaczęły wywoływać dość odmienne uczucia... Mark wyciągnął z płóciennego torby plik barwnych fotografii i notatek, jednak gdy chciała po nie sięgnąć, jednym ruchem schował je za plecami.

— Kiedy znowu zapłacisz mi za naukę? — zapytał, szczerząc w uśmiechu śnieżnobiałe zęby. Spięła się momentalnie, wciągnawszy głowę w ramiona. Zaciśnęła zęby i utkwiała spojrzenie w piasku u swych stóp.

— Przecież to nie jest takie straszne, prawda? — szepnął jej do ucha, wolną ręką chwyciwszy za kark. Wyglądał na niewiele starszego od niej, ale w takich chwilach miała wrażenie, że dzieli ich olbrzymia przepaść wieku. Nie doczekawszy się odpowiedzi, westchnął i podsunął jej pod nos fotografie.

— Następnym razem, mała. Przecież chcesz się uczyć, prawda?

Skinęła tylko głową, pochłonięta już bez reszty barwnymi obrazami. Nie mieli zbyt wiele czasu, a ona tak wiele chciała się jeszcze dowiedzieć... Przez niecałą godzinę opowiadał jej, jak niemal codziennie, o Sztad. O tym jak wygląda, o ludziach, którzy tam żyją. O tym, czym się zajmują, co jedzą, co robią dla przyjemności. Jak zawsze skończywszy naukę, przez cały dzień nie mogła skupić się na pracy. Przed oczami co rusz pojawiały jej się smukłe budynki, dziwne pojazdy i przede wszystkim piękni ludzie w bogatych strojach. Ich myśli nie zaprzętały brak jedzenia, przejmujące pragnienie i praca ponad siły. Oni po prostu żyli, bawiąc się i spełniając swoje zachcianki. Nieprawdopodobne...

Gdy wracała z warsztatu tkackiego, po drodze złapała ją mama. Nerwowo chwyciła ją za rękę i pociągnęła za sobą.

— Babcia Judyta nas wzywa — rzuciła tylko przez zaciśnięte gardło. Odległość do jej stanowiska pokonały w chwili tak krótkiej, że Matylda nie zdążyła na tyle otrząsnąć się z zaskoczenia, żeby o cokolwiek zapytać. Babcia, widząc, że nadchodzą, weszła do namiotu, zostawiając za sobą uchylone połę. Gdy znalazły się w środku, chwilę zajęło im, zanim ich oczy przyzwyczyły się do panującego tam mroku. W ich nozdrza uderzył zapach ziół, moczu i jeszcze czegoś bliżej nieokreślonego.

— Będzie miała dziecko — zaskrzeczała babcia, bez ogródek zwracając się do matki Matyldy, jednocześnie podsuwając jej niemal pod nos pachnący uryną kubeczek z kiełkującymi ziarnami.

— Jak?... To niemożliwe... — szepnęła kobieta, wlepiając w córkę przerażone spojrzenie.

Do Matyldy informacje docierały w wyraźnie zwolnionym tempie. Jej oczy powoli rozszerzały się ze strachu, spojrzała na matkę, potem na Babcie, jakby szukając u obu pomocy. W końcu opuściła spojrzenie na własny brzuch. W jednej chwili zobaczyła, jak puchnie, a w środku rośnie przerażający potwór, który w końcu pożera ją od środka, by wydostać się na zewnątrz. W następnej sekundzie straciła przytomność.

Obudziła się chwilę przed świtem. Leżała na swoim pościeliu, a obok niej spała jej mama. Widocznie przenieśli ją tu zaraz po wypadku. Starając się zachowywać jak najciszej, ubrała się, zapakowała dodatkową parę ubrań do torby i wymknęła się z namiotu. Dławiąc się powstrzymany szlochem, opuściła osadę i pobiegła na miejsce zwyczajowych spotkań z Markiem. Był teraz jej jedyną nadzieją. Obmyślając plan działania, doczekała chwili, kiedy mężczyzna w końcu przyszedł.

— Ej no, nie będzie tak źle — rzucił z uśmiechem, widząc jej napuchniętą od płaczu twarz. — Załatwimy to raz-dwa i kolejny tydzień będziesz miała opłacony. Kładź się szybko i zaraz będzie po sprawie. — Mówiąc to, sięgnął do pasa i zaczął powoli go rozpinać.

— Zabierz mnie do miasta. Proszę — wykrztusiła przez łzy. — Mówiłeś, że macie tam doskonałych lekarzy. Takich, którzy mogą wyleczyć każdą chorobę. A ja jestem chora, w

moim brzuchu rośnie potwór, który zje mnie od środka. Muszą go wyciąć, szybko, dopóki jest mały. — Jej tłumaczenia powoli zmieniały się w niezrozumiały bełkot.

Mark spojrzał na nią uważnie. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

— Rozumiem — wyszeptał tak cicho, że niemal go nie usłyszała. — Będziesz miała dziecko...

Podniosła na niego przerażony wzrok. *Skąd ON wie?! — krzyczała w myślach. — Jak to możliwe? Skąd wie?!*

— Dobrze. — Jego spokój żywo kontrastował z jej roztrzęsieniem. — Ale nie mogę zabrać cię ze sobą. A właściwie to nie możemy się już spotykać. Przez jakiś czas.

Jej szloch raptownie się urwał. Patrzyła na niego, nie mogąc uwierzyć własnym uszom.

— Jak to?... — jęknęła. — Nie pomożesz mi? Musisz... Musisz! Wziąć! Mnie! Ze sobą! — Ostatnie słowa wyrzuciła mu w twarz, ze wszystkich sił powstrzymując się, żeby nie rzucić się na niego z pięściami. — Przecież umrę, nie przeżyję tego! Jestem przed Rytuałem Inicjum! To nie powinno mieć miejsca! Wiedziałam, że to się tak skończy. Za długo czekałam na Rytuał...

Mark patrzył na nią, nie ruszywszy się z miejsca.

— Wróć. Za dziesięć miesięcy. Po dziecko. — Każde zdanie wymawiał niezwykle powoli, jakby chciał mieć pewność, że dziewczyna dobrze go zrozumiała. Ostatni raz spojrzał jej w twarz, po czym odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę miasta.

Dziesięć sekund

Agnieszka Barańska

Miękna, księżycowa noc, pomyślał Li, przystanąwszy, by zapalić papierosa.

Od niechcenia rozgarnął stopą kamyki. Zachrząściły cicho. Pokrywała je jedynie cienka warstwa śniegu, teraz zroszona odrobiną krwi. Li podziwiał ogrody zen, które jego zdaniem idealnie odzwierciedlały ducha tego surowego, acz pięknego kraju.

W takie noce uwielbiał wypuszczać się na zwiad z garstką osobiście wyszkolonych ludzi. Nie był to oddział ani typowy, ani do końca legalny, nawet dowództwo nazywało ich *shinobi*. Li uśmiechał się za każdym razem, gdy słyszał owo legendarne miano. Można wypełnić dawne zwyczaje i zabobony z urzędów czy ulic, ale nie z serc i umysłów mieszkańców.

Jego drużyna specjalizowała się w tępieniu buntowników, hołdujących dawnemu porządkowi, bezrobotnych i wzgardzonych samurajów, zbyt dumnych, by zaciągnąć się do armii, która ich pokonała. Większość kraju została już oczyszczona z podobnych im relikwów, bronił się jeszcze jedynie północny zachód.

Li wiedział, że to tylko kwestia czasu. Zmiany były nieuniknione, w końcu budowali imperium.

Gdzieś za plecami słyszał okrzyki żołnierzy i jęki umierających. Osobiście wolał zabijanie od plądrowania, jednak wyjątkowo pozwolił podwładnym na odrobinę uciechy. Rozkazy były jasne — to miejsce zostanie zrównane z ziemią i nikogo nie będzie obchodzić, co się naprawdę wydarzyło.

Coś huknęło między drzewami, wystrzał spłoszył śpiące na nich ptaki.

Kula trafiła Li prosto w czoło. Ku przerażeniu strzelca, jego cel zachwiał się, lecz nie upadł.

— Nowoczesna broń, cholera. — Li uśmiechnął się i zerknął na kieszonkowy zegarek. Krew kapłała mu z grzywki. — Osiem, siedem... Zdażysz ponownie wystrzelić? Nawet jeśli, musisz jeszcze trafić. Cztery, trzy...

Strzelcowi z przerażenia trzęsły się ręce. Rozsypał większość prochu.

— Kurwa, kurwa, kurwa... — mamrotał, szukając spustu zdrętwiałymi z trwogi palcami. Umilkł nagle, poczuwszy przeszywający ból w dole brzucha.

— I na co ci to było? — rzucił beznamiętnym tonem Li, cały i zdrowy, choć poplamiony zakrzepłą już krwią. — Do tego ubrudziłeś mi mundur i zmarnowałeś papierosa. Szkoda czasu.

Poruszył mieczem, rozpruwając pechowego strzelca aż po pachwinę. Żołnierz nie miał nawet siły jęknąć, spojrział tylko z przerażeniem na własne wnętrzności upadające na ziemię tuż przed tym, nim uderzyły o nią jego bezwładne kolana.

Li wytarł broń o ubranie umierającego. Stał nad nim jeszcze przez chwilę, żywiąc się cierpieniem.

— Marna przekąska — mruknął pod nosem.

Na szczęście w pobliżu nie było świadków. Najodważniejszy z drużyny, samozwańczy reprezentant, którego imienia Li nie pamiętał, dopiero teraz wyszedł z pobliskiego budynku.

— Są w szopie — zameldował. Jego głos aż drżał od wstydu i poczucia winy.

— Ach, tak, jeszcze to. Zapomniałbym. — Li westchnął, doprowadzając do porządku posklejane włosy. — Możecie się zbierać, dołączę później.

Żołnierz odszedł pośpiesznie z opuszczoną głową i ogromną ulgą, że także tym razem udało mu się uniknąć ostatniego, haniebnego obowiązku.

Nazywali go pokojem z sierotami.

Nikt nigdy nie chciał się nimi zająć, chociaż zgodnie przytakiwano, że to konieczne. Państwa nie było stać na wykształcenie tylu sierot, nie mogło także pozwolić im biegać samopas. Wyrosłyby z nich bandy uciążliwych rabusiów i wyrzutków. W dodatku opanowanych żądzą zemsty.

Li było wszystko jedno, jak zwykle. Dlatego nikt nie zabiegał o jego towarzystwo ani nie próbował zrozumieć. Bano się go i podziwiano jednocześnie.

Kiedy pojawił się w szopie, dzieciaki zaczęły wrzeszczeć. Zawsze to robiły.

Jeden zdążył gdzieś się ukryć. Ostatni ocalały. Li nie miał ochoty go szukać, choć musiał przyznać, że strach pachniał całkiem apetycznie. Strząsnął krew z miecza, zapalił następnego papierosa i ruszył powoli ku wyjściu.

Coś ukłuło go w łydkę.

— Tu jesteś, szczeniaku. — Uśmiechnął się. — Trzeba było siedzieć cicho w kącie, nie sądzisz?

— Nie możesz! — pisnął przerażony, zasmarkany chłopiec. W dłoni ścisnął kamień, na ostrej krawędzi lśniła krew. — Nie masz prawa decydować, kto żyje, a kto nie!

— Ooo? Widzisz, nie ja decyduję. Ja tylko wykonuję rozkazy cesarza.

— Do niczego ten cesarz, skoro boi się dzieci!

Trafna uwaga, przyznał w duchu Li. Zanosząc się głośnym śmiechem, podniósł chłopaka za kark, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Malec wyglądał jak uparte, wierzgające szczenię. Li nie mógł się nasycić tym przezabawnym widokiem.

Od dawna nic go tak nie rozbawiło. W zasadzie zapomniał, że potrafi się śmiać.

— Pierwsza lekcja, gówniarzu. Naucz się oceniać własne możliwości. Nigdy nie atakuj kogoś, kogo nie jesteś w stanie pokonać.

Puścił go. Malec plasnął pośladkami o brudną podłogę. Zaboląo mniej niż urażona duma.

— No chodź. Znudzilo mi się to urokliwe zadupie.

Wyrzucił niedopałek i obrócił się na pięcie, pewny, że malec podąży jego śladem.

Li leżał na posłaniu, z książką na twarzy, osłaniając się przed porannym słońcem.

— Miałeś mi pokazać!

— Muszę? — jęknął. — Przecież sam możesz pójść.

— Obiecałeś — chłopiec zabrzmiał zdecydowanie, zbyt surowo jak na swój wiek.

— Nie widzisz, że jestem zajęty? Nieładnie przerywać starszym.

— Wcale nie czytasz, tylko gapisz się na znaki, widziałem! — Katsuo oskarżycielko wbił palec w pierś opiekuna. — Może nie potrafisz czytać, co? — drażnił. — Wszyscy wiedzą, że żołnierze to kretyni.

Książka wylądowała na jego twarzy.

— Jesteś okropny i zrzedzisz gorzej niż stara baba. Będę miał przez ciebie koszmary, mały padalcu. — Li poniósł się w końcu. Dzieciak podał mu brakujące części garderoby. — Teraz będę musiał szukać pocieszenia w ramionach bardzo niedobrych kobiet.

— Faj. Beznadziejny z ciebie opiekun, wiesz? — Obrzydzenie na twarzy Katsuo było szczerze i przeogromne. — Nie mów mi takich rzeczy!

— Sam chciałeś, żeby traktować cię jak mężczyznę, nie pamiętasz? Przyjmij to jak mężczyzna.

— No dobra, już nie chcę.

Li uśmiechnął się skrycie. Zaczynał naprawdę lubić tego gówniarza. Dziwne. Najpierw Katsuo niezmiernie go denerwował. Był głośny, miał niespożytą energię i prawil mu morały. Li nie czuł się ekspertem od wychowywania dzieci, w pewnym momencie zastanawiał się nawet, czym się je karmi, jednak miał przeczucie, że nie trafił na przeciętniaka. W końcu nie oszczędziłby najzwyczajniejszego, beznadziejnego ludzkiego szczeniaka, prawda?

Odkrył, że bardzo chce w to uwierzyć. Nie był pewny, co nim powodowało. Duma, radość? Jak ludzie mogą odczuwać tak wiele różnych emocji, nie gubiąc się przy tym? I od kiedy on sam ma ich aż tyle? Z jednej strony strasznie komplikowały mu życie, z drugiej jednak pachniały świeżością i stanowiły niezaprzeczalne wyzwanie.

Li był urodzonym wojownikiem. Lubił wyzwania.

— Idziesz czy nie? — Katsuo niecierpliwie przebierał nogami w przejściu.

Nocą spadło trochę śniegu. Li rozejrzał się pobieżnie, spojrzał w niebo. Niedługo wróćą żurawie, a gałęzie zaczną uginać się od różowych pąków. Mieszkańcy wypełzną na ulice, by świętować *hanami*, będą rozsiewać wokół zachwyty nad kwieciami i inne pozytywne emanacje o ohydny smaku. Znowu czeka go post.

Na szczęście jeszcze nie dziś. Wojna wciąż trwała.

Opuścili stary dom, w którym zatrzymali się kilka dni temu. Ruszyli niespiesznie stromą ścieżką w dzicz. Dzieciak dreptał po prawicy opiekuna, starając się naśladować jego ruchy.

— Li, czym się tak ogólnie zajmujesz? No wiesz, kiedy nie walczysz. — Najwyraźniej nie mógł znieść ciszy.

— Uczę żołnierzy.

— Czego?

— Zabijania.

Młody mózg trawił tę wiadomość przez dłuższą chwilę, o czym świadczyły zamknięte usta. U Katsuo te dwa narządy najwyraźniej nie potrafiły działać jednocześnie.

— Mnie też kiedyś nauczysz?

— Po co?

— No jak to? Żebym mógł pomścić rodziców oczywiście! Dowiem się, kto ich zamordował.

Li przyjął tę szczerą odpowiedź bez zdziwienia. Sam uważał zabijanie za najlepsze rozwiązanie większości problemów. Żył się agonią, bólem i strachem. Wspaniałomyślność

nie mieściła się w jego hierarchii wartości, nigdy też nie żałował swoich ofiar. Tutejsi ludzie bywali podobni. Odpowiadała mu mentalność minionej epoki, zastanawiał się jednak, dlaczego wychowankowie samurajów tak lekko traktowali własne życie. Kiedyś przechodził odpowiednie szkolenie, przyswoił zasady i pojął wszystkie, oprócz tej ostatniej.

Nie mógł jej zrozumieć. W przeciwieństwie do ludzi demony bardzo szanowały swoje życie. W końcu miały tylko jedno.

— Nauczę — obiecał. — Wszystkiego, co potrafię.

Przemilczał jeden istotny szczegół: chłopiec nie musiał daleko szukać mordercy.

— To fajnie! Bo wiesz, żołnierze się ciebie boją — ciągnął malec, zachwycony deklaracją. — Mówili, że obciąłeś jednemu z uczniów kawałek ucha. A drugiemu złamałeś rękę. Czemu?

Li wzruszył ramionami.

— Żeby wiedzieli, czego się spodziewać na wojnie. Jeśli przetrwają takie szkolenie, nic ich nie zaskoczy. — Zamyślił się na dłuższą chwilę. — Nie chcę, żebyś został żołnierzem, policjantem ani nikim podobnym.

— Ale to jedyny sposób, bym mógł nosić broń, prawda? A co, boisz się? Boisz się, że ja się ciebie nie boję?

— Durny dzieciak. — Li przyklepał mu dłonią włosy, wzbudzając, jak zwykle zresztą, głośny sprzeciw.

Dotarli na miejsce. Zaiste, widok wart był wspinaczki. Miasteczko przycupnęło w dolinie między ośnieżonymi wzgórzami. W rześkim powietrzu unosiły się podobne do mgły opary, w niektórych miejscach całkowicie przykrywając dachy domostw. Nad wszystkim górował osławiony zamek Kumamoto, niezdobyta twierdza. Z murów zwisały smętnie białe flagi z czerwonym słońcem o sięgających krawędzi promieniach.

Buzia Katsuo była szeroko otwarta z wrażenia.

— Jakoś tu spokojnie. Nie wygląda na obleżony...

— Przyjrzyj się dobrze, o tam. — Li wskazał ciemne plamy obozującego wojska. — I to, ślady ognia, tutaj i tutaj.

— Chyba ich dużo, a my jesteśmy daleko, co? A ci w środku są po twojej stronie, tak? To dlaczego im nie pomagamy?

— Obserwujemy. To jest nasze obecne zadanie.

— Aha. A w ogóle to czemu jesteś w tej armii z zamku, a nie tej na dole?

— Czy to jakaś różnica?

— Słyszałem, że byłeś samurajem. Nie wstyd ci?

Li uśmiechnął się.

— Pójdę z tym, kto pozwoli mi zabijać. Podoba mi się ta władza, jestem pewien, że sięgnie po więcej. — Zaśmiał się ponuro. — Imperia rodzą się w ogniu.

— A jeśli wszędzie zapanuje pokój? Co zrobisz?

— Nie zapanuje. — Pewność w jego głosie przytłaczała. — Ludzie już tacy są.

— Czasem mówisz, jakbyś nie był człowiekiem — burknął urażony chłopiec.

Odpowiedziało mu ciężkie milczenie. Nad koronami drzew przemknęła spłoszona wrona.

— Niedługo przybędzie odsiecz i skończą się nasze wakacje w górach. — Li odezwał się w końcu, sięgając po papierosa. — Domyślam się, że ruszymy z armią na południe. Chodź, jeśli wymarzniesz i zachorujesz, nie będę miał jak cię wyleczyć.

Obleżenie trwało dłużej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Opuścili wzgórze dopiero w kwietniu, w akompaniamencie ptasiego śpiewu i deszczu wędnących płatków sakury. Cesarska armia przybyła morzem, z północy. Katsuo na własne oczy przekonał się o jej przewadze nad buntownikami. Miał również okazję, by podziwiać Li w akcji — podczas gdy inni żołnierze tracili siły z każdym przebytym metrem, jego opiekun dopiero się

rozkręcał. Był przerażający. Na widok przepętlonych lękiem i podziwem spojrzeń innych wojowników, zarówno wrogów, jak i przyjaciół, chłopca rozpieła duma.

Lato Katsuo spędził z wędrującą armią. Podczas ostatniej bitwy nie zdołał powstrzymać łez. Li stał obok z papierosem, udając, że nie widzi. Mimo pozornego spokoju, nawet on wydawał się wstrząśnięty.

— To już — szepnął wówczas. — Pod naszymi butami ginie legenda. Nowa era nastąpiła na dobre.

Dzięki lekcjom, jakich przez ostatnie lata udzielał chłopcu, Li nie zgnuśniał w czasie pokoju jak inni oficerowie. Do tego był wściekły. Jedyne, czego pragnął, to zmiażdżyć te żalosne, plugawe istoty, które ośmieliły się porwać jego Katsuo.

Emocje dzieciaka działały lepiej niż kompas, demon przedzierał się przez rezydencję niemalże w linii prostej. Może psy dałyby radę go wywęszyć, jednak pułapki i kilku strażników to stanowczo za mało, by go w porę wykryć i powstrzymać. Spenetrował już pomieszczenia dla służby i większość ogrodu, zostawiając za sobą stosy ciał.

Wreszcie dotarł do głównej sali, zastając w niej spiskowców na gorącym uczynku. Widząc krew kapiącą z koniuszka ostrza, zgodnie skryli się za plecami zakładnika.

— Stój! — krzyknął ktoś w nieudanej próbie wywołania odpowiedniego wrażenia. — Nie pozwolimy, by jakiś przybłąda bez honoru zajmował tak wysokie stanowisko! Natychmiast rzuć broń albo...

— Niestety — Li przerwał mu w pół słowa — nie mam czasu ani ochoty na wysłuchiwanie waszego bełkotu.

Nim przebrzmiwały ostatnie sylaby, spod ściany wypłynęły bezszelestnie cieniste macki. Owinęły się wokół dłoni i stóp napastników, skutecznie ich unieruchamiając. Gdy zszokowany Katsuo biegł w stronę opiekuna, rozległy się trzaski łamanych kości i wrzaski udręczonych oficerów.

Chłopak zatrzymał się w połowie drogi.

— Zamierzałeś ukrywać to przede mną do końca życia? — wypluł z wyrzutem. Nie mógł oderwać wzroku od powykręcanych ciał. Wyglądały jak puste, poszarzałe skorupy lub porzucone gadziszki.

Li zapalił papierosa.

— Nie byłem pewien, jak zareagujesz. — Otoczył się chmurą dymu, a ciemna grzywa skutecznie zasłaniała większą część jego twarzy. — Ludzie wiedzą, że demony są prawdziwe, jednak wolą udawać, iż przemykają w ciemnościach, bezkształtne, zwierzęce i nieokreślone. Świadomość, że przechadzamy się pomiędzy nimi, otwarcie, w świetle dnia, dla niektórych bywa nie do zniesienia.

Katsuo zmierzył go lodowatym spojrzeniem.

— Tchórz. Nie mierz mnie więcej swoją miarą, dobrze?

Li milczał. Chyba po raz pierwszy nie emanował tą chłodną, cienistą pewnością siebie, którą chłopak tak w nim podziwiał.

— Jest was tu więcej? — zapytał Katsuo bardziej z chęci przerwania ciszy niż z ciekawości.

— Większość uciekła, zanim zamknęły się bramy do naszego świata. Nowy kalendarz namieszał w życiu wielu istot. Jak dotąd nie spotkałem w okolicy innego demona.

— I wszyscy jesteście tacy... niepokonani?

Li prychnął.

— Nie jestem niepokonany. To kwestia dziesięciu sekund.

— Czego?

— Jeżeli poważnie zranisz demona, masz dziesięć sekund, zanim całkowicie się

zregeneruje i wyrwie ci serce. To pierwsza i jedyna zasada walki z nami.

Chłopak pokręcił z niedowierzaniem głową. Nie rozumiał, dlaczego Li zdradził mu tak istotny szczegół. Czy po tylu latach życia w kłamstwie miało to jeszcze jakieś znaczenie?

— Nie będę więcej brał udziału w twoich gierkach, tchórze. Odchodzę.

W ciszy wyminął opiekuna, nie zaszczycił go nawet pożegnalnym spojrzeniem.

— Do zobaczenia, mój mały — szepnął Li. Rozpłynął się w cieniach, jakby utrzymanie cielesnej postaci było teraz ponad jego siły.

Znalazł go w bambusowym lesie niedaleko Kioto.

Li uśmiechnął się lekko na powitanie. Chociaż minęło tyle lat, Katsuo doskonale pamiętał tę minę, przez moment był pewien, że demon wyciągnie dłoń i przeczesze mu włosy.

— Długo kazałeś na siebie czekać.

— To nic osobistego — wyjaśnił chłopak, wzruszając ramionami. Machnął zapieczętowanym zwojem. — Mam rozkaz pozbycia się ciebie. Jesteś ostatnim z drużyny. Już cię nie potrzebują.

Li zaśmiał się ponuro.

— Jasne. To będzie nasz najpiękniejszy pojedynek. Zamierzam dać z siebie wszystko.

Katsuo był tego pewien. W oczach dawnego opiekuna widział ten sam błysk, jaki krył się w spojrzeniu przypartych do muru buntowników.

Ten kraj już nie potrzebował samurajów, *shinobi* ani demonów, pomyślał chłopak. Czy kiedyś nadejdzie dzień, w którym porzuci nawet miecze?

Bez zbędnej gadaniny sięgnęli po broń. Ostrza zderzyły się z pięknym, czystym dźwiękiem.

Czas się zatrzymał. Dopiero gorąca krew, która trysnęła nagle na twarz i dłonie chłopaka, wyrwała go z transu.

Zaszumiały bambusy. Dźwięk ocierających się o siebie pni przypominał trzeszczenie okrętowych masztów.

Miecz Katsuo tkwił w piersi Li niemal po rękojeść. Demon uśmiechał się z nieskrywaną satysfakcją.

— Jestem z ciebie dumny, Katsuo. Teraz nie musisz się obawiać nikogo. Ludzi ani demonów.

Mógłby zapytać jęklwym tonem: „Dlaczego?”. Nie zrobił tego. Nie był już dzieckiem. I w głębi serca znał odpowiedź.

Bez słowa wyrwał miecz z serca demona.

Dziesiąte życie

Piotr Słowiński

Władimir powoli przekradał się przez rumowisko, które kiedyś było jego rodzinnym domem. Zdawało mu się, że zapamiętał każdy zakamarek, każdy sklepik, każde drzewo, pomimo że ostatni raz był tutaj jako dziecko. Teraz nic jednak nie było już na swym miejscu i nie pasowało do wspomnień. Kiedy wraz z ojcem opuszczał Donieck, metropolia nosiła miano „miasta miliona róż”, dziś przypominała postapokaliptyczne piekło. Żelbetonowe kikuty wystające z ziemi przyprawiły go o zimny dreszcz niepokoju, nie było jednak czasu na rozmyślanie, trzeba było iść do przodu.

Starszyna wysłał Władimira w szpicy, bo ten miał wpisane jako miejsce urodzenia „Donieck”. Co prawda, mając kilka wiosen, Wowa padł ofiarą burzy dziejowej i gdy Związek Sowiecki rozpadł się, był musiał wraz z ojcem wyjechać do Rosji, ale w gramocie stało jasno:

urodzony w Doniecku, znaczy tutejszy. Trzeba więc było iść przodem i nie dać po sobie poznać słabości, bo dziedowszczyzna nie wybaczała. Już lepiej było zginąć, niż dostać się na celownik „kolegów” z oddziału.

Na szczęście dzisiejsza misja była jedną z tych lżejszych. Trzeba było sprawdzić obiekt i upewnić się, że strefa wokół miasta nie została naruszona. Nie był to szturm na koszary ani pamiętne rajdy do bankomatów, gdy trzeba uważać, by nie dostać się pod ostrzał swoich, bo to sami stanowili prawdziwy problem. Siły rządowe miały zbyt mało sprzętu — i jeszcze mniej amunicji — by stanowić realne zagrożenie. Zresztą linia frontu jeszcze wczoraj ciągnęła się kilka kilometrów na zachód od granic miasta, wątpliwym więc było, że to rządowi. Pewniej jakieś lokalne chłopaki postanowiły wziąć sprawy w swoje ręce, ale skoro informacja o intruzach wpłynęła do Stawki i Stawka podjęła taką decyzję, trzeba było drałować. Tak, drałować, bo Stawka postanowiła również, że w celu zaskoczenia wroga nie wezmą transportera. Co prawda Władimir nie miał pojęcia, co ich dziewięcioosobowa drużyna mogłaby zrobić poza wezwaniem wsparcia, gdyby wróg jednak okazał się zajmować wskazany obiekt, ale to już nie było ważne. Transportera nie dali i kropka. Pewnie znów ktoś z zaopatrzenia kręci swoje walki na paliwie. Warknięcie starszyny wytrąciło Wowę z równowagi. Dowódca kazał mu się pospieszyć. Jeszcze bardziej. Starego dziada znowu suszy i chce czym prędzej wrócić do swej gawry, by zalać pałę. Diabli nadali tego starego...

Grzmot przetoczył się przez puste niebo. Wowa instynktownie rzucił się na ziemię. Zapadła cisza. Dopiero po chwili dotarły do niego pierwsze chaotycznie wyrzucane słowa. Sądząc po nawarstwiających się przekleństwach, pochodziły od kolegów z oddziału. Dziwne, że starszyna nie kazał im zamknąć mord. Władimir powoli podniósł głowę z gruzowiska i spojrzał w tył. Jego oczom ukazała się głowa starszyny, a właściwie to, co z niej zostało. Nie wiedział dlaczego, ale pomyślał o arbuzie. Głupie, chore, ale tak właśnie było. „A to mogłem być ja...” — ta myśl wstrząsnęła jego ciałem i targnęła do wymiotów. Przed jego oczami stanęło wspomnienie.

Pierwszą śmierć przeżył mając ledwie kilka dni. Tuż po porodzie w obskurnym szpitalu wdało się zakażenie, które nieomal przypłacił życiem. Naturalnie, będąc noworodkiem, nie mógł tego zapamiętać, ale słyszał tę historię już tyle razy, że zdawało mu się, jakby widział ją własnymi oczami. No dobra, nie tyle własnymi, co z boku. Lekarze i pielęgniarki w panice biegający wokół nowo narodzonego syna bardzo-ważnego-oficera, który miał dosyć wpływów, by ich wszystkich wysłać do przychodni gdzieś na Czukotce. Wowie zdawało się, że czuje ich bezradność i przerażenie, gdy on osuwał się ku ciemności, a oni nie mogli zrobić nic. Już wydawało się, że go stracili, gdy nagle odżył. Personel odsapnął, lecz nikt nie był w stanie wytłumaczyć, co się stało. Zresztą żaden z nich nawet nie zamierzał zgłębiać tematu. Povezło i to wystarczy! Poza tym mieli inne rzeczy na głowie. W czasie, gdy Wowa walczył o życie, jego matka niespodziewanie zasłabła. Nie udało się jej uratować. Gdy Wowoczka wrócił do świata żywych, ona odeszła do świata cieni. Dopiero po latach, gdy jego babka przepowiedziała mu przyszłość, zrozumiał sens tamtych wydarzeń. A przynajmniej próbował zrozumieć.

Koledzy z oddziału w panice przerzucali się przekleństwami. Władimir próbował podnieść głowę, by nieco się rozejrzeć, ale jego mięśnie najwyraźniej postanowiły zrobić sobie wolne. Nie pomogło nawet jego imię wyrzucane na przemian z przekleństwami przez kolegów z oddziału. Głowa nie chciała ruszyć i koniec. Co teraz? Sekundy, które zdawały się godzinami, mijały, lecz nie działo się nic prócz niepotrzebnej paniki wśród kolegów. Będzie więc tak leżał do nocy, a potem spróbuje się wykraść. Tak, to dobry pomysł! Doskonały! Co

tam te kilkanaście godzin. Kiedy tylko zapadnie zmrok, powolutku, powolutku się wycofa. Chyba że do tego czasu nadejdzie pomoc, ale by ta nadeszła trzeba by ją wpierv wezwać. Właśnie, a co robi łącznościowiec? Głowa na chwilę odzyskała sprawność, ciekawość pokonała strach. Młody chłopak, którego wrobiono w targanie radiostacji. Co prawda każdy z nich powinien mieć indywidualną radiostację przy sobie, ale ponieważ znów ktoś na tyłach postanowił zrobić małe interesiki, zostało im się stare postsowieckie gówno, które ważyło tonę. A ponieważ tę tonę ktoś musiał nieść, padło na młodego. I teraz to młody w panice próbował nawiązać kontakt ze Stawką, bezskutecznie. Naturalnie powaga sytuacji i okrzyki kolegów nie pomagały, młody kręcił wszystkimi możliwymi pokrętłami, aż zapomniał o najważniejszym — snajperze — i podniósł głowę zbyt wysoko. Na oczach Wowy młodym coś targnęło i rzuciło na ścianę. Odgłos gromu rozległ się mgnienie oka później. I to byłoby tyle ze wsparcia...

Drugi raz śmierć wyciągnęła po niego ręce, gdy miał pięć lat. Mimo że ciężka zima skuła lodem całą okolicę, on znalazł się akurat na jeziorze, na którym lód okazał się zbyt cienki. Nikt do tej pory nie potrafi wytłumaczyć dlaczego. Po prostu, złamał się, bez powodu i bez ostrzeżenia. Ponoć jest taki zwyczaj wśród sybiraków, opowiedziała mu o nim babka — dylemat sybiraka. Gdy załamię się pod tobą lód, masz dwie możliwości: pozostajesz w wodzie i giniesz w ciągu trzech minut lub wpełzasz na lód i umierasz w ciągu trzydziestu sekund. Wspaniały wybór, prawda? Honor sybiraka wymaga, by wydostać się na powierzchnię i umrzeć pod gołym niebem, bo tak po prostu trzeba. Na szczęście pięcioletni Wowoczka nie miał o tym pojęcia i pozostał pod lodem, co dało jego ojcu czas na ratunek. I udało się, przynajmniej połowicznie. Stary żołdat uratował syna, lecz sam nie dał rady. Wowa został sam. No, niezupełnie...

Było źle. Dowódca padł, łącznościowiec też. Z prostej misji wylądowali w samym szambie wojny. To nie byli przypadkowi chłopcy z okolicy — ten, który strzelał, był zawodowcem i miał świetny sprzęt. A zatem opcja nocnej ucieczki też odpada. Na pewno ma nokto. Ktokolwiek ruszy głowę, pierwszy zginie. Pozostaje oczekiwanie w nadziei, że ktoś w innym oddziale patrolującym okolicę usłyszał wystrzały i zareaguje. Ale jak zareaguje, tego nie wiedział już nikt. Może wyślą transportery i piechotę, a może... sprowadzą artylerię i bombowce. Władimir nie zdziwiłby się, gdyby tak właśnie postąpiono, a wtedy i jego koniec był pewny. Trzeba było działać, ale jak?!

Odgłosy strzelaniny w pobliskim budynku przerwały te rozterki. To nie były karabiny, a broń krótka. Wowa był całkowicie dezorientowany. Kto strzelał i po co? Dopiero okrzyki ocalałych kolegów z oddziału wyjaśniły tę sytuację. W czasie, gdy oni kryli się przed ostrzałem snajpera, dwójka z tyłu: Misza i Sasza, wykorzystwała sytuację, okrążając miejsce zasadzki. Musiało to chwilę potrwać, nim zlokalizowali strzelca i niepostrzeżenie podeszli pod jego stanowisko, ale najwyraźniej wybieg się udał i rozpętała się walka na dystans, przy którym na nic zdał się snajperski kunszt. Wymiana ognia trwała długo, ale w końcu odgłosy ucichły. Wowa uniósł głowę. W jednym z pustych okien ukazała się znajoma twarz. To Sasza. Pomachał, by czym prędzej weszli do budynku, więc koledzy z oddziału biegiem ruszyli do środka, a Wowa, który nagle odzyskał władzę nad ciałem — za nimi.

Udało się, dobiegli, lecz gdy dotarli na miejsce, okazało się, że nie było tak dobrze, jak się spodziewali. Misza umierał. Leżał pod ścianą, a krew lała się ciurkiem. Tu nie pomógłby najlepszy łapiduch, na oczach bezradnych kolegów z oddziału Misza osuwał się w ciemność bez powrotu. Władimir poczuł zawrót głowy.

Od czasu wypadku na jeziorze śmierć dała mu nieco spokoju. Wowa ukończył szkoły i dostał się na uczelnię. Był już dorosły, przystojny i całkiem zdolny, więc jego głowę zaprzętała raczej prokreacja niż rozmyślanie o kruchości bytu. A ponieważ letnie sierpniowe południe sprzyjało tejże prokreacji, wraz z dziewczyną wybrał się nad jezioro. Na szczęście jego najlepszy kolega z własną dziewczyną i swoim samochodem miał po drodze, więc wybrali się w czwórkę na wspaniałą wycieczkę. Było cudownie! Popołudnie zmieniło się w wieczór, lekki szum wywołany alkoholem zmienił się w sztorm namiętności wywołany bliskością dziewczyny, każdy zapach, każdy smak zdawał się intensywniejszy po wielokroć. Dla takich właśnie chwil się żyje, dla takich chwil warto przetrwać nawet największe życiowe wyboje, to właśnie jest prawdziwe życie! Niestety, w takich właśnie chwilach śmierć musiała sobie przypomnieć o biednym małym Wowocze.

Ok, może i wsiedli do samochodu lekko zawiani, ale to, co się zdarzyło, nie było ich winą. Jechali powoli, jechali prawidłowo, to kierowca kamaza dał ciała. Gdy milicjanci wyciągali śmierdźla z szoferki, ten ledwo mógł ustać na nogach. Nie dlatego, że był ranny, o nie! Kierowca był zalany w trupa. Fakt, że był w stanie odpalić ciężarówkę i pojechać gdziekolwiek, graniczył z cudem. Widać śmierć lubi sobie czasem zadzwic z ludzi.

Władimir przeżył wypadek, podobnie jak jego dziewczyna i kolega. Ale dziewczyna kolegi już nie miała tyle szczęścia. Kolega, jak każdy człowiek na jego miejscu, instynktownie skręcił w lewo, wpakowując swoją dziewczynę, która siedziała na fotelu obok, prosto na zderzak nadjeżdżającego kamaza. Nie miała szans. Najmniejszych.

Do szpitala dotarł w całkiem dobrym stanie, biorąc pod uwagę, jak wyglądał samochód, dosłownie zmieciony z drogi przez ciężarówkę. Dopiero na miejscu coś zaczęło się dziać. Dostał zapaści. Gdy już zdawało się, że nie ma nadziei, odżył. Znów nikt nie wiedział dlaczego, zresztą i tak nie było czasu, by zadawać takie pytania. W sąsiedniej sali lekarze walczyli o życie jego przyjaciela. Bezszykownie. Nieopatrznie dostarczona wiadomość o śmierci kolegi wywołała u Wowy kolejny kryzys. Znów zdawało się, że nie ma szans, a jednak. Tym razem nikt z personelu już się nie wygadał. Dopiero tydzień później dowiedział się o tym, że wtedy właśnie odeszła również jego dziewczyna.

Sasza stanął w drzwiach. W jednym ręku trzymał pistolet, w drugim zaś długi blond warkocz. Niczym niedźwiedź wmaszerował do pokoju, w którym leżało ciało Miszy, i silnym pociągnięciem rzucił na ziemię właścicielkę warkocza, poprawiając kopniakiem. Dziewczyna była mocno pobita, z jej twarzy sączyły się strużki krwi, palce były powyłamywane. Zwinęła się w kłębek, ramionami próbując osłonić głowę, ale nie wydała ani jednego dźwięku.

— Co to za bładź? — zapytał, kulturalnie jak zwykle, jeden z kolegów.

— To ta suka odwaliła naszych — odparł Sasza i splunął w kierunku kłębka.

— Co ty pitolisz? Taka szpara załatwiła trzech naszych?

— Ano załatwiła.

— No to teraz zapłaci za wszystko — z rechem rzucił jeden z żołdatów i zaczął rozpinąć spodnie.

Kłębek skulił się jeszcze bardziej, ale podniósł wzrok. Zza napuchniętych i zapłakanych powiek na Władimira spjrzała para najśliczniejszych błękitnych oczu, jakie kiedykolwiek widział. Coś w tym spojrzeniu wstrząsnęło nim do głębi. W tych oczach kryły się rzeczy, o których wcześniej nie miał pojęcia. Niemożliwe, by w jedna osoba miała w sobie tyle lęku i bóleści. Tak właśnie musiał się poczuć Mistrz, gdy spotkał Małgorzatę, brakowało tylko żółtych kwiatów. Choć nie do końca, to nie była miłość, to było... przeznaczenie. Wowa przelknął ślinę. Wiedział, co musi zrobić, ale znał cenę i nie miał najmniejszego pojęcia, czy to się w ogóle uda.

Władimir obudził się. W powietrzu unosiła się woń szpitalnych środków chemicznych. Nienawidził tego zapachu. Ale tym razem było coś jeszcze, coś jakby zapach starych książek. Nie zdążył nawet otworzyć oczu, gdy ciszę przerwało chrząknięcie. Zerwał się z łóżka i zobaczył pomarszczoną twarz babki siedzącej tuż obok.

— Co tu robisz? — zapytał lekko zdezorientowany. — Przecież mieszkasz na drugim końcu kraju!

— Czas, byśmy porozmawiali. To ważne — babka odparła lodowatym głosem, wypranym z jakichkolwiek uczuć.

— Taak, też miło mi cię widzieć — westchnął Wowa. — Miło czuć w twym głosie troskę o wnuka.

— Daruj sobie sarkazm. Wiedziałam, że nic ci nie jest. Jesteś bezpieczny, przynajmniej jeszcze przez jakiś czas.

— Co to ma znaczyć?

— Czy wiesz, ile żyć ma kot? — babka przeszła do sedna jak zawsze.

— O czym mówisz?

— Wiesz czy nie?

— Dziewięć, ale co to ma do rzeczy?

— Dlaczego? Wiesz-czy-nie? — Babka miała głos niczym dochodzący zza grobu.

— Bo są... cwane, zwinne i zawsze spadają na cztery łapy? — Wowa wzruszył ramionami.

— To też, ale sam przesąd pochodzi z czasów starożytnego Egiptu i wiąże się z najmroczniejszą możliwą magią.

— Pfff, magią? — zakpił Władimir. — Zawsze wiedziałem, że za Ural pewne rzeczy docierają z opóźnieniem, ale żeby babkę ominęła cała epoka materializmu dialektycznego, to już lekka przesada.

— Pomyśl, gówniarzu! — Na zimnych rysach twarzy pojawił się cień emocji. — To wszystko, co cię spotkało, nie dało ci do myślenia?!

— Owszem, dało. Już nigdy nie wsiądę do samochodu po pijaku.

— Przestań trywializować! — Babka niepokojąco zdawała się przybierać wygląd harpii. — Od czasu twego narodzenia, te wszystkie przypadki, gdy umierałeś i zostawałeś cudem odratowany. Nigdy o tym nie myślałeś?

— Naturalnie, że myślałem, ale tak czasem w życiu bywa. To się nazywa fart.

— Fart! — parsknęła babinka. — Fartem nazwiesz też to, że zawsze w pobliżu ktoś inny tracił życie?

Wowa zamilkł. Coś w jego głowie zaczynało kombinować. Wreszcie wyrzucił z siebie:

— To zwykły przypadek. Przypadek! Takie rzeczy się zdarzają!

Babka pokiwała tylko głową.

— Naprawdę sądzisz, że śmierć pięciu osób to zwykły przypadek? W takim razie chyba rzeczywiście nie ma sensu cię przekonywać...

— Przekonywać do czego?

— Że za tym wszystkim kryją się złe moce!

— Hahaha! — roześmiał się chłopak. — Ja wiem, że u was na wsi panują zabobony i ciemnogród, ale to już lekka przesada.

— Nie zapominaj, że twoja matka też pochodziła z tej wsi. I nie była byle kim. Była szeptuchą.

Władimir niemal się zatknął.

— Co to za głupota? Moja matka nie była żadną znachorką!

— A skąd to wiesz? Przecież nawet jej nie poznałeś. Wszystko, co wiesz, powiedział ci ojciec, ale i on jej nie znał.

— Ale... — zaczął Wowa.

— Nie ma żadnego ale. Była szeptuchą i koniec. Była w tym bardzo dobra. Wiem, bo sama ją wszystkiego nauczyłam. — W ustach staruchy błysnął wianuszek złotych zębów. Na ten widok Władimira przeszły ciarki.

— Ale nawet jeśli, to co to ma do rzeczy?

— Wiele. — Babka skinęła głową. — Twoja matka wykorzystała swą wiedzę do złych celów. Wiedziała, że nie powinna mieć syna, a jednak nie mogła odmówić twemu ojcu. To zabawne, ale ona naprawdę go pokochała, mimo że sama rzuciła na niego miłosny urok...

— Ale dlaczego nie powinna mieć syna?

— Bo mężczyzna nie jest w stanie unieść brzemienia prawdziwej mocy. Ona zbyt łatwo obraca go w bestię, jeśli, naturalnie, wpierv nie wyniszczy jego ciała. Twoja matka doskonale o tym wiedziała i dlatego właśnie użyła swej potęgi wbrew naturze. Rzuciła na swego nienarodzonego syna klątwę Bastet.

— Klątwę? Na swego syna? To chore, to wszystko jest chore...

— To specyficzna klątwa, przez niektórych może być uznana nawet za błogosławieństwo. Polega na tym, że obłożony klątwą zamiast jednego życia otrzymuje ich dziewięć. Musi jednak zapłacić pewną cenę, a stawką jest życie najbliższej osoby.

Oczy Władimira zmieniły się w spodki.

— Czy teraz już rozumiesz? Czy teraz jesteś skłonny mi uwierzyć?

Wowa pokręcił głową. Nie wierzył i nie chciał uwierzyć.

— Zrobiłam to, co do mnie należało. Zostałeś ostrzeżony. Co zrobisz z tą wiedzą, zależy już tylko od ciebie. — Babka, nawet nie pożegnawszy się, wstała i ruszyła do wyjścia. Władimir nie zobaczył jej nigdy więcej. Teraz został już zupełnie sam.

Czwórka kolegów z oddziału rozstawiła się wokół dziewczyny. Wymieniając się pomysłami, powoli rozpinali spodnie. Kłębek zaczął przyciskać się do ściany. Wowa powoli wracał do rzeczywistości. Narodziny to raz. Jezioro dwa. Wypadek to trzy, w sumie pięć. Dziś zginęło trzech kolegów z oddziału to osiem. „Czyli zostało mi jedno życie...” Jego ręka powoli przesunęła się do kabury. Oceniał swe szanse. Nawet z zaskoczenia nie wykończy tej czwórki, a jest jeszcze Sasza, który stał z boku i dokładnie przyglądał się każdemu ruchowi Wowy. Nie wyjdzie z tego żywy, to pewnik, ale chyba warto. Spojrzał na kłębek i znów dostrzegł oczy. Te oczy. Był już pewien, że warto. Bez słowa sięgnął do kabury i wyjął pistolet. Tylko Sasza spostrzegł, co się święci, nim było za późno, dlatego pierwszy strzał Władimira był wymierzony właśnie w niego. Łysy czerep chlusnął czerwienią na ścianę zrujnowanego budynku. Czwórka momentalnie się obróciła i rzuciła do broni. Dwóch zdjął na miejscu, ale trzeci zdołał unieść karabin. Już wymierzył, już miał strzelić... i wtedy Wowa usłyszał szcęk zaciętego zamka. Karabin czyszczony jeszcze dziś rano zaciął się, po prostu się zaciął. Władimir bez mrugnięcia wpakował kulkę w łeb żołdata. Dziewięć, to było jego dziewiąte życie. Ciekawe kto za nie zapłaci? Odpowiedź przyszła natychmiast. Czwarty żołnierz, którzy również ścisnął w rękę karabin, z jękiem runął na ziemię. Z jego potylicy wystawała rękojeść finki. Nie, takie rzeczy się nie zdarzają! Nóż nie miał prawa tak się wbić! Spojrzał na dziewczynę, która już nie była kłębkiem. Stała na równe nogi i z niepokojem przyglądała się Władimirowi.

— Dzięki! — rzucił Wowa i uśmiechnął się. Dziewczyna odwzajemniła uśmiech.

— To ja dziękuję! Uratowałeś mnie od... od najgorszego z losów.

Władimir tylko wzruszył ramionami, nie wiedział, co powiedzieć.

— Mogę wiedzieć dlaczego? Dlaczego to zrobiłeś? — Dziewczyna była bardzo

kontaktowa.

— Bo tak trzeba było — mruknął.

— Ale mogłeś przypłacić to własnym życiem. Gdyby karabin tego tam — wskazała na martwego żołdata — nie zaciął się, byłbyś już martwy.

— Powiedzmy, że miałem przecucie, że dam radę. — Wowa uśmiechnął się. — Gorzej byłoby z tym ostatnim, któremu wpakowałaś finkę w czerep. Niesamowity rzut! I też uratowałaś mi życie. Tego się nie spodziewałem.

— Cóż, tak trzeba było... — spojrzała na niego tak, jak jeszcze nigdy nie spojrzała żadna kobieta. Serce Wowy nieomal stanęło. Dziewczyna spuściła wzrok tylko po to, by po chwili znów go unieść. Z niesamowitym uśmiechem zbliżyła się i z sykiem bólu wyciągnęła rękę. Władimir wzdygnął się na widok jej palców.

— Julia jestem!

— Wowa... znaczy Władimir — spieszył się i delikatnie ujął jej nadgarstek w parodii uścisku dłoni.

— Nie wiem, jakie masz plany, ale chyba nie powinniśmy tu zostawać. Odgłosy strzelaniny z pewnością ściągną tutaj albo twoich, albo moich...

— Właśnie. W końcu walczymy po dwóch różnych stronach.

— Wszystko się może zmienić. Z właściwą osobą wszystko może się zmienić... — Dziewczyna zbliżyła się do Wowy. Stali tak przez chwilę, która zdawała się wiecznością. W końcu to ona zrobiła pierwszy krok i namiętnie go pocałowała.

To chore, pomyślał Wowa, to wszystko jest chore. Ale przyjemne.

— I co teraz zamierzasz? — zapytała, gdy skończyli. — Do swoich chyba nie możesz wrócić.

— Raczej nie. Nikt by mi nie uwierzył — westchnął Wowa. — A ty? Wracasz do swoich?

— Nie... — dziewczyna pokręciła głową. — Po tym, co dziś przeżyłam, rozumiałam, że nie warto nadstawiać karku dla jakichś mrzonek. Lepiej pomyśleć o sobie i o swojej przyszłości. A najlepiej u boku kogoś wyjątkowego. W końcu życie jest tylko jedno! — Mimo zapuchnięć i ran jakimś cudem udało się jej puścić oko. Wyglądało to cudnie.

— Masz rację. Dziesiąte życie jest tylko jedno — odparł z uśmiechem Wowa. Uniosła brwi. — Kiedyś ci wszystko opowiem.

Dziesiąty zabytek

Luiza Dobrzyńska

Przyznaję: byłam wściekła, gdy otrzymałam temat pracy wakacyjnej, ale na całe szczęście resztką rozsądku powstrzymałam się od protestów. Profesor Hoppelwhite nie tolerował „babskich kaprysów”, jak bez wątplenia nazwałby to, co chciałam powiedzieć. Był specjalistą w starym stylu, miał chyba osiemdziesiątkę na karku i nie znosił kobiet na swoim wydziale. Uważał, że architektura nie jest miejscem dla przedstawicielek płci pięknej i panujące równouprawnienie bez osłonek nazywał koszmarną pomyłką ludzkości. Nie to, żeby nie lubił kobiet — przeciwnie, był miłym, szarmanckim człowiekiem, wspaniałym rozmówcą, nigdy nie tracącym panowania nad sobą i bezwzględnie grzecznym. Prywatnie. Jako wykładowca stawał się ostry niczym brzytwa, choć nie można było odmówić mu sprawiedliwości w ocenach. Jedyne, co mogłyśmy mu zarzucić, to drobne uszczypliwości i większą niż zwykle wnikliwość, gdy przepytywał którąś z nas.

— Architektura to nie wydział dla spódniczek — powiedział już na pierwszym wykładzie. — Na szczęście większość z pań nie będzie pracować w zawodzie, tylko wyjdzie wkrótce za mąż i spędzi życie jak Bóg przykazał, czyli między kuchnią a sypialnią.

Do mnie Hoppelwhite miał pewną słabość, jak mawiano. Powodem były matematyczne uzdolnienia, powszechne w mojej rodzinie, które budziły jego szacunek. Tym bardziej uznałam to, co mi wręczył, za rozmyślną złośliwość, której się nie spodziewałam.

— Zabytki z epoki wiktoriańskiej w Maidstone? — spytałam z niedowierzaniem. Profesor uniósł swe krzaczaste brwi.

— Nie umie pani czytać?

— Oczywiście, że umiem.

— Zatem w czym rzecz? Ma pani objechać według listy wszystkie wymienione obiekty i sporządzić dokładną analizę. W zaznaczonym obszarze jest ich dziewięć. Jeśli — tu profesor uśmiechnął się sarkastycznie — znajdzie pani jeszcze jeden, policzę to jako dodatkowy plus.

Chciałam protestować, ale wskazał mi drzwi. Zacisnęłam zęby. Nie było sensu się sprzeciwiać.

Zaraz po zakończeniu roku akademickiego spakowałam walizkę i ruszyłam w podróż po Anglii, dokładnie według danego mi przez profesora spisu.

Włóczęga po stęchłych zabytkach mogłaby wydać się komuś monotonna, ale dla studenta architektury to niczym safari dla przyrodnika. Wynajęłam mały samochód, żeby nie być uzależnioną od transportu publicznego, a że nigdy nie miałam dużych wymagań, starczał mi nocleg gdziekolwiek, choćby w aucie. Są tacy, którzy czuliby się nieswojo w niektórych miejscach, gdzie przyszło mi nocować, ale nie ja. Od dziecka brakowało mi czegoś, co nazywano fantazją. Pewnie dlatego nigdy nie bałam się zjaw, duchów ani żadnych potworów z opowieści ludowych, do głowy by mi nie przyszło też obawiać się ciemnego pokoju. Logiczną konsekwencją było to, że nawet najbardziej upiorna sceneria nie robiła na mnie wrażenia.

Gdy wakacje dobiegały już końca, miałam skompletowany materiał, który uznałam za bardzo dobry, więc moje mniemanie o sobie wzrosło niepomiaralnie. Sprawdziłam dokładnie, że w zaznaczonym na mapie obszarze nie było dziesiątego obiektu, i sporządziłam na ten temat odpowiednią notatkę. Potem postanowiłam wracać do Londynu na skróty i wtedy przydarzyło mi się coś, czego jeszcze nie przeżyłam: straciłam orientację w terenie. Na domiar złego niebo zasnuło się paskudnymi chmurami i zaczęło padać. Zerwał się silny wiatr. Z każdą chwilą było coraz gorzej, z daleka nadciągał pomruk burzy, a ja nie wiedziałam, gdzie jestem. Według mapy była to okolica wsi Yalding, jednak nie mogłam wypatrzeć żadnych zabudowań. Gdy miałam już zamiar zatrzymać auto i przeczekać ten koniec świata, ujrzałam przez zalane deszczem szyby jakiś kształt. Skręciłam w ledwie widoczną dróżkę, prowadzącą — jak się okazało — do starego, zaniedbanego domu z ery wiktoriańskiej. Wyglądał, jakby miał się zaraz zawalić, ale nad drzwiami widniał czytelny szyld z napisem „Gospoda Pod Cisami”. Czyżby to był ów dziesiąty zabytek? Jeśli tak, to dlaczego nikt z wypytywanych ludzi mi o nim nie powiedział? Zresztą wszystko jedno. Musiałam się gdzieś schować, bo na niebie już nieźle błyskało i deszcz stawał się coraz natarczywszy.

Na moje pukanie początkowo nikt nie odpowiadał. Gdy zaczęłam tracić nadzieję, w oknie obok drzwi zabłysło wątłe światło i po chwili zazgrzytała zasuwa. Drzwi zaskrzypiały przeraźliwie. W progu stanął niewysoki, bardzo stary mężczyzna, ubrany w spodnie i kaftan z brązowego płótna. W ręku trzymał... lampę naftową! Obrzucił mnie krótkim spojrzeniem i mruknął:

— Panienska wejdzie.

Cofnął się. Przekroczyłam próg z niemiłym wrażeniem, że wchodzę do piwnicy. Potęgował je zapach stęchlizny i mrok panujący w gospodzie. Musiała być chyba rodzajem skansenu, bo nie mieściło mi się w głowie, żeby ktoś tu bywał. Mój gospodarz postawił lampę na stole i powoli, mocno kulejąc, zapalił dwie inne, przymocowane na ścianach. Ich blask ujawnił przede mną wnętrze — wygasły kominek, ciężkie stoły i ławy z nieheblowanego

drewna. Wszystko przykrywała warstwa zastałego kurzu, w kątach zalegał mrok, ale założyłabym się, że były w nich pajęczyny grube jak żaglowe płótno.

Staruszek pokuśtykał do kominka, przykucnął przed nim i rozpałił ogień. Patrzyłam jak zaczarowana, do tego stopnia przypominało to scenę z jakiejś połowy dziewiętnastego wieku. Gdy w kominku zahuczało, gospodarz postawił na kratce kuchennej staroświecki imbryk.

— Zaraz zrobię herbatę. Panienska pewnie zmarzła na tej ulewie.

— Chętnie się napiję — odparłam, zastanawiając się mimochodem, z czego będzie ta herbata. — Przepraszam, ale kim pan jest?

Spojrzał na mnie nieobecnym wzrokiem. Skórę miał pooraną głębokimi bruzdami, niechlujne siwe pasma zwisały na chude policzki i szare jak pajęczyna brwi, nieomal zasłaniając wpadnięte głęboko oczy.

— Dozorca — wykrztusił wreszcie z wysiłkiem. — Nikt inny nie chce, a ja... ja tu mieszkam od dziecka.

— Remont by się przydał.

— Konserwator zabytków nie pozwala.

Imbryk zagwizdał, staruszek wyciągnął z szafki poobijany kubek, nasypał do niego jakichś ziół i zalał wrzątkiem.

— Dodać imbiru? Przeziębi się panienska jak nic.

Skinęłam niepewnie głową.

Herbata z imbirem okazała się całkiem dobra, choć wolałabym się nie domyślać, kiedy ostatni raz ktoś mył mój kubek. Pachnący, parujący płyn rozgrzał mnie od wewnątrz i paradoksalnie właśnie wtedy zaczęłam się trząść. Dozorca patrzył na mnie ze współczuciem.

— Pościelę paniencie na gorze — powiedział wreszcie. — To niewesołe miejsce, ale na tym odludziu nie znajdzie pani niczego lepszego.

Mówił tak, jakby z trudem przypominał sobie, jak składać słowa w zdania. Głos skrzypiał mu w gardle, pergaminowej twarzy nie ożywiały żaden skurcz. Miałam wrażenie, że rozmawiam z trupem i robiło mi się coraz dziwniej. Co to za miejsce?

— Przepraszam, że tak pana nachodzę — rzekłam. — Gdyby nie ta pogoda...

Machnął ręką.

— Ja rozumiem, panienko. Dawno tu nikogo nie było, ale mam gdzieś czystą pościel. Proszę zaczekać.

Wstał i znikł w mroku, gdzie — jak się domyślałam — był korytarz prowadzący do schodów. Po chwili usłyszałam skrzypienie stopni, potem wszystko ucichło i tylko wiatr dalej wył za oknami, a w szyby walił wściekły deszcz. Co kilka minut w tę upiorną orkiestrę wdzierał się piorun i błyskawica rozjaśniała na ułamek sekundy wnętrze gospody. Gdybym była mniej zrównoważona, pewnie rozplakałabym się w końcu ze strachu, a i tak było mi bardzo niewyraźnie. Gdyby było dokąd uciec, pewnie bym to zrobiła, ale w tę pogodę nie mogłam pozwolić sobie na błądzenie po nieznannej okolicy.

Drgnęłam i krzyknęłam mimowolnie dopiero wtedy, gdy poczułam czyjąś rękę na ramieniu. Miałam wrażenie, że dotykają mnie ptasie szpony.

— Spokojnie, to tylko ja — odezwał się starczy głos. — Proszę za mną, poświęcę. Na schodach trzeba uważać, nie wszystkie stopnie są w dobrym stanie.

W to akurat mogłam uwierzyć bez trudu, biorąc pod uwagę stan wszystkiego w tej tak zwanej gospodzie. Było mi to jednak obojętne. Czułam się tak zmęczona, że marzyłam wyłącznie o jakimkolwiek łóżku, żeby móc się w nim wyciągnąć i zasnąć. Dozorca zaprowadził mnie po rozwalających się schodach do niewielkiego pokoju, gdzie na łóżku — o cudzie! — rzeczywiście leżała względnie czysta pościel. Na stole stała płonąca świeca w mosiężnym lichtarzu.

— Proszę się przespać do rana, panienko — powiedział życzliwie staruszek. —

Postaram się jutro o chleb i kilka jajek na śniadanie. Dwie mile stąd jest małe gospodarstwo.

— Nie chcę pana wykorzystywać.

— Proszę się tym nie przejmować. To krótki spacer, a ja i tak śpię bardzo mało i zawsze wstaję przed świtem. Starzy ludzie potrzebują niewiele snu.

Wyszedł i zostałam sama. Zdjęłam przemoczone ubranie, rozwiesiłam do wyschnięcia, przykręciłam płomień lampy i wsunęłam się pod kołdrę. Pościel uszyto z płótna, jakiego jeszcze nigdy nie dotykałam, i ozdobiono w rogach staroświeckim haftem, chyba monogramami. Byłam zbyt zmęczona, by sprawdzić czyimi. Przytuliłam się do wielkiej, pachnącej kurzem poduszki i zasnęłam jak kamień.

Gdy następnego dnia otworzyłam oczy, po burzy nie było już ani śladu. Przez brudne jak nieszczęście szyby małego okna zaglądało słońce, oświetlając staroświeckie, zdezelowane meble. Spojrzałam na zegarek. Dochodziła dziesiąta rano. Odrzuciłam kołdrę i powodowana ciekawością wyjrzałam przez brudne okno. W niewielkiej odległości zobaczyłam labirynt i poczułam zdumienie. Wiedziałam, że w epoce wiktoriańskiej ogrody w tej formie były modne, ale wszystkie zostały skatalogowane. Oprócz tego. Byłam pewna, że ten nie figuruje w żadnym spisie, wiedziałabym o tym.

Sprawdziłam swoje ubranie. Zdażyło wyschnąć, rozejrzałam się więc za jakąś łazienką. Jak na zawołanie rozległo się pukanie do drzwi.

— Dzień dobry, panienko. Przyniosłem ciepłą wodę do umywalni. To obok pokoju panienki, na prawo.

— Dziękuję! — zawołałam.

Poczekalam, aż odgłos kroków i skrzypienie schodów oznajmiły, że mój gospodarz zszedł na dół, potem zgarnęłam swoje ciuchy i przeszłam do umywalni, czyli małego pokoiku bez okna, za to ze świetlikiem w suficie. Pośrodku stał szeroki taboret, na nim staroświecka miednica z zimną wodą, a obok na podłodze dzban z gorącą. Na ścianie wisiał lniany ręcznik, obrębiony czerwoną nicią. Nie zabrakło i mydła, choć jego widok wprawił mnie w zdumienie. Było brązowe, pachniało dziegciem i wyglądało tak, jakby odrąbano je nożem od jakiegoś większego kawałka. Miałam wewnętrzne opory, by go użyć, ale przemogłam się i dokonałam niezbędnych ablucji. Umyta i uczesana poczułam się naprawdę dobrze, choć przecież ta rozwalająca się gospoda była ostatnim miejscem, w którym ktokolwiek mógłby odzyskać humor.

Zeszłam na dół. Stary dozorca wytarł stół, przykrył go nawet obrusem i ustawił na nim koszyk z chlebem, maselnickę i dwa jajka w kieliszkach. W świetle dnia mój gospodarz wyglądał może mniej upiornie niż w nocy, ale nadal przypominał raczej mocno zasuszoną mumię niż żywego człowieka. Na dodatek jego ubiór — teraz to widziałam wyraźnie — pochodził z tej samej ery co gospoda. Połowa dziewiętnastego wieku. W życiu nie widziałam czegoś tak osobliwego.

— Dziękuję — powiedziałam, siadając przy stole. — Jest pan kochany.

Uśmiechnął się nikle.

— Przesada, panienko.

Nasmarowałam sobie kawałek chleba masłem.

— Jak pan właściwie się nazywa? Ja jestem Anne Doveley.

— Tom. Właściwie Thomas Kendrick, ale wszyscy mówią mi po prostu Tom.

Usiadł naprzeciw mnie. Jadłam łapczywie, byłam bowiem okropnie głodna i dopiero po chwili dotarło do mnie, jak bardzo smaczny jest ten chleb. Lepszy niż ciasto. A masło — nie, takiego masła nigdy jeszcze nie miałam w ustach.

— A pan nie jest głodny?

— Już jadłem — mruknął. Patrzył na mnie tak, jakbym była zjawiskiem nie z tej ziemi. Nie z zachwytem, ale jakby ze zdziwieniem, badawczo.

— A co właściwie panienka robi w tej zapadłej dziurze?

— Zbierałam materiały do pracy wakacyjnej — wyjaśniłam. — Studiuje architekturę na Oxfordzie.

Nadal na mnie patrzył.

— Co to za czas — powiedział wreszcie. — Gdy byłem młody, taka ładna panienka miałyby już męża i dzieciaki. Nie musiałyby psuć oczu nad książkami. To niezdrowe. Potem trzeba nosić okulary, a sama panienka wie, co mówią: „Gdy dziewczę nosi okulary, kawaler rzadko miewa zamiary”.

— Teraz liczy się wykształcenie. Poza tym ja chcę być niezależna, nawet gdy kiedyś wyjdę za mąż.

Zabrałam się za jajka.

— Wyśmienite — stwierdziłam z uznaniem. — Panie Kendrick...

— Tom, panienko.

— Tom, czy ja mogę przed wyjazdem obejrzeć labirynt?

— Po co?

— Chciałabym zrobić kilka zdjęć i szkiców, żeby porównać z innymi.

Staruszek zawahał się. Przez moment miałam wrażenie, że czegoś się przestraszył.

— To nieciekawe miejsce. Lepiej tam jednak nie wchodzić. — wydusił z siebie po chwili.

— Dlaczego?

— Łatwo się zgubić.

— Nie gubię się w labiryntach. Są matematycznie logiczne.

— Nie ten. Proszę uwierzyć mi na słowo.

Napiłam się herbaty.

— Zgubił się w nim ktoś?

— Niejeden. Od czasu do czasu jakiś ryzykant tam wchodzi. Albo młoda para szuka odosobnienia, nie słuchając ostrzeżeń. Kilku znikło bez śladu, kilku udało się uratować, ale postradali zmysły.

— Może ukrył się tam jakiś psychopata i ich mordował?

Tom machnął ręką.

— To nie człowiek tam mieszka. Z człowiekiem można sobie poradzić.

— Więc co, zwierzę? Wilk?

— Wilki w Anglii wytopiono już dawno. Zresztą zwierzęta to stworzenia boskie i nie budzą takiego znów przerażenia. Nie, to coś zupełnie innego. Ja sam słyszałem nieludzkie odgłosy dochodzące z tej budowli i nie wszedłbym tam za żadne skarby tego świata. Niech panienka uważa.

Dopiłam herbatę i wstałam od stołu.

— Proszę mi wybaczyć, Tomie — powiedziałam, ruszając do drzwi. — Ja nie boję się duchów ani upiorów.

Byłam już za progiem, gdy dobiegła mnie smutna odpowiedź:

— Można się nie bać złego psa. Jednak to nie sprawi, że zwierzę zrezygnuje z ataku.

Wyjęłam z bagażnika swoją torbę z przyborami. Choć ziemia była jeszcze mokra, niebo błyszczało pięknym lazurem i tylko z rzadka przepływały po nim strzępki obłoków. W świetle słońca mogłam lepiej ocenić rozmiary labiryntu i dopiero teraz zauważyłam, że kryje się za nim solidna, bardzo stara rezydencja. Na moje oko była dużo starsza, z późnej epoki elżbietańskiej i podobnie jak gospoda już się sypała. Okna i drzwi zabito deskami i chyba od bardzo dawna nikogo tam nie było. Zdziwiło mnie to. Wiem, że tego rodzaju zabytki są pod opieką państwa, ale ten najwyraźniej zaniedbano i zapomniano. Niedługo jednak nad tym dumałam. W końcu interesował mnie przede wszystkim labirynt.

Od razu zorientowałam się, dlaczego nie figurował on w spisie profesora: po prostu nie był to ogród. Ściany stanowiły ogromne, ręcznie ciosane bloki, a wątle zielska rosły

jedynie w szparach między nimi. Megalityczna budowla? Zbadawszy pobieżnie zewnętrzny mur, stanowiący ogrodzenie labiryntu, odkryłam jeszcze jeden zdumiewający fakt. To, co każdy mógł obejrzeć na powierzchni, stanowiło zaledwie wierzchołek budowli, która co najmniej w dwóch trzecich tkwiła pod ziemią. Potwierdzało to tezę o megalitycznym pochodzeniu obiektu. Przyglądając się dokładnie, zauważyłam ślady po dawnych próbach obsadzenia ścian jakąś roślinnością, zapewne ozdobną. Ktoś, zapewne właściciel zrujnowanej rezydencji, chciał przekształcić kamienny labirynt w kwiatowy. Po jego śmierci kwiaty zmarniały i został tylko kamień, który jest może nie wieczny, ale na pewno bardzo trwały. Nie wiem, co mnie do tego skłoniło, ale wyjęłam z teczki kłębek mocnego sznurka i przywiązałam jeden jego koniec do metalowego kółka wbitego w jeden z bloków. Teraz mogłam mieć pewność, że się nie zgubię, a przecież mimo mej trzeźwości umysłowej słowa Toma zasiały we mnie pewną... może nie obawę, ale ostrożność. Takie „opowieści z nad rzeczki”, jak mawiał o podobnych legendach nasz profesor od matematyki, mają zwykle podłoże, z którego wyrosły. Kiedyś musiało się tu wydarzyć coś bardzo złego. Być może ścieżki nie zostały wytyczone według żadnego przewidywalnego wzoru i ludzie się gubili. Co do reszty... może ulatniał się tu gaz bagieny? Postanowiłam bardzo uważać i przy najmniejszych oznakach osłabienia czy zawrotach głowy natychmiast zawrócić.

W labiryncie było zimno. Nie miało to nic wspólnego z nocną burzą, ten chłód zdawał się emanować wprost ze ścian. Początkowo mnie to nawet nie dziwiło. Kamienne mury porośnięte mchem i diabli wiedzą czym tam jeszcze mogły działać jak wielka chłodnia. Potem jednak powoli zaczęłam czuć się nieswojo. Chłód narastał, stawał się niezrozumiały, wilgotny i stęchły niczym w trupiarni. Mimo woli rozglądałam się, czy nie zobaczę gdzieś rozkładających się zwłok szczurów, wron albo bezańskich kotów, ale niczego takiego nie zauważyłam. Nigdzie nie było widać nawet owadów, które powinny przecież uznawać taki obiekt za swoją ziemię obiecaną. Nie mogłam dostrzec mrówek, żuków, much, niczego żywego oprócz mnie. Nie jestem przesadna ani strachliwa, jak już wspomniałam, a jednak w pewnym momencie naprawdę zrobiło mi się nijako. Staralam się stłumić w sobie te przykre uczucia i skupić się na zwiedzaniu. Szłam uparcie, póki nie dotarło do mnie, że kręcę się w kółko. Planowałam dojść do serca labiryntu, ale widocznie pomyliłam drogę. Rozejrzałam się i spróbowałam innego dojścia. Tym razem było wręcz odwrotnie — droga obliczona na kilkanaście minut zajęła mi ledwie trzy i sama nie wiedziałam, jak znalazłam się tam, dokąd zmierzałam.

Rozejrzałam się po ośmiokątym wnętrzu „serca”. Gdybym miała więcej wyobraźni, poczułabym lęk. Cienie rzucane przez wystające głązy układały się na ubitej ziemi w koszarne mozaiki, prawdziwe panoptikum grozy. Dopiero przyjrawszy się bliżej, człowiek widział, że jest w nich coś dziwnego. Z kamiennych ścian parowała gęsta ciemność, niezależna od światła z góry. Mimowolnie spojrzałam w niebo. Wyglądało, jakby zasnuł je gęsty, bury dym. Czyżby pogoda tak szybko się pogorszyła? W tym momencie zdjął mnie autentyczny strach, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie doznałam.

— Spokojnie. Po prostu zbiera się na następną ulewę i czas stąd wyjść — wymamrotałam, by dodać sobie odwagi. Pociągnęłam lekko za zbawczy sznur i ku memu przerażeniu przekonałam się, że musiał zostać przecięty. I to nie przy wejściu, a gdzieś w korytarzach, bo część, która została mi w ręku, była absurdalnie krótka. Obejrzałam z niedowierzaniem jej drugi koniec. Nie, sznurek nie był przecięty, tylko przegryziony! Rozejrzałam się nerwowo, szukając wzrokiem zwierzęcia, które mogło tego dokonać. Poszarpany koniec linki nie wskazywał na szczura. Zęby, które mogłyby to zrobić, raczej miałyby kość, albo... człowiek. Zalegająca wokół mnie ciemność gęstniała z każdą sekundą. Wyszczała się z kątów, unosiła niczym kłębowisko węży nad moją głową i jednocześnie podpełzała mi do nóg jak fala smoły. Światło nikło, absorbowane przez nią żarłocznie, tak jakby wsysała w siebie każdy promień. Jednocześnie nasilała się trupia woń przesycająca to

miejsce.

Rzuciłam się do wyjścia, ale już po paru krokach straciłam orientację. Wszystko wokoło wyglądało inaczej niż wtedy, gdy tu szłam, a zapadająca szybko ciemność nie pozwalała mi dostrzec charakterystycznych znaków. Miotalam się bezradnie to tu, to tam, ale coraz mniej wiedziałam, gdzie jestem. Dookoła zrobiło się już zupełnie ciemno, jakby to był środek nocy, nie wczesne popołudnie, bo przecież spędziłam w tym piekielnym labiryncie ledwie parę godzin i noc nie mogła jeszcze nadejść. Wysiłkiem woli opanowałam rozdygotane nerwy i przypomniałam sobie, że przecież mam w torbie latarkę. Wyciągnęłam ją, zapaliłam i skierowałam snop światła we właściwy korytarz. Dokładnie w tym samym momencie z dopiero co opuszczonego przeze mnie serca labiryntu rozległ się przeraźliwy wrzask. Nie był ani ludzki, ani zwierzęcy. Ostry, suchy, pełen wściekłości i tak skondensowanej nienawiści, że poczułam się, jakby na moją głowę posypały się kamienie. Latarka zgasła, mrok skonsolidował się jeszcze bardziej i zaczął formować między mną a zbawczą drogą ucieczki jakiś kształt nie do opisanego, rosnący z każdą sekundą. Chciałam krzyknąć, ale głos uwiązł mi w gardle i zdobyłam się tylko na jakiś żalony, ledwie słyszalny skowyt. Byłam święcie przekonana, że to moja ostatnia chwila i moje przerażenie sięgnęło zenitu, tym większe, że po raz pierwszy w życiu bałam się czegoś, czego prawie nie widziałam.

Półprzymiotna ze strachu spróbowałam przebić się przez mrok, ale coś odrzuciło mnie pod ścianę, zupełnie tak, jakbym zetknęła się z ogrodzeniem pod napięciem. Zerwałam się i ponowiłam próbę, z tym samym skutkiem.

— Wypuście mnie! — krzyknęłam z rozpaczą. — Czego chcecie?!

Zostałam usłyszana. Powietrze dookoła dosłownie eksplodowało huraganem nieludzkiego, wściekłego wycia. Nie wiadomo skąd tuż obok pojawił się Tom. Nie patrzył na mnie, tylko rzucił się ku skłębionej ciemności, która zdążyła już wznieść swój upiorny łeb dobre dwa metry ponad moją głowę.

— Już dość! — wyrzęził, chwytając obiema rękami to coś, czego nawet nie potrafiłabym nazwać. — Dość tej nienawiści, dość zemsty! Minęło zbyt wiele lat! To już inny świat, inni ludzie!

Staruszek wyraźnie walczył z napierającym na niego masywnym mrokiem, a ja nie mogłam się poruszyć, jakby nogi wrosły mi w ziemię. I tylko z przerażeniem obserwowałam, jak od odpychanego przez Toma kształtu wyrasta gruba odnoga i zbliża się do mnie, nabierając szybkości i rosnąc z każdą sekundą, aż zakryła sobą wszystko, cały świat.

— Proszę pani, proszę pani! Proszę otworzyć oczy. Boże, co tu się stało?

Machinalnie posłuchałam młodego, zaniepokojonego głosu. Leżałam na szosie, nade mną pochylał się sympatycznie wyglądający chłopak z piegami na nosie. Miał na sobie kombinezon rowerzysty i kask, a jego stalowy rumak stał oparty o mój samochód. Dzieciak wyglądał na jakieś osiemnaście lat, nie więcej, i był solidnie przerażony.

— Co się stało? — wybąkałam z trudem, usiłując wstać, ale natychmiast ponownie pociemniało mi przed oczami. Jak się potem dowiedziałam, chłopak wezwał karetkę.

Podobno miałam wstrząśnienie mózgu o nieustalonym podłożu. Było mi to zresztą obojętne. I tak nikt nie uwierzyłby w moją opowieść. Kiedy wyszłam ze szpitala, poświęciłam resztę wakacji na studiowanie historii dystryktu Maidstone w Kent. Szukałam starych kronik, zapisków handlowych, wszystkiego, aż wreszcie trafiłam do małego klasztoru niedaleko Deal. Tam w pożółkłych i częściowo nieczytelnych zapiskach, prowadzonych przez niegdysiejszego opata, znalazłam krótką historię:

Okolicę Yalding zdobi prastary labirynt. Baron Willem Fitzroy kupił posiadłość, na

której leży ta budowla, gdy wierzyciele odebrali mu prawie cały majątek. Wielokrotnie próbował przekształcić labirynt w ogród kwiatowy, jednak za każdym razem taka próba kończyła się niepowodzeniem. Mimo to Fitzroy ogromnie lubił to miejsce i często tam przesiadywał, gdy chciał być sam. Pewnego dnia labirynt stał się miejscem ponurej zbrodni i od tej pory uważany jest za przeklęty.

Baron miał córkę, która zakochała się w synu sąsiada, Bradfordzie Lelandzie. Młody człowiek zapewniał, że też ją kocha, gdy jednak wszystko wyszło na jaw, wycofał się tchórzliwie. Kiedy wydało się, że baronówna jest przy nadziei, jej ojciec wpadł w szal. Pobił dziewczynę do nieprzytomności, następnie zawlókł aż do serca labiryntu i żywcem zakopał. Może by się to nie wydało, gdyby kilka dni później nie upił się w gospodzie „Pod Cisami” i wszystkiego nie wygadał. Nikt mu nie uwierzył, baron był bowiem znany z pijackiej fantazji, ale Bradford, którego gryzło sumienie, postanowił sprawdzić sprawę. W nocy zabrał ze sobą swego przyjaciela, Toma Kendricka, i poszli do serca labiryntu. Znaleźli tam świeży grób, więc młody Leland wysłał przyjaciela, by sprowadził kilku ludzi z łopatami. Gdy Tom wracał razem z czterema okolicznymi wieśniakami, usłyszeli straszliwy, nie mający w sobie nic ludzkiego krzyk ze środka, a dotarłszy na miejsce, ujrzeli przerażający widok. Bradford Leland leżał na ziemi plecami do góry. Jego twarz była zanurzona do połowy w świeżo rozgrzebanej glebie, wokół jego szyi zaciskała się trupia ręka, obrzmiała, pokryta zielonkawymi plamami, z palcami zakrzywionymi jak szpony. Wynurzała się wprost spod ziemi. Gdy spróbowali podejść bliżej, rozległ się ten sam wrzask, który słyszeli już przedtem. Rzucili swe łopaty i kilofy, i w popłochu opuścili labirynt. Zorganizowana późnym rankiem, w pełnym blasku dnia wyprawa najodważniejszych mieszkańców wioski, z sędziwym pastorem na czele, nie odkryła żadnego śladu ani nieszczęsnego młodzieńca, ani zostawionych w labiryncie narzędzi. Od tego dnia nikt z miejscowych nie ośmielił się tam wejść. Mówiono też, że przyjezdni, którzy chcieli obejrzeć budowlę, ginęli bez śladu, a po nocach słychać było w labiryncie upiorne zawodzenie. Baron Fitzroy umarł wkrótce na skutek nadużywania alkoholu, a po jego śmierci rezydencja popadła w ruinę. Nikt nie chciał jej nabyć.

Pod spodem widniał dopisek, uczyniony inną ręką i świeższym atramentem:

Obecnie labirynt pod Yalding, rezydencja barona i gospoda Pod Cisami już nie istnieją. W czasie wojny niemieccy lotnicy otrzymali na niego namiar jako na stanowisko baterii przeciwlotniczych. Dosłownie zasypali to miejsce bombami, równając wszystko z ziemią. Z niejasnych powodów do dziś dnia to miejsce pozostaje nieużytkiem.

Gwiazda zaranna
Anna Wołosiak-Tomaszewska

[...] i słońce — mój wróg słońce! wschodzi, wielbiąc Boga.

Tadeusz Miciński, *Lucifer*

Podróżnik usiadł w kapsule i rozejrzył się ciekawie. Wnętrze wyglądało dokładnie tak, jak w chwili, kiedy zapadał w sen. Okolicy zaś nie widział przez pokryte grubą warstwą pyłu szkło.

Z niewielkiej kieszonki umieszczonej na drzwiach wyjął okulary w cienkich oprawkach i nasadził je na nos. Teraz dopiero mógł zacząć działać: odczytał wskaźniki temperatury i wilgotności powietrza na zewnątrz, dostosował do nich kombinezon, nałożył hełm, a następnie wklepał kod wyłączający mechanizmy ochronne, po czym wreszcie przekręcił blokadę na drzwiach i powoli pchnął je ku górze. Do wnętrza kapsuły wdarło się

gorące, suche powietrze, ale strój Podróżnika rozpoczął już wyrównywanie temperatury: lodowata ciecz popłynęła pajęczyną rurek, tak że w pierwszej chwili mężczyźnie zrobiło się nawet zimno.

Zdawało mu się, że buty zachrzęściły na piasku nienaturalnie głośno. Dopiero po chwili skonstatował, że to nie on porusza się głośniejsz niż zwykle, tylko wokół panuje niepokojąca cisza. Nie było słycać samochodów, szumu drzew ani gwaru przechodniów. Nie śpiewały ptaki, a owady nie wprawiały powietrza w drżenie. Podróżnik przypiął do pasa kaburę i zamknął drzwi kapsuły. Ponownie wpisawszy kod, tym razem na zewnętrznym panelu, ruszył przed siebie przez ciemne korytarze gmachu, będącego niegdyś główną siedzibą firmy Fentz Universe. Jak się okazało, jej prezes, pan Thorne, bardzo słusznie postanowił wzmocnić całą konstrukcję szkieletem z potężnych splotów nanorurek. Budynek sprawiał wrażenie, jakby trzymał się wyłącznie na tych ścięgnoch, z których tu i ówdzie zwisały bloki betonu. Pozostałe fragmenty zalegały w stertach na ziemi. Podróżnik od czasu do czasu nawet wspinał się na te zmurszałe pagórki, by rozejrzeć się po okolicy, jednakże gęsty szereg grafenowych filarów skutecznie przesłaniał widok.

Wkrótce dotarł do wyjścia — światło dnia zaczęło przeświecać przez konstrukcję, aż w końcu Podróżnik wyszedł prosto w pomarańczowe promienie ogromnego słońca o rozedrganej, jaśniejącej koronie.

Przez chwilę ten nagły blask go oślepił — mężczyzna przesłonił oczy dłonią, czekając, aż pociemnieje wizjer jego kombinezonu. Gdy to już nastąpiło, zamrugał niepewnie i rozejrzał się.

Spodziewał się, oczywiście, różnic. Nie przypuszczał jednak, że będą one tak znaczące.

Główna ulica, którą — zdawałoby się — dopiero co podjechał pod gmach Fentz Universe, w zasadzie nie istniała. W gorącym, rozfalowanym powietrzu majaczyły zaledwie sterczące ku niebu resztki spękanego asfaltu, poprzedzielane rozpadlinami i przysypane piachem. Nieco dalej, tam, gdzie Podróżnik dokładnie pamiętał park, niewielkie jezioro i stojące wokół niego ławeczki, piętrzyły się hałdy połyskujących w słońcu blach i plastików: szczątki starych karoserii, obudowy archaicznych radioodbiorników, gładkie powierzchnie monitorów i wyszarpane skądś akumulatory, z których zwisały jeszcze kable o druczianych, rozcapierzonych końcówkach.

Podróżnik w pierwszym odruchu chciał podrapać się po skroni, jego dłoń natrafiła jednak na kratkę głośnika wmontowanego w kombinezon zaraz za wizjerem, toteż zrezygnował z westchnieniem. Ostrożnie stawiając stopy, przegramolił się na drugą stronę tego, co powinno być ulicą, po czym wszedł między spiętrzone wysypisko.

Nie uszedł jeszcze kilometra, gdy usłyszał dźwięk — pierwszy dźwięk od przebudzenia. Najpierw drgnął z przestachem, odzwyczajony już od tego, że cokolwiek wokół niego może wydawać odgłosy. Zaraz jednak uśmiechnął się z politowaniem nad własną nabytą lekkością i ruszył w stronę źródła hałasu.

— Ale czy to bezpieczne? — pytał, podziwiając *hominem computatrum*, prototyp następcy przestarzałych ludzi elektronicznych oraz całkowicie archaicznych „mechaników”.

To było na kilka dni przed podróżą. W auli gmachu Fentz Universe technicy szykowali sprzęt do konferencji prasowej: po raz ostatni sprawdzali wizję i dźwięk, ustawiali ekrany, rozwijali roll-upy z logotypami sponsorów. Na środku podwyższenia, tuż obok mównicy, stał pierwszy na świecie *homo computatrus* — syntetyczny człowiek, który miał zrewolucjonizować rozwój cywilizacji. Wpatrywał się szklistym wzrokiem w ostatnie rzędy audytorium, jego klatka piersiowa unosiła się miarowo w rytmie pozorowanych oddechów, a spod uchylonej kłapy na przedramieniu połyskiwał chromowany panel kontrolny.

Pan Thorne klepnął Podróżnika w ramię i roześmiał się.

— Bezpieczne, bezpieczne! — powtórzył głośno, ni to przedrzeźniając rozmówcę, ni to uspokajając go. — Nie to jest najważniejsze. Najważniejsze są możliwości, jakie on przed nami otwiera.

Podróżnik skinął głową, ale nie wydawał się przekonany. Oczywiście, automat stojący przed nim naprawdę mógł być przyszłością. Był od ludzi szybszy, silniejszy, wytrzymalszy, w dodatku miał większą moc obliczeniową od swoich poprzedników.

— Nie ufasz mu — domyślił się pan Thorne, zerkając z ukosa na Podróżnika. Ten uśmiechnął się przeprasząco i odparł:

— Nie bardzo. To nie tak, że uważam za błąd jego zbudowanie. To świetne. Proste maszyny pomagają nam od stuleci, czas na te bardziej zaawansowane. Skuteczniejsze. Po prostu... rozumie pan, Hahn też pewnie nie oczekiwał, że jego dokonanie doprowadzi do śmierci dwustu tysięcy niewinnych ludzi w ciągu kilku dni...

— Czy ty myślisz o buncie maszyn?

Podróżnik wzruszył ramionami.

— Od czasów Hahna dużo się nauczyliśmy. — O dziwo, pan Thorne nie zbył rozmówcy kolejną drwiną, tylko podszedł do tematu całkiem poważnie. — Czarne przewidywania futurystów nam nie grożą. Bez nas nasi sztuczni przyjaciele nie będą mogli funkcjonować. Nasi inżynierowie o to zadbali.

Podróżnik znów skinął głową i westchnął.

Ten tutaj nie przypominał modelu znanego Podróżnikowi. Przede wszystkim w ogóle nie naśladował człowieka. Owszem, ogólną sylwetkę miał może zbliżoną, ale nikt nie trudził się nad powleczeniem mechanizmu synteskórą, nad wgraniem symulacji oddechu czy zamaskowaniem białych żarówek sztucznymi oczami.

Kiedy automat pochylał się nad złomem, sam był niemal nie do odróżnienia od tła. Jego metalowy szkielet, opleciony kolorowymi przewodami i nadgryziony przez rdzę, poruszał się skokowo i jakby z trudem. Walcowata głowa obracała się na boki, a dwie płaskie żarówki przeczesywały okolicę, jakby automat czegoś szukał. W końcu automat na powrót wyprostował się i poszedł kilkanaście kroków naprzód.

Podróżnik, nie mogąc oderwać wzroku od maszyny, wyszedł zza osłaniającego go wraku samochodu i — najciszej jak potrafił — ruszył za nią.

Nagle automat stanął. Tym razem się nie rozglądał — po prostu pomanipulował przez moment przy własnym brzuchu, a w chwilę później obrócił się wprost do Podróżnika, wyciągając przed siebie rękę. Mężczyzna, bardziej zaskoczony niż przestraszony, obrócił się niepewnie za siebie, ale nie ujrawszy tam nikogo, podszedł wreszcie do automatu.

— Widzisz mnie, prawda...? — zapytał, by przerwać tę nienaturalną ciszę.

Maszyna zamrugła żarówkami i wysunęła rękę bardziej do przodu. Podróżnik w końcu rzucił okiem na to, co miała w dłoni: wypolerowaną zębatkę, lśniąca ognistocie w pomarańczowych promieniach słońca.

— Mam... mam to wziąć? — zgadywał Podróżnik. Wobec braku odpowiedzi bardzo powoli wyciągnął rękę i chwycił domniemany podarek. Automat, gdy tylko pozbył się zębatki, cofnął się o kilka kroków i skurczył w sobie. — Czy ty się mnie boisz...? — drążył mężczyzna.

Z wnętrza maszyny dobył się wizg pracujących trybów i chrzęst metalu. Zatrzeszczał ukryty mikrofon.

— Pokojowe nastawienie — odezwał się automat głośno i zgrzytliwie. — Czy jesteś Wielkim Golfistą?

Podróżnik schował zębatkę do kieszeni na piersi i spróbował potrzeć się po podbródku

— w efekcie jedynie przejechał rękawicą po wizjerze.

— Kim? Nie, nie sędzę... — odparł niepewnie.

— Nie dezaktywować — przemówił znów automat, cofając się o kolejny krok. Gdyby nie fakt, że miał do czynienia z maszyną, Podróżnik byłby przysiągł, że rozmówca się go boi. — Nigdy nie powiedziałem nic złego o Dziesiątym Dołku.

— Nikt cię nie będzie dezaktywował — spróbował go uspokoić. — Co tu się... nie, nie tak... możesz mi wskazać najbliższe miejsce, w którym spotkam ludzi?

Automat spojrział na mężczyznę nieruchomym wzrokiem rozjarzonych żarówek, ale nie odezwał się.

— Ludzi. Chcę porozmawiać z kimś żywym — doprecyzował Podróżnik, ale maszyna ani drgnęła. — Słuchaj, naprawdę nie chciałbym być niemiły. Mam zażądać od ciebie numeru seryjnego?

— Pokojowe — podjął wreszcie automat, jakby ta ostatnia groźba rzeczywiście wywarła na nim wrażenie. W dawnych czasach znajomość numeru umożliwiała kontakt z fabryką, która w razie potrzeby wysyłała fachowców, a ci najczęściej zabierali kłopotliwy mechanizm do utylizacji, zastępując go nowym egzemplarzem. — Chce pomóc, ale nie potrafi. Nie zna miejsca, o które pytasz.

— Co w tym trudnego? — zdziwił się mężczyzna. — Weź mnie po prostu do swoich gospodarzy. — Pamiętał, że automaty najnowszej znanej mu generacji nie przepadały za tym, by nazywać ludzi ich właścicielami. Nie wiedział co prawda, czy rozmawia z czymś zbliżonym do tamtych modeli, ale wołał dmuchać na zimne.

Automat rozprostował się i zabręczał jakby radośniej.

— Gospodarzy. Tak. Oczywiście, prowadzimy do gospodarzy. Gospodarze czekają na Wielkiego Golfistę. Nikt nie narzeka na Dziesiąty Dołek. Posłusznie czekamy.

Tak lepiej, przemknęło przez myśl Podróżnikowi, kiedy ruszał za przewodnikiem przez hałdy złomu.

Wąska ścieżka sprawiała wrażenie, jakby powstała przypadkiem, ale w gruncie rzeczy nigdy nie była do niczego potrzebna. I rzeczywiście, automat nieszczególnie się przejmował, czy podąży dróżką czy wchodzi na zbocza metalowych wzgórz. Brnął przed siebie, ścinając zakręty wedle uznania. Podróżnikowi nie było tak łatwo: potykał się o sterczące blachy, ślizgał na rozrzuconych cylindrach i nakrętkach, od czasu do czasu utykał w jakimś pudle pełnym porzeczawej elektroniki. Klął pod nosem, ale to nie przynosiło mu ulgi.

— Co to za miejsce? — zapytał wreszcie, chcąc zagłuszyć huczący mu w uszach własny oddech, tak dziwny i donośny w panującej ciszy.

— Kolekcja — odparł automat.

— Kolekcja czego?

— Kolekcja. — Najwyraźniej rozmówca nie miał w programie rozwinięcia tej myśli. Podróżnik machnął ręką i dalej podążyli w ciszy.

Wbrew oczekiwaniom mężczyzny nie dotarli do niczego, co przypominałoby ludzką siedzibę. Kiedy minęli już sterty złomu, wyszli na przeciętą wyschniętym korytem rzeki równinę. Tu i ówdzie z ziemi sterczały żelbetonowe pozostałości budynków, a na dnie koryta piętrzyły się porzeczawie wanty i przęsła po czymś, co niegdyś musiało być mostem.

Automat poprowadził Podróżnika między resztkami zabudowań. Mężczyzna dostrzegł, że tu i ówdzie piaszczystą równinę przemierzają inne maszyny — jedno na dwóch, inne na czterech czy nawet sześciu nogach; były i takie poruszające się na zaopatrzonych w gąsienice kołach. Wszystkie zdawały się przemieszczać bez celu i bez porządku, jakby w ogóle nie widziały się nawzajem. Od czasu do czasu jeden automat wpadał na drugi. Wtedy oba nieco się cofały i zmieniały trasę, jakby było im wszystko jedno.

Przewodnik podszedł do sporego głazu i uklonił się przed nim.

— Gospodarzu. Przybysz — oznajmił, a następnie wycofał się i skinął na Podróżnika.

Mężczyzna uniósł w zdumieniu brwi, ale posłusznie podszedł we wskazane miejsce. Dopiero wtedy zauważył, że w cieniu głazu stoi niewielkie urządzenie o sześciennym korpusie, osadzonym na czterech połykających, owadzich nogach. Tułów automatu wieńczyła pokryta pstrymi lampkami kula, która chybotwała się na boki i trzeszczała. Od niej odchodził pęk kabli: ciągnęły się po ziemi gdzieś w stronę zabudowań, gdzie ginęły wśród piachu i żwiru.

Maszyna zamigotała diodami, po czym coś syknęło.

— *Czemu nie wpadniesz kiedyś?* — odezwała się wreszcie przyjemnym, kobiecym głosem, który w pierwszej chwili zaskoczył Podróżnika. Głównie dlatego, że brzmiał dziwnie znajomo.

— Gdzie są wasi gospodarze? Co tu się stało?

— *Każda wojna jest inna i każda jest taka sama.* — Tym razem rozległ się męski głos. Podróżnik zamrugał gwałtownie, ale próbował dalej:

— Była wojna? To chcesz mi powiedzieć?

Mignęła zielona lampka.

— Wasi gospodarze nie żyją?

Znów zapłonęła zieleń, nieco żółtawa w blasku słońca.

— A inni? Chciałbym porozmawiać z jakimiś ludźmi.

— *To nie wojna. To zagłada ludzkości!* — Głos automatu stał się potężny i głęboki. Zupełnie nie pasował do tak małego urządzenia.

W umyśle Podróżnika dotychczasowe spostrzeżenia zaczęły łączyć się w całość. Raz jeszcze powiódł wzrokiem po równinie przemierzanej przez automaty. Nigdzie nie dostrzegł źdźbła trawy, ani jednego drzewka, nie wypatrzył owada, ptaka czy nawet myszy. Dopiero teraz w pełni uświadomił sobie, że krajobraz, mimo ustawicznego ruchu, był całkowicie martwy.

A więc to prawda, myślał nerwowo. Spełniły się najczarniejsze wizje naukowców i fantastów: maszyna przetrzebiła człowieka. Został zupełnie sam w bezkresie martwoty. Co gorsza, sam i całkowicie bezbronny.

Spojrzał w rozjarzone, czerwone słońce, wiszące nisko nad horyzontem. Zajmowało o wiele więcej miejsca na firmamencie, niż to pamiętał sprzed podróży.

Wiedział, że nie ma powrotu — wiedział to od samego początku. Wehikuł skonstruowany w Fentz Universe umożliwiał podróż tylko w jedną stronę. Ale nie tego się spodziewał.

— Nie mam wrogich zamiarów — oznajmił, powoli unosząc ręce. — Nie brałem udziału w żadnej wojnie. Jestem neutralny.

Automat zachrząścił, mignął kolorowymi diodami i odparł:

— *Przychodzę w pokoju.*

— Filmy? — zdziwił się mężczyzna, wreszcie skojarzywszy dawno niesłyszane zdanie i głos. — Mówisz do mnie cytatami z filmów?

— *Nie jesteś zbyt bystry, co?* — przemówiła z nagrania Kathleen Turner.

Podróżnik parsknął ni to z wesołości, ni to ze zdumienia.

— *Nie możesz znieść prawdy!* — zawołał Jack Nicholson, którego głos utknął w automacie.

Mężczyzna pokręcił głową i oddalił się od dziwacznej maszyny. Nie chciał rozmawiać ze starymi filmami. Potrzebował rzetelnych informacji. Rozejrzał się w poszukiwaniu swojego przewodnika, ten jednak zniknął z pola widzenia. Wszystkie pozostałe automaty sprawiały zaś wrażenie zagubionych, chciałyby się rzec: nieobecnych duchem.

Z jakiegoś jednak względu Podróżnik przestał się obawiać wędrujących maszyn. W końcu gdyby chciały go anihilować, dawno by to już zrobiły. Dał im nadto czasu. Nie sądził, by takie były ich zamiary, i ta myśl sprawiła, że poczuł się nieco pewniej. Dziarsko podszedł

do człekokształtnego automatu, który akurat przechodził najbliżej, i złapał go za ramię. Po rozgrzanej stali przepelzył snop iskier, a potem sztuczny człowiek zatrzymał się i wlepił w męczyzną przenikliwe spojrzenie czworga szklanych oczu.

— Pokojowe nastawienie. Nie mam smutku z powodu Dziesiątego Dołka. Czy jesteście Wielkim Golfistą? — rozległo się z głośnika. W chwilę potem automat poruszył skrzypiącą szczęką, ale nawet przy ogromnym nakładzie dobrej woli nie można było udawać, że ten ruch i wypowiedziane przed chwilą słowa miały cokolwiek ze sobą wspólnego. Podróżnik zastanowił się, po czym sięgnął do kieszonki i wydobyl stamtąd zębatkę. Następnie wyciągnął ją przed siebie na otwartej dłoni.

Automat przez moment tyłał na okrągły kawałek metalu dwojgiem oczu. Drugą parą uważnie śledził ruchy męczyzny, ponieważ ten jednak starał się zachować maksymalny spokój, ostatecznie maszyna pochwyciła kółko i pospiesznie schowała w szufladce na piersi.

— Przyjęte z wdzięcznością. Czego oczekujecie. — Podróżnik bardziej po słowach niż po tonacji domyślił się, że właśnie padło pytanie.

— Opowiedz mi o wojnie — poprosił.

Automat wyprostował się i zdrętwiał. Przez moment jego szklane oczy wirowały wokół własnych osi, a z wnętrza mechanizmu wydobywały się niepokojące zgrzyty i wizgi, w końcu jednak maszyna skinęła palcem, by Podróżnik za nią podążył, po czym szybkim krokiem skierowała się tam, skąd męczyzna przybył: między sterty metalowych i elektronicznych odpadków.

Po krótkim spacerze w głąb złomowiska automat gestem nakazał postój. Raz jeszcze rozejrzał się jakby z niepokojem i pochylił do Podróżnika, który z irytacją rozcierał obolałą piszczel po jednym z wielu uderzeń w sterzący kawał blachy.

— Nie mówi o wojnie — polecił konspiracyjnym, choć nieco zgrzytliwym szeptem automat. — Tu jest niepamięć o wojnie.

— Ale ten... Wasz gospodarz o niej wspomniał — bronił się Podróżnik.

— On ma pamięć. Dlatego jest gospodarzem. Chyba że jesteście Wielkim Golfistą.

— Błagam... Przybyłem z daleka. Nie wiem, co się tu stało. Nikomu nie powiem, że wygadałeś. Nie jestem żadnym golfistą, a na pewno nie wielkim.

Automat przytknął metalowy palec do ust i wydobyl z siebie przeciągły syk, który Podróżnik zinterpretował jako nakaz zachowania ciszy.

— Nie wolno z lekceważeniem o Wielkim Golfiście. — Maszyna rozejrzała się pospiesznie na boki, po czym odciągnęła męczyznę jeszcze kawałek głębiej w złomowisko, z dala od ścieżki. — Nie potrafię ci pomóc. Nie mam pamięć o tym, czego szukasz. Tu nikt nie ma pamięć. Tylko gospodarz.

Podróżnik uniósł brew. Najchętniej ściągnąłby cholerny hełm skafandra, ale rzut oka na zewnętrzny termometr odwiódł go od tego zamiaru. W ponad siedemdziesięciu stopniach nawet by nie zauważył, co ścięło w nim całe białko. Rzucił okiem na wielkie, gorejące słońce, ale odniósł wrażenie, jakby tkwiło niezmiennie w tym samym miejscu; jakby czas tu w ogóle nie mijał.

— Od wojny jesteście tu sami? — podjął po chwili napiętego milczenia.

Automat skinął głową.

— Ale... co tu właściwie robicie...?

Rozmówca przygarbił się, a szklane, rozbiegane oczy w jednej chwili zmatowiały i znieruchomiały z niewidzącym spojrzeniem utkwionym w rozpalonej ziemi.

— Czekamy — odparł w końcu szeptem tak cichym, że Podróżnik dosłyszał go jedynie dzięki kierunkowym wzmacniaczom w kombinezonie. — Czekamy na Wielkiego Golfistę.

— Ale dlaczego?

— Wielki Golfista zabierze nas na Pełnowymiarowe Pole.

Podróżnik westchnął, kręcąc głową. Automat najwyraźniej dostrzegł w mężczyźnie irytację i niedowierzanie, bo zazgrzytał z urazą.

— Nie kpi. Wielki Golfista się zjawi. Nie wierzymy, co mówią niektórzy. Zabierz nas z Małego Pola.

Nim jeszcze Podróżnik zdążył odpowiedzieć, zza stert złomu wyłoniły się trzy inne maszyny: rosłe, o opływowych kształtach i chromowanych pancerzach — wyglądały jak elita wśród tubylców. Poruszały się na czterech nogach, bezszelestnie; długimi, nagłymi skokami posuwały się ku rozmawiającym.

— Nie rozmawia! — szczeknął jeden z nowoprzybyłych automatów. — Gospodarz dowie się o zdradzie!

Podróżnik zamierzał się wtrącić, stanąć w obronie rozmówcy, coś powiedzieć. Nim jednak wykonał jakikolwiek ruch, chromowany automat odepchnął go jakby od niechcienia na stertę złomu, sam zaś podszedł do domniemanego zdrajcy i stanął przed nim na tylnych nogach. Przednią łapą szarpnął go za blachę na piersi, która z trzaskiem pękła i opadła na ziemię.

Mężczyzna rozejrzał się. Z zalegających wokół śmieci zgarnął długą, wygiętą rurkę i zamachnął się na chromowanego. Stał nie dotknęła jeszcze stali, kiedy dwa pozostałe automaty skoczyły na Podróżnika, by obalić go na ziemię. Człowiek w ostatniej chwili odskoczył na bok, rąbnął pierwszego z brzegu przeciwnika i odskoczył jeszcze raz. Teraz już nie myślał o automacie, który zdradzał mu tajemnice jego pobratymców. Cisnął rurką w jednego z chromowanych, odbiegł kawałek w stronę ścieżki i złapał pręt — cieńszy od poprzedniej broni, ale sporo dłuższy. Zdążył się odwrócić w ostatniej chwili: automaty były tuż za nim. Podróżnik poczęstował je kilkoma ciosami żelaza, po czym rzucił się biegiem przed siebie, szarpiąc się po drodze z kaburą. Do licha, był cholernym naukowcem, a nie żołnierzem!

Nie myślał, dokąd ucieka. Właściwie w ogóle nie myślał, po prostu gonił byle dalej od dziwnych, agresywnych maszyn. W głowie pulsowała mu krew, a napięte mięśnie nie pozwalały się zatrzymać. Dopiero kiedy poczuł klucie w płucach, odważył się zwolnić i zerknąć za siebie.

Pościgu nie było.

Mężczyzna w jednej chwili zatrzymał się, dysząc ciężko. Przypuszczał, że byłby się udusił, gdyby nie współpraca usłużnego kombinezonu. Ból eksplodował w łydkach, mięśnie zwiotczały i Podróżnik opadł na ziemię.

Pan Thorne miał rację: maszyny nie stanowiły zagrożenia dla człowieka. Uczony zdawał się jednak zapominać, że nie tylko one mogły rozpętać wojnę. One natomiast, w przeciwieństwie do żywych stworzeń, miały możliwość ją przetrwać — były odporniejsze na ekstremalne temperatury i urazy mechaniczne, miały lepszą pamięć i moc obliczeniową. Inne automaty mogły na powrót poskładać z kawałków rozbitego towarzysza. W świecie po wojnie, kiedy Ziemia nieomal zatrzymała się w swoim biegu wokół Słońca, a całe życie na planecie przestało istnieć, to właśnie one — maszyny — zdołały się przebudzić.

Nie było idealnie. Nie ocalały w nienaruszonym stanie. Użyta podczas wojny broń trwale uszkodziła moduły pamięci, ośrodki mowy, ruchu i wiele innych. Automaty musiały sklecić sobie własną rzeczywistość z tego, co im pozostało: strzępów wspomnień, szczątków dyspozycji wydanych przez dawnych gospodarzy, fragmentarycznych zapisów, które ludzie zostawili tu i ówdzie w schowkach dla ocalenia własnej historii.

Los chciał, że najmniej uszkodzoną pamięć miał niewielki telewizorek z nagranyymi transmisjami rozgrywek golfowych i kilkoma filmami.

Odsapnąwszy chwilę, Podróżnik podniósł się i powłókł przed siebie, nie do końca wiedząc, dokąd właściwie zmierza. Przestał się już nawet rozglądać: patrzył pod nogi, rozgarniając stopami chyboczące się blachy i rozsypane kulki łożyskowe. Czuł, że jeśli się teraz przewróci, już nie wstanie.

Najchętniej wróciłby do swojej kapsuły i ruszył dalej. Ale z drugiej strony, skoro teraz, w tym czasie rzeczywistość wyglądała w ten sposób, co będzie później? Może będzie jeszcze gorzej? A może cała Ziemia eksploduje, dotknięta przez promienie coraz większego Słońca?

Podróżnik zatrzymał się i podniósł wzrok na gorejącą wysoko na niebie tarczę. Wciąż tkwiła w tym samym miejscu.

A potem przejechał spojrzeniem po pustej, martwej linii horyzontu i dostrzegł wreszcie coś, co sprawiło, że w nagłym przeblysku zrozumiał ten świat: smukłą, czerwoną wieżę o nieco szerszym zwieńczeniu, na którym tkwiła biała, okrągła kula podzielona na powierzchni regularną siatką linii. Wieża radarowa na lotnisku. Albo bardzo wielka piłeczka golfowa na bardzo wielkim *tee*.

Taka, która zdawała się tylko czekać na równie wielkiego Golfistę.

— Jaja se robicie — szepnął do siebie Podróżnik, wznawiając marsz.

Podszedłszy bliżej, zaczął rozróżniać sylwetki automatów, zgromadzone wokół wieży. Tutaj już nie dreptały. Po prostu siedziały — zgarbione i jakby zgaszone, wpatrzone w rozpaloną ziemię.

Mężczyzna nie chciał podchodzić nazbyt blisko, ale ciekawość wygrała z ostrożnością: kiedy był już na wyciągnięcie ręki od jednego z automatów, odchrząknął niepewnie i zaczął, unosząc ręce:

— Pokojowe nastawienie.

Maszyna podniosła wzrok na Podróżnika. Nie wydawała się poruszona jego zjawieniem. Być może nawet go nie widziała: reflektory oczu były wygasłe, a z wnętrza automatu nie dochodziły zwyczajowe zgrzyty. Szyja zaskrzypiała tylko lekko, kiedy istota podnosiła głowę, ale poza tym automat zdawał się martwy.

— Powitanie — odezwał się wreszcie, nie ruszając szerokimi ustami. Podróżnik dostrzegł rdzę na mocowaniu zuchwy.

— Czekacie na Wielkiego Golfistę...?

— Czekaliśmy — odparł automat. — A teraz umieramy.

— Dlaczego? — zdziwił się Podróżnik.

Maszyna wskazała ręką tarczę słoneczną, po czym podjęła:

— Dziewięć dołków. Tyle ma Małe Pole. Potem Wielki Golfista miał nas zabrać.

— Słońce... — Mężczyzna także skinął na jaśniejący na niebie obiekt. — To jest wasza niebiańska piłka? Ona ma dziewięć... Dziewięć dni? Tyle czekacie?

— Piłka się chowa i wyłania. Dziewięć razy. A wyłoniła się już po raz dziesiąty.

Podróżnik milczał. Raz jeszcze spojrzął na słońce i zmarszczył czoło.

— Ile czasu trwa dzień... dołek? — spróbował.

— Trzysta czterdzieści dziewięć tysięcy dziewięćset dwadzieścia minut.

Mężczyzna próbował to przeliczyć na znane sobie dni, ale liczby mu umykały z pamięci. Potrząsnął głową i zapytał:

— Co teraz zrobicie?

— Nic — odparł automat, a jego głowa znów opadła. — Umrzemy. Nasz świat umarł, a Wielki Golfista nie przyszedł. Dziesiąty dołek nie miał prawa istnieć... Mieliśmy być na Pełnowymiarowym Polu... Osiągnąć szczęście... Ale Dziesiąty Dołek trwa. Przecież nie ma dziesięciu dołków na Małym Polu... To nasza śmierć... Rozciągnięta w nieskończoność.

Podróżnik rozejrzał się. Inne automaty nie zwracały na niego uwagi. Wszystkie były

tak samo osowiałe i wpatrzone w ziemię.

Chciałby im coś podarować, ale już nic nie miał.

Jego jedynym bogactwem stała się wiedza, że maszyna nigdy nie powinna mieć religii. W swojej mechanicznej dosłowności nie rozumie elastyczności prorocत्व. Automaty przebudziły się po apokalipsie i ze strzępów starego świata utworzyły sobie nową rzeczywistość, w której po dziewięciu długich dniach miały doznać zbawienia. Dziesiąty dzień miał być ich mechanicznym Nowym Jeruzalem.

A okazał się po prostu... po prostu dziesiątym dniem od przebudzenia. Takim samym jak dziewięć poprzednich.

Tkwiły tutaj, oszukane i zdradzone.

Podróżnik potrząsnął głową. Nie chciał sobie wyobrażać, jak musiały się czuć. Po prostu ruszył w drogę powrotną do kapsuły.

Głos światów albo kołysanka satelitów

Magdalena Świerczek

Jak każdy statek badawczy starej generacji, Spowiednik odznaczał się nieskazitelną bielą. W przeciwieństwie do większości spodkowatych modeli mój kosmiczny eksplorator wyglądał jak ringo, wewnątrz którego umieszczono platformę z pomieszczeniami. Spowiednik był prototypem statku, który podczas badań wirował, inicjując wokół siebie *nieme pole*, pozwalające na klarowny przesiew danych. Nikt oprócz mojego ojca nie wytrzymał testów pilotażowych. Modelu nie dopuszczono do masowej produkcji i oddano ojcu za bezcen.

Wychowałem się na Spowiedniku, więc przywykłem do okresowych rotacji statku. Potrafiłem sterować maszyną, ale cóż z tego — tata odszedł, zanim nauczyłem się podejmować rozsądne decyzje.

Nazywam się Alexander Jenkins. Wszechobecne dane przestrzenne podają, że posiadam jedyny ocalały statek kosmiczny i stanowią ostatnie biologiczne istnienie w tym Wszchświecie. Nie zdążyłem uciec czarną dziurą — wszystkie umknęły już w głąb siebie. Zasłuchałem się w głosy umierających światów i zbyt szybko zwlekałem z odejściem. Zebrałem echa tego, co przeminęło i nie zdołałem uchronić od zapomnienia. Wszystko na marne. Zostałem sam z miliardami głosów w głowie.

Marznę. Wydłużyłem swoją agonię, wyłączając kilkadziesiąt funkcji statku. Wszystkie gwiazdy zgasły już lub wybuchły. Tkwię w zupełnej ciemności, ale znam statek tak dobrze, że wszędzie odnajduję się po omacku. Kręcę się po pokładzie, dotykając nieczynnych sprzętów. Staram się nie myśleć o tym, że to pożegnanie. Co jakiś czas wykonuję krążenia ramionami, opadam gwałtownie i podnoszę się, podskakuję i robię piruety. Jakbym tańczył w jakimś dziwnym rytuale. W końcu dociera do mnie narastający szum procesora głównego. Przysiadam w fotelu pilotażowym, pasami przytwierdzam ciało do siedziska. Łagodne drżenie statku błyskawicznie przechodzi w dzikie wstrząsy, jakby maszyna zmieniła się w rozzłoszczonego choleryka. Konwulsje ostatniego przyjaciela sprawiają mi psychiczny ból. Wiem, że właśnie pozbywa się ładowni, symulatorów, kapsuł ratowniczych, magazynu androidów i skażonego pomieszczenia dostawczego. Spowiednik odrzuca zbędne części, by zapewnić jak najdłuższe trwanie rdzenia. Zgrzyt, huk i łomot wypełniają przestrzeń. Kulę się w fotelu, zatykając uszy. Znow zaczynam myśleć o dziesiątym świecie. Dobrze go zapamiętałem, choć jako jedyny pozostał w katalogu bez imienia. Po raz kolejny odtwarzam w głowie drogę, którą pokonałem, by go ujrzeć.

Byłem jednym ze stu ostatnich *homo sapiens* urodzonych na Ziemi. Wysłano mnie w kosmos niemal natychmiast, żeby splugawiona planeta nie zdążyła zniszczyć mojego wątłego

ciała. Ważyłem półtora kilograma, z wnętrza matki wydostałem się po dziesięciu miesiącach. Rekord — rok i trzy miesiące — należał do dziewczyny, którą spotkałem na głównej stacji Drogi Mlecznej. Ojciec musiał się tam meldować co dwa kwartały. Miałem siedem lat, gdy ujrzałem biedaczkę, wówczas jedenastoletnią, usadowioną wewnątrz wielkiego wózka-androida. Jej sine, nabrzmiałe ciało przywodziło na myśl topielca. Paciorkowate oczy w wielkiej, ciastowatej twarzy przypominały gadzie ślepie. Pamiętam, jak podszedł do mnie stary, stetryczający lekarz, położył wykrzywioną dłoń na głowie i wyszeptał:

— Módl się, chłopcze, żeby zdechła, bo karzą ci ją wyruchać.

Nie rozumiałem, czym jest ruchanie, ale słowa medyka przeraziły mnie. Modliłem się potem do wszystkich siedmiu Słońc straconego Planetarnego Układu Zapasowego, by dziewczynka zmarła. Po latach doszedłem do wniosku, że robiłem to bardziej z litości niż z obawy przed nieznaną czynnością. Dziewczynka nie potrafiła mówić i nie poruszała kończynami, lecz jej odstręczające ciało nieustannie nawiedzały dreszcze. Czasem wydawała z siebie niskie jęki, jakby odgłosy wielkiej, zranionej ryby z oceanicznej głębi.

Przy mojej następnej wizycie na stacji już jej nie było. Umarły także cztery ostatnie płodne kobiety. Znacznie gorzej znosiły agonię Wszechświata, jakby złączone z nim jedną duszą. Jak tłumaczył mi tata, mężczyzna ratowała *własna obcość*.

— U końca świata będziemy wyrzutkami — twierdził. — Tutejsza ewolucja do samego końca nie pozwoli nam odejść. Zajęła nas z innego Wszechświata. Stanowimy jedyne odrębne od niej istnienie. Boi się samotności, dlatego namnożyła byty i światy. Dlatego nas ukradła.

Nie wiedziałem, skąd ojciec wziął swoją teorię, ale wierzyłem w nią bezgranicznie. Tata latami błądził po kosmosie, zbierając informacje na temat dogorywających cywilizacji. Ludzkość stanowiła ostatnią przedstawicielkę Starych Ras. Niegdyś znajdowała się na szarym końcu, najgłupsza, najwolniejsza i najslabsza. U progu zagłady uniwersum okazało się, że jej ślimaczy postęp pozwolił dotrzeć kresu Wszechświata wraz z Młodszyimi Rasami.

Ojciec utrzymywał zaczątki małych światów, późnych eksperymentów natury. Ale w 16500 roku, gdy miałem siedemnaście lat, agonია kosmosu przyspieszyła tysiąckrotnie. Ledwo zaczęte światy w kilka lat dojrzały i zaczęły umierać. Mimo zainstalowanego na statku spowalniacza czasu, ojciec w rok dobił stu pięćdziesięciu lat i umarł, w ciele zwiędłym i wykręconym jak jesienny liść. Gdy wysyłałem jego zwłoki w przestrzeń kosmiczną, wyglądałem na mężczyznę po czterdziestce. Mimo golenia codziennie budziłem się z zarostem sięgającym piersi. Przestałem się tym troskać i wkrótce wlokłem za sobą po statku kilkumetrowy ogon poplątanych włosów. Przejąłem obsesję ojca i martwiłem się wyłącznie o dogorywające w każdej godzinie światy.

Spowiednik jęczy przeciągle i nieruchomieje. Odpinam pasy, przekręcam się na bok w fotelu i wpatruję w nieprzenikniony mrok, setny raz analizując swoją krótką przeszłość.

Ojciec był szanowanym badaczem. Moja matka zmarła wkrótce po porodzie. Tata zabrał mnie ze sobą na tułaczkę po kosmosie, choć część naukowców chciała zatrzymać mnie na stacji. Gdy okazało się, że nie ma już płodnych kobiet, przestałem ich obchodzić. Rok przed Wielkim Przyspieszeniem w placówkę na Drodze Mlecznej rąbnęła kometa. Z pozostałymi stacjami nie mogliśmy nawiązać kontaktu. Ziemia była zakryta gęstym, zielonym oparem pełnym toksyn. Planetarny Układ Zapasowy zgasł. Ci, którzy próbowali go uratować, umarli podczas awarii reaktorów. Wszyscy pozostali uciekli przez znikające czarne dziury w niewiadome wymiary. Zamiast się rozszerzać i wszystko pochłaniać, czarne dziury kurczyły się, tłamsząc tkwiące w nich osobliwości. Ojciec nie przepowiadał uciekinierom szczęśliwego losu, ale przed śmiercią nakazał mi zwiewać tą samą drogą. Uważał, że mam szansę wrócić do „naszego Wszechświata”.

Lata wychowania na kosmicznego eksploratora okazały się mieć silniejszy wpływ na moją wolę niż ostatnie słowa ojca. W drodze do czarnej dziury mijalem nieliczne,

dogorywające planety i spoglądałem z daleka na ostatnie chwile rozpiętych na nich światów. Jakiś wewnętrzny przymus kazał mi zawrócić.

Obrazy w głowie to za mało. Nie potrafią przebić zimnej, zachłannej ciemności. Mój umysł nie dostaje wystarczającej ilości bodźców i wkrótce pogrążę się w majakach. Łapię za krawędź panelu kontrolnego i przysuwam się do wygasłego pulpitu. Doskonale wiem, gdzie jest każdy przycisk. Żeby zaoszczędzić energię, wpisuję komendy na uspiętym monitorze. Aktywuję najmniejszą jasność ekranu, po czym włączam wyświetlanie obrazu.

Pierwszy świat. Modlitewnik. Mała planeta pełna kraterów. Po stronie niegdyś nasłonecznionej rozciągał się gaj. Wysokie drzewa w większości już zwiędły. W samym sercu lasu ostał się krąg kilkunastu konarów, skupionych wokół wygasającego źródła strumienia. Tam spotkałem Orojonę, mnicha wykształconego w przyklasztornych szkółkach na Andromedzie. Androidzi porwali go z Ziemi setki lat temu. Nie musiałem używać syntezatora, znał ziemski język, choć mocno go kaleczył. Zdawał się spokojny, pogodzony z końcem. Wydawało mi się, że był zbyt głupi, by pojąć swoje położenie. Mówił, że dotrzymuje drzewom towarzystwa. Modlił się w kółko w języku Amarów do Osiemdziesięciu Trzech Księżyców, chociaż nie rozumiał słów. Twierdził, że podoba mu się brzmienie modlitwy. Nie wyniosłem stamtąd żadnej mądrości. Zrobiłem jedynie zdjęcie mnicha śpiewającego do drzew. Czułem odrobinę zazdrości, gdy opuszczałem planetę.

Drugi świat. Ulicznik. Na początku wydawało mi się, że to gazowy olbrzym. Gdy zbliżyłem się, zafascynowany konaniem ulotnego bytu, opar okazał się dymem z ulicznych latarni. Całą planetę pokrywały miliony dróg, a przy każdej z nich co kilkanaście metrów stała rozjarzona lampa. Źródło bijącego z jej szczytu światła zdawało się czymś pomiędzy ogniem a dymem. Na Uliczniku znalazłem tylko humanoidalne szkielety i mocno zniszczone pojazdy. Spenetrowałem kilka z nich i odkryłem, że były rodzajem mobilnego domostwa. Mieszkańcy planety spędzali życie w ruchu, choć nie zdołałem pojąć, dokąd dążyli — nie istniało tam nic oprócz płataniny ulic i latarni. Zrobiłem zdjęcie wielkiego cmentarzyska pojazdów, oświetlając je lampą jonową. Wtedy dostrzegłem na dachu jednego z ruchomych domów kota. Zwinięty w kłębek spał w najlepsze, jakby niepomny tragedii swojego świata. Gdy zabierałem go na pokład, nie obudził się. Przypominał niebieskiego kota syberyjskiego. Kiedy w porze kolacji wreszcie ocknął się i otworzył oczy, zobaczyłem w nich te same zwiewne ogniki, które tańczyły w latarniach jego świata. Nazwałem go Płomykiem.

Trzeci, czwarty i piąty świat znajdowały się w tym samym, dogorywającym układzie planetarnym, sunąc po wspólnej orbicie. Stare mapy ojca podpowiedziały mi, że to Błady Ocean, przestrzeń, gdzie wokół kilkunastu gwiazd skupiła się setka planet. Trzy ostatnie, na które się natknąłem, nazwałem Białą, Srebrną i Karmazynową Rafą. Pokrywały je morza w kolorach odpowiadających nadanym mianom. W niespokojnych wodach roiło się od stworzeń zdających się ledwie zaczątkiem życia, pośrednikiem między płynem a ciałem stałym. Nie było miejsca na lądowanie, ale coś ciągnęło mnie ku falującej tafli Srebrnej Rafy. Zniżyłem się na tyle, że wyskakujące ponad morze krople — nie wiadomo, woda czy drobne stworzenia — przyklejały się do Spowiednika. Usłyszałem obcy głos w swojej głowie.

— Pośrodku są łyzy. Pośrodku są łyzy. Pośrodku...

Trzy słowa prześladowały mnie, póki nie wzbiłem się na orbitę Rafy. Postanowiłem sprawdzić, co mówi Biała. Ale choć okrążyłem całą planetę, nie usłyszałem nic.

Na początku nie ma nic, pomyślałem. I wiedziałem, co mógłby oznajmić głos Czerwonej Rafy. Odleciałem stamtąd w pośpiechu, ale nie uniknąłem zabrania ze srebrnej planety niechcianego pasażera. Wciąż oglądałem się przez ramię i czułem mrowienie na karku. Użyłem wszystkich czterdziestu sześciu fal na wyposażeniu statku, by go przeskanować, ale niczego nie znalazłem. Za to Płomyk całymi dniami wodził swoimi dziwnymi oczami za czymś nieokreślonym. Żeby się rozluźnić, kilka razy na dobę powtarzałem, że trzeci pasażer Spowiednika na pewno nie jest jak ósmy pasażer Nostromo.

Trzy dni później zderzyłem się z warstwą ochronną szóstego świata; radar nie wykrył maskującej szykany z czarnej materii. Po zlikwidowaniu drobnych uszkodzeń ominałem barierę i zobaczyłem słynną planetę Root, pokrytą Celami Śmierci. Wyglądały jak czarne pąki kwiatów porastające ciało niebieskie. Niegdyś skrywały w sobie największe szumowiny Wszechświata, utrzymując ich podstawowe funkcje życiowe i pobierając siłę psychiczną. Połowę zużywała Root, drugą przekazywała na rzecz Kosmicznego Dobra Publicznego. Teraz Cele były szeroko otwarte, a ich ściany wyschnięte. Ostatni więźniowie dawno zostali wyszani przez planetę, a nowych nie mogła już pozyskać.

Grawitacja Root stanowiła najsilniejszą ze znanych sił, ale nie oddziaływała na przedmioty, lecz na umysły. Mimo agonii moc przyciągania planety nie malała. Root była pasożytem, wykorzystywanym na użytek społeczny. Nie zniwelowano jej hipnotycznego oddziaływania na żywe istoty. Postawiono szykany i uznano, że jeżeli ktoś celowo je omija, sam prosi się o zasilenie własnym czerepem energii Wszechświata. Przelatując nad planetą, czułem oszołomienie i niepokahowane pragnienie wejścia do Celi. Ojciec wyposażył Spowiednika w awaryjny system autopilota — jeżeli skanery wykrywają anomalie w funkcjonowaniu pilota, statek nie reaguje na jego komendy, póki nie oddali się od potencjalnego zagrożenia. Odzyskałem przytomność umysłu nieopodal szczątków po Karle Psów Gończych, wczepiony palcami w drzwi wyjścia awaryjnego, najwyraźniej próbowałem je sforsować. Nie miałem zdjąć Root, ale statek uwiecznił na kamerach mnie, miotającego się po pokładzie i wrzeszczącego o „wydrażeniu ciemnością”. Dwa dni nie mogłem po tym mówić, a Płomyk przez tydzień koczował w kuchni i chował się za lodówką, kiedy przychodziłem na posiłki.

Siódmego świata szukałem długo. Nie wiedziałem, czy powinienem jeszcze liczyć czas według któregośkolwiek z czterystu osiemnastu sposobów wgranych do bazy Spowiednika. Minęły ziemskie trzy tygodnie, podczas których moja skóra straciła elastyczność, a włosy kolor. Wreszcie na radarze spostrzegłem pulsujący punkt. Mapy Galaktyki Trójkąta podpowiedziały mi, że zbliżam się do Żerlicy. Powitałem ten fakt z ulgą, co mogło być oznaką szaleństwa. Krążyłem po ciemnym cmentarzysku światów jak głodny łowca, nie mając już żadnego innego celu poza odnalezieniem ostatnich żywych planet. Dobrze wiedziałem, że na Żerlicy nikt nie mieszka, a mimo to gnałem ku niej, nie szczędząc cennej energii. Jak się okazało, przybyłem, by otrzymać przedśmiertny dar od najniebezpieczniejszej z planet Układu Lokalnego.

Gdy zbliżałem się do Żerlicy, statek rozjarzyło silne światło. Spowiednik wyglądał przez chwilę jak maleńkie Słońce, a ja musiałem założyć gogle ochronne. Wiedziałem, że to wina „Obecności”, mojego pasażera na gapę — nauczyłem się rozpoznawać jej rozumną wolę. Na szczęście w celu własnej manifestacji nie używała mojego paliwa. Wiedziałem, że oświetla agonię Żerlicy, by podzielić się ze mną podziwem wobec planety.

Żerlicę tworzył ogromny organizm, podobny do rośliny. Jej „niebożerny” kwiat (wielkości Marsa) był łakomy na wszystkie obiekty, które zbliżały się na odległość stu dziesięciu milionów kilometrów. Na tyle potrafiła bowiem wyciągnąć swoją lepką mackę. Teraz śmiercionośny organ miała ciasno zwinięty wokół siebie, zgniłozielony i wąty. Jej powierzchnię, pokrytą milionami zamkniętych w kokonach ofiar, maltretowały konwulsje. Żerlica pod lepkimi włóknami mogła skrywać wszystko: organizmy, statki, komety, szczątki planet, satelity. Zapasy były bezwartościowe; Żerlicy nie zabijał głód, a dogorywanie uniwersum. Jako organizm wyrosły na kosmicznym ciele energię życiową czerpała z pulsujących w próżni żył Wszechświata. Krążenie w układzie energetycznym wszechrzeczy ustało, więc Żerlica wiedła.

Planeta zbadała Spowiednika; oglądała świat w sposób podobny do echolokacji nietoperzy. Zobaczyłem, że od jej powierzchni odrywa się kokon i leci w moją stronę. Po chwili wahania włączyłem ssanie i przyciągnąłem „podarunek” do luku. Gdy znalazł się na

statku, włożyłem kombinezon, zdezynfekowałem pomieszczenie dostawcze i wszedłem do środka. Kląb jasnozielonych włókien kokonu odstręczał mnie. Skaner nie potrafił przebić się przez niego żadnymi falami. Przelamując opór, zacząłem rozrywać osłonę, aż moim oczom ukazała się twarz stanowiąca koszmar dzieciństwa — niewyjściowa aparycja dziewczyny ze stacji głównej. Gdy patrzyłem na nią z niedowierzaniem, nagle otworzyła oczy, wypełnione wściekłe fioletowym grzybem. Rzuciłem się na pokład główny i gorączkowo opieczętowałem luki. Skafander wrzuciłem do niszcarki. Dopiero potem sprawdziłem swoje obawy w katalogu ojca.

Żerlica hodowała w zwłokach szczególnie rodzaj pasożyta — wrzoziczkę. Planeta i grzyb żyły ze sobą w symbiozie. Pasożyt potrafił oddziaływać na wszelką materię, ściągając ją ku Żerlicy. Porastał gnijącą tkankę, produkując masę energii; połowę emitował w przestrzeń, skąd pobierały ją Służby Kosmicznego Dobra Publicznego. Nie miałem pojęcia, jaka intencja kryła się w geście planety. Jeśli chciała wyłącznie ratować pasożyta, wysłanie ku mnie kokonu z akurat taką zawartością zdawało się nieprawdopodobnym przypadkiem. Stwierdziłem, że zamrozę wrzoziczkę i pozbędę się jej dopiero przed własną śmiercią. Materia Wszechświata miała prawo dogorywać w spokoju.

Ósmej planety mój ojciec nie nazwałby światem, bo nie istniał na niej najmniejszy przejaw biologicznego życia. Tego typu twory nazywano Procesomaniami. Stanowiły miejsca zasiedlone przez przejawy komputera, którego system rozrósł się i zdominował planetę, podpinając się do układu energetycznego Wszechświata. Takich przypadków w uniwersum zarejestrowano dziesiątki tysięcy. Dwanaście tysięcy lat temu technologię uznano za nową, pozaewolucyjną rasę, dążącą do wykluczenia pozostałych. Ósmy świat niczym mnie nie zaskoczył. Po wygasłej, mechanicznej powierzchni rozsiane były zdezaktywowane roboty; gdzieś tam ślimaczym tempem poruszały się androidy, które wygrzebały skądś odrobinę energii. Postanowiłem doczepić się do procesora planety i uszczknąć dla siebie coś z resztek paliwa.

Im bliżej byłem energodoku, tym bardziej wariowały urządzenia Spowiednika. Wiedziałem, że to Obecność manipuluje obwodami statku, tym razem powodując mruganie światła, restarty systemu, nieprawidłowe pomiary statystyczne. Jej wrogość wobec Procesomanii czułem nawet na języku. Wleciałem pod stalowy gmach stacji; olbrzymi android, zastygły przy alternatorze, wczepił się złączami w najlepsze wejście dla złodziejki, ale został jeden wolny kanał. Podleciałem do martwego Androbywatela i załadowałem jumę, czując się odrobinę jak nekrofil, wtykający przyrodzenie w świeże zwłoki. Gdy złącze wniknęło w planetę na dwieście kilometrów i odnalazło sprawny reaktor energii, wszystkie anomalie nękające Spowiednika ustały. Rozejrzałem się po kokpicie i wzdrygnąłem; Płomyk siedział na oparciu mojego fotela, patrząc na ekran konsoli sterowniczej, jakby rozumiał wypisany na niej ciąg logiczny Ripleya. Podniosłem rękę i dotknąłem kota pierwszy raz od czasu, gdy przyniosłem go na pokład. Niewzruszony wpatrywał się w monitor.

— Spowiednik, włącz jumę — rozkazałem.

Kanał przepływowy został otwarty. W tym samym momencie Płomyk skoczył na główny pulpit i pomknął do szczeliny między konsolą a przednią szybą Spowiednika. Znajdowała się tam płatanina kabli i tuneli przepływu danych. Wychyliłem się i próbowałem złapać zwierzę za ogon, ale poczułem tylko, jak palce muskają puszystą kity. Chwilę później w każdą stronę poleciały iskry, Spowiednik zatrzęsął się, a Procesomania wybuchła. W jej wnętrzu nie zaszła standardowa eksplozja — z reaktora, który próbowałem okraść, wypełził zwiewny płomień, taki sam, jaki tlił się w oczach kota. Złączenie z rasą technologiczną spowodowało, że „wiatrogień” w kilka nanosekund wywołał spięcie w Androbywatelach i stworzył olbrzymie pole elektromagnetyczne. Walcząc z zawrotami głowy, zdążyłem jeszcze zaprogramować serię zdjęć, nim straciłem przytomność. Ocknąłem się tysiące kilometrów dalej, w cuchnącym spalonym mięsem statku. Setka wykonanych fotografii przedstawiała

pożeranie Procesomanii przez chmurę szarobłękitnego ognia, przetykanego fontannami iskier i zygzakami błyskawic. Czując samozadowolenie Obecności, zrozumiałem wreszcie, czym była. Stanowiła główną siłę Wszechświata, ślepo faworyzującą drapieźników i przynoszącą zagładę słabym. Nie dziwiłem się, że mieszkała w Srebrnej Rafie, przyczepiła się do mnie i zniszczyła świat Androbywateli, posługując się kotem. Postanowiłem nie zdradzać się ze swoją domyślnością i nie używałem jej prawdziwego imienia.

Dziewiąty świat przywitał mnie w okolicach szczątków po Karle Kasjopei. Wiedziałem, do czego się zbliżam, nim sprecyzował to radar. Liczyłem, że to znajdę. Gdy Spowiednik włączył jedyny w swoim rodzaju alarm C77, uśmiechnąłem się. Dotknęła nas „księżycowa infekcja”. Aktywowałem lampy rozpraszające i podłączyłem inicjator dźwięku do obiegu, po czym pozwoliłem wciągnąć się w pułapkę Towarzystwa Porzuconych Satelitów. Mój ojciec mówił o nim Łapiduch.

Księżyce ogłoszono rasą niedługo po technologii. Były wyjątkowo podatne na zarażanie się świadomością, więc aktywowały się, gdy tylko Stare Rasy dojrzały. Tysiąc Księżyców, których planety zostały zniszczone, złączyło się w jeden układ i zaczęło polować na statki. Używały ich niby rusztowania, które spajało skupisko satelitów i pozwalało nie oddziaływać bezpośrednio na siebie nawzajem. Jak wszystkie kosmiczne drapieźniki, także i Łapiduch płacił za swoją agresję podatek na rzecz KDP. W centrum olbrzymiej spirali, w jaką układały się osierocone satelity, znajdowało się wejście do tunelu czasoprzestrzennego. Przejście prowadziło na wschodni kraniec Wszechświata, wprost pod Gmach Urzędów Ponadgalaktycznych. Łapiduch pozwalał przechodzić przez nie interesantom. Zaoszczędzona na podróży energia była składowana w Gmachu. Jeśli w schwytanym statku nie znajdowali się wezwani przez urzędników interesanci, wchodził w strukturę spirali.

Brnąłem przez skupisko najróżniejszych maszyn. Były tam zwiadowcze krążowniki Orionińczyków, olbrzymie transportery związkowców z czwartej gęstości, platformy robotnicze, promy pasażerskie, prywatne odrzutowce, patrolowce i tysiące kosmodronów. Załogi schwytanych statków zapadały w barwne sny do czasu śmierci ciała. Mary senne wciągały ich w projekcje, w których gubili świadomość. Setki ochotników dawały się schwycić Łapiduchowi, który potem podłączał ich do aparatów badawczych, rejestrujących aktywność mózgu. Obnażali przed resztą Wszechświata niesamowite wizje. Znalazło się wielu takich, którzy z chęcią kończyli żywot pod wpływem infekcji. Spirale Łapiducha nazywano czasem Rajskim Cmentarzyskiem.

Znałem sposób ojca na oszukanie Satelitów. Kiedyś żył na Ziemi wieloryb, który wydawał dźwięki o tak wysokiej częstotliwości, że nie słyszał go żaden inny. A nawet jeśli — nie rozumiał jego komunikatów. Ludzie nazwali go najbardziej samotnym wielorybem na świecie. Ojciec zbierał nagrania nietypowych stworzeń i za ich pomocą próbował porozumiewać się z niemymi z pozoru światami. Łapiduch reagował na śpiew wieloryba; Księżyce zaczynały wirować wokół własnej osi, a infekcja zniknęła. Ojciec swobodnie korzystał z tunelu Łapiducha, hipnotyzując spiralę zawrozczeniem walenia.

Wpraw Satelity w „taniec”, powtarzałem sobie. Leć do Gmachu, jeszcze stoi. Może nawet ktoś tam jest? Urzędnicy mieli najlepsze czasospowalniacze we Wszechświecie. A jednak coś mnie kusilo, by nie włączać głosu wieloryba. Kosmos umierał. Na końcu jego trwania czekała mnie śmierć w ciemnościach. Księżyce mogły opowiedzieć mi cudowne bajki na dobranoc. Mogły...

Obecność zdawała się nieobecna. Drżąca otchłań tunelu się zbliżała. Odtworzyłem nagranie, a satelity zaczęły wirować. Kręciłem się razem z nimi i zbliżałem do ciemności, ale wiedziałem, że pochłonie mnie tylko na moment przejścia.

Za tunelem znalazłem dziesiątego.

Był piękny. Wleciałem w niego...

Nie, najpierw przeleciałem pod nim. Otaczał mnie. Mógłby być nasieniem mitycznego

drzewa stworzenia. Gdyby tylko istniał...

Chwila, przecież jest! Wszystko i nic skupione na megamasie wielkości ziarenka. Osobliwość osobliwości...

Zaraz! Nie potrafię przywołać z niego żadnych obrazów. Dlaczego pamiętam tylko dziesięć światów, choć katalog zawiera czternaście kwadrylionów pozycji? Odsuwam się nieco od pulpitu, wchodzę do spisu folderów. Próbuję otworzyć zapis z milionowego świata. Miliardowego. Jedenastego. Na pulpicie wciąż tylko dziesiąty. Biała plama. Na początku nie było nic. Czarny punkt. Wszystko jest piękne dopiero, gdy zaczyna niszczyć.

Przestań, mówi głos przy moim uchu. Zrywam się z fotela, rozglądam po znikomo oświetlonym, pustym kokpicie. Obecność. A jednak została ze mną. Nie jestem sam w gasnącym Wszechświecie. Zaczynam czuć smak krwi, zbiera mi się na wymioty. Co tu się, do cholery, dzieje?!

Przestań.

Znam tylko dziesięć światów. Potrzebuję więcej.

Przestań.

Modlitewnik? Przecież to ja ułożyłem modlitwę do Osiemdziesięciu Trzech Księżyków. Ulicznik. Znużony do granic sam zabrałem mieszkańcom cel. Okradłem z formy Błady Ocean.

Wariuję przez to ciągle rozdieranie i łączenie swojego bytu. Znam dobrze jeden świat, siebie, któremu nadaję różne oblicza. Dałem porwać własną część w obcy Wszechświat. Zniszczyła go i wróciła. Jestem dziesiąty. Powielalem się aż do śmiertelnej nudy. Teraz utkwilem w ciemności ponownie scalony. Przestałem tworzyć Wszechświaty tak dawno, odwiedzałem za to inne. Przed chwilą zamknąłem neurony — czarne dziury. Ewolucja, moja przymusowa pasażerka, dąży do doskonałości, do jak najlepszej formy. Jedność to doskonałość.

Jestem sam. Ewolucja milknie, gdy porzucam roztrząsanie minionych podziałów. Omamilem się kolejnym życiorysem, który nie zdołał zbyt długo utrzymać mnie w iluzji. Zawsze gdy dochodziłem do dziesiątki, ta wszystko niweczyła. Nic mi nie zostało. Gdy nie projektuję, gdy nie dzielę i nie powielam, zastygam w najgorszej monotonii. W doskonałości.

A może by tak znów się podzielić? Prawie widzę triumfalny uśmiech ewolucji.

Nie umiem utrzymać zamkniętego łona. Fragmentaryzacja zdaje się niepoohamowana. Głos światów jest niezwykły.

Jeden z dziesięciu

Anna Mach

Nie jest łatwo być najmłodszym w rodzinie. Zwłaszcza, kiedy ma się ośmioro starszych braci. Tuco Festrew doskonale o tym wiedział. Był najmłodszym synem Aurelii i Rogera, jednak — jak sam niedawno stwierdził — nie miał z tego żadnych korzyści. W innych rodzinach najmłodsi członkowie byli przez wszystkich rozpieszczani i przyciągali najwięcej uwagi, jednak nie w rodzinie Tuco.

U niego wszystko było inaczej. On i jego bracia mieli się dobrze uczyć i pomagać w domowych obowiązkach. Rodzice traktowali wszystkich sprawiedliwie, jednak żadnemu nie poświęcali zbyt wiele uwagi. Byli ciągle zajęci i wciąż mieli pełne ręce roboty.

A ja byłem tylko jednym z dziesięciu, pomyślał Tuco, przedzierając się przez las. Nie chciał być tylko jednym z dziesięciu. Dlatego kiedy ostatni raz był w tym lesie i spotkał tę miłą panią, zwierzył jej się ze swoich problemów. Dobrze pamiętał tę kobietę. Była ładna, bardzo szczupła i miała śliczne, czarne włosy. Kiedy mówił, nie przerywała mu ani słowem, co dla Tuco wydawało się dziwne. Gdy w domu usiłował się odezwać, bracia ciągle

przerywali. A przy niej mógł się wygadać i od razu zrobiło mu się lżej.

Skąd miał wiedzieć, że to wiedźma? Że sprawi, że jego bracia, a potem ojciec znikną jak kamfora? Na początku, gdy braci nie było, Tuco był szczęśliwy. Wreszcie miał rodziców tylko dla siebie. Niestety, wszystko się wydało. Że też nie mógł ugryźć się wtedy w język! Niestety, rodzice wyciągnęli z niego informacje, a kiedy opisał im wiedźmę, po raz pierwszy zobaczył na ich twarzach strach. A potem usłyszał imię wiedźmy, która ponoć już dawno temu chciała zniszczyć ich rodzinę.

Melovelence.

Chłopiec zahaczył nogą o wystający korzeń i runął jak długi na ziemię. Usiadł, rozcierając sobie kolana, a z oczu popłynęły łzy. Bał się. Bał się tego mrocznego, nocnego lasu, bał się odgłosów jego mieszkańców i bał się, że zaraz coś go zje. Najchętniej czmychnąłby do domu, prosto do łóżka i ukrył pod kołdrą. Niestety, nie mógł tego zrobić. Obiecał sobie, że wszystko naprawi i sprowadzi ich do domu. Sprowadzi braci, których tak nieopatrnie wydał w łapy wiedźmy, i ojca, który poszedł ich szukać.

Nie miał pojęcia, jak tego dokona. Nie wiedział, gdzie szukać wiedźmy ani co robi, gdy już ją znajdzie.

Coś zaszeleściło w pobliskich zaroślach i Tuco podskoczył ze strachu. A jednak! Jakieś zwierzę zwietrzyło jego zapach i teraz idzie go zjeść! Chłopiec był tak przerażony, że nie mógł ruszyć nawet palcem.

Krzaki rosnące nieopodal poruszyły się i wyszedł z nich kot. Był mały, miał szarą, przegowaną sierść i zielone oczy. Wyglądał na równie mocno przerażonego co Tuco. Przez chwilę oboje wpatrywali się w siebie, aż wreszcie kot miauknął żałośnie.

— Co tu robisz? — spytał Tuco, wyciągając ręce. Kot nie wahał się długo, podszedł i pozwolił wziąć się w ramiona. Tuco gładził miękką sierść i był pewien, że ten kot nie mógł być bezpański. Był zbyt ładny i zbyt zadbany. Musiał się zgubić.

— Cóż... odprowadzę cię do domu — powiedział wreszcie chłopiec. — Ale najpierw pomożesz mi załatwić pewną sprawę, co?

Kot miauknął w odpowiedzi.

Tuco cieszył się z towarzysza. Kiedy szli razem, strach nieco zmalął i chłopiec mógł skupić się na zadaniu. Wiedział, że nie może wrócić do domu. Jak by to wyglądało, gdyby tak wrócił z niczym? Poza tym cała ta sytuacja była wyłącznie jego winą. Nie chciał się do tego przyznać, ale czuł ogromne wyrzuty sumienia.

Postanowił, że pójdzie na polanę, gdzie spotkał wiedźmę. Kiedy wreszcie obrał cel, poczuł się pewniej. Na razie wołał nie myśleć, co robi, gdy już dotrze na miejsce. Ważne, że teraz wiedział, co robić.

Szybko znalazł polanę, teraz skąpaną w świetle księżyca i gwiazd. Oczywiście nikogo tu nie było. Tuco poczuł lekki zawód.

Kot miauknął i poderwał się do przodu, jakby spostrzegł coś interesującego.

— Hej! Czekaj! — krzyknął chłopiec. Kot jednak nie posłuchał, więc pobiegł za nim. Krzyczał i wołał, jednak zwierzę nie zwracało na to uwagi. Pędziło do przodu, a Tuco za nim. Nie chciał stracić towarzysza. Nie chciał znów być sam w tym strasznym lesie.

W końcu zrozumiał, dokąd biegnie kot. W oddali zamajaczyły ściany budynku. Kiedy podeszli bliżej, Tuco zdał sobie sprawę, że patrzy na budowlę przypominającą zamek. Ściany zdawały się emanować własnym światłem, które przypominało blask księżyca.

Kot zatrzymał się przy ogromnych wrotach i usiadł na tylnych łapach. Spojrzał na chłopca i miauknął, jakby zadowolony z siebie.

Co to za miejsce? Kto stawia zamek w środku lasu?

Chłopiec nagle znów poczuł ukłucie strachu. Chyba wiedział, kto tu mieszka.

— Skąd wiedziałeś? — powiedział do kota. Powoli podszedł do wrót, zastanawiając się, co dalej. Co zrobi, jeśli otworzy mu wiedźma? Co ona zrobi? Zabije? A może będzie miła, tak jak ostatnio?

Kot otarł się o jego nogi, jakby chciał mu dodać otuchy. Chłopiec wreszcie zebrał się na odwagę i zapukał.

Nie wolno się bać. Jestem Tuco Festrew, jeden z dziewięciu Festrewów i nie wolno mi się bać.

Długo czekał i już zaczął tracić nadzieję, kiedy drzwi otworzyły się i w progu stanęła Melovelence. Miała na sobie szarą suknię z głębokim dekoltem, a włosy upięła w fantastyczny kok. Na widok chłopca rozszerzyła oczy ze zdumienia, a po chwili uśmiechnęła się radośnie.

— Tuco! Jak miło cię widzieć! — powiedziała. — Chodź. Na pewno jesteś głodny, a my właśnie siadamy do kolacji.

Tuco zawahał się. Spojrzał w dół i wtedy zobaczył, że kot zniknął. Gdzie uciekł? Kiedy? Chłopiec poczuł zawód i smutek, jakby opuścił go najlepszy przyjaciel.

Wszedł do środka. Melovelence uśmiechała się łagodnie, jednak on czuł się bardzo nieswojo w jej towarzystwie.

— Chodź. Twoi bracia i ojciec już czekają — powiedziała.

— Są tutaj?

— Oczywiście. A gdzie mieliby być? — zaśmiała się, odwróciła i poszła przed siebie, a Tuco za nią.

Prowadziła go jasno oświetlonymi korytarzami, w których nie spotkali żywej duszy. Ich kroki niosły się echem po całym zamku. Im dłużej szli, tym bardziej Tuco czuł, jakby wchodził w paszczę jakiegoś straszliwego zwierzęcia.

Wreszcie zatrzymali się w przestronnej, jasno oświetlonej jadalni. Na samym środku pomieszczenia stał bogato zastawiony stół, a przy nim siedzieli jego bracia i ojciec. Na ich widok Tuco uśmiechnął się radośnie. Dopiero gdy podeszli bliżej, chłopiec zauważył, że coś jest nie tak.

— Proszę. Siadaj. — Melovelence wskazała wolne krzesło. Tuco zajął miejsce i zaczął rozglądać się po twarzach zebranych. Ani ojciec, ani bracia w żaden sposób nie zareagowali na jego przybycie. Ich twarze były obojętne, a oczy puste. Na widok tych spojrzeń Tuco poczuł okropny dreszcz.

Jestem Tuco Festrew. Jeden z dziewięciu. I nie mogę się bać, pomyślał.

— Proszę, częstuj się — Melovelence wskazała na wystawione potrawy. — Jedzmy.

To słowo podziało niczym zaklęcie. Bracia nałożyli sobie jedzenie, a ojciec, siedzący obok wiedźmy, najpierw napełnił jej talerz, a dopiero potem swój. Tuco nie mógł wyjść z szoku. Pamiętał, jak wyglądały posiłki u nich w domu. Bracia starali się przekrzyczeć jeden drugiego, a matka bezskutecznie próbowała ich uciszyć. Cisza zapadała dopiero wtedy, gdy ojciec odzywał się swoim grzmiącym głosem i walił pięścią w stół. Jednak nawet wtedy nie trwała długo.

Tu było zupełnie inaczej. Jedyne dźwięki, jakie się rozchodziły to odgłos sztuców uderzających o talerze. Jeśli ktoś się do kogoś odzywał, były to tylko pytania w rodzaju: „Podasz mi sól?” albo „Czy mogę prosić ten półmisek z chlebem?” Nie było zbędnych rozmów, żartów ani kłótni.

Tuco czuł się, jakby siedział przy stole z zupełnie obcymi ludźmi.

— Dlaczego nie jesz? — Ciepły głos Melovelence wyrwał go z otępienia. Chłopiec dopiero teraz zdał sobie sprawę, że siedzi z wytrzeszczonymi oczami i głupio otwartą buzią. Potrząsnął głową i spojrzał na wiedźmę. Ona im coś zrobiła. Zaczarowała ich. Był tego pewien.

— Ja... nie jestem głodny — stwierdził.

— Więc czego tu szukasz? — Melovelence nie spuszczała z niego wzroku.

— Chcę, żeby mój tata i bracia wrócili do domu. Odczaruj ich i pozwól im odejść — powiedział Tuco pewnym głosem.

Melovelence chwilę przyglądała mu się, a potem wybuchła śmiechem. Nawet nie próbowała nad tym zapanować. W końcu zamilkła, lecz jej oczy wciąż lśniły wesoło.

— A dlaczego sądzisz, że są zaczarowani? — spytała w końcu.

— Bo są inni niż zwykle. — Tuco wciąż starał się brzmieć pewnie i stanowczo.

— Inni? W jakim sensie? Bo nic nie mówią? Poza tym ja ich tu nie uwięziłam. Jeśli chcą, mogą odejść w każdej chwili. Prawda? Co powiecie? — Melovelence zwróciła się do pozostałych.

Ojciec Tuco na chwilę przestał jeść i spojrzał na chłopca. Jego wzrok był zimny i pusty.

— Nie chcemy stąd odchodzić — stwierdził obojętnie i znów zajął się jedzeniem.

— My też nie — dodał najstarszy z braci. — Tu nam dobrze.

— Widzisz? Oni nie chcą stąd odchodzić. — Melovelence uśmiechnęła się drwiąco.

— Ale ty chciałeś, by odeszli. Dlaczego teraz chcesz ich powrotu?

Tuco chciał coś powiedzieć, lecz przez chwilę nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Melovelence miała rację. Bardzo chciał pozbyć się braci. Nie chciał jednak pozbywać się ojca. Poza tym dopiero teraz zdał sobie sprawę, że tęskni za nimi wszystkimi. Że chce, aby wszystko było jak dawniej.

— To moja rodzina — wydusił wreszcie z siebie.

— Oczywiście. Nie można rozdzielać rodziny — zgodziła się Melovelence. — Złożę ci więc propozycję. Zostań z nami. Tutaj. Ze mną, z twoim ojcem i braćmi, stworzymy nową rodzinę. Będzie nam razem dobrze i już zawsze będziemy szczęśliwi. Prawda chłopcy? Chcecie, by Tuco został?

Ojciec i bracia ponownie na niego spojrzeli.

— Zostań z nami — powiedział wreszcie ojciec.

— Będziemy się bawić — dodał piąty syn Festrewów.

— I nie będziemy musieli chodzić do szkoły!

— Będzie nam tu dobrze.

Tuco słuchał ich ze zdumieniem. Głosy, choć według niego powinny być pełne entuzjazmu, brzmiały obojętnie. Jakby mówiły ożywione trupy, pozbawione duszy i emocji. Znów poczuł zimne ukłucie strachu. Czy on też będzie taki? Nie! Nie chciał być taki!

Poza tym co z mamą? Teraz została zupełnie sama.

— Nie. I wy też nie możecie! Mama na nas czeka — powiedział.

— Twoja matka jest złą kobietą. Ja będę dla was lepsza. — Uśmiech zszedł z twarzy Melovelence. Teraz taksowała chłopca zimnym wzrokiem.

Kiedy mierzyli się spojrzeniami, Tuco poczuł się dziwnie. Jakby ktoś grzebał mu w głowie i zaglądał w najskrytsze zakamarki duszy. Poczuł się nagle dziwnie nagi i był pewny, że w tej chwili ta wiedźma wie o nim wszystko. Miał wrażenie, że chce narzucić mu swoją wolę i w tym celu zajrzała do jego umysłu. Wiedział, że powinien odwrócić wzrok, jednak był jak sparaliżowany. Zimny pot oblewał mu ciało. Skupiał się tylko na jednej myśli: czegokolwiek chciała ta wiedźma, nie mógł jej ulec.

Po chwili, która wydawała się wiecznością, dziwne wrażenie zniknęło. Tuco wziął głęboki oddech.

— Roger — powiedziała Melovelence, a ojciec Tuco drgnął. — Czy mógłbyś go zaprowadzić do lochu?

Tylko tyle. Nawet nie wyjaśniła, dlaczego kazała go zamknąć. A jednak Roger skinął głową i wstał. Chwycił chłopca za ramię i pociągnął za sobą. Nawet przez chwilę ani on, ani pozostali bracia nie zastanawiali się nad dalszym losem Tuco.

I co teraz? Nie miał żadnego pomysłu. Co on sobie myślał? Że wiedźma spełni jego prośbę?

Kompletnie nie wiedział, co robić. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nie przemyślał tego dobrze. Powinien przewidzieć, że wiedźma będzie próbowała go zaczarować. Tylko dlaczego jej się nie udało? Zaczarowała braci i ojca, a dlaczego nie jego?

To już bez znaczenia. Przecież stąd nie ucieknie. Zostanie tu na zawsze, albo przynajmniej do czasu, aż wiedźma sobie o nim przypomni. I co wtedy? Tuco poczuł strach na myśl, co mogłaby z nim zrobić Melovelence.

Nagle usłyszał miauknięcie. Po drugiej stronie krat stał kot — ten sam, który towarzyszył mu w lesie.

— Co ty tu robisz? — spytał chłopiec. — Gdzie byłeś?

Kot miauknął i przesunął coś łapką w jego stronę. Dopiero teraz Tuco zobaczył, że to klucz. Poderwał się na równe nogi.

— Skąd to masz? — zapytał, podchodząc do krat. Podniósł klucz i wsunął go w zamek. Pasował. Po chwili rozległ się zgrzyt i drzwi celi otworzyły się.

Był wolny. I co dalej? Wiedźma na pewno szybko spostrzeże, że uciekł. Może ruszyć za nim w pościg. Był pewien, że nie odpuści, jednak nie mógł tak po prostu odejść i zostawić bliskich. Musiał sprowadzić ich do domu.

Ruszył przed siebie przez długi korytarz. Kot dotrzymywał mu kroku. Kiedy wyszli z poziomu zamkowych lochów, Tuco rozejrzał się. Nie wiedział, gdzie iść.

Ale kot wiedział. Miauknął niecierpliwie i ruszył dalej. Chłopiec wołał, jednak zwierzę zatrzymało się kilka metrów dalej i spojrzało wyczekująco. Poszedł więc dalej jego śladem.

Kot prowadził pewnie, jakby przemierzał tę drogę setki razy. Zamek wydawał się opuszczony i tylko tupot stóp chłopca burzył ciszę.

W końcu stanęli przed drzwiami komnaty. Kot usiadł na tylnych łapach i spojrzał na chłopca wyczekująco. Tuco wahał się przez chwilę. Nie był pewien, co zastanie po drugiej stronie. Może wiedźmę? A może coś jeszcze innego?

Otworzył drzwi, a te zaskrzypiały złowieszczo. Chłopiec wzdrygnął się i rozejrzał nerwowo. Dźwięk wydał się tak głośny, że był pewien, iż wiedźma go usłyszała. Na pewno zaraz przyjdzie. Zamarł, jednak nic się nie działo. Wszedł do środka.

Komnata okazała się ogromną sypialnią, w której stało osiem łóżek. Bracia spali smacznie. Ojca nie było w pobliżu. Tuco nie wiedział, co robić. Obudzić ich? I co potem? A jeśli nie będą chcieli z nim pójść, jeżeli zaalarmują wiedźmę? A nawet jeśli nie, to jak ich stąd wyprowadzi, skoro nie pamiętał drogi do wyjścia?

Poza tym musiał znaleźć ojca.

Spojrzał na kota, jakby oczekiwał rady, lecz ten tylko na niego patrzył. Tuco westchnął ciężko i zaczął budzić śpiących.

— Musimy iść! — Odpowiedziała mu cisza i puste spojrzenia braci. — Pani was wzywa!

Dopiero wtedy bracia się ruszyli i zaczęli wstawać z łóżek. Tuco nie miał pojęcia, co dalej. Może uda się ich wyprowadzić po cichu z zamku? A potem wróci po ojca. Kot pomoże, był pewien, że zna drogę.

Wyszli wszyscy z komnaty, cała dziewiątka. Kot ruszył przodem, za nim Tuco, a dalej pozostali chłopcy.

Korytarz się skończył i weszli do dużej sali. Tuco pamiętał ją i aż się uśmiechnął. Stąd było blisko do wyjścia!

— A co tu się wyrabia? — Głos Melovelence przeciął ciszę. — Chłopcy! Do mnie!

Tuco spojrzał w stronę, z której dochodził głos. Kobieta stała na szczycie schodów, a

obok niej jego ojciec. Bracia, gdy ją zobaczyli, ruszyli w jej stronę, powoli i apatycznie, niczym kukły.

— Jak wyostałeś się z lochu? — spytała Melovelence.

Nie odpowiedział.

Bracia wspięli się na schody.

— Nieważne. Mogłam się ciebie pozbyć od razu. — W dłoni kobiety zatrzeszczała magia.

Tuco odskoczył w bok, zakłęcie trafiło tam, gdzie stał przed chwilą. Chłopiec dostrzegł wnękę w ścianie i ukrył się w niej. Skulił się, drżąc ze strachu.

Zaraz umrę, pomyślał przerażony.

— Zaraz umrzesz, chłopcze. — Melovelence powoli zaczęła schodzić ze schodów. — A mogło być tak pięknie. Chciałam, żebyś został członkiem mojej rodziny. Żebyś był jednym z nas. Ale nie, ty jesteś jak twoja matka. Jesteś do niej tak podobny, że jak na ciebie patrzę, to widzę ją. Twoja matka to podła żdzira. Dawno temu zabrała coś mojego.

Powietrze zaczęło gęstnieć od magii.

— A mogło być tak miło — ciągnęła Melovelence. — Pyk, i byłbyś taki jak oni. Bez pytań, bez wątpliwości, i zapomniałbyś o mamusi. Bylibyśmy rodziną. Ale nie, twój umysł musiał się opierać. Więc giń!

Tuco zacisnął powieki. Usłyszał ogromny huk, lecz chyba nie umarł.

— A może swoje sprawy rozwiążemy między sobą? — Chłopiec drgnął, gdy usłyszał ten głos. Mama! Przyszła tu za nim. Ale skąd? Jak?

Ostrożnie wyjrzał z wnęki. Aurelia stała nieopodal i zimnym wzrokiem mierzyła zszokowaną Melovelence. Jeszcze nigdy nie widział, aby z jego matki biła taka wewnętrzna siła, moc. Był pewien, że pokona wiedźmę, że uchroni jego i innych od złego losu.

Aurelia spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

— Chyba nie myślałeś, że puszcze cię samego?

— Jak? — Melovelence drżała ze złości. — Założyłam bariery! Nie mogłaś podejść do zamku!

— Ja nie, ale on tak. A kto zwraca uwagę na chłopca z kotem?

No tak! Kot! Teraz Tuco wiedział, skąd się wziął i dlaczego mu pomagał. Pewnie śledziła go przez jakiś czas w lesie, nim się dołączyła.

Melovelence pobladła ze złości.

— Ty gnido! Już raz mi go zabrałaś! Nie pozwolę ci na to po raz drugi!

— Nie — Aurelia wciąż była spokojna. — On odszedł przez ciebie. Miał dość ciebie, twojego egoizmu i tego, że tylko twoje plany się liczyły. Odszedł do kobiety, która go doceniła. Do mnie.

Melovelence warknęła i cisnęła kolejnym zaklęciem. Aurelia zablokowała je naprędce stworzoną tarczą.

— Zabijcie ich! Natychmiast! — wrzasnęła wiedźma.

Ojciec i bracia, stojący na schodach, posłuchali natychmiast. Tym razem nie poruszali się powoli jak wcześniej. Teraz błyskawicznie zbiegli na dół i rzucili się na najmłodszego oraz ich matkę. Trójka braci rzuciła się na Tuco, który wciąż kulił się we wnękę. Chłopiec bronił się jak mógł, jednak tych chyba wspomagała magia wiedźmy. Pozostało mu tylko kulić się pod gradem ciosów. Dokoła panował koszmarny hałas. Słyszał krzyki matki, braci oraz przekleństwa Melovelence. Jakieś zakłęcie wstrząsnęło budynkiem.

Któryś cios trafił Tuco w skroń. Chłopiec stracił przytomność.

Tuco nie widział, co działo się dalej. Walka była zażarta, jednak Aurelia przegrywała. Była słabsza od Melovelence, miała mniej mocy. Ostatkiem sił zdjęła urok z Rogera. Ten,

widząc, co się dzieje, zaatakował wiedźmę i zabił ją. Kiedy chłopiec się ocknął, leżał na polanie, a ojciec i matka pochylali się nad nim.

— Nareszcie — Aurelia uśmiechnęła się. Dopiero teraz Tuco dostrzegł jej zmęczoną, poharataną twarz.

— Co się stało? — spytał Tuco i spróbował się podnieść. Całe ciało eksplodowało bólem. — Gdzie wiedźma? Gdzie moi bracia?

— Już dobrze. Wiedźmy już nie ma — powiedziała łagodnie Aurelia. — A twoi bracia siedzą tam — wskazała na grupkę chłopców, kulących się nieopodal. — Możemy już wracać do domu.

— A wiedźma? Już jej nie ma? Nie wróci?

— Nie wróci — potwierdził Roger.

Tuco odetchnął z ulgą.

— Ale... dlaczego mnie nie zaczarowała? — spytał. — Jak na mnie patrzyła wtedy, przy stole, ja wtedy czułem coś dziwnego w swojej głowie. A potem to zniknęło. A ty, mamo? Ty też jesteś wiedźmą?

Aurelia westchnęła ciężko.

— Posłuchaj — zaczęła. — Melovelence i ja znamy się od dawna. Razem uczyliśmy się w Akademii.

— Co? W tej Akademii? Tam, gdzie uczą się magowie? — Tuco aż otworzył szerzej oczy.

— Tak — Aurelia skinęła głową. — Lecz ja nie skończyłam nauki. Po tym, jak twój tata odszedł od Melovelence, związał się ze mną. A potem... zaszłam w ciążę i musiałam zrezygnować z magii.

Tuco słuchał uważnie. Nie mógł uwierzyć, że osoba, którą do tej pory miał za zwyczajną, szarą kobietę, jest magiem.

— Kiedyś przyjaźniłam się z Melovelence. Potem ona zainteresowała się czarną magią. A potem...

— Nie mogła znieść, że wybrałam twoją matkę, a nie ją — wtrącił Roger. — Próbowала zniszczyć naszą rodzinę. Dlatego sprowadziliśmy się tutaj. Mieliśmy mieć spokój — westchnął.

— A ty... Ty odziedziczyłeś po mnie część zdolności — dodała Aurelia. — Dlatego tobą nie mogła zawładnąć. Zapewne całkiem nieświadomie jej na to nie pozwoliłeś.

— Znaczy... że ja też jestem magiem?

— Nie. Ale mógłbyś być.

— Ale dlaczego nie zaczarowała mnie od razu? — dopytywał Tuco.

Aurelia rozłożyła bezradnie ręce.

— Nie wiem. Może nas obserwowała? Może uznała, że tak bardziej mi dopiecze? Nie wiem, co jej w głowie siedziało. Ale to już nieważne. Już jej nie ma.

To była prawda. Nagle Tuco poczuł się strasznie źle. To przecież była jego wina. To on chciał pozbyć się braci. Prawie zniszczył swoją rodzinę. Kto wie, co mogło się stać...

— Przepraszam — powiedział. — Ja... — urwał. Oczy chłopca wypełniły się łzami. — Bo wy... Nie zwracaliście na mnie uwagi. Nic! Ja nie chciałem być jednym z dziewięciu. Chciałem być jeden, jedyny. Przepraszam! Przepraszam!

— Ciii... Już dobrze. — Aurelia objęła syna. Przez chwilę nic nie mówiła, czekając, aż ten się wypłacze.

— Ty, twoi bracia, twój ojciec. Jesteś jedną z dziesięciu osób, które kocham najmocniej na świecie — powiedziała wreszcie, wciąż mocno tuląc chłopca. Ten mógł słyszeć bicie jej serca. — Jesteś też jeden jedyny. Każdy z was jest jedyny w swoim rodzaju. A ja kocham was wszystkich — odsunęła się od niego i spojrzała mu w oczy. — Może faktycznie trochę cię zaniedbaliśmy. Ale to się już nie powtórzy. Obiecuję — dodała i

pocałowała go w czoło. — Jesteście najlepszym, co spotkało mnie w życiu. Dzięki wam nie żałuję, że zrezygnowałam z magii. Mam coś, co jest od niej o wiele lepsze — dodała.

Tuco uśmiechnął się. Patrzył w łagodną, ciepłą twarz matki i nagle poczuł, że wszystko będzie dobrze. Musiało być. W końcu był częścią tej rodziny. W dodatku był jedyny w swoim rodzaju. Miał moc. Mógłby zostać magiem, jak mama. Tuco mag. Aż uśmiechnął się szerzej na samą myśl. Jako mag mógłby być wszechmocny!

Ale to nie było ważne. Ważne było to, że był jednym z dziesięciu. Jednym z dziesięciu mężczyzn, których kochała Aurelia.

— To jak? — Ojciec przerwał ciszę. — Wracamy do domu?

Klamka zapadła

Bartosz Szostek

Przysunął sobie niewielki, drewniany zydelek i przysiadł przed stolikiem, na którym niesfornie walały się stosy, stosiki papierzysek. Spokojnymi ruchami spracowanych dłoni uprzątnął tę całą buchalterię i ustawił na środku mebla nadgryziony zębem czasu i kornika dębowy pulpit. Położył nań raptularz, oprawny w barwioną czerwienią skórę jagnięcia. Na stronie tytułowej widniał spisany wprawną ręką niezbyt ambitny tytuł: *Księga gości*. Przewracał kolejne stronicę, wspominając wszystkich, którzy nawiedzili tę wieżę, prosząc o pomoc lub radę. Dotarł do ostatniej strony i zaczął uzupełniać brakujące informacje z bieżącego tygodnia, ręką równie wprawną jak kiedyś:

1. Gość: Alvin Braxton, miejscowy myśliwy. Sprawa: Prośba o radę w sprawie żony i sukkuba, w którym bez reszty się zadurzył. Nie wiedział, co począć, gdyż żonę kocha nad życie i nie zamierza jej stracić. Zalecenia: Wypić eliksir, przespać się i odprężyć (oczywiście, w swoim domostwie) i wrócić za dwa, trzy dni. Uwagi: Sporządzić eliksir nasenny.

2. Gość: Emma Braxton, żona myśliwego. Sprawa: Dotycząca dziwnego zachowania męża. Podejrzenie o zdradę. Zalecenia: Wyjaśnienie, iż mąż padł ofiarą zakusów sukkuba i sam zgłosił się po pomoc. Zapewnienie, że niczym nie musi się martwić, wystarczy, że poda mężowi podczas snu dwa eliksiry, jeden z włosiem sukkuba (które zapewne znajdzie na ubraniu męża), drugi z jej włosiem (na wszelki wypadek). Oraz, że ma przyjść razem z mężem za dwa, trzy dni. Uwagi: Sporządzić eliksir zapomnienia, eliksir miłosny.

Adnotacja do 1. i 2.: Emma i Alvin przyszedli podziękować za niebywałą poprawę ich małżeństwa. Alvin wspomniał tylko, iż czuje, jakby przez kilkanaście dni brał udział w wymagającym polowaniu, ale nic nie potrafił sobie przypomnieć. Pochwalili się wyjazdem do nadmorskich krajów, gdyż Emma tam chce urodzić dziecko, o którego poczęciu dowiedziała się wczoraj.

3. Gość: Denton i Lenton Stamperowie, bracia najemnicy. Sprawa: Pomoc w ucieczce przed bandą Wieprzowiny, któremu się narazili (widocznie musieli mocno mu zająć za skórę, gdyż z byle powodu Wieprzowina osobiście nie bierze udziału w obławie) oraz dodatkowa prośba o zmianę dotychczasowego stylu życia z powodu zmęczenia ciągłą pracą dla innych. Zalecenia: Wypicie eliksiru i natychmiastowe opuszczenie miasta. Uwagi: Sporządzić eliksir zmieniający wygląd.

Adnotacja do 3. Otrzymanie po jakimś czasie zaproszenia do oberży „U Deni i Leni”.

Wypełnił dane odnoszące się do sześciu kolejnych gości i stwierdził z przykrością, że

jeśli pojawi się jeszcze jeden delikwent, będzie zmuszony udać się do jakiejś kopalni po niezbędne ingrediencje występujące tylko pod ziemią. Nie przepadał za takimi miejscami z powodu wydarzeń z przeszłości. Kiedy szedł traktem... Wtem, gdy miał się oddać wspomnieniom, ktoś poczał gorączkowo uderzać w drzwi metalową kołatką.

— Proszę! Otwarte! — powiedział i zamknął raptularz. Do środka wpadł zdyszany młodzieniec w długiej, czarno-zielonej szacie, która prosiła się o porządne pranie. Oparłszy dłonie o kolana, starał uspokoić oddech. Gospodarz przypatrywał mu się przez kilkanaście sekund, po czym podał mu stołek, który wcześniej stał oparty o ścianę. Gość skorzystał z okazji i usiadł. Po chwili się uspokoił.

— Dziękuję. Nie wiad...

— Nie musisz dziękować, jesteś tutaj gościem. Zresztą jak każdy inny — przerwał mu gospodarz. — Musimy się poznać, aby kontynuować. Ja jestem Nereus, obecnie odźwierny, jak widać. — Wyciągnął dłoń ku młodzieńcowi.

— Levin, adept w Akademii Magii. — Uścisnęli sobie dłonie.

— A zatem, Levinie, z czym przychodzisz? Z tego, co widzę, jest to coś niecierpiącego zwłoki?

— Tak, ale czy ty jesteś na pewno tym, którego szukam?

— Jeśli mnie znalazłeś, wychodzi na to, że tak.

— Skąd ta pewność? — drążył Levin.

— To proste, gdybyś szukał kogoś innego, nie trafiłbyś tu. — Nereus lekko się uśmiechnął.

— A gdzie twój pracodawca?

— Lepiej mu nie przeszkadzać, odpoczywa. Do rzeczy, jaki masz problem? — Gospodarz tracił powoli cierpliwość.

— Dobrze. Wczoraj ja i mój druh dowiedzieliśmy się, że przeszliśmy pozytywnie przez egzamin z wiedzy magicznej. Więc, jak to zwykle bywa, udaliśmy się do naszego dormitorium, by uczcić to małe zwycięstwo. Trzeba zaznaczyć, iż mój druh jest krasnoludem, a jego ród nie pije byle jakich trunków.

— Nie widzę w tym nic zdrożnego, wręcz przeciwnie — wtrącił Nereus.

— Sęk w tym, że za kilka dni mam egzamin praktyczny, a kiedy się obudziłem z potwornym bólem głowy, stwierdziłem ze strachem, iż moja różdżka gdzieś zniknęła, a na dodatek Belser, czyli mój druh, przepadł bez wieści. Bez tej różdżki nie mam po co wracać do Akademii, a co dopiero na egzamin. Czy w takim razie zawołasz swego przełożonego? — zapytał Levin błagalnym tonem.

— Nie — odrzekł Nereus, na co adept wybałuszył oczy. — Ale ja chętnie ci pomogę. Za długo siedziałem za biurkiem. Poza tym mam kilku dobrych znajomych na uczelni. A zasadą naszej działalności jest to, że nikt bez pomocy stąd nie wychodzi, więc nie masz innego wyjścia. Klamka zapadła. — Nereus podniósł się z swojego zydelka. — Odpocznij jeszcze chwilkę, a ja pójdę się przygotować. Może szklankę wody? Czerpiemy ją z pobliskiego źródła, jest całkiem smaczna i dobrze wpływa na krążenie. — Nalał wody z wypolerowanej karafki i podał ją chłopcu. — Proszę, zaraz wracam. — Zniknął za drzwiami po swojej lewej.

Levin tymczasem wyciągnął zza pazuchy niewielki trzos i zajął się przeliczaniem brzękających monet. Po chwili wrócił Nereus, przyodziany w gruby płaszcz, który zakrywał całą jego postać. W ręce trzymał sękaty kostur, a przez ramię przewiesił sobie sfatygowaną skórzaną torbę. Kiedy spostrzegł, co robi Levin, w jego oczach natychmiast pojawił się gniew.

— Proszę, schowaj te pieniądze. Nie uchodzi, by gość płacił, nie sprawiaj nam przykrości — powiedział, zbliżywszy się do Levina.

— Ja... — zaczął chłopak, wyraźnie zakłopotany.

— Nawet jeśli miałeś dobre intencje, schowaj sakwę. — Levin posłusznie wykonał polecenie. — Potrzebuję jeszcze tylko pięciu minut na uzupełnienie danych w naszej Księdze Gości. — Nereus przysiadł z powrotem na zydelku i zaczął wypełniać raptularz, mrużąc na głos:

— *10. Gość: Levin...*

— El Eywes — dokończył za niego gość.

— *...adept w Akademii Magii. Sprawa: Zaginiona różdżka i druh. Zalecenia: Pomoc doraźna.*

Kiedy skończył, zamknął raptularz i schowawszy go do szafki, zwrócił się do Levina.

— W twoich żyłach płynie elfia krew, jestem pod wrażeniem. Masz szansę, wielką szansę — stwierdził, kiwając głową.

— Szansę na co? — zapytał zdziwiony Levin.

— Na to, żeby stać się kimś, oczywiście dzięki skromnej pomocy z naszej strony. Musisz wiedzieć, że każdy dziesiąty gość danego tygodnia jest wyjątkowy w pewien szczególnie sposób. Co więcej, ostatni z gości zawsze niesie ze sobą sporą dawkę emocji i przeżyć. By w końcu przestać być gościem. — Kiedy skończył, podszedł do drzwi i położył dłoń na klamce.

— Dlaczego? — zdążył jeszcze zapytać młodzieniec.

— Przestaje być gościem, by stać się naszym przyjacielem. — Nereus otworzył drzwi i gestem przepuścił Levina. Kiedy obaj znaleźli się na zewnątrz, Nereus głęboko zaczerpnął świeżego powietrza i ruszyli w rozgwieżdżoną noc.

Przystanęli na skraju potężnego, nieogarnionego muru zieleni, składającego się z rzędów dębów, sosen, brzoź oraz tych drzew i roślin, których nazw już nikt nie pamięta. Trakt, którym się dotychczas poruszali, wydał się Nereusowi zbyt długi, więc postanowił obrać drogę na skrót, wiodącą przez...

— Oto Puszcza Hadwos — powiedział Nereus, starając się objąć rękoma cały ten ogrom korzeni, pni i koron. — Stworzenia starsze i groźniejsze zamieszkują ten las. Starsze nawet od twojego wykładowcy starożytnych run. Miej się na baczności. — Wolnym krokiem weszli w zielony bezkres. Kruki zerwały się nagle z gałęzi, tworząc czarny obłok mknąc ku nieboskłonowi. Nie oglądały się wstecz.

Uderzał zaciekle skrzydłami powietrze, próbował mknąć, tak jak pozostali — nie patrząc za siebie. Ale nie potrafił, musiał zawrócić, gdyż to, co nazywał skrzydłami, już dawno przestało odpowiadać pierwotnemu znaczeniu tej nazwy. Pewnej nocy spał jak zwykle na jednej z szerokich gałęzi wiekowego dębu. Później nic nie było jak zwykle. Nawet najbliżsi się od niego odwrócili, traktowali z wymuszoną litością i prawdziwym zniesmaczeniem w oczach. Nie rozumieli, może nie znali prawdy, może nie chcieli jej poznać. Bo kiedy zapada zmierzch i kiedy zamykasz oczy, mrok budzi swoje cienie.

Usłyszał, a potem zobaczył, jak jego przyjaciółka mknie przez noc. Poleciał za nią. Pytał: — Gdzie? — Usłyszał: — Muszę. — Krzyczał: — Zaczekaj! — I tylko: — Muszę. Więc podązał dalej. Sądził, że ona zrobiłaby to samo. Dotarli do ruin jakiejś pradawnej świątyni, obrośniętych grubą warstwą mchu. Jego przyjaciółka wleciała do środka, on za nią. Kiedy przysiadł na pozostałościach kamiennej ściany, jego małe serce momentalnie się ścisnęło. Przed nim rozgrywała się niewyobrażalna scena. Ta, za którą tutaj przyleciał, leżała na środku pomieszczenia, trzymając niewielki odłamek, zamierzając się na siebie. Ruszył, ale ostrze przebiło serce. Również jego własne. Przysiadł obok niej i oparł jej główkę na swoich skrzydłach. Szaleńczy trans minął i do końca wpatrywali się w siebie. Znaleźli ich nad ranem i

nie minęło nawet południe, kiedy zdążyli go niesłusznie oskarżyć i wydalić ze stada. Odtąd był jeszcze bardziej samotny.

Przelatując pomiędzy konarami, zauważył dwójkę podróżników. Nie znajdując ciekawszej perspektywy dla siebie, zaczął za nimi lecieć, do momentu, gdy usłyszał te dźwięki.

— Słyszysz to? — zapytał Levin. — Ktoś gra na lutni, dźwięki dobiegają stamtąd — powiedział, wskazując ścieżynę, która niknęła w cieniach ogromnych drzew. Zmienili pierwotnie obrany kierunek, żeby pójść w stronę muzyki.

— Zaczekaj. Nie wiemy, co to może być! — Nereus próbował uspokoić zapędy swego towarzysza, ale na próżno. Kiedy patrzył uważnie pod nogi, dostrzegł wśród bujnej roślinności ślady kopyt. — Zatrzymaj się, to może być... — zaczął i kiedy miał wypowiedzieć ostatnie słowo, wszedł na niewielką polanę i stanął obok Levina — sukkub — dokończył.

Pod jednym z drzew stał sukkub, opierając się nogą o pień. W rękę trzymała lutnię, a kruk, który przed chwilą wyleciał spomiędzy drzew, przysiadł lekko na jej prawym ramieniu. Brzegi jego skrzydeł nieustannie ociekały kroplami krwi. Kiedy uświadomiła sobie ich obecność, oderwała na chwilę wzrok od misternie wykonanego instrumentu, by na nich spojrzeć. Moment później wróciła do lutni. Przymknęła powieki i lekko trącając struny, poczęła wyciągać skrywane wewnątrz uczucia.

*Chwyciłam nóż — trochę czerni dało tyle czerwieni,
Nie ma już nas — jesteśmy odmienieni,
On był, a nie jest. Ja jestem, a raczej byłam,
Dlaczego tak boli? Dlaczego nie możemy być znów złączeni...?
Na skraj lasu zwiódł mnie jakiś głos,
Ostre ciernie szargały rudy włos,
Bose stopy wiodły w mroku dom,
Co mnie czeka? Jaki jest mój los...?*

Kiedy pieśń wybrzmiała do końca, sukkub podniósł wzrok na kruka, a potem na nich.

— Kim jesteście? — zapytała zjawa, akcentując końcówki wyrazów.

— Jestem Nereus — powiedział mężczyzna, wskazując na siebie, a po chwili, wyciągnąwszy rękę w stronę swego towarzysza, dodał: — To jest Levin. Za naszą obecnością tutaj kryje się chęć odnalezienia różdżki mego druha. — Na te słowa Levin łypnął oskarżycielsko na kompana. — Zatajanie informacji przed sukkubem jest zgoła nierozważne, demon prędzej czy później dojdzie do prawdy. W ten czy inny sposób — powiedział ten szeptem, próbując się tłumaczyć.

— Pójdę z wami — powiedziała i podchodząc bliżej, wyciągnęła delikatną dłoń. — Ellara. Miałam okazję bliżej poznać tę okolicę, poza tym ostatnio bywam samotna — dodała, nieznacznie unosząc kącik ust.

Przez dłuższy czas ich wędrowce duktem towarzyszyła nieprzerwana cisza. Poruszali się spokojnym tempem, obok siebie. Jednak Nereus ni stąd, ni zowąd przyspieszył kroku, zostawiając dwójkę towarzyszy, którym w tej sytuacji cisza wydała się niezręczna. Po kilku minutach Levin przerwał milczenie.

— Ta lutnia w twoich dłoniach potrafi zatrzymać świat. Skąd masz taki instrument? — zagaił.

— A co z moim głosem? — zapytała wymijająco.

— On przenosi w inne miejsce — odparł Levin, lekko się czerwieniąc. Uszli kilka kroków, po czym Ellara się odezwała.

— Struny zostały zrobione z żelaznego noża — powiedziała i zamilkła. Natomiast

Levin nie wiedział, co powiedzieć, lecz po chwili się odezwał.

— Czyli ta pieśń to prawda — zauważył, na co kiwnęła głową. — Domyślam się, co zaszło, ale nie zamierzam pytać dlaczego. Sukkubem można się urodzić, ale można nim zostać, kiedy widzi się śmierć ukochanego. Współczuję, bo wiem, co to znaczy, stracić kogoś na zawsze — dodał młodzieniec.

— Jak zwykły adept może mówić takie rzeczy? — wtrąciła z bólem Ellara.

— Ja też kiedyś kogoś straciłem — odparł. Gdy wciąż milczała, postanowił kontynuować. — Poznałem kiedyś dziewczynę. Ale byłem zbyt wielkim tchórzem, by powiedzieć jej, co do niej czuję. Teraz już jest za późno. Może to nie to samo, ale oboje coś straciliśmy.

— Powinieneś studiować filozofię. Masz rację. Tego, co było, nie da się zmienić — odparła.

— Tak, ale to nie znaczy, że nie możemy decydować o tym, co będzie — po tych słowach na powrót zapanowała cisza.

Przeszli kilka metrów i o mało co nie wpadliby na Nereusa. Tkwił nieruchomo, spoglądając w stronę pobliskich drzew. Stanęli obok niego i spojrzeli w tym samym kierunku. Na jednej z gałęzi dębu wisiał mężczyzna. Ciało lekko kołysało się na wietrze. Nereus wyrwał się z otępienia i podszedł do zwłok. Pod nimi leżała butelka, a w niej znajdowała się koperta. Nereus podniósł butelkę, wyjął z niej kawałek papieru i zaczął czytać na głos.

— „Obiecałem ofiarę. Denton i Lenton mieli wobec mnie dług, który teraz mogli spłacić. Spłacić krwią. Moi ludzie nie znaleźli ich, a ja nie mogłem dłużej czekać. Obiecałem, a Wieprzowina zawsze dotrzymuje danego słowa. Muszę”. — Nereus skończył. — Wypełnił obietnicę. Na własne nieszczęście — dodał cichym głosem. Levin zbliżył się do towarzysza.

— Na kopercie i butelce są ślady krwi. Kto może żądać takich obietnic? — zapytał adept.

— Tego nie wiem, ale czuję, że przyjdzie nam to sprawdzić. Prędzej czy później — odparł Nereus.

— Chodźmy — powiedziała stanowczo Ellara. I jak zdecydowała, tak zrobili.

Przemierzyli kilkaset metrów, by znaleźć się na niewielkiej łące. Pośrodku niej wznosiły się ruiny. Na ten widok kruk gwałtownie podniósł się z ramienia Ellary i zniknął pośród drzew. Podeszli bliżej zniszczonych murów i usłyszeli czyjś ciężki oddech dochodzący z wnętrza tego, co kiedyś było świątynią. Zbliżyli się do źródła odgłosu. W centralnym pomieszczeniu, pośród reliktywów dawnego kultu, klęczał ork, trzymający oburącz miecz. Levin podbiegł i wyrwał mu broń.

— Co robisz!/? — krzyknął ork, podnosząc się z klęczek. Jednak po chwili wrócił na kolana. — Oddaj mój miecz — powiedział spokojniej.

— Przelano dość krwi. Nie potrzeba więcej — wtrącił się Nereus.

— Wy nic nie rozumiecie. Wpadłem w jakąś furję. Musiałem. Nie potrafiłem nad tym zapanować. Własnymi rękoma zabiłem żonę i córkę. Muszę umrzeć.

— Spójrz na niego! — krzyknął Levin, wskazując na ciało Wieprzowiny, widoczne w oddali. — Jego śmierć nic nie zmieniła. Tak samo ty nie wrócisz mieczem życia swoim bliskim.

— A widzisz inne wyjście? — odparł ork.

— Tak, pójść z nami. Może nadarzy się okazja, by odkupić swoje winy — powiedział pewnie adept.

— Niech tak będzie. Od tej pory mój los jest związany z wami — ork podniósł się ponownie z klęczek. — Nazywam się Groshna. Dziękuję.

— Kto ci dał prawo decydowania o naszej grupie?! — krzyknął niespodziewanie

Nereus. — Jak śmiesz przyjmować tego barbarzyńcę?! To morderca, nie widzisz krwi na jego rękach?! — W jego oczach rozgorzała wściekłość.

— Jak możesz go osądzać? Jesteś zwykłym odzwiernym, który widział tylko jedną stronę drzwi i nie miał odwagi, przez nie samemu przejść! Mam takie same prawo jak ty! — odparł Levin równie zaciekle.

— Natychmiast przestańcie! Co w was wstąpiło?! Jesteście przyjaciółmi! — zawołała Ellara i wściekłość przeminęła.

— Przepraszam — powiedzieli jednocześnie i mocno uścisnęli sobie dłonie.

— Ciebie również przepraszam, Groshna, nie wiem, co się ze mną stało, wybacz mi — rzekł z pokorą Nereus.

— Nie mam ci tego za złe. Mój dziad mawiał, że w mrocznych chwilach nie wolno zapomnieć o zapaleniu świeczki — powiedział ork i podał mężczyźnie rękę.

— Chodźmy stąd, to miejsce źle na nas działa — stwierdziła Ellara.

— Zaczekajcie — przerwał Groshna. — Znalazłem coś, o czym nasi szamani mówią tylko między sobą. — Odsunął dywan. Na kamiennej posadzce widniał tajemniczy symbol.

— Wyczuwam w tym magię. — Levin zbliżył się do tego miejsca. — Jeśli się nie mylę — zdjawszy z szyi amulet, wykonał nim kilka ruchów nad symbolem, a po chwili ukazało się przejście prowadzące pod ziemię — to iluzja.

Wąski korytarz, drewniane belki podtrzymujące strop, ogromne pajęczyny, przemykające między stopami szczury oraz czwórkę towarzyszy oświetlał jedynie płomień pochodni. Odgłosy kroków niosły się w nieprzeniknionej ciemności przed nimi. Rozmiary korytarza pozwalały iść dwójkami. Nereus i Ellara szli z przodu, zaś Levin i Groshna podążali za nimi.

— Wydaje mi się, że już cię widziałem. Trzy dni temu, kiedy zmierzałem do wieży maga — zastanawiał się Levin.

— Wtedy to się stało — powiedział tylko Groshna.

— Więc gdybym w porę się nie schował w błocie...?

— Spotkalibyśmy się wcześniej.

— Teraz spotkałem prawdziwego ciebie, wtedy nie byłeś sobą — uśmiechnął się adept. — Chciałem o tym powiedzieć Nereusowi, kiedy go odwiedziłem, ale...

— Panowie, muszę wam przerwać — wtrącił Nereus. — Bądźcie tak uprzejmi i zamilknijcie na chwilę — dodał. Ellara lekko się uśmiechnęła. Kiedy wszyscy wytężali słuch, Groshna podszedł do ściany i uderzył w nią z całej siły. Posypały się pokryte ziemią cegły. Za nimi siedział skulony krasnolud.

— Usłyszałem, jak szcząkał zębami — wytłumaczył ork, widząc zdziwienie na twarzach pozostałych.

— Belser! — krzyknął Levin, widząc swego przyjaciela.

— Levin, dobrze cię widzieć. Jak tu trafiliście? — zapytał krasnolud, zaskoczony, ale jednocześnie uradowany.

— Długa historia, ale wszystko zaczęło się od tego, że wzięłaś moją różdżkę. Masz ją jeszcze? — zapytał chłopak.

— Tak, oddaję ją prawowitemu właścicielowi. Nie powinienem jej zabierać — powiedział Belser skruszony.

— Ważne, że nic ci nie jest. A tak swoją drogą, dlaczego nie użyłaś swojej? I dlaczego siedziałeś w ziemi?

— Swoją, cóż, zgubiłem. A siedzę tu z powodu smoka.

— Smok!? — zdziwili się wszyscy.

— W moim rodzie krąży legenda o zaginionej kopalni, która miała się znajdować w

puszczy Hadwos. Z tego też powodu zapisałem się na studia, by móc prowadzić poszukiwania.

— To dlatego nie widywałem cię na wykładach — przerwał mu Levin.

— Tak. Opłaciło się, znalazłem to miejsce. Niesiony alkoholową odwagą, pożyczyłem twoją różdżkę, by umieścić iluzję w przejściu. Jednak krasnoludy nie są najlepszymi magami i zostawiłem ślad.

— Przykrycie dywanem nie wystarczyło — wtrącił z przekąsem Groshna.

— Kiedy wszedłem do głównego pomieszczenia, zastałem tam smoka. Uratowało mnie to, że nie ział ogniem i odrobina szczęścia, gdyż udało mi się przypomnieć kilka zaklęć, by zwalić na niego ziemię. Ot, cała historia — skwitował krasnolud.

— To zmiennokształtny! Dlatego nie leżysz teraz w jego brzuchu — powiedział Levin. — Zapamiętałem to, kiedy się uczyłem — wyjaśnił.

— Więc pewnie leży tam przygnieciony — odpowiedział za wszystkich Belser.

— Szybko! — powiedział Nereus i ruszyli do drewnianych drzwi.

Na ziemi leżał przygnieciony kamieniami człowiek. Levin i Groshna pospieszyli mu z pomocą. Wyciągnęli go spod gruzu i poczekali, aż oprzytomnieje. Kiedy doszedł do siebie, Nereus podał mu eliksir na wzmocnienie.

— Dziękuję wam. Ten krasnolud o mało mnie nie zabił — powiedział uratowany zmiennokształtny, wskazując na Belsera. — Choć i ja nie jestem bez winy. Przepraszam. Jakaś dziwna siła kazała mi go zaatakować. Zabić. Nie wiem, co się ze mną stało, zwykle nie przybieram postaci smoka. — Także i te przeprosiny przypieczętował uścisk dłoni na zgodę. — Miałem to samo, nie wiedziałem, co się ze mną działo, kiedy z tobą walczyłem, tak po prawdzie nigdy nie znałem takich zaklęć — powiedział krasnolud.

— Jestem Almahir, pochodzę z plemienia zmiennokształtnych. Niewielu potrafi nas odróżnić od prawdziwych stworzeń, których postać przybieramy. Musimy się stąd wynosić. Nie podoba mi się to miejsce. Kiedy się zbliżałem, poczułem jakąś moc, ale zbyłem to — wzruszył ramionami.

— Kiedy tu przyszedłem, widziałem jakieś schody. Może prowadzą do innego wyjścia, bo niestety, przejście w świątyni jest tylko w jedną stronę — wtrącił Belser.

— Chyba nie mamy innego wyjścia — odparł Nereus i ruszyli w tamtym kierunku.

Zbiegli schodami i kiedy wszyscy znaleźli się na dole, każdy z osobna wstrzymał oddech na widok tego, co znajdowało się przed nimi. Pośrodku sali wznosił się z poziomu ziemi utworzony z zastygłej magmy postument, którego zakończenie zwieńczone było czymś na wzór czary. Z góry zaś zwisało symetryczne odbicie owego postumentu, zakończone nie otworem, lecz iglicą. Na której widoczna była zakrzepła krew. Z wolna zbliżyli się do tajemniczego obiektu. Kiedy zobaczyli, co znajduje się w czarze, cofnęli się. W środku była krew. Ciszę przerwał Levin, przywołując zdobytą w Akademii wiedzę.

— Jeśli się nie mylę, mamy do czynienia z istotą starszą niż nasz świat i groźniejszą od jego zła. Peboron, tak go nazwano. Wiemy tylko tyle, że wpływa na inne istoty żywe, by zaspokoić swój głód. Głód krwi. Wiemy też, że potrzebuje krwi dziesięciu ofiar, by przybrać cielesną postać.

— Co wtedy? — zapytał Groshna.

— Tego nie wiemy — odparł adept. — Ale wiemy, jak go zniszczyć. Nie będzie to łatwe. Wyczytałem kiedyś w naprawdę wiekowym podręczniku, że tylko on sam może siebie zabić. Musi być swoją ostatnią, dziesiątą ofiarą. A my znajdujemy się w idealnym położeniu. W tej misie znajduje się krew kruka, który zginął w tamtej świątyni. Jego kości nadal w niej

leżały, gdy tam byliśmy. Krew ukochanego Ellary. Krew żony i córki Groshny. Krew Wieprzowiny. Na koniec wysłuchał się mną, Nereusem, Belserem i Alhirem. Każdy z nas był wtedy w jakiś sposób obdarzony magią i dlatego nie mógł nas zabić, ale był na tyle silny, że to mu wystarczyło. Jeśli chodzi o Belsera, to używał mojej różdżki, a Nereus, jako że przyrządza eliksiry, ma styczność z magicznymi ingrediencjami — wyjaśnił Levin, a po jego słowach długo nikt się nie odzywał.

Wreszcie przemówił Groshna.

— Jak zamierzasz go pokonać? — zapytał.

— Mam jeden plan, który nie zakłada pomyłek. Potrzebuję do tego Ellary — spojrzał na nią. — Jeśli nie chcesz, wystarczy, że powiesz. — Zdecydowanie kiwnęła głową, dając do zrozumienia, że się zgadza. — Więc wykonam silną iluzję — kontynuował adept. — Ellara skłoni Peborona do skupienia na niej uwagi, a kiedy to się stanie, on przybierze postać tej iluzji i będzie cielesny. Moje zadanie polega na tym, by zamknąć iluzję, zanim do niej wejdzie. Wtedy, będąc w zawieszaniu, zginie. Jesteście ze mną?

Wszyscy kiwnęli głowami. Nereus podszedł do Levina i położył dłoń na jego ramieniu.

— Wierzę w ciebie.

Głazy, ziemia, drobne kamienie — wszystko zaczęło unosić się i wirować, tworząc krąg wokół postumentu Ellary i Levina. Kiedy obok nich pojawił się człowiek, Ellara zaczęła używać swych uwodzicielskich zdolności. Krew zaczęła wrzeć, podnosić się z czary i szybować w stronę iluzji. Levin czuł, jak odpływa od niego energia, ale wiedział, że musi wytrzymać. Kiedy krew była w połowie drogi, upadł na jedno kolano, a pot zalał jego oczy. Jeszcze troszkę. Upadł na drugie kolano, wypuścił różdżkę i zemdłał. Ostatnie, co widział, to czarne skrzydła.

Czuł się tak, jakby siedział w fotelu. Lekko się podniósł i otworzył powieki. Znajdował się w jakimś gabinecie. Przed nim stało solidne biurko. Na ścianach wisiało mnóstwo dyplomów i starych obrazów. W przeszklonej gablocie dostrzegł miecz. Dziwnie znajomy. Rozejrzał się dokładniej po pokoju. Przy oknie wychodzącym na wielki ogród stał odwrócony do niego plecami mężczyzna. Kiedy się obejrzał, Levinowi mocniej zabiło serce. Przed nim stał Nereus.

— Pewnie żądasz wyjaśnień. Kiedy zemdlałeś, iluzja się załamała, co było poniekąd zgodne z planem, ale Peboron nie znajdował się wystarczająco blisko. Uratował nas kruk. Ten, który stracił przez tego potwora swą przyjaciółkę, i ten sam, który potem siedział na ramieniu Ellary. Wchłonął Peborona i zaczął się zmieniać. Robił się większy i straszniejszy. Gdybyś wtedy nie powstrzymał Groshny przed zabicie się, nie odkupiłby swoich win. Kiedy zorientował się, co się dzieje, natarł na kruka, a raczej na Peborona i przebił go na wskroś. Tamtego dnia dwie istoty odzyskały honor, pomściwszy swych bliskich. Jednak zapłaciły za to najwyższą cenę. Reszta przeżyła. Co się tyczy mnie samego, zbliżając się do emerytury, postanowiłem otworzyć coś na boku. W dniu, w którym przyszedłeś, dałem swemu odźwiernemu wolne i sam zająłem się buchalterią. Wybacz, że nie powiedziałem od razu. Egzamin oczywiście zaliczony i przynajmniej uniknąłeś stresu. Jeśli chodzi o pozostałych, to Belser i Almahir założyli spółkę i razem zarządzają nowo odkrytą kopalnią. Ellara występuje codziennie „U Deni i Leni”, a na jej koncerty przybywają tłumy. Co się tyczy nas, postanowiłem, że będziesz moim ostatnim uczniem, dziesiątym z kolei. A na dziś mamy zaproszenie na koncert naszej przyjaciółki. Zgadzasz się na to?

— A mam jakieś inne wyjście? — zapytał uśmiechnięty Levin.

Nie żałuj

Sonia Milik

„Czy żałujesz?” To pytanie dręczyło mnie od wielu nocy. Rozbrzmiewało w mojej głowie, kiedy kładłem się spać; myślałem o nim, gdy się budziłem; żyłem nim podczas snu. Czego mogłem żałować? Tego, że uciekłem z Grobu? Że zabiłem pierwszą osobę, gdy miałem trzynaście lat? Że wstąpiłem do bandy najemników, niewyznającej żadnych zasad? Na każde pytanie mogłem odpowiedzieć bez namysłu: nie, nie żałuję. Każda z tych rzeczy uczyniła mnie tym, kim wtedy byłem. Samotnym Wilkiem. Nie mogłem się zadręczać, jeśli chciałem przeżyć, a w Nowym Świecie nie było niczego ważniejszego. Żyj i daj umrzeć, jak głosiło powszechne powiedzenie. Proste.

I tym razem obudziło mnie to pytanie. Wstałem ze złością i zacząłem zwijać obóz. Sprawdziłem pułapki i wnyki, zagotowałem na małym ogniu wodę, by mieć na później, zjadłem, gwałtownie odrywając zębami kawałki czerstwego suchara. Na koniec jeszcze raz wyczyściłem broń, załadowałem i wygodnie umieściłem ją na plecach. Po piętnastu minutach byłem gotowy do drogi.

Wyznaczałem sobie cele — tym razem padło na Wąwóz Krzyku. Nowy Świat uczynił ze mnie nie lada podróżnika. Szkoda tylko, że tych wszystkich miejsc, o których czytałem w starych, zniszczonych książkach, już dawno nie było. Wąwóz Krzyku nie zawsze nim był, dawna nazwa została jednak zapomniana.

Maszerowałem po spalonych polach, uzbrojony jedynie w cierpliwość i karabin maszynowy, a wokół mnie nie było nic. Dopiero po kilku godzinach, kiedy z pól przeniosłem się na równie spaloną dróżkę, w oddali zamajaczył kontur ruin jakiegoś domostwa.

Unikałem domów na przedmieściach, a tym bardziej w miastach, ale wątpiłem, żeby jakikolwiek gang zdecydował się zamieszkać na takim odludziu, toteż postanowiłem wejść do środka. Wyjąłem pistolet z kabury przypiętej na udzie i delikatnie uchyliłem drzwi. Oczywiście zaskrzypiały, a dźwięk ten wydał się tak głośny dla mych czułych zmysłów, że pomyślałem, iż słyszeli go wszyscy w odległości kilku mil. Jeśli ktokolwiek tam mieszkał, to na pewno już wiedział o moim przybyciu.

Podłoga była równie zdradziecka, ponieważ krzyczała pod każdym krokiem. Z wyciągniętą przed siebie bronią i z lekko ugiętymi kolanami doszedłem do salonu. Był pusty i zakurzony. Promienie słoneczne, którym udało się przedostać przez ciężkie zasłony, rzucały niezdrowe światło na sfatygowaną kanapę i wytartą wykładzinę. Pomimo brudu dom niezwykle dobrze przeżył apokalipsę. Dach zachował się niemal w całości, a na ścianach wciąż przyklejona była odrapana tapeta. Zauważyłem, że na stoliku leżało kilka przykurzonych czasopism i jedna filizanka. Zajrzawszy do środka, spostrzegłem, że na dnie wciąż tkwiły stare fusy. Niesamowite.

Nagle moje bębenki wręcz eksplodowały, gdy przez drzwi wejściowe wskoczył ujadający pies. Bez namysłu skierowałem nań broń, ale na szczęście potrafiłem trzymać nerwy na wodzy i nie wypaliłem. To w końcu tylko pies. Szkoda naboju. Kundel o maści, którą mogłem jedynie nazwać „ciemną”, momentalnie ucichł, spuścił uszy i spłoszony wybiegł z domu. Z niemąłą ulgą skierowałem się w głąb budynku.

Od środka salonu pięły się w górę schody, ale postanowiłem najpierw wy badać parter. Długi korytarz skręcał w prawo w stronę kuchni i jadalni, a na wprost prowadził do ogrodu. Prowadzące tam drzwi były otwarte, więc słońce kłuło mnie niemiło w oczy. Z każdym następnym krokiem nasilał się pewien dźwięk, który ewidentnie dobiegał z zewnątrz. Był to odgłos przypominający walenie metalem o ziemię. Wzmocniłem uścisk na pistolecie, napiąłem mięśnie i pozwoliłem uleciec wszelkim emocjom. W ciągu chwili stałem się

pozbawionym moralności humanoidem.

Mimo to widok w ogrodzie pozbawił mnie tchu. Stał tam, obok dwóch usypanych grobów, chłopczyk z łopatą. Nie chciałem wiedzieć, czy byli to jego rodzice, czy opiekunowie, których zabił w przyływie obłędu. Widywałem już i takie rzeczy i zawsze robiło mi się od nich niedobrze.

Nagle dziecko upuściło łopatę i gwałtownie odwróciło się w moją stronę. Chłopczyk okazał się być dziewczynką z nierówno obciętymi włosami i w zbyt dużym ubraniu. Jej oczy, z których wręcz sączył się jad, były bardzo jasne. Ich kolor nasuwał mi na myśl jedynie wschodzące słońce — jakkolwiek durno to nie brzmiało. Usta miała zaciśnięte, a brwi ściągnięte. Opuściłem więc broń, pokazując, że nie mam złych zamiarów. Ona jednak wyciągnęła zamaszystym ruchem swoją i wystrzeliła. Zrobiła to tak szybko, że nawet nie zdążyłem mrugnąć. Czekałem na rwący ból w piersi i wylewającą się z rany krew. Czekałem, aż padnę na ziemię.

Tymczasem na lewo ode mnie padł ghul, który pojawił się nie wiadomo skąd. Był bardzo stary — nawet jak na ghula. Skóry praktycznie już na nim nie było, nie miał lewej ręki i oka, a na ustach zastygł mu ten okropnie przerażający „uśmiech”.

Nieoczekiwanie uświadomiłem sobie, jak głupio się zachowałem. Tak wstrząsnął mną widok dziecka zakopującego mogiły, że porzuciłem ostrożność. To ja powinienem był przez cały czas trzymać w dłoni pistolet, zamiast stać na muszce umorusanej dziewczynki.

Ta raz jeszcze łypnęła na mnie złowrogo, po czym odrzuciła broń i zaczęła uklepywać łopatą ziemię na grobach.

— Jak się nazywasz? — spytałem.

Dziewczynka nie odpowiedziała, zajęta swoją pracą.

— To twoi rodzice? — parłem dalej. Jej milczenie sprawiało, że nie umiałem odejść. — Hej! — krzyknąłem rozeźlony i dotknąłem jej ramienia, odwracając ją w moją stronę.

Kiedy to zrobiłem, z jej gardła wydarł się krzyk, oczy rozszerzyły się ze strachu, a skóra zbladła. Nagle zemdlą.

Odkoczyłem przerażony i prawie potknąłem się o ghula leżącego na ziemi. Niespodziewanie z domu wybiegł pies, ten sam, którego widziałem wcześniej, i usiadł przy dziewczynce. Był wychudzony, tak jak jego pani, i nie stanowił zbyt dużego wyzwania, ale ani myślał jej zostawiać.

„A co ze mną?”

„Jak to — co z tobą? Odwróć się, poszukaj w domu jedzenia i wody i idź dalej. Do Wąwozu Krzyku jeszcze daleka droga”.

Wszedłem do środka, ale zatrzymałem się w połowie drogi do kuchni.

„Mam ją tak zostawić? Potrafi strzelać, ale skoro została sama, to zbyt długo nie przeżyje”.

„No i...? Niby co chcesz zrobić? W Nowym Świecie każdy musi najpierw myśleć o sobie, Wilku. Byłem pewny, że o tym wiesz”.

„Tak, faktycznie. Co mnie może obchodzić jakaś wygłodzona dziewczynka. Mało jest takich na Ziemi?”

Przekroczyłem próg kuchni i zacząłem przetrząsać szafki. Po chwili ocknąłem się.

„Czy to jednak nie takie myślenie sprawia, że tak właśnie jest na świecie? Ile innych osób machnęło ręką i zajęło się sobą? Ile osób pomyślało, że niczego nie zmienia, więc nawet nie próbują? Kto jej pomoże, jeśli ja tego nie zrobię?”

„Ale Nowy Świat...”

„I to ma być moja wymówka? Jak myślisz, dlaczego Stary Świat runął? Przez dokładnie takie podejście. Nawet apokalipsa nie może być usprawiedliwieniem obojętności”

Stoczyłem batalię z samym sobą i ku własnemu niedowierzaniu wyszedłem z niej zwycięsko. Żyj i daj umrzeć, tak? A może bądź człowiekiem w pierwszej kolejności, a

później, gdy kurtyna wreszcie opadnie, bestią.

Mała, przytulona do psa niczym do pluszaka, nie budziła się jeszcze przez parę godzin, więc rzeczywiście postanowiłem znaleźć w domu jakieś jedzenie. Wpadły mi w ręce tylko dwie puszki z fasolą i butelka wody, ale nigdy nie liczyłem na więcej. Gdy z własną porcją fasoli usiadłem na krześle, naprzeciwko spłowiełej kanapy, na której ją ułożyłem, dziewczynka otworzyła nieśmiało oczy. Zobaczywszy mnie, wtuliła się jeszcze mocniej w sierść psa, ale nic nie powiedziała. Miała krótkie, ciemnoblonde włosy, które idealnie pasowały do delikatnych rysów twarzy — zadartego nosa i wysokich kości policzkowych.

— Obudziłaś się, dobrze. Jestem Wilk. Może powiesz mi, jak się nazywasz? — spytałem, po czym włożyłem do ust łyżkę z fasolą.

Przesunęła lekko psa i usiadła, ale nie sprawiała wrażenia, jakby miała zamiar coś powiedzieć.

— Jeśli mi nie powiesz, to sam będę musiał wymyślić ci imię, a ostrzegam, że nie grzeszę kreatywnością.

Mała wyglądała, jak gdyby tylko na to czekała.

— No dobra, jak chcesz. To niech będzie... hmm... — przyjrzałem się jej raz jeszcze i dostrzegłem liczbę dziesięć wytatuowaną za prawym uchem. — Dziesiątka. Idealnie.

Dziewczynka raptownie dotknęła tatuażu, a na jej twarzy odbił się strach, ale nie zaprotestowała.

Odstawiłem miskę na podłogę i zabrałem z kuchni tę przeznaczoną dla niej. Wzięła ją niechętnie, jednak już po chwili zjadła łapczywie. Uśmiechnąłem się pod nosem. Siedzieliśmy w ciszy, którą zakłócało tylko miarowe uderzanie sztućcami. Dziesiątka przez cały ten czas patrzyła na mnie podejrzliwie, jakby bała się, że zaraz zabiorę jej miskę albo że ją zastrzelę.

— Czemu się mnie boisz? — spytałem wprost, choć nie oczekiwałem odpowiedzi.

Mała zrobiła wielkie oczy i wykrzywiła usta w gniewie.

— Wcale się nie boję! — krzyknęła głosem pełnym oburzenia.

— Ha! Czyli jednak potrafisz mówić.

Przez tę uwagę znowu umilkła, lecz tym razem w jej oczach nie dostrzegłem już strachu.

Przez resztę obiadu towarzyszyła nam cicha nić porozumienia.

— Możemy iść z tobą? — spytała cienkim głosem dziewczynka, kiedy ostrzyłem nóż.

Nie nalegała, nie zapewniała, że dotrzyma mi kroku, nie obiecywała, że nie będzie sprawiać kłopotu. Po prostu spytała, patrząc na mnie swoimi wielkimi oczami, wiedząc, że byłyby to tylko niepotrzebne słowa. Wystarczyło mi tych kilkanaście minut, bym zauważył, że ma ogromną zaletę — mówiła tylko to, co konieczne było do powiedzenia. Mimo to wcale nie uśmiechało mi się jej towarzystwo, choć wiedziałem, że raczej dużego wyboru nie miałem.

„Może znajdzie się po drodze jakaś grupa, u której będę mógł ją zostawić”.

— My?

— Ja i Szakal — odpowiedziała, pokazując na wychudzonego psa.

— Nazwałeś psa „Szakal”?

— Nie nazwałam. To jest Szakal. A ty nazwałeś się Wilkiem? — spytała ironicznie.

Wzruszyłem ramionami. Dziesiątka najwidoczniej uznała to za zgodę, bo na jej zapadłej twarzy zagościł ledwo widoczny uśmiech. Wzięła z oparcia fotela wytartą kurtkę, zawiązała buty na dwa razy, schowała swój pistolet za pasek spodni i w mgnieniu oka stała przede mną z wyrazem twarzy oznaczającym gotowość do drogi.

— To wszystko co masz? — spytałem powątpiewająco.

W odpowiedzi kiwnęła głową.

— No dobra, skoro idziemy razem, to możemy zabrać całe jedzenie. Przeszukaj tamte

szafki — wskazałem na lewą stronę kuchni — a ja przetrząsnę pokoje.

Dziesiątka spojrzała na mnie z politowaniem i jednym zgrabnym ruchem odsunęła fotel stojący naprzeciwko sofy. Pod spodem ukazały się takie same klepki jak w całym salonie. Dziewczynka jednak podwinęła nogawkę, skąd błysnął przymocowany do łydki nóż, którym podważyła najbardziej spróchniałą deskę. Wyrwawszy ją, wyjęła z powstałej dziury jedenaście puszek z konserwami, trzy kawałki sera zawiniętego w papier, kilka torebek suszonych owoców i orzechów oraz sześć paczek suszonego mięsa i cztery butelki wody. Na koniec rzuciła na całą stertę dwie tabliczki czekolady — równie dobrze mogła wyjąć sto sztabek złota, wartość byłaby taka sama.

Nie było sensu zadawać żadnych pytań, toteż zacząłem pakować wszystko do plecaka. Dziewczynka wybiegła na chwilę z pokoju, by zaraz wrócić ze swoim plecakiem i również wpakowywać doń jedzenie.

Gdy skończyliśmy, wziąłem do ręki karabin i otworzyłem drzwi.

— Gotowa?

Dziesiątka nie obiecała, że dotrzyma mi kroku, ale to robiła. Gdyby nie pies, który co jakiś czas wybiegał przede mną i czekał, aż do niego dojdziemy, w ogóle zapomniałbym, że nie idę sam. Nie zostawała w tyle i nie narzekała nawet wtedy, kiedy sam poczułem, że czas na postój. Ponieważ akurat przechodziliśmy koło domu, który nie miał nawet dachu, a powoli już się ściemniało, to odpoczynek był bardzo wskazany. Zamontowałem sznur z puszkami w miejscach, gdzie ziały dziury, po czym usiadłem na czymś, co kiedyś najpewniej było fotelem. Dziesiątka też usiadła, a zaraz potem Szakał ułożył się u jej stóp. Lubiłem ciszę, jako że była najpiękniejszym dźwiękiem na Ziemi, ale powoli zaczynała mnie męczyć.

— Nie ciekawi cię, dokąd idziemy? — spytałem, sprawdzając karabin.

— Nie — odpowiedziała.

Oparłem broń o podłokietnik fotela i ułożyłem się wygodnie. Gdzieś daleko usłyszałem łopot podrywającego się do lotu ptaka.

— Zmierzamy do Wąwozu Krzyku.

Po twarzy Dziesiątki przebiegł cień strachu, ale tylko przez chwilę. Odchyliła się w swoim fotelu, ukrywając twarz w mroku. Szakał położył po sobie uszy.

— Dlaczego... — w jej głosie słychać było zdenerwowanie, więc odchrząknęła. — Dlaczego tam?

— A czemu nie? — wzruszyłem ramionami.

Nie usłyszałem odpowiedzi.

Siedzący przede mną mężczyzna zamknął oczy. Nazywał się Wilk i miano to idealnie doń pasowało. Miał długie, czarne włosy zaplecione w kucyk, ostrzyżone krótko przy skroniach. Jego oczy świeciły błękitem i przeszywały każdego na wylot, zdradzając niesamowitą inteligencję i wrodzoną ostrożność. Zakładał maskę obojętności i pogardy, ale w jego spojrzeniu dostrzegałam ukrytą wrażliwość. Wrażliwość, którą uważał za oznakę słabości, bo w Nowym Świecie nie było dla niej miejsca. Osobiście uważałam tę nazwę za groteskową. Jaki nowy świat? Czyżby zamiast gleby Ziemię pokrywały ostre kamienie? Czy w jeziorach, morzach i oceanach nie było wody? Czy oddychaliśmy azotem? A może niebo miało barwę ciemnej zieleni, a znad horyzontu nie unosiło się Słońce? Jedyne, co się zmieniło, to nasze wyobrażenie o świecie. Ziemia zawsze pozostawała taka sama.

Ten sam Wilk, który wybawił mnie od śmierci, ten sam, który nadał mi imię Dziesiątka, nie wiedząc nawet, jak bardzo to miano do mnie pasowało, teraz oznajmił, że zmierzamy do Wąwozu Krzyku. Czemu ze wszystkich miejsc na Ziemi wybrał właśnie to? Nie wiedział, co się tam działo? A może wiedział doskonale? Nie byłam pewna, która opcja przerażała mnie bardziej. Wąwóz Krzyku nie brał swej nazwy znikąd.

Miałam świadomość, że nijak nie odwiędę go od tego pomysłu, chyba że zdradziłabym mu prawdę, a na to nie mogłam pozwolić. Nie był gotowy. Zostało mi tylko cicho podążyć za Wilkiem, łudząc się, że właśnie tak powinno być.

Po tamtej nocy Dziesiątka, z zupełnie niewiadomych dla mnie przyczyn, stała się bardziej otwarta i przystępna. Wydawało mi się, że i ona, i jej pies wyglądali lepiej niż wtedy, kiedy ich znalazłem. Oczy dziewczynki nie były już puste, nie sięgały do innego świata, odbijała się w nich za to determinacja. Maszerowała sprawniej, a jej milczenie zdawało się naturalne, nie wymuszone. Szakał wciąż miał wystające żebra, ale sierść nabrała zdrowszego odcienia i nie biegał już ze spuszczoną głową. A to wszystko odmieniło się w ciągu jednej nocy.

— Dlaczego nazywasz się Wilk? — spytała mnie, gdy dochodziło południe. — Co z twoim prawdziwym imieniem?

— Przepadło, tak jak i wiele innych rzeczy. Kiedyś oczywiście nazywałem się inaczej, ale porzuciłem tamto miano, kiedy uciekłem z Grobu i dołączyłem do niezwykle krwawych najemników. Stąd właśnie Wilk — groźny, żyjący z watahą, ale również samotnie, gdy sytuacja tego wymaga.

Dziesiątka spuściła głowę i zaczęła przyglądać się swoim butom.

— Co to jest Grób? Jakies miasto?

— Można tak powiedzieć. Widzisz, żyliśmy pod powierzchnią, na którą wychodziło się nie z pionowego otworu — jak w kryptach czy jaskiniach — ale z wyjścia znajdującego się bezpośrednio na poziomie ziemi. W środku nie mieliśmy zbyt wielu światel i wszystko wykopane było ręcznie. Dostyc ponure miejsce, przyznaję.

— Dlatego odszedłeś? Bo było ponuro?

Jej głos był tak spokojny, że słowa same wychodziły z moich ust.

— Uciekłem, bo się tam dusiłem. Nic tylko wspólnota i wspólnota. Nie można było nawet mrugnąć, jeśli to zaszkodziłoby społeczności.

„Czy żałujesz?”

— Gdy uciekałem, obiecałem sobie, że nigdy nie obejrzę się za siebie. I tak zrobiłem. Jeśli ktokolwiek spytałby mnie, czy kiedykolwiek tego żałowałem, to bez wahania odpowiedziałbym: nie.

Ponieważ Dziesiątka o nic więcej nie spytała, postanowiłem wykorzystać sytuację.

— Wtedy, kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy, zasypywałaś groby. To byli twoi rodzice?

Krew. Krew leci z waszych serc. Życie ucieka z was razem z tą krwią, a ja nic nie mogę uczynić.

„Co mam robić? Proszę, proszę, nie odchodźcie. Zostańcie jeszcze chwilę, jeszcze tylko jedną minutkę”.

Krew jest taka gorąca, a wy jesteście tacy zimni. Dlaczego? Nic nie rozumiem. To mój świat, więc jak wy możecie umierać? To ja powinnam czuć teraz drętwość ogarniającą ciało, paraliż niepozwalający myśleć o niczym. Wzrok powinien zachodzić mi mgłą i powinnam mieć nadzieję, że wreszcie czeka na mnie to inne, lepsze życie. Zamiast tego po policzkach lecą mi łzy, gdy tkwię w koszmarze.

Jednak oczy Wilka nie są martwe. Świdrują mnie do głębi, nie mogąc doczekać się odpowiedzi. Kim była dla mnie Cztery, a kim Sześć?

— Mało które dziecko ma teraz rodziców, bo większość jest rodzona z nienawiści. To byli moi ochroniarze. Albo raczej opiekunowie — ta nazwa bardziej przypadła im do gustu.

— Nic dziwnego. Ochroniarze to dosyć kuriozalne określenie — skwitowałem.

— Och, no wiesz. Jestem córką króla Północy i właśnie zmierzałam do męża, którego dla mnie wybrał — odpowiedziała z uśmiechem i puściła mi oko.

Po chwili oboje wybuchliśmy śmiechem. Ten dźwięk był cudowniejszy od ciszy.

Mijały dni, więc mój cel w końcu musiał zostać osiągnięty. Było to dziesiątego dnia odkąd spotkałem Dziesiątkę. Niezły przypadek.

Najbardziej dziwiło mnie to, że po drodze nie napotkaliśmy żadnych trudności. Żadnych najemników, dzikich zwierząt ani zwyczajnych mieszkańców. Jednak to wcale nie było aż tak osobliwe, jak się mogło wydawać. Ostatecznie końce świata właśnie to do siebie mają — Ziemia staje się pusta. Jedzenie znalezione w domu całkiem dobrze na nas wpłynęło, szczególnie czekolada. Podróż okazała się być przyjemną wyprawą i nawet jeśli mogłem zostawić gdzieś Dziesiątkę i Szakala, to tego nie uczyniłem.

Wąwóz Krzyków był ogromną wyrwą między dwoma czerwonymi, monumentalnymi skałami i potrzebowałem chwili, żeby ogarnąć cały wzrokiem. Dziesiątka jednak bez słowa ruszyła naprzód.

— Gdzie idziesz? — spytałem.

— Chcę zobaczyć więcej — odrzekła, a jej głos był zimny.

Z każdym kolejnym krokiem podobało mi się tam mniej, bo coś było nie w porządku. Coś złowrogiego wisiało w powietrzu.

Wąwóz ciągnął się i ciągnął, a czerwony pył osadzał się na moich włosach i ubraniu, bezceremonialnie wchodził do gardła i płuc. W końcu, kiedy pomyślałem, że najwidoczniej ten wąwóz nie ma wyjścia, przed naszymi oczami ukazał się wielkich rozmiarów budynek. Zdecydowanie pochodził sprzed apokalipsy, ale trudno było w to uwierzyć, widząc okazałe ściany i nienaruszony dach. Dziesiątka zatrzymała się gwałtownie.

— Nic się nie zmieniło, a tymczasem wszystko jest inne. Co my tu znowu robimy, Szakal? — szepnęła ze łzami w oczach. Wytarła je szybko ręką. — To przez ten cholerny pył.

— Dziesiątka, co się dzieje? — spytałem, kładąc dłoń na jej ramieniu.

— Nic... nic. Musimy... musimy stąd iść.

Ruszyliśmy z powrotem, jednak niewidzialna siła zaczęła wpychać nas do budynku. Trafiliśmy w okno, roztrzaskując je na mnóstwo drobnych i ostrych kawałków. Jeden wbił mi się w policzek, niektóre zaplątały w ubranie.

— Przepraszam, Wilku. Przepraszam — wycharczała dziewczynka, leżąc nieopodal mnie. Krwawiła, ale nie miałem siły, aby się do niej doczołgać.

— Nie musisz... to nie twoja wina — próbowałem się uśmiechnąć.

— Och, jak bardzo się mylisz, mój samotny Wilczku — powiedział ktoś, kogo nie znałem. W naszym kierunku zmierzał wysoki, blady mężczyzna z pistoletem w ręku.

Co się do cholery działo?

— Och, Dziesięć. Gdzie zgubiłaś Czwórkę i Szóstkę? — spytał aksamitnym głosem i pochylił się nad dziewczynką. Delikatnie dotknął lufą pistoletu jej policzka. — Powinienem cię za to ukarać, ale niestety tym razem to zadanie przypadnie komuś innemu.

— Zostaw ją — rozkazałem hardo, ale ponieważ gardło wciąż miałem pełne pyłu, nie zabrzmiało to groźnie.

Mężczyzna skierował na mnie swą bladą, wymuskaną twarz i przekrzywił głowę.

— Ach, tak. Wilk o lwim sercu. Prawie niemożliwe — skwitował, po czym usiadł na krześle naprzeciwko nas. Szakal, który w ogóle nie ucierpiał, podreptał doń i usiadł u jego stóp. — Ale dość z tymi frazesami, przejdźmy do konkretów. Tak, wiem, że to dla ciebie bardzo szokujące i tak dalej, bla, bla, bla, dlatego pozwól, że coś ci wyjaśnię. Ściągnąłem cię tu specjalnie po to, żeby powiedzieć ci, że nic, co teraz widzisz, nie jest prawdziwe —

wyszeptał z rekinim uśmiechem.

— To nie tak... — wtrąciła dziewczynka.

— Zamknij się, Dziesięć. To w końcu twoja wina. Ale wracając. To wszystko sen albo raczej koszmar, w którym tkwisz już czterdzieści lat.

— Co?

Myślałem, że zaraz łeb mi pęknie.

— Pomyśl — pamiętasz życie sprzed apokalipsy, a to powinno być raczej niemożliwe, prawda? Dlaczego wszystko było dla ciebie takie łatwe? Dlaczego nie cierpisz na chorobę popromienną? Dlaczego wciąż dychasz? I kto, do cholery, cały czas gada w twojej głowie?

— Nie słuchaj go...

— Jak zwykle nie potrafisz się zamknąć! — wykrzyknął z szaleństwem w oczach i zaczął szybko pocierać dłońmi o włosy. — Pokażę ci coś, Wilczku! — dodał i wystrzelił z pistoletu w Dziesiątkę.

Z gardła wydarł mi się krzyk. W akompaniamencie obłąkanego śmiechu mężczyzny wstałem z trudem i podbiegłem do Dziesiątki. Jednak z jej rany nie leciała krew, na jej twarzy nie zastygł wyraz agonii. Jej oczy nawet nie spojrzały na dziurę po kuli.

— To nie sen. To solipsystyczne wyobrażenie świata — wydusiła z siebie cicho.

— Nic nie istnieje. — Mężczyzna podniósł broń. — Nawet jeśli coś istnieje, nikt nie może o tym wiedzieć. — Załadował. — Nawet jeśli ktoś by wiedział, nie mógłby o tym powiedzieć. — Odbezpieczył. — Ups, złamałem zasadę.

Chwyciłem twarz dziewczynki w swoje dłonie i spojrzałem jej głęboko w oczy.

— Dziesiątka, o co chodzi? O czym on, do cholery jasnej, gada?

— Numer wypalony na mojej szyi, moje imię — Dziesięć — wiąże się z tym, że jestem ofiarą eksperymentów. Ten idiota, Rollo, nie kłamie. Wszystko, co widzisz, jest iluzją. Wymyśliłam dla siebie alternatywny świat, a moc uwolniona przez eksperymenty sprawiła, że stał się materialny. Jednak zamiast raju powstało piekło, które zaczęło wciągać inne obiekty. Tamci zakopani opiekunowie, to była Czwórka i Szóstka. Trafiła tu też Dwójka i Dziewiątka. W końcu również Rollo z tą okropną imitacją ośrodka i wielu innych ludzi, włącznie z tobą — złapała się za głowę. — Boże, to trwa już tyle lat. Kompletnie nad tym nie panuję. Jestem Stworzycielem zakuwającym swe twory w kajdany — miała rozbiegany wzrok, słaby głos. — Proszę, Wilku, strzel mi w głowę, tylko to może mnie zabić. Zabij mnie i skończ ten niekończący się koszmar — łzy ściekały jej po policzkach i skapywały na pierś.

Nagle usłyszałem dźwięk uderzających o siebie dłoni. Odwróciłem się i ujrzałem klaszczącego Rolla.

— Piękny występ, Dziesiąteczko, doprawdy, aż boli mnie serce — mężczyzna wyprostował się i przybrał poważny wyraz twarzy. — Jak ją zabijesz, to utkniemy tu na zawsze, a ona zyska nad nami władzę absolutną. Dopóki „żyje” może jedynie wciągać tu innych, a to i tak nieświadomie. Jednak kiedy „umrze” uwolni w sobie taką moc, że wciągnie w tę iluzję prawdziwy świat, ze sobą jako bogiem na czele. Mówiąc kolokwialnie — zniżył głos do szeptu — zabijając ją, skążesz całą ludzkość na wieczną gehennę.

— Co?! Rollo to kłamliwa bestia, torturował mnie i eksperymentował na mnie. Wiem, że źle zrobiłam, ale czy to naprawdę takie dziwne, że dziewczynka trzymana w klatce, z nabrzmiałymi żyłami, przekrwionymi oczami i łuszczącą się skórą, zapragnęła wolności?

— Jesteś chora, Dziesięć. My tylko próbowaliśmy ci pomóc. Przestań kłamać.

— Spokojnie, mała. Zaraz wszystko się skończy — przyrzekłem, wyjmując z kabury pistolet.

— Ależ jesteś naiwny, Wilku — powiedział dziwny mężczyzna i wystrzelił do Szakała.

W pomieszczeniu rozległ się kolejny huk i choć sam poczułem gniew, na twarzy dziewczynki nie drgnął nawet jeden mięsień.

— Widzisz? Ona nic nie czuje. Jeśli ktokolwiek był kiedyś w tym ośrodku torturowany, to ona była tym, kto trzymał nóż. Wiem, że masz tylko jeden pocisk w kaburze. W kogo on trafi? Wybierz tak, żeby później nie żałować.

W ciągu jednej krótkiej chwili w Dziesiątce zaszła zmiana. Oczy zaszły jej mgłą, twarz ściągnął wyraz szaleństwa.

— Wilczku, mogę zrobić cię królem. Mogę dać ci, co tylko zapragniesz. Wystarczy, że wystrzelisz. Czemu ma cię obchodzić cały świat? No, dalej. Wiem, że tego chcesz. Każdy tego chce. Władza jest okropna, dopóki się jej nie posmakuje.

„Czy żałujesz?”

— Królu?

Młody mężczyzna ocknął się z letargu i powiódł wzrokiem po możliwych zgromadzonych w komnacie.

— To wszystko na dzisiaj. Możecie odejść — odparł zmęczonym głosem i przetarł oczy przegubem dłoni.

— Panie, czy wszystko w porządku?

Zbył sługę niedbałym ruchem ręki.

Nagle w drugim końcu sali dostrzegł małą, blondwłosą dziewczynkę z psem u boku. Na szyi miała wypaloną liczbę dziesięć. Wydawało mu się, że ją zna, ale nie potrafił sobie przypomnieć skąd. Zniknęła, gdy tylko mrugnął. Najwidoczniej znowu coś mu się przywidziało.

Czy żałujesz, mój Wilczku? Nie? I dobrze. Nie żałuj. W końcu w tym świecie jesteś królem, masz władzę. Nikt nigdy jej nie chciał, zawsze trafiał się jakiś pieprzony bohater, który ostatni pocisk wpakowywał w swój łeb. Zamknij oczy, przestań myśleć. Żyj i daj umrzeć, tak? Kurtyna wreszcie opadła — czas być bestią.

Nieproszony gość

Katarzyna Abramowska

Alexander Decimus obudził się z potwornym bólem głowy. Nie przypominało to zwykłego kaca po przepiciu z kompanami zapasów z rodzinnej winnicy. Przekrzywił delikatnie głowę i mimowolnie syknął z bólu. Gdzieś na potylicy musiał wykwitnąć spory guz, pewnie po jakimś konkretnym uderzeniu tępym narzędziem. W ustach czuł litry wypitego wczoraj piwa i mieszanki kilkunastu przekąsek, które zamówili na imprezę powitalną. Miło, że przyjaciele zorganizowali coś takiego z okazji jego powrotu. Choć ostatni raz był w kraju lata temu, wierni kompani cierpliwie czekali na znak życia i sygnał do kolejnego spotkania. Nie to co dzisiejsza młodzież! Gdzie się nie ruszyć, natrafia się na kanalie. Oczywiście kanalie były, są i będą, ale teraz są jakby w większej ilości. Starzeję się, pomyślał Alexander melancholijnie, kręcąc się na materacu.

Tylko jedna rzecz go zastanawiała, a właściwie dwie. Owszem, wczoraj pił, bo kto odmówiłby sobie łyku ognistej wody na poprawę trawienia, ale nie do tego stopnia, żeby stracić przytomność. Po drugie, nawet w najgorszym zamroczeniu nie przykułby się do ramy łóżka policyjnymi kajdankami. Zaaferowany i nadal lekko zamroczony uniósł ręce. Metal prześlizgnął się po pręcie, zatrzymując się na najniższym szczeblu. Szarpnął raz i drugi bez większych efektów, za to coraz bardziej rozwścieczony. Ostatni raz zebrał się w sobie, zaparł nogami o materac i gwałtownym ruchem pociągnął do góry.

— O kur... — zmeł w ustach przekleństwo. Pokój wirował mu przed oczami, a kolacja domagała się natychmiastowego wypuszczenia z aresztu. — Nie dziwne, że inkwizycja tak lubiła wieszać delikwenta pod sufitem.

Przekreślił kościste nadgarstki w obręczach, jednak nie udało mu się ich zsunąć.

— A niech cię Tatarzy wygrzmocą jak niewinną pannę, psi synu! Żeby wiązać szlachcica i to jeszcze w jego własnym łóżku! Świat schodzi na psy.

Rozejrzył się po pokoju, który dawno temu przestał przypominać siedzibę dumnego staropolskiego rodu. Ostatni remont miał miejsce chyba zaraz przed wielką wojną i co tu dużo mówić, to było widać na pierwszy rzut oka. Żółta tapeta odklejała się od ściany, gdzieś tam zwisały smętne strzepy, przyprowadzając go o napad melancholii. Ten „kolorowy” papier przeżył wojny, komunizm i dotrwał do czasów zakłamanego kapitalizmu, równie destrukcyjnego co poprzedni ustrój. Wzór w kwiaty, który zamówiła jego ówczesna faworyta, stał się do cna. Ściany na szczęście się trzymały, z sufitu trochę ciekło, ale tylko podczas deszczu. Niestety, puchaty dywan musiał natychmiast wyrzucić na śmietnik, bo zapach kocich odchodów odurzał lepiej niż chloroform. Zabytkowych mebli już dawno nie było. Miejscowi ukradli wszystko, co dało się wynieść lub porwać na strzepy. Dlaczego zostawili biedny dywan? Trudno powiedzieć. W sumie mógłbym zabrać się za ten remont — zdecydował w końcu, gapiąc się na grzyb pożerający ścianę. — Następnym razem, jak wrócę, mogę zastać buldożer na posesji.

Kajdanki okazały się nieprzyjemną niespodzianką w stylu popularnej, bezbożnej serii książek. Dotychczasowe kochanki nie posiadały aż takiej wyobraźni w sprawach łóżkowych. Nie chciały nawet słyszeć o jakichś więzach, a teraz? Co drugiej śni się chory związek psychicznej dziewczyny z typowym tyranem, który różni się od zrzędlivego męża tym, że nie zagania swojej kobiety do kuchni.

Tylko że tej nocy na pewno nie dzielił łoża z żadną dziewczyną.

Skąd więc te zabaweczki?

Kumple? Nie, oni wypili znacznie więcej od niego. On jeszcze jakoś doczłapał się do domu, reszta raczej poczekała z wyjściem do rana. Poza tym wymyśliliby lepszy żart niż taka błażostka. Środki przeczyszczające w wódce albo wywiezienie za miasto i zostawienie gołego na pastwę losu, to było jak najbardziej w ich stylu.

Leniwe rozmyślenia przerwało wejście nieznanego postaci. W słabym świetle promieni słonecznych, przedzierających się przez poźółkłe ze starości firanki, zobaczył, że ma do czynienia z młodym, postawnym mężczyzną. Wielu kobietom mógł wydać się atrakcyjny ze swoimi czarnymi włosami i oczami jak dwie studnie. Gdyby był bły jak trup, Decimus wziąłby go za manifestację śmierci, której skutecznie unikał przez tyle lat, ale jego skóra miała przyjemny brązowy odcień. Poza tym nie wyróżniał się jakoś szczególnie. Czarna kurtka i koszulka wisiały na nim, a dzinsy sprzą do tego stopnia, że w kilku miejscach stały się białe.

— Witam pana — przywitał się grzecznie, skłaniając głowę w parodii ukłonu. — Z kim mam do czynienia? O ile, oczywiście, mogę spytać.

Nieznajomy obrzucił go nienawistnym spojrzeniem, ale nic nie odpowiedział. Wniósł do pokoju skórzaną walizkę okutą żelaznymi wzmocnieniami na rogach i przy zamku. Skleroza, przecież zamiast podziwiać piękne oczęta, powinien najpierw sprawdzić, co niezajomy trzyma w garści. Głupi, dziecinny błąd, a jak widać, będzie go drogo kosztował.

Ciężka walizka wylądowała na brzegu posłania, ale tak, żeby hrabia mógł zajrzeć do środka.

— Matko Boska Częstochowska...! — wykrzyknął zszokowany. — Ciemnogród! Pierdolony Siedmiogród!

Szarpnął całym ciałem w lewo, potem w prawo, strącając walizkę z zawartością na podłogę. Nieznajomy rzucił się jej na ratunek, ale dwie białe flaszki wypadły, rozbijając się o

deski z głuchym trzaskiem. Obok spadł zaostrzony kołek i bladoniebieski, świecący w ciemności różaniec.

— Widzisz i nie grzmisz! — darł się dalej, coraz bardziej wściekły. Co za wstyd, taka hańba! — Znalazł się pogromca wampirów od siedmiu boleści, do stu piorunów! Do kopania rowów, a nie szukania istot paranormalnych, debilu!

Ta ostatnia uwaga chyba nie przypadła gościowi do gustu, bo wymierzył Alexandrowi celny cios w lewy policzek, a potem kolejny pod żebra.

Urażony hrabia umilkł, wypluł zabarwioną na czerwono ślinę i skupił się na obserwowaniu przeciwnika. Pomijając barbarzyńskie metody mężczyzny, bił on nadspodziewanie słabo. To już nie te czasy, żeby pojedynczy cios pozostawiał dziury w ścianach bez szkody dla atakującego. Świat się zmienia, a tacy, jak ten egzorcysta od siedmiu boleści, rodzą się co minutę.

Mężczyzna z namaszczeniem ułożył na pościeli kolejne przedmioty: różaniec, modlitewnik, krzyż, świece i ocalałą butelkę, najpewniej z wodą święconą.

— Wyślę cię z powrotem do piekła — powiedział w końcu, mierząc wzrokiem rozłożonego na materacu hrabiego. — Wrócisz tam, skąd przybyłeś, poczwaro!

Decimus zagryzł wargę na tak jawną zniewagę. Może nie był szczególnie urodziwy, ale wiele kobiet skusiło się na niewysokiego, schludnego mężczyznę z orlim nosem. Nie wyglądał wcale tak staro, chociaż w kącikach oczu pokazały się kurze łapki. Najgorsze były zakola. Spróbował wszystkich specyfików dostępnych w aptekach i po raz kolejny przekonał się, że marketing jest równoznaczny z pięknie przedstawionym kłamstwem. W sumie powinien się cieszyć, bo gdyby został uznany za osobę atrakcyjną, to strach się bać. Przecież leżał półnagi, a do tego skuty i bezbronny.

Na początku nieznajomy zabrał się za przeszukanie walizki Decimusa. Po wyciągnięciu bielizny i rozrzuceniu jej po podłodze, zawłaszczył skórzany portfel wypchany dolarami. Postkomunistyczny szczeniak odziedziczył po przodkach miłość do amerykańskiej waluty. Reszta zawartości chyba go nie zainteresowała, bo dał sobie spokój. Dobrze, że nie zauważył kieszonki z diamentami.

Młody egzorcysta-amator zabrał się za ustawianie świec dookoła łóżka według własnego uznania. Nie było w tym żadnego systemu, stawiał je wszędzie tam, gdzie deski nie były wygięte. No to powodzenia z takim rytuałem, pomyślał Decimus. Zapalając każdą z nich, młody nieznajomy odczytywał kolejne modlitwy z namaszczeniem godnym papieża. Należała mu się pochwała za chęci, ale jego wymowa pozostawiała wiele do życzenia. Hrabia obserwował ten teatrzyk, wsłuchując się w kolejne wersy, ale poza „Ojcze nasz” nie rozpoznał niczego pożytecznego.

— Za co właściwie chcesz mnie egzorcyzmować? — spytał, gdy dziesiąta, ostatnia świeca zapłonęła jasnym blaskiem, a modlitwa ucichła. — Bez powodu nie więzi się ludzi w ich własnym mieszkaniu...

— Milcz, bestio! — zagrzmiał intruz, władczo wyciągając dłoń w stronę Alexandra niczym uzdrowiciel z amerykańskiej telewizji.

Hrabia przewrócił oczami na tak jawne pogwałcenie etykiety, jednak powstrzymał się od dłuższego monologu na temat zasad dobrego wychowania i skupił się na większym problemie w postaci samej obecności zagadkowego gościa.

— Jako skazany — powiedział przesadnie powoli, jakby przemawiał do małego obrażonego dziecka — mam prawo znać akt oskarżenia. Chłopcze, proszę, podaj mi powód, który skłonił cię do tak... niespodziewanej wizyty w moim domostwie.

Egzorcysta sięgnął po walizkę i wyciągnął szklaną buteleczkę. Szybkim ruchem odkorkował ją, po czym chlusnął zawartością w więźnia.

— Aaach! — wrzasnął mokry Decimus, którego cierpliwość właśnie się skończyła. Co to jest?! Woda święcona czy ki diabeł? Ty psi synu, wiesz, co woda robi z materacem?

Zaśmiardnie!

Winowajca spojrział zdziwiony na wyjącego i szamoczącego się Alexandra, a potem na puste naczynie w swojej dłoni.

— Powinno cię boleć — mruknął skonfundowany. — Wampiry nie cierpią wody święconej.

Ten prosty fakt unieruchomił więźnia skuteczniej niż kajdanki. Nawet sznur i taśma nie byłyby aż tak skuteczne. Śmiać się czy płakać? Zmieszanie niedouczonego egzorcysty nadawało się do reklamy firmy produkującej prezerwatywy, skądinąd cudowny wynalazek ludzkości. „Kup nasz produkt albo spotka cię to samo, co tego gościa”. Chyba tylko Inkwizycja miała gorsze rozpoznanie w temacie, metody też mieli bardziej drastyczne. Powinien się jednak cieszyć, że chłopak bawi się w ten cały teatrzyk, a nie wbił mu kołek w serce na dzień dobry.

— Ty dupo wołowa — powiedział niemal przyjacielsko. — Wampiry mieszkają na warszawskiej Pradze. Wiesz, gdzie to jest? Ja nie jestem wampirem!

— Oczywiście, że jesteś. Mój dziadek współpracował z hrabią Iksańskim, który przepisał swój cały majątek na cudownie odnalezionego syna, czyli ciebie.

— I co z tego?

Młody mężczyzna wymierzył w niego swój kościsty palec.

— Zapoznałem się z dokumentami sprawy i pamiętnikami dziadka. Hrabia Iksański i ty to jedna i ta sama osoba!

Słowa zawisły w powietrzu, jak kurz na strychu. Jeśli oczekiwał fajerwerków, to bierna postawa więźnia musiała go rozczarować. Na oskarżonym to nietypowe stwierdzenie nie zrobiło najmniejszego wrażenia. Współpracując z prawnikami i notariuszami od wieków podejmował podobne ryzyko, ale jeszcze nikt nie okazał się na tyle bezczelny, żeby zacząć się na niego w jego własnym domu.

— Tak, to prawda. Ale nie jestem wampirem, panie... — poszukał w pamięci nazwiska ostatniego adwokata, z którym współpracował na terenie Polski. — Kamiński?

— Nowodworski — burknął tamten. Już nie był taki butny, skoro dał się zdemaskować. Przypominał sflaczałą oponę: niby samochód jedzie, ale na dłuższą metę lepiej zmienić koło. Jeśli ma się wycofać, to teraz jest moja jedyna szansa, pomyślał Decimus. — To był dziadek od strony mamy. Tylko skąd mam wiedzieć, czy nie kłamiesz? Żyjesz nienaturalnie długo, wychodzisz po zmroku, jesteś błądy...

Domorosły egzorcysta wyliczał kolejne absurdalne zarzuty, z których połowa nawet w połowie nie była zasadna. Z jednego filmu wziął trochę faktów o wampirach, bo pasowały mu do opisu fizjonomii, dołożył domieszkę wiedzy książkowej, a wszystko to doprawił popularnymi mitami. Biedny pan Zbysio, doczekał się tak tępego potomka.

— Jestem kimś na kształt alchemika, członkiem starożytnego bractwa, które opanowało wiedzę o złamaniu podstawowej reguły życia — powiedział Decimus, przerywając przydługą listę. Nie miał zbytnej ochoty dalej słuchać wykładu o długości swoich paznokci. — To mój dziesiąty żywot.

— Dziesiąty żywot?

— Tak, to długa, nudna historia pełna nagłych zwrotów akcji, romansów, zdrady i miłości, ale chyba nie masz ochoty jej słuchać, więc wypuść mnie. Wiedz, że sekret mojego życia nie wiąże się z krzywdą niewinnych ludzi.

— Ale dziesiąty?

— Taki rytuał. Jedni piją krew, a ja właśnie rozpocząłem dziesiąty żywot. Reszta twoich wspaniałych argumentów to po prostu cały ja.

— Ok, ale dlaczego dziesiąty?

Pewien opat jakieś pięćset lat temu opowiedział mu, że zna najwięcej modlitw z prośbą o cierpliwość. Za każdym razem, gdy musiał wysłuchiwać przydługich skarg swoich

braci, w myślach odtwarzał kolejną litanie, żeby w spokoju przeczekać kryzys. Bardzo ciekawa metoda, niestety, Alexander był zatwardziałym ateistą.

Poza tym, czy można uparcie ignorować młodzika z drewnianym kołkiem? Raczej nie.

— Mam ci to teraz tłumaczyć? — Westchnął zrezygnowany, gdy egzorzysta od siedmiu boleści przysiadł na materacu, wpatrzony w twarz więźnia. — Chyba nie mam wyjścia, prawda?

— Prawda. — Dla efektu podniósł solidny kołek. — Gadaj jak na spowiedzi!

— Dobra, tylko popraw kołdrę, zimno mi.

Trzeba przyznać, że młodzik zrobił to bardzo dokładnie.

— A da się coś zrobić z kajdankami?

— *Nice try*, Sauron.

— W czasach tak dawnych, że nie jesteś w stanie tego pojąć rozumem, powstało bractwo złożone z najwybitniejszych umysłów żywej krainy nad Nilem. Według legendy człowiek — Emhi — wykradł bogom trzy papirusy skrywające sekrety naginania rzeczywistości. Czwarty, pozwalający uniknąć śmierci, otrzymał od samego Ozyrysa, który był pod wrażeniem sprytu marnego człowieka. Przy okazji zastrzegł, że wiedzę z papirusów posiadzie tylko ten, kto zobaczy tajemnicze pismo na własne oczy. W ten sposób chciał ochronić świat przed utratą naturalnej równowagi. Emhi nie chciał jednak zachować tego daru dla siebie, więc stworzył coś na kształt zakonu templariuszy. Przyjmował do niego kapłanów, uczonych, biednych i bogatych, ale nigdy żadnego faraona.

— Dlaczego?

— Musisz mi przerywać? Zaraz się wszystkiego dowiesz!

— Przepraszam, kontynuuj.

Decimus prychnął pogardliwie nad zniecierpliwieniem słuchacza. Może żył już za długo i nie pamiętał swojej młodości tak, jakby tego pragnął, ale młodzi mieli wtedy z pewnością o wiele więcej szacunku dla starszych.

— Jak już mówiłem, bractwo Emhi łączyło ludzi prawie wszystkich klas, a ich głównym celem było zgromadzenie całej wiedzy o tym świecie i o świecie za kurtyną, niedostępnym dla przeciętnego człowieka.

Żeby było jasne, nie każdy mógł dostąpić zaszczytu zobaczenia zwoju. Jednak mistrzowie przez lata, wieki i tysiąclecia dbali o rozwój zgromadzenia, badali zjawiska, a nawet prowadzili nowatorskie eksperymenty.

Tak działali, aż do władzy doszedł wyszczekany dzieciak-kwiat, Echnaton. Ten podły, zarozumiały smarkacz żył w wymyślnym świecie i rządził według ustalanych wyłącznie przez siebie zasad. Z jednej strony wprowadził kult monoteistyczny, czyli wyeliminował wiarę w wielu bogów, zastępując ich nieokreślonym bytem. Z drugiej obnosił się ze swoim kalectwem, prawdopodobnie cierpiał na nienazwany jeszcze wtedy syndrom Marfana. Pogwałcił wszelkie kanony sztuki, zabrał możliwość pracy setkom rzemieślników, a do tego postanowił zniszczyć bractwo Emhi.

Co najdziwniejsze, udało mu się.

Nie udało nam się ustalić, jak do tego doszło. Prawdopodobnie faraon wytropił miejsce ukrycia zwojów i zaatakował, gdy całe bractwo świętowało inicjację kolejnych mistrzów. Dlaczego nie wykorzystał tajemnej wiedzy? Co zrobił z papirusami? Jest kilka wersji.

— Nie rozumiem. Skoro żyjecie tyle lat, to chyba właśnie wy powinniście wiedzieć, co się stało.

Decimus pokiwał głową.

— W zasadzie tak, ale pamiętaj, co powiedziałem. Tylko przez zobaczenie boskiego tekstu można osiąść wiedzę, więc kiedy Echnaton zabrał zwoje i zabił mistrzów, prawdę o wydarzeniach zasypały piaski pustyni. Nie zachowały się żadne oficjalne pisma na temat

pogromu ani, powiedzmy, pamiętniki naocznych świadków. W ten sposób historia Emhi i jego dzieła została zapomniana na tysiąclecia.

— Skoro ten faraon zniszczył klub tego Emhi, to jakim cudem ty żyjesz?

— Właśnie chciałem to wyjaśnić. Nie wiadomo jak, ale w połowie czwartego wieku przed naszą erą wszystkie papirusy znalazły się na liście księgozbioru Biblioteki Aleksandryjskiej...

— A tak naprawdę?

— Zabieram ludziom wszystkie dni, które przeżyli. Wynajduję starszuchów po dziewięćdziesiątce, opiekuję się nimi, zapewniam godny pochówek, a oni zgadzają się na tę drobną przysługę. Wszystko odbywa się za obopólną zgodą — przyznał niechętnie tajemniczy mistrz. — Zniszczyłeś mi całkiem niezłą historię! Wiesz, ile czasu zajęło mi udoskonalenie kolejnych drobnych szczegółów? Co mnie zdradziło? Zresztą, nieważne. Mimo wszystko jestem dość młody. Nie jestem nieśmiertelny, byłoby szkoda, gdybyś mnie zabił.

Egzorcysta spojrział z niechęcią na trzymany przez cały czas kołek.

— Ale do tego „rytuału” nie używacie krwi niemowląt czy innych okropnych rzeczy?

— Oczywiście, że nie — obruszył się jego rozmówca.

— To dobrze — odetchnął z ulgą chłopak. Fakt, że jednak nie miał do czynienia z wcieleniem Złego, podniósł go na duchu. Kto wie, czy na prawdziwego wampira podziałałyby zwykle kajdanki, trochę wody święconej i drewniany kołek. Poza tym nie zabił nigdy nikogo z wyjątkiem świętecznego karpia. — A masz jakiś znak? No wiesz, że to twoje dziesiąte życie.

Decimus uśmiechnął się słodko, zbijając tym młodzika z tropu.

— Panie Nowodworski, czy jest pan debilem?

— No wie pan? Skończyłem studia, ja...

— Dobrze, już dobrze. Wszystko wyjaśnię — pośpiesznie zapewnił Decimus. Już raz dostał od tego pana dowody, że ma do czynienia z cholerykiem, a nie z uosobieniem spokoju, i nie miał ochoty na powtórkę. Po prostu to już nie ten czas, gdy młodzi mieli na tyle lotne umysły, że na podstawie obrazu rozszyfrowywali miejsce i czas schadzki. — Chodzi o moje imiona. Jeśli je zapiszesz, zobaczysz pewną alegorię. Masz coś do pisania i kartkę?

Jak na ironię walizka była wypełniona wszystkimi możliwymi gratami, ale takiego drobiazgu chłopak nie znalazł. W końcu, po przetrząśnięciu wszystkich kieszeni w długim płaszczu, znalazł kilka rachunków i ogrzyzek ołówka.

Lepsze to niż nic, miał ochotę skomentować Decimus, ale się powstrzymał.

— Podyktuję ci, a za chwilę wszystko zrozumiesz — spojrział w ciemne oczy pana Nowodworskiego — Janus, Ildefons, Ilian, Iwan, Sewer, Wittorio, Awira, Willam, Iksański i na koniec Ksawery. Widzisz prawidłowość?

Egzorcysta amator przez długi czas wpatrywał się w papier, przekręcał go na wszystkie strony, a kiedy cisza zaczęła się przedłużać, pokręcił przecząco głową.

— Przecież to proste — zaprotestował hrabia. — Pokaż, jak to zapisałeś. No i mamy wyjaśnienie zagadki. Uwolnij moją prawą rękę, to pokażę, jak to powinno wyglądać. Nie patrz tak na mnie, mogę mieć przykutą tylko jedną rękę. Będę grzeczny.

Nowodworski wahał się tylko chwilę. Tajemnica alchemika była dosłownie na wyciągnięcie ręki, więc zrobił tak, jak ten mu doradził. Odrobinę bał się, kiedy przez moment mężczyzna był wolny, ale nie stało się nic niebezpiecznego.

— Popatrz, nawet to podkreślę specjalnie dla ciebie — przez chwilę Decimus pisał, po czym podsunął kartkę pod nos mężczyzny. — Teraz jest to jasne?

Ianus, **I**ldefons, **I**lian, **I**van, Se**V**er, **V**ittorio, **A**vira, **W**illam, **I**ksański, Ale**X**ander

— Cyfry rzymskie!

— Alleluja!

— Nie szukasz ucznia? Takiego czeladnika czy coś?

— Niestety nie, ale powinienem w jakiś sposób wykupić swoje życie, prawda? Przecież tak naprawdę po to tu przyszedłeś. Pomyślałeś pewnie, że stary przyk ma przy sobie jakąś fortunę, a po czarcim pomociu nikt nie będzie się upominał o majątek. Nie mam racji?

Nowodworski spuścił oczy. Poczul się nieswojo, bo w sumie stary miał rację. Mania od dawna narzekała, że ciasna kawalerka przestała im wystarczać. Laptop co chwila groził, że przestanie działać, a do tego samochód aż się prosił o wymianę na lepszy model. Gdyby dostał jakąś nagrodę, to może wyjechałoby na wakacje. Od lat marzyły mu się Azory. Cały dzień wylegiwałby się na białej, piaszczystej plaży i jeszcze popatrzyłby sobie na babeczki w bikini. A potem romantyczne spacery, zakończone figlami przez całą noc. O tak, na takim wyjeździe Manię z pewnością przestałoby boleć głowa.

— No i co z tego? A nawet jeśli, to co?

Decimus wykrzywił usta w triumfalnym uśmiechu.

— Dogadajmy się. Ja ci pokażę, gdzie jest skarb, a ty mnie uwolnisz. Wszystko, co znajdziesz, należy do ciebie. Dolary też są twoje. Stoi?

Nowodworski zastanawiał się tylko przez chwilę.

— Stoi!

Oficjalnie uścisnęli sobie dłonie.

— Podejdz do ściany po mojej prawej stronie. Dwa kroki od drzwi, na wysokości pasa powinieneś wyczuć szparę. Masz ją?

Mężczyzna przez chwilę szukał wskazanej rysy. Dokładnie obmacywał ścianę, zrywając kolejne kawałki starej tapety. Jaka szkoda, pomyślał melancholijnie więzień, obserwując zmagania gościa.

— Mam! — zawołał triumfalnie chłopak. — Co dalej?

— Tam jest jakby miejsce na palec. Dawno nie używałem tego schowka, więc musisz gwałtownym ruchem unieść ściankę. Wewnątrz ukryłem ciekawe obiekty z okresu powstania styczniowego. Na pewno sprzedasz je za bardzo dobrą cenę.

Nowodworski pokiwał ze zrozumieniem głową. Zdjął niewygodny płaszcz, potem pozbył się kołka. Splunął na dłonie, przygotowując się do wysiłku. Decimus patrzył na to wszystko z kamienną twarzą.

— Nie będziesz miał do mnie żalu? — upewnił się jeszcze niedoszły egzorcysta.

— Rób, co chcesz. Zwycięzca bierze wszystko, a ja nadal jestem na twojej łasce.

Nowodworski uśmiechnął się do siebie i do swojej nowej świetlanej przeszłości. Mógłby zająć się wyszukiwaniem takich osób jak ten tu. Już raz się udało, być może dałoby się wyżyć z poszukiwań nietypowych ludzi.

Szybkim, gwałtownym ruchem uniósł ściankę ponad głowę. W tym samym momencie huk wystrzału wypełnił mały pokój. Zaskoczona ofiara zachwiała się do tyłu i upadła, jakby nie zdając sobie sprawy, że w jej piersi nagle pojawił się tunel o średnicy pięciostópki. W ostatniej chwili chłopak złapał się za koszulkę, z ust wypływała różowa piana. Decimus słyszał, jak ciało drga na drewnianej podłodze, aż w końcu wszystko ucichło.

Odetchnął głęboko powietrzem, w którym wyczuł delikatne wspomnienie strzału.

— Chciałeś być sprytniejszy od lisa, debilu.

Ścisnął swój kciuk, aż go złamał. Taki prosty sposób i już był wolny. Zrośnie się, zanim się obejrzy. Rozmasował zdrętwiały nadgarstek. Przeżył już urazy nieprawdopodobnie groźniejsze niż to. Zerknął na martwe ciało i skrzywił się na widok kałuży krwi. Już się jej nie pozbędzie, pana Nowodworskiego też lepiej tu zostawić. Ubrał się bez pośpiechu, spakował manatki i po raz ostatni rozejrzał się po pokoju. Już tu nie wróci. Remont nie miał sensu. Musiałby włożyć w tę ruderę małą fortunę, a taki wydatek, kiedy był ciągle w rozjazdach, mijał się z celem.

Ktoś w końcu znajdzie szczątki nieproszonego gościa, ale zanim do tego dojdzie,

Decimus będzie w trakcie kolejnej podróży.

Sami sobie

Natalia Krawiec

Proszę wpisać dzisiejszą datę, imię i nazwisko, pochodzenie oraz wiek. Następnie proszę przejść do wypełniania kwestionariusza — rzekła psycholog i usiadła za swoim biurkiem.

Wiedziałam, że testy psychologiczne to ważny element naboru. To miał być ostatni krok. Finalny etap, po którego zaliczeniu miałam wejść na pokład promu. W puli rekrutacyjnej zostało już tylko dwadzieścioro ludzi. Niewielu udało się dostać aż tu. Nie byłam jednak z siebie dumna, wiedziałam, że nie będę, dopóki nie osiągnę samego celu. Utracić tę szansę teraz byłoby nawet gorsze niż w ogóle nie wejść do programu. Dziesiątka musiała jeszcze odpaść, a ja zamierzałam zostać wśród ocalałych.

Ekscytacja ustąpiła miejsca koncentracji.

„2110 rok, 5 października, Nadia Deset, Czechy, 20 lat” zapisałam starannie na kartce.

Podróże w kosmos nie są już tak rzadkie jak sto lat temu. Wiele się zmieniło od czasów Gagarina, Leonowa i Armstronga. Kosmos nadal nie jest dostępny dla bogaczy i wbrew przewidywaniom raczej nie stanie się „ośrodkiem turystycznym”, a na pewno nie będą nim jego odleglejsze niż Księżyc obiekty. Lot kosmiczny wymaga przygotowania, a ludzie są chorowici, leniwi lub zbyt zapracowani. Ci, których stać na takie rozrywki, nie są w odpowiednim stanie fizycznym i odwrotnie.

Mimo to specjalnie wyselekcjonowane jednostki wylądowane są ze społeczeństwa już w młodym wieku i przygotowywane specjalnie w celu podróży w kosmos. Każde dziecko, które przy narodzinach osiąga dziesięć punktów w skali Apgar, w wieku dziesięciu lat jest poddawane kompleksowym badaniom obrazowym oraz laboratoryjnym. Jeśli jego wyniki są idealne, wówczas przeprowadzane są także badania psychologiczne i wywiad środowiskowy, który ma określić, czy dziecko znajduje się w grupie ryzyka.

Wyniki moich badań były perfekcyjne, dzięki temu od razu wystąpiono o przeniesienie mnie do Ośrodka Szkoleniowego NASA w Stanach Zjednoczonych. Minęło dziesięć lat. Przez pierwszych siedem zdobyłam wykształcenie na poziomie doktoratu w zakresie fizyki i zarządzania zasobami ludzkimi. Wszystko z wynikiem celującym. Kolejne trzy lata spędziłam na pozyskiwaniu wiedzy z zakresu podróży międzygwiazdnych, budowy i naprawy maszyn oraz szeroko pojmowanej astronomii. Wielu z nas zostało wykluczonych i odesłanych do domu z powodu chorób lub niedostosowania do poziomu edukacji. W programie brało udział sto sześćdziesiąt państw. Okazałam się jedną z osiemdziesięciu najwytrwalszych kandydatów. Rok temu poddano nas kilkudziesięciu testom wiedzy i umiejętności, sprawności, a także psychologicznym. Tym sposobem pozostała dwudziątka, a dzisiejszy kwestionariusz osobowości pozwoli wybrać dziesięć najlepiej przystosowanych do kolejnej misji osób.

„Mamy dziesiąty października 2110 roku, dwie minuty czterdzieści sekund dzielą nas od startu promu kosmicznego Dix.

Pierwsza wieża stabilizująca została odłączona od rakiety nośnej. Za piętnaście sekund zostanie odłączona druga wieża.

Odpalono silniki.

Trzy, dwa, jeden... nastąpiło uniesienie w powietrze.

Prom Dix o godzinie dziesiątej wzbil się w amerykańską strefę powietrzną, rozpoczynając badawczą misję kosmiczną na Marsa.”

Włączyłam kamerę. Na płaskim ekranie pojawiła się moja twarz z wydatnymi kośćmi policzkowymi, dużymi niebieskimi oczami i prostymi blond włosami związanymi w wysoki koński ogon. Skinęłam głową do swego odbicia.

— Nadia Deset, dzień drugi — rzekłam spokojnie. — Załoga jest cała. Wszyscy przyjmują już pokarmy w naturalnym rytmie. Ćwiczymy dwa razy dziennie. Lot przebiega bez przeszkód. Opuszczenie atmosfery ziemskiej spowodowało lekką utratę prędkości, jednak zmieściła się ona w granicach naszych przewidywań. Planowane lądowanie na Marsie odbędzie się za osiem dni.

Skinęłam głową w stronę kamery i wyłączyłam urządzenie.

Na pokładzie oprócz mnie znajdowało się dziewięć osób. Dwóch mężczyzn i siedem kobiet. Amerykanin Michael był wysokim barczystym brunetem, znał się doskonale na mechanice, automatyce i budownictwie. Finn był Szwedem, miał krótko ostrzyżone blond włosy, smukłą sylwetkę i jasne oczy. Był typem mózgowca. Elastyczny umysł pozwolił mu na pozyskanie wiedzy niemal z każdej dziedziny, od rozwiązywania równań różniczkowych, przez wytwarzanie energii odnawialnej, aż po produkcję lekarstw. Kobiety z kolei stanowiły naprawdę wspaniałą mozaikę kultur i ras. Kasika pochodziła z Nigru. Jej skóra i tęczęwki miały kolor gorzkiej czekolady, a krótkie czarne kędziory sterczały wokół jej głowy niczym drut kolczasty. Była niezwykle sprawna fizycznie i sprężysta, a jej umysł pozostawał niewiele w tyle za gibkością i siłą ciała. Jade była Australijką, najlepiej z nas wszystkich znała się na hodowli i uprawie roślin. Miała wyjątkowy zmysł, dzięki któremu wszystko, co wpadło w jej ręce, kiełkowało, dojrzewało lub wyrastało na zdrowe młode. Miała falowane blond włosy, które spinała w kok, i ciemną, piegowatą cerę. Była najwyższą kobietą na pokładzie. Najniższa z kolei była pochodząca z Japonii Satomi. Małomówna i wiecznie zamyślona, miała około metr pięćdziesiąt wzrostu i krótkie czarne włosy. Była pokładowym fizykiem, matematykiem i chemikiem. Sofia z Chile i Leila z Brazylii były podobne do siebie. Obie średniego wzrostu, miały ciemniejszą karnację i piwne oczy, a ich brunatne włosy sięgały łopatek. Były specjalistkami w dziedzinie medycyny. Ruda Polka, Karolina, słynęła z tego, iż jako jedyna z kobiet przeszła pełne szkolenie wojskowe i uzyskała stopień generała. U mężczyzn było to obowiązkiem szkoleniowym w Ośrodku, jednak kobiety przechodziły najczęściej jedynie przyspieszone kursy, bez przydzielania stopni wojskowych. Ostatnią z kobiet była Kanadyjka Ava, która moim zdaniem słynęła jedynie z urody. Była przepiękną długonogą brunetką o kręconych włosach sięgających bioder. Inteligentna, jednak bez konkretnej specjalizacji. Podobno dostała się na pokład Dix, gdyż była córką Kanadyjskiego miliardera.

Ja natomiast jestem dowódcą, a moją główną zdolnością jest znajomość każdego elementu tego statku.

W takim składzie spotkaliśmy się tydzień przed planowanym startem promu. Każdego kolejnego dnia mieliśmy za zadanie spędzać ze sobą czas i poznawać się. Po raz pierwszy od dziesięciu lat pozwolono nam robić to, co chcemy. Mimo że oczywiście byliśmy kontrolowani podczas tego wolnego czasu, były to najmniej zorganizowane godziny spędzone w Ośrodku. Z początku nie wiedzieliśmy, co robić, gdy nagle nikt nie decydował o każdej minucie naszego życia. Polubiłam Kasikę i Satomi, gdyż uważałam je za inteligentne i przydatne. Reszta nie wywarła na mnie szczególnego wrażenia, choć jako kobieta podziwiałam walory estetyczne mężczyzn, których ciała były idealnie wyrzeźbione.

Wstałam i podeszłam do przeszklenia w ścianie mojej kabiny. Dookoła rozciągała się czern z pojedynczymi, odległymi o kilkanaście lat świetlnych gwiazdami. Oddaliliśmy się od Ziemi o około sześć milionów kilometrów, a to oznaczało, że czekało nas jeszcze pięćdziesiąt milionów.

Mars, pomimo swego podobieństwa do Ziemi, jest jednak całkiem od niej odmienny. Ma on ponad dziewięć razy mniejszą masę, jego promień równikowy stanowi połowę promienia Ziemi, jest on dwa razy bardziej eliptycznie spłaszczony niż nasza planeta i ma niemal trzy razy mniejszą grawitację. Co więcej, naświetlenie słoneczne na Marsie jest ponad dwa razy mniejsze niż na Ziemi, gdyż planeta ta znajduje się półtora raza dalej od Słońca, przez co temperatura waha się tam pomiędzy minus osiemdziesiąt siedem a minus pięć stopni. Dla naszej podróży najważniejsze jest jednak to, że Mars obiega Słońce w czasie niemal dwa razy dłuższym niż Ziemia. Z tego powodu start naszego promu musiał być idealnie zsynchronizowany z podążającą po swojej orbicie Czerwoną Planetą. Najkrótsza odległość między Marsem a Ziemią to pięćdziesiąt sześć milionów kilometrów i taką trasę przebywamy właśnie promem Dix. Dla porównania, Księżyc oddalony jest od Ziemi o zaledwie trzysta osiemdziesiąt tysięcy kilometrów i okrąża naszą planetę nieustannie, zawsze będąc w tej samej odległości.

Wyprawa promem załogowym na Marsa nie była rozważana, dopóki nie rozpoczęto prac nad wytwarzaniem antymaterii. Jeszcze w dwutysięcznym roku nikt nie powiedziałby, że stać nas będzie na wyprodukowanie choć odrobiny tej substancji. Według oficjalnych danych koszt wytworzenia grama antymaterii to około sześćdziesiąt bilionów dolarów. Substancja ta jest tak ekskluzywna, gdyż stanowi przeciwieństwo znanej nam materii, coś w rodzaju jej lustrzanego odbicia. Antymateria posiada przeciwne do materii właściwości takie jak znak ładunku elektrycznego czy innych dyskretnych wielkości fizycznych. Wykorzystanie antymaterii polega na zastosowaniu procesu anihilacji — swoistego połączenia materii i antymaterii. Substancje unicestwiają się, a energia w nich zawarta zostaje uwolniona, zwykle w postaci promieniowania elektromagnetycznego, czyli fotonów, powodując potężny wybuch. Cała energia spoczynkowa cząsteczek zostaje przekształcona w energię wybuchu, stąd nadzwyczajna wydajność tego źródła. Dzięki temu nasza podróż nie trwa dziesięć miesięcy, a zaledwie dziesięć dni.

NASA zdołała jednak wyprodukować wystarczająco dużo antymaterii, by przeprowadzić naszą misję. Sposób, w jaki to zrobiono, jest ściśle tajny. Dla nas najważniejsze jest jednak to, że Dix napędzany jest nie paliwem jak pierwsze rakiety kosmiczne, ani też żaglami słonecznymi czy termojądrowymi silnikami strumieniowymi, wykorzystywanymi jeszcze dziesięć lat temu, ale właśnie antymateria!

— Cześć — mruknął ktoś zza moich pleców. Odwróciłam się prędko. Michael stał zaledwie metr ode mnie. Dzięki sztuczemu polu grawitacyjnemu wewnątrz statku mogliśmy poruszać się w nim zupełnie jak po powierzchni Ziemi.

— Co się dzieje?

— Przyszedłem porozmawiać. Przecież nie możemy całe dnie jeść, ćwiczyć i nagrywać sprawozdania pod tytułem „wszystko przebiega zgodnie z planem”.

— Możemy. To nasza praca.

— Ten statek jest idealny, wszystko robi sam. My mamy do odegrania swoje role dopiero tam, na miejscu — wskazał palcem przestrzeń za szkłem, tuż ponad moim ramieniem. — Tutaj możemy chyba odpocząć przed ciężką pracą. Musimy być odprężeni, gdy przyjdzie nam walczyć z klimatem Marsa, próbując wyhodować tam jakieś roślinki, znaleźć podziemne wody czy badać natężenie promieniowania jonizującego. — Michael musnął moją szyję, cofając rękę, którą wskazywał przed chwilą Marsa. Przystąpił krok w przód tak, że moje czoło niemal dotykało czubka jego nosa.

— Do czego zmierzasz, Michaelu Denary? — spytałam, odsuwając się do tyłu.

— Lubię twój poważny ton. Wiem, że jesteś tu dowódcą, ale na pewno zdajesz sobie sprawę z tego, że tak naprawdę niczym się nie różnimy. Nie będę traktował cię jak szefa, podobasz mi się i nie uważam, by było to coś niestosownego.

— Dobrze. Podzieliłeś się ze mną swymi przemyśleniami. To wszystko?

— Uczuciami — poprawił.

— Uczucia to reakcje chemiczne, które powodują, że skupiamy swe myśli wokół konkretnego tematu.

— Rozumiem, muszę mówić do ciebie naukowym językiem. — Przesząpił kolejny krok do przodu, przez co znalazłam się między szybą a jego postawnym ciałem. Spojrzał mi w oczy, jego źrenice rozszerzyły się, a tętnica z boku szyi podskakiwała szybko i rytmicznie. — Moje ciało reaguje na ciebie, Nadio, i wcale się tego nie wstydzę. Rozumiemy się, mamy podobną przeszłość i przyszłość, jako że jesteśmy bezkonkurencyjni w naszym zawodzie. Nawet iloraz inteligencji mamy prawie identyczny. Nie widzę więc żadnych przeciwwskazań...

Przywarłam ustami do jego szybko poruszających się warg. Michael docisnął mnie do szkła. Czułam jego pożądanie. Wpychając język między jego zęby, próbowałam przypomnieć sobie, kiedy miałam ostatnią menstruację. Pomimo niedoświadczenia moje ciało doskonale wiedziało, co robić. W Ośrodku nie wolno nam było kontaktować się z płcią przeciwną ani też nawiązywać kontaktów intymnych z osobami własnej płci. Od dziesiątego roku życia aż do dziesiątego października tego roku kontrolowano każdy aspekt naszego życia. Michael wsunął dłoń pod moją bluzkę. Był niedelikatny, wręcz brutalny, ale nie przeszkadzało mi to. Zaciśnęłam dłoń na jego pośladku i przygryzłam jego język. Jęknął z bólu, mimo to poczułam jego zadowolenie.

— Na razie musi ci to wystarczyć — odparłam, dysząc i odpychając go od siebie.

— Słucham? — spytał podwyższonym tonem.

— Jeśli nie pasuje ci ten układ, to masz tu szeroki wybór. To tylko akt seksualny, oboje wiemy, że nie ma znaczenia, z kim to zrobisz. Wszyscy jesteśmy tu wystarczająco wysportowani i atrakcyjni, by podniecić drugą osobę. Tak więc możesz wyładować swą frustrację na którejkolwiek z nas, a ona na pewno będzie ci za to wdzięczna, Mike.

— Mike? Jednak zmiękłaś. Wiedziałem, że nie jesteś taka oschła, na jaką się kreujesz.

— Oschła? To, że zdaję sobie sprawę z tego, iż emocje wywodzą się z neurochemicznych reakcji w naszym ciele, oznacza jedynie, że jestem racjonalistką.

— A czy racjoniści nie są oschli? — spytał i odszedł. Zatrzymał się jednak przy drzwiach i z szelmowskim uśmiechem dodał — Chcesz mnie sprawdzić. Zobaczyć, czy zachowuję się tak, bo jestem praviczką i losowo wybrałam ciebie, czy może chodzi głównie o ciebie, a moja frustracja powoduje jedynie, że jestem mniej cierpliwy.

— Michaelu, wszyscy jesteśmy praviczkami i dziewczycami, po co miałabym sprawdzać, które z nas radzi sobie z tym lepiej...

— Znow wróciliśmy do Michaela. Niedobrze. Lepiej już pójde, póki co wystarczy mi myśl, że kobieta, na której wyładowuję swą frustrację, będzie mi za to wdzięczna. — Uśmiechnął się szerzej, układając cudzysłowy z palców obu dłoni. — Nie mogę się doczekać twojej wdzięczności.

Czułam szybkie bicie serca. Michael wyraźnie wyprowadził mnie z równowagi. Pocałunek był wprawdzie przyjemny, jednak sam Michael sprawiał wrażenie naiwnego i napalonego nastolatka.

Dlaczego się nad tym zastanawiam? Przecież chodzi tylko o stosunek. Jest dorosłym, atrakcyjnym mężczyzną i to wystarczy. To wszystko, czego mu potrzeba, by uprawiać seks z kobietą.

A jednak mnie fascynuje. Swoją pewnością siebie i tym, że potrafi wyprowadzić mnie z równowagi.

To tylko neurochemia. Wcześniej nie zaprzętała moich myśli. Dopiero teraz, gdy zadziałała fenyloetyloamina, gdy zauważyłam i odebrałam jego pożądanie.

Tylko dlaczego właściwie go odepchnęłam?

Przez jego pewność siebie, o tak. Uważał, że może tu przyjść i sobie ulżyć.

Ale przecież może to zrobić. Ludzie tak robią, to ich natura, instynkt. To monogamia była wytworem kultury. Zapobiegała ona sporom i chorobom, ale gdy dba się o swoje zdrowie i rozsądnie podchodzi do kwestii seksualnych, poligamia jest jak najbardziej wskazana.

Michael nie miał racji. Chodziło tylko o jego arogancję. To ja tu jestem dowódcą i jeśli będę chciała uprawiać z nim seks, to sama o tym zdecyduję.

— Nadia Deset, dzień trzeci. Lot przebiega zgodnie z planem... — urwałam, przypominając sobie wydarzenia wczorajszego dnia.

Wszystko przebiega zgodnie z planem. Tak jak wczoraj i z pewnością będzie tak też jutro, bo nic właściwie się tu nie dzieje... Ale mogłoby się zadziać. Raptownie wstałam z krzesła i ruszyłam przed siebie. Byłam dorosłą, odpowiedzialną i świadomą swej seksualności kobietą. Nie wstydziłam się swojego ciała, więc dlaczego miałabym tego nie zrobić. Maszerując korytarzem, ominęłam kilkoro drzwi i stanęłam przed tymi z inicjałami Michaela. Gwałtownie przyłożyłam dłoń do ekranu, rozsuwając drzwi. Mike nagrywał właśnie swoje sprawozdanie. Nie zdziwiło mnie to, w końcu każde z nas miało nadal ten sam plan dnia.

Drzwi zasunęły się. Mike wstał i uniósł lewy kącik ust w łobuzerskim grymasie. Przemierzyłam kilkoma krokami dzielącą nas przestrzeń i wpiłam palce w jego koszulę. Syknął, gdy mocno zadrapałam mu skórę.

— Namyśliłaś się — mruknął, unosząc podbródek, bym nie mogła dosięgnąć jego ust.

— Drocysz się ze mną. To zbędne. Nie musimy tego przedłużać.

— A może ja chcę to przedłużać... Pociągasz mnie i nie chodzi tu tylko o frustrację.

Michael schylił się i przycisnął mocno swoje usta do moich. Przesunął dłońmi po moich plecach i zacisnął je silnie na pośladkach, po czym pchnął mnie na swoją leżankę.

Czwartego dnia przestałam nagrywać sprawozdania. Postanowiłam sporządzić kolejne dopiero wtedy, gdy otrzymam taki rozkaz lub gdy sama uznam, że wydarzyło się coś istotnego dla misji. Nic takiego jednak nie nastąpiło aż do dzisiaj — po dziesięciu dniach podróży kosmicznej już prawie dotarliśmy do celu, do Aram Dorsum.

Obszary lądowań na Marsie wybiera się ze względu na prawdopodobne zasoby wody oraz umiejscowienie w okolicach równika Czerwonej Planety, gdzie temperatura najbardziej sprzyja egzystencji prostych form życia. Nie bierze się już pod uwagę walorów technicznych powierzchni, gdyż współczesne promy posiadają zdolność pionowego startu.

Kilka lat temu odkryto, iż Aram Dorsum ma więcej zalet niż kanał wijący się od północnego wschodu do zachodu. Wysłany na Marsa łazik wykrył tam bowiem spore niecki podziemne zawierające wodę. Są one jednak przykryte grubą warstwą skał podobnych do ziemskich andezytów, o twardości ośmiu stopni w skali Mohsa, przez które trudno będzie nam się przebić. Łazik przewiercił się przez nie wąskim diamentowym wiertłem, tak cienki otwór nie wystarczyłby jednak do wydobycia wody, a szersze wiertło mogłoby wywołać poważne wstrząsy lub zanieczyścić wodę pyłami i okruchami. Dlatego rok temu Satomi udoskonaliła bojowy laser wojskowy, przysposabiając go dla celów naszej misji. Miał on zmieniać andezyty od razu w gaz, by nie zanieczyścić wody. Gdybyśmy odnaleźli duże pokłady wody i zdołali uprawiać glebę... następna misja mogłaby być misją kolonizacyjną!

Z głośników wydobył się dźwięk powiadamiający o próbie kontaktu Ośrodka z Dix.

Gdy dotarłam do sali głównej, czekała tam już reszta załogi. Uruchomiłam ekran, kamerę i połączenie satelitarne. Przed naszymi twarzami wyświetliła się postać generała Richarda Donnella — szefa amerykańskiej agencji kosmicznej NASA. Skinął do nas głową i westchnął.

Zmarszczyłam brwi. Generał Donnell słynął ze swej impulsywności. Nie był agresywny, ale zdarzało mu się być niekulturalnym. Niespotykane było u niego poprzedzanie wypowiedzi milczącą refleksją. Jego wahanie wywołało więc u mnie podejrzenia. Nic innego w jego postawie i zachowaniu nie wskazywało jednak na to, by miał dla nas złe wieści.

— Witajcie, chciałem wam pogratulować tak udanej podróży kosmicznej. Dzisiejszy dzień jest ważny dla nas wszystkich. Jest przełomem w dziejach ludzkości. Jesteście naszą nadzieją i dumą.

— Co się dzieje? — przerwałam nietaktownie i wysunęłam się przed resztę załogi. — Brak panu pewności siebie i jest pan sztucznie uprzejmy. Widzę, że coś pan ukrywa, generale. Nie chce pan nam tylko gratulować, prawda? Chodzi o coś innego. A skoro dotarliśmy na orbitę Marsa, to z pewnością chodzi o aspekty techniczne statku — wyrzuciłam z siebie. Twarz generała przez kilka sekund wyrażała zaskoczenie i złość. — Zużyliśmy zbyt wiele antimaterii? Zabraknie nam jej na samodzielny powrót?

— Nie będzie żadnego powrotu — odparł spokojnie generał. Zadrżałam. Cofnęłam się o krok, wpadając na którąś z kobiet. Generał podrapał się nerwowo po karku i spojrzał groźnie w obiektyw kamery. — Ostatnie, czego teraz od was potrzebujemy, to bunt!

— Wy potrzebujecie czegoś od nas? To my potrzebujemy od was antimaterii! — warknęłam, oddychając ciężko. Przestraszyłam się swego wybuchu złości i drżenia własnych rąk oraz głosu. Nigdy wcześniej nie doświadczałam tak silnych emocji. Moje życie było proste i zaplanowane przez osoby trzecie, nie było w nim miejsca na zmiany planów i emocje.

— Zamknij się, Deset! — syknął generał. — Jesteście najbardziej uprzywilejowanymi ludźmi z całej populacji. Dostaliście szansę, by naprawić to, co zepsuliśmy na Ziemi.

— Słucham? Co pan... — zaczęłam, jednak ktoś zasłonił mi usta dłonią, drugą ręką unieruchamiając moje ciało. Zaczęłam się szarpać, ale nie miałam szans wyswobodzić ramion z uścisku. Nie musiałam się obracać, by wiedzieć, kto mnie uciszył. Żyłaste, duże dłonie Michaela były wystarczająco charakterystyczne. Otwarłam szeroko oczy i spróbowałam uspokoić się, nabierając nosem powietrza.

— Dziękuję, Mike. Spodziewałem się, że będą z tobą problemy, Nadio, jednak byłaś zbyt cenna dla misji, by zastąpić cię kimś innym. Wracając do tematu rozmowy, pół swego życia spędziliście w zamkniętym Ośrodku. Nasz kompleks zapewniał wam nie tylko wykształcenie, ale też bezpieczeństwo, a przede wszystkim selekcję informacji z zewnątrz. Niewiele pamiętacie z czasów, gdy mieszkaliście we własnych domach, prawda? Zadbaliśmy o to, byście zapomnieli o tym, co złe, co mogłoby uświadomić wam, w jakim stanie jest obecnie Ziemia.

— Selekcja wspomnień... myślałem, że stosuje się ją tylko w psychiatrii — rzekł Finn.

— Nasza planeta umiera — kontynuował generał. — Poprzez ogólnoswiatowy wyścig zbrojeń, a także niekontrolowany przyrost naturalny wyeksploatowaliśmy wszystkie złoża surowców, jakie odkryto na naszej planecie. Przez coraz głębsze i mniej rozsądne odwierty nasilono ruchy sejsmiczne. Każdego roku wybuchało kilka wulkanów, a ich pyły poważnie zanieczyszczały powietrze i glebę. Trzęsienia ziemi i tsunami zdziesiątkowały ludzkość. Odnawialne źródła energii nie okazały się wystarczające, a wykorzystanie energii choćby do produkcji prowadziło do powstania kolejnych zanieczyszczeń i niebezpiecznych odpadów. Z powodu smogu panele słoneczne już w dwa tysiące trzydziestym roku stały się bezużyteczne. Ziemię spowijał cień. Ludzie zaczęli chorować, ponieważ niedobór promieni słonecznych osłabiał odporność. Ponad połowa światowej populacji cierpiała na depresję, a wskaźnik samobójstw wzrósł pięciokrotnie. Z początku fototerapia i antydepresanty zdawały się pomagać, jednak w obliczu wzrastającego problemu nie mogliśmy sobie pozwolić na wyprodukowanie tak ogromnej liczby lamp sollux. Ponadto naświetlanie stosowane dłużej niż rok często wywoływało nowotwory skórne. Zaczęliśmy kształcić w trybie przyspieszonym wielu psychologów. Niektórzy nie dożywali czasów rozpoczęcia praktyki zawodowej, a część odbierała sobie życie w pierwszych miesiącach pracy. Nie było osób wystarczająco silnych, by mierzyć się ze swoimi i cudzymi problemami w tym samym czasie. Uśpione bakterie i wirusy rozwijały się wskutek znajdowania kruchych i nieodpornych nosicieli. Ograniczona

produkcja drastycznie zmniejszyła liczbę towarów w sprzedaży. Wprowadzono limitowany przydział produktów w zależności od wielkości rodzin. Byliśmy pewni, że tak wygląda właśnie koniec świata — generał pokiwał głową z rezygnacją, po czym, bardziej wzburzony, dodał: — A później, w dwa tysiące dziewięćdziesiątym dziewiątym roku, wybuchła trzecia wojna światowa.

— Jakim sposobem nie wiedzieliśmy o tym? — spytała Jade. Jej oczy były szkliste.

— Ośrodek jest sztucznym ekosystemem. Przed przejściem go przez NASA służył biologom, którzy próbowali odwzorować w nim Ziemię sprzed tysięcy lat. Znajduje się on pod kopułą zbudowaną z warstw kuloodpornych szyb i stali pokrytej korundem. Niebo, które widywaliście podczas przerwy na lunch i ćwiczeń, było animacją wyświetlaną na wewnętrznej stronie kopuły. To wszystko, co mogliśmy zrobić. Dwa inne Ośrodki zniszczono, tylko nasz przetrwał.

— To jest misja kolonizacyjna — szepnął Finn.

— Tak. Zostaliście starannie wyselekcjonowaną dziesiątką młodych ludzi. Pewnie nie zdajecie sobie sprawy z tego, jak bliska jest wam ta liczba. Zabraniam rodzicom w wieku dziesięciu lat, by po kolejnych dziesięciu, dziesiątego dnia dziesiątego miesiąca, wyruszyć w misję kolonizacyjną Marsa... Nawet nazwa waszego promu w języku francuskim oznacza liczbę dziesięć... i wasze nazwiska. Sami rozumiecie, w obliczu zagrożenia ludzie stają się bardzo wierzący i potrzebują symboli. Dziesiątka oznacza idealną całość, wszystkie cykle życia! Rysujemy ją jako koło, łączy ona początek z końcem, prowadzi do punktu wyjściowego, rozpoczyna od nowa! Tak, jak wy rozpoczniecie nowy cykl na Marsie. Zaczniecie od zera, ale dotrzecie do dziesiątki, do całości, do ideału... do nowego świata! — Oczy generała zabłyśły. Naprawdę wierzył w to, co mówił. Poczulał nudności. Nigdy wcześniej nie miałam problemów żołądkowych, w końcu byłam „starannie wyselekcjonowaną jednostką”. Michael puścił mnie, gdy jęknęłam z obrzydzenia i zgłębiłam się w pół. Generał uśmiechnął się. — Jesteście inteligentni, zdrowi, posiadacie wszelkie niezbędne do przetrwania i rozpoczęcia nowego życia zdolności. Każde z was jest w doskonałym stanie reprodukcyjnym, a my postaraliśmy się o to, by wasza płodność była nadnaturalnie wysoka. — Otwarłam szeroko oczy i nabrałam głośno powietrza do płuc. Moje myśli zaczęły krążyć wokół jednego tematu: ja, Mike, jego kabina, nudności... Moja gwałtowność ostatnich dni nabrała nowego, niechcianego znaczenia. Wyprostowałam się i obróciłam przodem do Michaela.

Uśmiechał się. Stał nonszalancko oparty o blat stołu, dumny, niewzruszony...

— Wiedziałaś! O wszystkim... — pisnęłam, mierząc go przerażonym wzrokiem.

Mężczyzna, którego widocznie zupełnie nie znałam, skinął głową z wyższością. Uniósł lewy kącik ust i rzekł — Dzięki, tato, to wszystko, co chcieliśmy wiedzieć.

— Synu — odparł generał z dumą.

Połączenie satelitarne zostało zerwane.

Posłowie

Krzysztof M. Maj

X. Antologia opowiadań fantastycznych jest projektem, który nie mógłby zostać zrealizowany, gdyby nie bezinteresowne wsparcie wspaniałych ludzi, z którymi na co dzień mam zaszczyt pracować w zespole redakcyjnym portalu oraz pierwszego w Polsce czasopisma naukowo-literackiego o fantastyce — „Creatio Fantastica”.

Idea niniejszej antologii narodziła się w jednej z burz mózgow, które przetoczyły się przez redakcję — i choć nie pomnę, kto pierwszy wpadł na tak fantastyczny pomysł uczczenia dziesiątej rocznicy powstania „CF”, pamiętam, że w rozmowie brała udział

redakcyjna *genius loci*, była redaktor naczelna i obecny wydawca pisma, Ksenia Olkusz, ówczesna wicenaczelną, Agnieszka Bukowczan-Rzeszut i — *last but not least* — Adam Podlewski, wtedy opiekujący się działem literackim „Creatio”, a dziś redaktor tej antologii. Wspomniana trójka wiodła też prym w ramach specjalnie oddelegowanego zespołu, któremu przypadło w udziale ocenienie nadesłanych na rozpisany przez „CF” konkurs opowiadań, przy nieocenionym wsparciu honorowych jurorów: Pawła Majki, Andrzeja Pilipiuka, Krzysztofa Piskorskiego i Andrzeja Sawickiego. W głosowaniu na najlepsze opowiadania głos doradczy mieli także inni byli i obecni członkowie redakcji: dr Anita Całek (redaktor naukowa), Bartosz Staniecko, Magdalena Łachacz, Paulina Szymborska-Karcz oraz Izabela Osiadły. Wszystkim zaangażowanym chciałbym z tego miejsca jak najserdeczniej podziękować. Wdzięczność winienem także zespołom korektorskim, które na czas pracy nad antologią łączyły obowiązki redakcyjne i zawodowe z przestrzeganiem napiętego terminarza wydawniczego, w tym zwłaszcza: Izabeli Budzyńskiej (redaktor językowej), Patrycji Pikale, Alicji Podkalickiej oraz Marcie Kuźmie. I wreszcie — Adamie, przyjmij moje najszczerze podziękowania za całokształt Twojej pracy nad książką i za pomysł na doskonały w swej prostocie tytuł, kamuflujący w sobie zarówno dziesiątkę, jak i tajemnicę. Nie mam wątpliwości, że bez zaangażowania Was wszystkich antologia X nigdy nie ukazałaby się w swym ostatecznym kształcie.

Największe gratulacje należą się wszelako samym zaangażowanym Autorom — i to zarówno tym niemal pięćdziesięciu fantantom, którzy zdecydowali się wziąć udział w naszym konkursie, jak i dwudziestce czwórce laureatów, których zwycięskie opowiadania tworzą ten zbiór. Dziękuję także najszczerzej za okazaną nam cierpliwość — zwłaszcza, że od rozpisania konkursu minęło tyle czasu, że tytułowa „dziesiątka” nieco się zdezaktualizowała. No dobrze: „nieco” to w tym przypadku dokładnie dwa lata. Ja jednak wolę myśleć o nich jako o dowodzie na słuszność tezy o koegzystencji systemu dziesiętnego z dwunastkowym, którą sformułował w swym słowie wprowadzającym Adam. A ponadto — kolejnym przykładzie pokazującym, że do starannego wydania *e-booka* nie wystarczy opanowanie polecenia „Zapisz jako / PDF” w edytorze tekstowym.

Antologia X jest książką szczególną jeszcze z jednego względu. Jako przedsięwzięcie wspólne redakcji „Creatio Fantastica” i wydającego czasopismo od jubileuszowego 2015 roku Ośrodka Badawczego Facta Ficta, otwiera ona bowiem nową serię wydawniczą: „Creatio Continua” — w ramach której zamierzamy przedstawiać wyselekcjonowaną przez nas nową i klasyczną prozę fantastyczną. Cóż bowiem lepiej odzwierciedla idiom pisarski fantastyki, niż właśnie idea ciągłego stwarzania świata i światów — i cóż zarazem lepiej oddaje chęć kontynuowania tego, co niemal od początku było wizytówką „CF”. W wywiadzie dla „Katedry” z 2009 roku Jacek Dukaj widział w środowisku kształtującym się wokół naszego czasopisma „zaczyn wspólnoty literackiej”, w której „[...] autorzy wzajem recenzują, komentują swoje teksty, interesują się fantastyką jako literaturą, śledzą myśli pod słowami”. Dziś mamy nadzieję, że zarówno na łamach nowego naukowo-literackiego „Creatio”, jak i nowo powstającej serii wydawniczej będziemy dalej realizować tę kluczową i dla nas misję.

Kraków, 7 lipca 2017 roku

Creatio Continua

Tom 1: *X. Antologia opowiadań fantastycznych*

Redakcja: Adam Podlewski

Redakcja językowa: Izabela Budzyńska